

IZABELA
JANISZEWSKA

AMOK

NA KONIEC PRZYCHODZĄ
SPOKÓJ, CISZA I CIEMNOŚĆ.



AMOK

IZABELA
JANISZEWSKA

AMOK

Copyright © Izabela Janiszewska, 2021

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2021

Redaktor prowadzący: Adrian Tomczyk

Marketing i promocja: Greta Kaczmarek

Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak

Korekta: Agata Tondera, Joanna Pawłowska

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: Tomasz Majewski

Fotografia na okładce: © Teodor Lazarev / Adobe Stock

Fotografia autorki: © Zuza Krajewska / Warsaw Creatives

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66736-30-6

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

„Przeszłość nigdy nie umiera”.

William Faulkner

„Im bardziej chcesz coś porzucić,
tym bardziej cię to ściga”.

William Jonas Barkley

TAMTA NOC

Pięć minut. Podobno tyle czasu upływa, zanim tonący dorosły straci przytomność. Po siódmej minucie przestanie bić jego serce. I wtedy przyjdzie śmierć. Ta, która teraz wypełza z ciemności, zagląda mi bezczelnie w oczy i wyciąga po mnie swoje ręce. Długie, kościste, a jednocześnie zadziwiająco silne. Chwyta mnie nimi w lodowate objęcia, następnie mocno ściska płuca, wywołując uczucie, jakby ktoś rozdzierał ciało od środka. Z jakiegoś powodu nagle myślę o haczykach na ryby, wyobrażam sobie, że tkwią głęboko w mojej klatce piersiowej, a ktoś z całej siły napina żyłki przytwierdzone do ich końców.

Wreszcie otwieram usta – to silniejsze ode mnie – organizm rozpaczliwie chce zaczerpnąć powietrza, lecz zamiast tego wypełnia się wodą, która zatyka gardło i nozdrza. W smudze światła kątem oka zauważam drobne bąbelki powietrza wydobywające się spomiędzy warg, próbuję je złapać, zatrzymać, ale uciekają jak ostatnie tchnienie. Rytm mojego serca zwalnia, kolejne uderzenia dzielą coraz dłuższe przerwy, a później przestają je w ogóle słyszeć. Ból jest tak silny, że mdleję. Odchylam głowę, przymykam powieki i dryfuję. W przebłyskach wraca do mnie całe życie. Niczym na filmie widzę różnych ludzi znikających tak szybko, jak krajobraz za oknem pociągu. Nie ma już strachu ani złości.

Na koniec przychodzą spokój, cisza i ciemność.

WCZEŚNIEJ

Od strachu gorsi są tylko ludzie, którzy lęk innych wykorzystują do własnych celów. Ta myśl towarzyszyła kierowcy czarnego ducati panigale, którego koła z chrzęstem wtoczyły się na podjazd domu przy alei Księcia Józefa Poniatowskiego. Wczesnogrudniowa aura sprawiała, że spod dywanu poskręcanych, suchych liści wystawały pojedyncze, zielone jeszcze kępki trawy. Komisarz Bruno Wilczyński ściągnął kask, odsłaniając zarumienioną twarz i zwichrzone włosy. Otarł z czoła drobne krople potu i ciężko westchnął.

Kto to słyszał, żeby temperatura o tej porze roku przekraczała dziesięć stopni, pomyślał, choć tak naprawdę przyczyną jego stanu nie była pogoda, ale złość. Pałaca trzewia i dzika. Mimo iż od kilku skrzyżowań próbował uspokoić emocje, nie zdołał okiełznać narastającego gniewu. Powietrze gryzło go w nozdrza duszącym zapachem palonej na sąsiedniej posesji gumy, a miarowy szmer ruchu ulicznego, zamiast odprężyć, wzmacniał niepokój.

Godzinę wcześniej Bruno dowiedział się, że rodzina jego koleżanki z komendy, Sylwii Konopackiej, zgłosiła zaginięcie policjantki. Dziewczyna od kilku dni przebywała na urlopie, a tego ranka zamierzała wsiąść w samolot linii Lufthansa i razem ze swoim partnerem oraz jego dziećmi polecieć na upragnione wakacje do Bangkoku. Tyle że zniknęła. Nie dojechała na lotnisko, nie było jej w domu, a telefon aspirantki pozostawał wyłączony. Już samo to wystarczyło, by Wilczyńskiego ogarnęły złe przeczucia, ale gdy

odkrył, że informację o zaginięciu przekazał funkcjonariuszom chłopak Sylwii, Jacek Lewicki, dotychczasowe obawy zamieniły się w pewność, że wydarzyło się coś bardzo złego.

Komisarz tropił mężczyznę od dłuższego czasu i choć wiedział o nim niemal wszystko, to Lewicki nieustająco wyprzedzał go o kilka kroków. Niczym duch, który nie zostawiał żadnych śladów. Fascynowało go manipulowanie ludźmi, doprowadzanie ich do obłądu i niszczenie. Karmił się strachem. Potrafił doskonale wyczuć słabe punkty drugiego człowieka, a następnie grał na nich z pasją wirtuoza. Wilczyński nigdy wcześniej nie spotkał osoby o tak imponującym umyśle, a zarazem o duszy równie głęboko przesiąkniętej złem. Gdyby nie miał świadomości tego, kim naprawdę był Jacek i ilu zbrodni się dopuścił, być może nawet czułby dla niego podziw. Teraz jednak odnajdywał w sobie tylko gniew.

Policjant zacisnął szczęki, co nadało jego rysom srogi wyraz. Kątem oka dostrzegł dwóch chłopców grzebiących patykami w ziemi tuż przy ogrodzeniu, po wewnętrznej stronie posesji. Nie od razu rozpoznał w nich synów Lewickiego, ale gdy bliźnięta rzuciły mu zimne, pełne wyrzutu spojrzenia, zrozumiał, kim są i dlaczego z taką furią dźgają kijami wyłysiały trawnik. On też byłby zawiedziony i zły, gdyby w ostatniej chwili musiał zrezygnować z pełnych przygód wakacji w zagranicznym kurorcie. Bruno zamierzał rzucić jakiś pokrzepiający komentarz, jednak po chwili stwierdził, że chodzące mu po głowie „chujowo, co nie?” raczej nie nadaje się dla uszu dzieci, i od razu ruszył w stronę drzwi piętrowego domku o kremowej elewacji.

Jego wzrok prześlizgnął się po zaparkowanym nieopodal wejścia i wypolerowanym na błysk czarnym bmw. Samochód musiał należeć do Lewickiego, bo na tylnej kanapie dostrzegł foteliki dziecięce oraz kolorowe zabawki. Miniaturowe monster trucki i figurki dinozaurów. Rozwarte paszcze gadów sprawiały wrażenie, jakby zwierzęta ryczały na siebie. Wilczyński pomyślał, że w środku czuje się jak one. Rozjuszony. Spojrzał w szare niebo, wziął głęboki wdech, a następnie wcisnął guzik dzwonka przy drzwiach.

Ciepły podmuch wiatru załaskotał go w kark, wywołując dreszcz. Komisarz usłyszał szuranie i dźwięk kroków. Ktoś przekręcił klucz w zamku, klamka drgnęła, a następnie w wejściu pojawiła się pięćdziesięcioparoletnia kobieta o pełnych ustach i szerokim nosie, łudzaco przypominającym ten należący do aspirant Konopackiej. Właścicielka domu patrzyła na Brunona zaczerwienionymi oczami. Jej twarz wydawała się napuchnięta i blada, a skóra na nosie wysuszona od ciągłego pocierania. Policjant dostrzegł zmiętoloną, wilgotną chusteczkę w dłoni matki Sylwii i obgryziony fioletowy lakier na jej paznokciach.

– Dzień dobry, komisarz Bruno Wilczyński z Komendy Stołecznej – przedstawił się, prezentując odznakę. – Otrzymałem informację, że niepokoją się państwo o córkę.

Kobieta ledwie dostrzegalnie skinęła głową, po czym chrząknęła i przełknęła ślinę.

– Beata Konopacka – przedstawiła się. – Pan jest jej kolegą, prawda? – Przyglądała mu się nieufnie. – Sylwia wspominała czasem o panu.

Wilczyński uśmiechnął się pod nosem.

– Na pewno same dobre rzeczy.

– Niezupełnie. Mówiła, że jest pan piekielnie zdolnym policjantem, ale trudnym człowiekiem. „Ten bystry dupek”, tak pana nazywała.

Bruno przygryzł wargę i z zakłopotaniem podrapał się za uchem. Zdawał sobie sprawę, że jego docinki często irytowały aspirant Konopacką, ale nie przypuszczał, że dziewczyna traktowała je aż tak poważnie. Sylwia sprawiała wrażenie odpornej na złośliwe uwagi i sarkastyczne komentarze. Jednak teraz, patrząc w oczy jej matki, pomyślał, że być może przekroczył granice i powinien był traktować policjantkę bardziej życzliwie. Nagle uderzyło go, jak rzadko ją doceniał, zamiast tego nieustająco podnosił dziewczynie poprzeczkę. Wprawdzie robił to, bo w nią wierzył, dostrzegał jej potencjał i chciał, by była tak dobrym śledczym jak on, ale przez to nie zauważył, że już się nim stała. Na własnych zasadach i na swój sposób.

– I miała rację. To cały ja – odparł lekko zmieszany, a później podążył za kobietą, która zaprosiła go do środka.

Szli wąskim korytarzem wyłożonym miękkim dywanem. Pomieszczenie wypełniał mdły zapach kwiatowego płynu do podłóg. Wilczyński wyłowił z tła dźwięk rozmowy zagłuszanej przez szum czajnika elektrycznego. Wprawdzie nie potrafił rozpoznać słów, ale bez wahania mógł określić, do kogo należała ciepła i głęboka barwa głosu. Na samą myśl o jej właścicielu dłonie policjanta zwinęły się w pięści, a krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach.

– Skąd przypuszczenie, że Sylwia zaginęła? – zapytał, spoglądając na zdjęcia policjantki zawieszane w ramach na ścianie korytarza.

Zza szkła uśmiechała się do niego aspirant Konopacka w mundurze, podczas rodzinnej imprezy, otoczona ramionami dumnych z niej bliskich, i druga, w letniej sukience w kwiaty, uchwycona na jakimś suto zaprawianym grillu z ludźmi, których nie znał.

– Od rana nie odbiera telefonu, nie ma z nią żadnego kontaktu, a jej pokój jest pusty. Jakby zapadła się pod ziemię. – Beata rozłożyła ręce. – Sylwia nigdy nie wystawiłaby tak Jacka i chłopców. Cieszyła się na wyjazd do Tajlandii. Jeszcze w piątek kupowałyśmy razem kostium kąpielowy. „Mamus”, mówiła, „zobaczysz, jaka wrócę opalona”. A teraz to. – Kobieta pokręciła głową i otarła wilgotne oczy.

– Kiedy się ostatnio widziałyście?

– W sobotę rano. Wyjeżdżaliśmy z mężem na weekend do znajomych. Sylwia życzyła nam dobrej zabawy. Zachowywała się normalnie, jak zawsze, a gdy wróciliśmy wczoraj wieczorem, światło było u niej zgaszone. Pomyślałam, że śpi albo została na noc u swojego chłopaka, skoro rano mieli jechać razem na lotnisko, i napisałam do niej tylko krótkiego SMS-a, żeby na siebie uważali.

– Czyli nie zaglądała pani do jej pokoju?

Kobieta potwierdziła.

– Wtedy nie, dopiero dzisiaj rano, kiedy obudził nas Jacek i zapytał, czy Sylwia jest już gotowa. Poszłam do niej na górę i zobaczyłam spakowaną walizkę na łóżku. To było dziwne, wszystko stało przygotowane jak do wyjścia. Pomyślałam, że może jest w łazience...

– Ale tam też jej nie było – dokończył Wilczyński, gdy usłyszał, że głos Beaty zaczyna drżeć.

Konopacka kiwnęła głową, coraz bardziej zaciskając usta, jakby obawiała się, że lada chwila wyrwie się z nich szloch.

Bruno rozpiął czarną skórzaną kurtkę, po czym zostawił ją w przedpokoju. Od natłoku pytań i niejasności zrobiło mu się gorąco. Jego ściągnięte brwi świadczyły o tym, że intensywnie się nad czymś zastanawia, ale gdy dotarli do kuchni i napotkał wzrok Lewickiego, wszystkie myśli uleciały. Ich miejsce zajęła pogarda. Komisarz bezwiednie napiął mięśnie, a jego oczy zaszyły mgłą szaleństwa.

– Kawy? Właśnie zagotowałem wodę. – Chudy, szpakowaty mężczyzna, będący zapewne ojcem Sylwii, niespodziewanie stanął na drodze policjanta, jakby wyczuł gęstniejącą atmosferę. – Władek Konopacki. – Uścisnął Wilczyńskiemu dłoń, niezrażony obojętnością funkcjonariusza. – To co, napije się pan? Wprawdzie mam tylko cienką rozpuszczalną z marketu, ale jak się doleje mleka, to nawet daje radę.

Wilczyński kiwnął głową na odczepnego, po czym zwrócił się do Jacka:

– Jakim cudem zawsze znajduję cię tam, gdzie dzieje się coś złego? Nie wydaje ci się, że trochę za dużo tych zbiegów okoliczności?

Wdowiec zmarszczył czoło. Na jego twarzy malowało się zdziwienie, idealnie oddane w szeroko otwartych oczach i lekko uchylonych ustach.

– Chyba nie rozumiem. – Jacek posłał Konopackim zdezorientowane spojrzenie. – Przyjechałem po Sylwię, bo umówiliśmy się, że zgram ją w drodze na lotnisko. Niestety, jak widzisz, moja dziewczyna zniknęła, a ja robię wszystko, by pomóc jej rodzicom. Zgłosiliśmy już zaginięcie na komisariacie, obdzwoniłem też szpitale i noclegownie, ale nikt tam o niej nie słyszał.

– Jesteś doprawdy nieoceniony – ironizował komisarz. – Serio. Biłbym ci brawo, gdyby nie bolały mnie kciuki po nocy spędzonej z playstation.

Beata Konopacka odchrząknęła, zwracając na siebie uwagę dyskutujących mężczyzn. Ich spojrzenia powędrowały w stronę jej korpulentnej sylwetki, by po chwili zatrzymać się na zasepionej twarzy. Mąż kobiety musiał doskonale znać tę cierpką minę, bo zastygł ze szklanką kawy w dłoni i nie śmiał nawet mrugnąć w oczekiwaniu na rozwój wydarzeń.

– Powinien się pan zająć swoją pracą – wysyczała wściekle. – Słyszałam, że przy zaginięciach liczy się każda minuta, a pan tylko marnuje czas.

Wilczyński czuł, jak żyła na jego szyi zaczyna pulsować, jakby miała lada chwila wybuchnąć. Rozważał uświadomienie matce Sylwii, że mają do czynienia z najbardziej bezwzględny i przebiegłym człowiekiem, jakiego spotkał w życiu, ale ostatecznie zrezygnował. Dla niej Jacek był zasługującym na współczucie samotnym ojcem i chłopakiem jej córki. Biednym wdowcem, którego żona popełniła samobójstwo, boleśnie go doświadczając. Bruno natomiast grał w tym dramacie rolę błyskotliwego chama, w której obsadziła go nieproszenie aspirant Konopacka. Walka o zmianę tego wizerunku wymagałaby dużo energii, a on musiał ją zachować na pojedynek z Lewickim. Dlatego odpuścił.

Do policjanta niczym echo wracały słowa, które Jacek rzucił mimochodem podczas jednej z ich minionych rozmów. Wtedy Wilczyński brał je za chore pogroźki, wymysły obłąkanego człowieka, tego dnia jednak zyskał pewność, że były ostrzeżeniem. „Nie masz pojęcia, co nadchodzi. Twoja przyjaciółka też nie”. Komisarz przeklął w myślach. Gdyby bardziej dbał o relację z Sylwią, być może powiedziała mu, z kim się spotyka. Jego wzrok zatrzymał się na zegarze z kukułką zawieszonym nad regałem. Tykając, złote wahadło odmierzało kolejne sekundy, a Bruno zdał sobie sprawę, jak szybko i nieubłaganie upływa życie.

– Chcę zobaczyć jej pokój – oświadczył, choć tak naprawdę odwiedził go całkiem niedawno.

Beata Konopacka wskazała dłonią drogę, po czym wyprzedziła Wilczyńskiego i dysząc, wdrapywała się po schodach na piętro. Doskonale znał to przejście. Pamiętał skrzypiące drewniane schody,

boazerię na ścianie i łaskoczące w policzki liście paproci o charakterystycznym zapachu. Nie chciał jednak o tym wspominać. Intuicja podpowiadała mu, że lepiej będzie, gdy przemilczy swoją ostatnią wizytę w tym domu.

– Rzadko tędy chodzimy – wysapała kobieta. – Jeśli już, to raczej Sylwia zbiega do nas na herbatę albo ciepły obiad. Ojciec urządził jej na górze przytulne mieszkanie. Ma swoją kuchnię, łazienkę i osobne wejście, żebyśmy nie musieli plątać się sobie pod nogami.

Zatrzymała się na szczycie schodów, wzięła kilka głębokich wdechów, po czym wskazała drewniane drzwi po prawej.

– To tam – wyrzuciła z trudem. – Pan idzie, ja tu chwilę postoję, aż złapię dech. Przez to nadciśnienie szybko się męczę.

Obserwując matkę Sylwii, Bruno w duchu obiecał sobie, że następny wolny wieczór zamiast z pizzą, winem i Netflikiem spędzi na basenie albo siłowni. Gdy u jego ojca wykryto raka żołądka, on również postanowił gruntownie się przebadać. Wprawdzie lekarze nie znaleźli symptomów wskazujących na chorobę nowotworową, co przyniosło mu niewysłowioną ulgę, ale byli poważnie zaniepokojeni wynikami morfologii krwi Wilczyńskiego. Diagnosta stwierdził niski poziom żelaza, witaminy B6 i zaniżoną liczbę płytek krwi. Zalecił pacjentowi zmianę diety i ponowne badanie za miesiąc. Komisarz zrobił z tą sugestią to samo, co z innymi dobrymi radami – puścił ją mimo uszu, ale teraz, patrząc na zziąjaną kobietę, zaczął myśleć, że może jednak popełnił błąd. Dopytał jeszcze, czy Konopacka nie potrzebuje pomocy, ale gdy zapewniła, że to tylko mała zadyszka, dał za wygraną.

Stanął przed wejściem do sypialni policjantki, odpychając od siebie wspomnienia popołudnia sprzed dwóch dni. Nic się przecież nie wydarzyło, powtarzał w myślach, ale z jakiegoś powodu czuł, że postąpił wówczas niewłaściwie.

– Też się bałem je otworzyć – przyznał Włodek Konopacki, który zjawił się na piętrze w towarzystwie Jacka Lewickiego. – Drzwi – wyjaśnił. – Myślałem, że znajdę ją tam nieżywą, i jakoś nie byłem w stanie. Takie rzeczy podobno pamięta się już do końca życia. – Pokręcił głową, a następnie położył dłoń na klamce i nacisnął ją. –

Ale nie było sensu panikować. O! – Zatoczył ręką koło, wskazując puste wnętrze. – Nikogo nie ma.

Wilczyński włożył lateksowe rękawiczki i ostrożnie wszedł do pokoju.

– Zaczekajcie na zewnątrz – polecił.

Musztardowa narzuta miękko spływała z łóżka na podłogę. Na toalecie piętrzyły się błyszczące pudełka, różnych rozmiarów kosmetyczki i kolorowe buteleczki z lakierami do paznokci. A stojący obok kwadratowy puf tonął pod górą sukienek, bluzek z cekinami i džinsów. Przywodził na myśl jedną z tych artystycznych instalacji z ukrytym przesłaniem, którego Bruno nigdy nie był w stanie odgadnąć. Policjant zerknął na stojących w drzwiach Konopackich.

– Ktoś poza wami tu wchodził?

– Ja – odezwał się Lewicki.

Miał w sobie coś wyzywającego. To, jak trzymał dłonie w kieszeniach, wystawiając z nich kciuki, to, jak wysoko unosił podbródek i jak bardzo był opanowany, do szpiku irytowało Wilczyńskiego. Komisarz zacisnął zęby, by powstrzymać niewybredne komentarze, pączkujące w jego umyśle. Podeszedł do żółtej walizki błyszczącej w plamie słońca. Leżała na pościeli i choć jej pokrywa zasłaniała zawartość, nie była zamknięta na suwak. Bruno delikatnie uchylił wieko, po czym znacząco mruknął.

– Znalazł pan coś? – Zniecierpliwiona Beata wyciągała szyję w stronę funkcjonariusza, ale ten ją zignorował.

Mrużąc oczy, rozglądał się po pokoju, jakby szukał czegoś konkretnego. Wreszcie zbliżył się do szafy, złapał okrągłe metalowe uchwyty i otworzył skrzydła. W środku w nieładzie kotłowały się ubrania Konopackiej, które zdawały się żyć własnym, bujnym życiem. Bruno pomyślał, że dobrze by jej zrobiło, gdyby obejrzała kilka odcinków *Perfekcyjnej pani domu*.

Z ironicznym uśmieszkiem w kąciku ust energicznie pociągnął szufladę i zamarł.

– O co chodzi? Co tam jest? – nalegała na odpowiedź matka Sylwii.

Przez moment obserwowała, jak policjant przekłada jakieś teczki i fotografie, a w końcu podminowana weszła do środka. Nie czekając

na pozwolenie, wyrwała mu z ręki zdjęcie.

– Ale... – zaczęła i zamilkła, bo jej uwagę przyciągnęły inne przedmioty w szufladzie. – Przecież to pan. Na każdym zdjęciu. – Gapiła się na Wilczyńskiego, gniotąc w dłoniach wachlarz fotografii, z których wszystkie przedstawiały komisarza.

On jednak nie dostrzegał niepokoju w oczach kobiety. Cała jego uwaga skupiona była na zaschniętych bordowych plamach krwi widniejących na spodzie szuflady i na położonych głębiej zdjęciach.

Nie musiał się odwracać, by zyskać pewność, że na twarzy Lewickiego maluje się grymas satysfakcji. Ich spojrzenia skrzyżowały się w lustrze zamontowanym po wewnętrznej stronie drzwi szafy.

Komisarz zrozumiał, że wpadł w pułapkę. Nieświadomie wkroczył do gry, której reguły ustalił ktoś inny.



W świecie reporterki Larysy Luboń zazwyczaj było więcej pytań niż odpowiedzi. I choć teraz ponownie przysypała ją lawina niewiadomych, a ona traciła grunt pod nogami, jednego była pewna. Zmarli nie wysyłają paczek. I bez wątplenia nie nadają ich kurierem.

Trzymała w dłoniach dostarczony przez kuriera T-shirt dawnego szefa i przyjaciela, Pawła Wiśniewskiego, który niedawno popełnił samobójstwo. Przynajmniej według oficjalnych doniesień. Wprawdzie dziewczyna zidentyfikowała ciało dziennikarza, lub raczej szczątki pozostałe po tym, jak mężczyzna rzucił się pod pociąg, ale czuła, że coś w tym wszystkim nie gra. A tam, gdzie piętrzyły się nieścisłości i znaki zapytania, zawsze kryły się sekrety. Reporterskie doświadczenie podpowiadało jej, że im więcej luk, tym ohydniejszą sprawę ktoś usiłował zatuszować.

To wystarczyło, by Larysa od kilku godzin z wypiekami na policzkach i ściągniętym czołem zagłębiała się w prywatne śledztwo. Nadawca przesyłki znał jej nazwisko, adres i telefon. Zachował się jednak przebiegle, bo wysłał T-shirt z paczkomatu na Mokotowie, podając się za Pawła i wpisując do formularza przypadkowy numer

telefonu nadawcy. Luboń zadzwoniła tam w pierwszej kolejności, ale połączenie odebrała zdezorientowana, niedosłysząca staruszka, która zapewniała, że nie nadała żadnej paczki i nigdy w życiu nie słyszała o Wiśniewskim.

Końcówka długopisu, którą przygryzała dziennikarka, pękła z trzaskiem w jej ustach. Dziewczyna wypluła odłamki plastiku i wściekle cisnęła żółtego bica do kosza na śmieci. Nic nie układało się po jej myśli, a zarazem nie mogła pozbyć się uczucia, że odpowiedzi są blisko, tylko ona jeszcze ich nie widzi. Brakowało jej możliwości rozmowy z komisarzem Wilczyńskim, on zwykle potrafił dostrzec to, co ktoś inny usiłował ukryć, a przy tym miał dojścia do miejsc dla niej zamkniętych. Bruno jednak nie odbierał telefonu. Wiedziała, że ma ważniejsze rzeczy na głowie, i w końcu odpuściła. Dotknęła dłońmi odrastających włosów, do niedawna obciętych na krótkiego jeża, po czym znalazła numer do biura obsługi klienta paczkomatów InPost i chwyciła za komórkę.

– Chcę rozmawiać z kimś, kto ma dostęp do nagrań z monitoringu paczkomatu przy Żywnego w Warszawie – zażądała po tym, jak pracownik infolinii uprzejmie, acz stanowczo dał jej do zrozumienia, że nie udzieli żadnych informacji.

– Bardzo mi przykro, ale mogę jedynie potwierdzić dane teleadresowe osoby, która wysłała paczkę.

– Ten człowiek nie żyje, dociera to do pana? Ile razy mam to tłumaczyć? Ktoś musiał się za niego podać.

– Niestety nasze procedury nie uprawniają mnie do podania rysopisu nadawcy. Z poziomu biura obsługi klienta nie mamy zresztą możliwości sprawdzenia, kto fizycznie nadał przesyłkę, a nagrania są weryfikowane tylko na wniosek organów ścigania – tłumaczył niewzruszony, niczym automat.

– W takim razie proszę mnie przełączyć na wyższy poziom.

– Niestety... – zaczął mężczyzna, ale nie zdołał dokończyć, bo Larysa zerwała połączenie i rzuciła telefon na blat.

Od nadmiaru emocji kręciło się jej w głowie. Wypiła duszkiem szklankę wody, po czym zmęczona opadła na wysłużoną kanapę. Mebel zaskrzypiał pod jej ciężarem. W pokoju, odgrodzonym

grubymi roletami od zewnętrznego świata, panował zaduch. Luboń spojrzała raz jeszcze na niewielkie kartonowe pudełko, w którym przyszła niespodzianka. Kto i dlaczego wysłał jej ulubioną koszulkę Wiśniewskiego, jeśli nie on sam?

A może był to okrutny żart? Figiel kogoś, komu zależało na pogłębieniu jej rozpacz po stracie przyjaciela? Zastanawiała się gorączkowo, przygryzając boleśnie wewnętrzną stronę ust. Dopuszczała też, że paczka stanowiła ostrzeżenie. Być może Paweł nie zginął sam, tylko ktoś mu w tym pomógł, a teraz sprawca dawał znać dociekliwej reporterce, by przestała węszyć, bo spotka ją podobny los?

Jednak najbardziej prawdopodobna wydawała się teoria o tym, że Wiśniewski żyje i subtelnie o sobie przypomina.

Siedząc na kanapie, tępo wgapiała się w otwartą na komputerze mapę Google z zaznaczonym położeniem paczkomatu. Analizowała, czy ktoś ze znajomych Pawła nie mieszka w pobliżu, i nagle, gdy jej wzrok padł na znajdujący się nieopodal ulicy Żywnego Park Wodny Warszawianka, olśniło ją. W ułamku sekundy zyskała pewność, że to miejsce nie zostało wybrane przypadkowo.

Jeśli ktokolwiek miał znać prawdę o śmierci Wiśniewskiego, musiała to być Grażyna Mastalerz. W młodości wytrawna pływaczka, która każdy dzień zaczynała od przepłynięcia kilkunastu basenów. Kiedy żył jeszcze jej mąż, Henryk, prezes koncernu medialnego Media Corp., a zarazem najlepszy przyjaciel Pawła, spędzali we troje mnóstwo czasu, tocząc długie dysputy o przyszłości polskiego dziennikarstwa. To oni założyli i rozwinięli najlepszy w kraju magazyn reporterów, a później Grażyna usunęła się w cień, oddając stery mężczyznom. Gdyby dawny szef Larysy miał szukać schronienia u kogoś, komu ufał, bez wahania wybrałby żonę Henryka.

Dziewczyna odnalazła w kontaktach dawno nieużywany numer i z telefonem przy uchu zaczęła chodzić po pokoju.

– Larysa? – odebrała zaskoczona Grażyna Mastalerz. – Wszystko w porządku? Chodzi o mieszkanie?

Dziennikarka zmarszczyła brwi, wyczuwając dystans i napięcie w głosie kobiety. Doskonale знаła wdowę po Henryku i zazwyczaj rozmawiała ze sobą zdecydowanie serdeczniej. Grażyna, podobnie jak jej mąż, uwielbiała opowiadać, a jednocześnie jak nikt potrafiła słuchać. Szybko nawiązywała głębokie relacje, a przyciągała do siebie najciekawszych ludzi. To od małżeństwa Mastalerzów Luboń wynajmowała lokum na Wilanowie i na ich konto raz w miesiącu przelewała czynsz.

– To nic takiego – odparła, siląc się na niefrasobliwy ton, gdy jej umysł gorączkowo poszukiwał odpowiedzi. – Tak się składa, że jadę na Pragę, i pomyślałam, że mogłabym wpaść w odwiedziny.

– Zapraszam. Jestem w domu. Uważaj na siebie, proszę.

Kobieta bez wątpienia podkreśliła ostatnie słowa, a reporterka aż zadrżała. Nie dlatego, że ujęła ją niespodziewana troska Grażyny, ale z powodu tego, co jeszcze udało jej się wychwycić w tym komunikacie.

Rozmowa, którą prowadziły, była podsłuchiwana.



Gdyby komisarz Wilczyński mógł bezkarnie przyłożyć Lewickiemu, użyłby pięści tuż po tym, jak odkrył dziesiątki swoich zdjęć w szufladzie zaginionej. Właściwie zrobiłby to mimo groźących mu konsekwencji, ale powstrzymały go baczne spojrzenia rodziców Sylwii i pewność, że Jacek dokładnie takiej reakcji oczekiwał. Tym razem Bruno postanowił zdobyć się na obojętność wobec prowokacji swojego przeciwnika. Nie podążać za nim, lecz wyprzedzać go. Wyłączyć emocje i w pełni skupić się na faktach oraz poszlakach, które mogły pomóc w udowodnieniu, że to chłopak poszukiwanej policjantki stał za jej zniknięciem.

W tym celu zadzwonił do naczelnika Mariana Pękały i w żołnierskich słowach opowiedział mu o wszystkim, co zastał w domu Konopackich. Przełożony Wilczyńskiego milczał chwilę, po czym rzucił krótkie „źle to wygląda” i poinformował, że zarządzi

czynności poszukiwawcze oraz oględziny posesji. Kiedy niecałą godzinę później na alei Księcia Józefa Poniatowskiego pojawiły się dwa radiowozy, Bruno poczuł przyjemną adrenalinę, która zwykle towarzyszyła mu w pracy. Widok technika kryminalistyki w białym kombinezonie, z maską na twarzy i walizką kryminalistyczną w dłoni sprawił, że przedramiona komisarza pokryły się gęsią skórką.

Wilczyński skinął głową chudemu jak tyczka młodemu policjantowi z rzadkim wąsikiem nad górną wargą. Jan Ogórek, zwany również Dzieciakiem, kiwając się na boki, podszedł do starszego kolegi i z uwagą, drapiąc się po długim, szpiczastym nosie, zanotował podstawowe fakty, które dotychczas udało się ustalić. Palce aspiranta ścisnęły długopis tak mocno, że aż pobieleły mu kłykcie. Młody z przejęciem zadawał pytania, a skóra na jego twarzy z każdą odpowiedzią stawała się coraz bardziej napięta.

– Nie lubisz tego Lewickiego, co? – zapytał.

– To nie ma znaczenia, po prostu go sprawdź.

– Dobra, przyjrzymy się mu. – Ogórek puknął końcówką długopisu w okładkę notesu. – Czyli nie mamy pewności, że dom to miejsce ostatniego pobytu?

– Na razie nie. Rodzice widzieli ją po raz ostatni tutaj w sobotę rano. Jej facet podobno wpadł z wizytą w piątek wieczorem i grzecznie przed północą się ulotnił. – Wilczyński przewrócił oczami.

– Konopacka nie ma za sobą prób samobójczych. Brak nałogów, zero konfliktów z bliskimi, żadnych wrogów, a do tego była okazem zdrowia i chodzącym symbolem szczęścia.

– Dziwne.

– Też tak uważam. Zawsze z podejrzliwością patrzę na tych wiecznie zadowolonych ludzi. Chciałbym wiedzieć, co biorą, ale nie rozumiem, dlaczego w kółko namawiają mnie, bym się uśmiechał. A co, jeśli jestem szczęśliwy bezobjawowo?

Aspirant spojrział na komisarza z zakłopotaniem.

– Miałem na myśli, że to dziwne, by ktoś o profilu Sylwii tak po prostu zniknął – wytłumaczył.

– A, no jasne. – Bruno machnął ręką, po czym płynnie przeszedł do planowania czynności. – Trzeba zabezpieczyć materiał biologiczny do oznaczenia jej profilu DNA i ślady linii papilarnych. Sylwia ma wyłączony telefon. Ustal, gdzie i kiedy się ostatnio logował, przejrzyj jej pocztę, social media i historię wyszukiwarki, a do tego zweryfikuj monitoringi w okolicy posesji, no i połaż wokół domu – wyrzucił na jednym oddechu. – Ja porozmawiam z jej znajomymi. Rodzice Konopackiej twierdzą, że w sobotę wyszła z przyjaciółmi do knajpy, i nie wiadomo, co stało się później. Jak tylko będę miał jakieś wieści, dam znać.

Dzieciak potwierdził, że zanotował wszystko, po czym wskazał na stojącego w drzwiach mężczyznę o siwych włosach, z papierosem w dłoni. Ojciec policjantki pomachał do nich zawstydzony, a następnie podszedł do komisarza, zachłannie połykając ostatnią porcję nikotyny, po której rzucił fajkę na ziemię i przydeptał ją butem.

– Nie wiem, czy to ważne – powiedział, wkładając dłonie pod pachy i mocno dociskając je ramionami. – Sylwia w ostatnich dniach ni z tego, ni z owego wyciągnęła album ze zdjęciami z czasów liceum. Przyłapałem ją, jak je oglądała. Miała jakąś taką dziwną minę, jakby smutną. Żona mówi, że to nie ma związku, ale wolałem powiedzieć, skoro kazał pan szukać anomalii.

– Dzięki. – Bruno poklepał go po ramieniu. – Mój kolega zabierze ten album na wszelki wypadek.

Władek Konopacki uśmiechnął się blado, a gdy był już na schodach, Jan Ogórek bąknął:

– Znajdziemy ją.

Ojciec Konopackiej najpewniej go nie usłyszał, bo nie zareagował, za to komisarz Wilczyński nawet nie próbował opanować swoich emocji. Wytrzeszczył oczy i mrugał z niedowierzaniem.

– Dotychczas wahałem się, czy mogę nazwać cię naiwniakiem, ale teraz rozwiałeś wszystkie moje wątpliwości – skomentował. – Nigdy nie deklaruuj, że odszukasz zaginioną osobę, a już na pewno nie obiecuj tego rodzinie. Bo jeśli ich okłamiesz, za nic w świecie ci nie

wybaczą. Przeleją na ciebie cały swój gniew i to ty staniesz się winny.
– Dźgnął palcem pierś aspiranta.

Młody funkcjonariusz przełknął ślinę i nieśmiało pokiwał głową.

Bruno wcisnął na głowę kask, odpalił silnik, po czym zakręcił manetką gazu, wydobywając z maszyny przyjemny pomruk. Odjeżdżając, we wstecznym lusterku obserwował zatroskaną twarz Ogórka, ale gdy jego sylwetka skurczyła się i wreszcie zniknęła z horyzontu, przeklął pod nosem. Było mu głupio, że tak zgasił młokosa, ale chciał go uchronić przed losem Jana Ślusarczyka, swojego dawnego znajomego i gliniarza, który obiecał pewnej matce odnaleźć jej zaginionego syna, a dwadzieścia lat później powiesił się na pasku od spodni. Wilczyński miał tę wątpliwą przyjemność pojawić się na miejscu zdarzenia. Jako pierwszy przeczytał list zostawiony przez policjanta samobójcę. I choć szczegóły tamtej sprawy zacierały się w jego pamięci, to bez trudu potrafił odtworzyć ostatnie zdanie zanotowane koślawym pismem pijanego Ślusarczyka.

„Słyszałem, że obietnice wiążą ręce, ale to nieprawda. Niespełnione obietnice zaciskają pętlę wokół szyi”.



Palce dziewczyny muskały gładką, drewnianą poręcz, lśniąca od dotyku setek, a może tysięcy ludzkich dłoni. Larysa wspinała się po schodach odnowionej kamienicy przy Targowej, a mimo to miała wrażenie, jakby cofnęła się w czasie. Stopnie skrzypiały pod naciskiem jej butów, wygrywając tajemniczą melodię, a powietrze przesycone było zapachem drewna i środka do czyszczenia podłóg. Stojąc na półpiętrze, nasłuchiwała odgłosów codziennej krzątaniny dochodzących z okolicznych mieszkań i pozwalała gładzić się po twarzy promieniom słońca, wpadającym przez okno.

Wprawdzie budynek znajdujący się na Pradze-Północ, w dzielnicy niegdyś owianej złą sławą, a dziś modnym zaułku Warszawy, po renowacji odzyskał dawny blask, ale jego wnętrze przypominało

reporterce sceny sprzed lat. Pierwsze miesiące w stolicy, lęk o przyszłość, spotkanie z Henrykiem Mastalerzem, który wykładał wtedy na Uniwersytecie Warszawskim, i wreszcie popołudnia spędzane u jego boku na nauce dziennikarskiego rzemiosła. Gdyby Mastalerz nie dostrzegł w chudej, przestraszonej dziewczynie potencjału, nie byłaby dzisiaj tym, kim się stała. To dzięki niemu zaczęła pracę w „Magazynie”, odkryła, na czym polega praca reporterki, odzyskała cel w życiu i poznała Wiśniewskiego. Henryk zwykł mawiać, że w ten sposób spłacał swój dług. Pomógł jej, bo sam kiedyś otrzymał wsparcie.

Luboń myślała o tym, gdy dotarła do pociągniętych czarną farbą, masywnych drzwi z mosiężną klamką i złotym numerem dwadzieścia osiem umieszczonym tuż nad wizjerem. Zapukała tak mocno, że aż zabolowały ją kostki. Syknęła, po czym palcami lewej dłoni starała się rozmasować obitą rękę. Chwilę później klucz zazgrzytał w zamku, a w drzwiach stanęła starsza kobieta.

– Dzień dobry – przywitała się, lecz jej uśmiech wydawał się wymuszony.

Larysa rozpogodziła się na widok twarzy Grażyny Mastalerz, wdowy po Henryku. Kobieta odznaczała się tym wyjątkowym typem urody, który nie przemijał z czasem, a jedynie nieco przygasał. Nadal miała błyszczące kocie oczy w kolorze świeżej wiosennej zieleni, wielki rudy kok na głowie i tysiące piegów na bladych policzkach.

– Jak tam w mieszkaniu? Wszystko w porządku? – zapytała, gdy dziewczyna znalazła się w korytarzu. – A może chodzi o wyprowadzkę? – dodała z przestraszeniem w głosie. – Wolałabym nie, tak trudno dziś o dobrego lokatora.

Kobieta sprawiała wrażenie zalęknionej. Kręciła się po pokoju, usiadła, potem gwałtownie wstała, podeszła do okna, rozglądając się z niepokojem, i znów usiadła.

– Nie przyszłam rozmawiać o mieszkaniu. Dobrze mi tam i nie zamierzam niczego zmieniać. – Dziennikarka uśmiechnęła się pokrępiąco. – Muszę zapytać o Pawła Wiśniewskiego, czy... – Urwała, bo Grażyna Mastalerz nagle przyłożyła palec do ust i nerwowo pokręciła głową.

– Ach tak, słyszałam – odparła, niemal wchodząc jej w słowo. – Straszna śmierć. Po tym, jak jego żona odeszła, biedak nie mógł się pozbierać. Nie miałam pojęcia, że wrócił do alkoholu i stał się bezdomnym. Przerazające, do czego może doprowadzić cierpienie.

– To prawda – mruknęła Larysa. – Chciałam jeszcze spytać o Warszawiankę, ten basen – podjęła, wyczuwając, że nie może mówić otwarcie. – Pływałaś tam ostatnio?

– Tak, całkiem niedawno. – Kobieta posłała dziewczynie wymowne spojrzenie. – Jeśli szukasz miejsca na trening, to szczerze polecam. Może się czegoś napijemy? Kawa, herbata?

– Mleko.

Mastalerz uśmiechnęła się, a jej kocie oczy zaświeciły dawnym blaskiem.

– No tak, mleko. To dlatego przed wynajmem Henryk wyposażył mieszkanie w lodówkę. Bał się, że bez niej umrzesz z głodu albo rozchorujesz się, jedząc same fast foody.

– I miał rację, ale niestety i tak zostałam stałą klientką najbliższej pizzerii. Nie mam czasu na gotowanie.

Kobieta, która nagle zaczęła przerzucać papiery na stoliku, jakby jej nie słyszała. Z westchnieniem ulgi wydobyla spod stosu książek, pism i dokumentów długopis. W pośpiechu na marginesie archiwalnego numeru „National Geographic” zapisała pytanie i podała miesięcznik Larysie.

„Czy jesteś pewna, że nikt cię nie śledził?” Dziewczyna ściągnęła brwi i pokręciła głową.

– W takim razie musisz spróbować domowej szarlotki, poczęstujesz się? – zapytała jednocześnie niefrasobliwie Grażyna.

– Chętnie.

Mastalerz wyrwała jej czasopismo i nabazgrała jeszcze jedno zdanie.

„Podśłuchują nas”.

– Chodźmy do kuchni, pokażę ci miętę czekoladową, którą kupiłam na bazarku – rzuciła w tym samym momencie, gdy dziennikarka spojrzała na nią wielkimi, zdziwionymi oczami.

W tej chwili Larysa nie pragnęła niczego innego, jak tylko zasypać żonę Henryka pytaniami. Świadomość, że nie może tego zrobić, paliła ją w przetyku niczym gorzka wódka. Kobieta najwyraźniej wyczuwała zniecierpliwienie swojego gościa, bo ścisnęła dłoń dziewczyny i raz jeszcze przyłożyła palec do ust. Na jej czole błyszczały drobne kropelki potu, jakby cała ta maskarada kosztowała ją wiele wysiłku.

– O! Tam stoi moja mięta. – Wskazała roślinę na parapecie, po czym cmoknęła z niezadowoleniem nad otwartymi drzwiami lodówki, na których stał karton wypasionego. – Obawiam się, niestety, że mleko się skończyło – skwitowała. – Ale myślę, że mogłybyśmy pożyczyć szklankę od pani Halinki, mojej sąsiadki z dołu. I tak miałam do niej wpaść z zakupami z targu.

Grażyna chwyciła w dłonie sznurkowe, ekologiczne siatki wyładowane po brzegi włoszczyzną, ziemniakami, marchewkami i jabłkami.

– Pomogę – zaproponowała dziewczyna, przejęła stojące na podłodze pakunki z niemiecką chemią i razem wyszły z mieszkania.

Larysa planowała dopytać Mastalerz już za drzwiami, ale kobieta szła tak szybko, że trudno byłoby to zrobić szeptem. Dopiero gdy znalazły się piętro niżej, ciężko dysząc, popatrzyły sobie w oczy.

– Zaczekaj – powiedziała cicho żona Henryka, rozglądając się niespokojnie, po czym nacisnęła dzwonek przy drzwiach niemal identycznych z tymi na górze. – Pani Halinko, to ja, Grażyna spod dwadzieścia osiem. Jestem ze znajomą dziennikarką. Mleka chciałyśmy pożyczyć! – zawołała.

Serce dziewczyny zabiło mocniej, jakby zaraz miało rozsadzić klatkę piersiową. Jej ciało oblał zimny pot, a myśli plątały się w chaotycznym tańcu. Kiedy chwilę później w progu stanęła starsza, niedowidząca, schorowana kobieta o lasce, Luboń zbeształa się za naiwność. Było jej wstyd, że pozwoliła uwieść się nadziei. Z jakiegoś irracjonalnego powodu uwierzyła, że drzwi otworzy Paweł, a potem rzucą się sobie w objęcia, jak nigdy dotąd. – Kto? – dopytywała staruszka. – Córka?

– Nie, pani Halinko – tłumaczyła cierpliwie Mastalerz. – To znajoma moja i męża. Możemy wejść?

Kobieta, szurając wytartymi kapciami, odsunęła się od drzwi i przepuściła gości, nadal nieufnie się im przyglądając.

– Gdzie to zanieść? – zapytała Larysa, wskazując zakupy.

– Co ona mówi? – Sąsiadka Grażyny najwyraźniej cierpiała na poważne uszkodzenie słuchu.

Żona Henryka pogłaskała srebrne włosy pani Halinki i uśmiechnęła się do niej ciepło.

– Postaw to w łazience – odpowiedziała dziewczynie.

Dziennikarka przygryzła wargę, czując narastającą złość. Nie rozumiała, co się tutaj dzieje, i chciała jak najszybciej porozmawiać z Mastalerz. Z impetem otworzyła drzwi łazienki. Zamierzała jedynie zostawić tam torby z zakupami, ale zobaczyła coś, co spowodowało, że zamarła, a trzymane w rękach siatki z niemiecką chemią upuściła na podłogę.

Na krawędzi starej wanny siedział Paweł Wiśniewski.



Kiedy parkował przy ulicy Cybernetyki, pod jednym z nowo wybudowanych bloków, wciśniętych między szklane wieżowce zajmowane przez korporacje, zobaczył jakiś skrawek papieru przyklejony do słupa. Był to jeden z plakatów Loesje, wymyślonych przez uczestników warsztatów twórczego pisania. Napis na posterze głosił: „Nie rozmawiaj z nieznajomymi, bo jeszcze kogoś poznasz”. Komisarz uśmiechnął się, ponieważ właśnie to zamierzał zrobić.

Magda i Norbert, przyjaciele Sylwii Konopackiej z liceum, zajmowali mieszkanie na ósmym piętrze, które z niejasnych dla Brunona powodów nazywali gniazdkiem.

– Zapraszamy do naszego gniazdko – zaczął w domofonie nienaturalnie wysoki, piskliwy głosik, a Wilczyński poczuł, że cierpie mu skóra.

W drodze na górę przyrzekł sobie, że powstrzyma się od złośliwości albo w najgorszym razie zaczeka z nimi do czasu, aż zbierze zeznania, jednak tuż po przekroczeniu progu złamał swoją obietnicę.

– Ja pierdolę, co to jest? – niemal wykrzyknął, wstrząśnięty tym, co zobaczył.

Ze ścian i półek spoglądały na niego sztuczne, a może wypchane ptaki o małych, lśniących czarnych oczach. Myszołowy, dzięcioły i wróble. Wszystkie przyczajone i gotowe do ataku. Wśród nich największy wstręt budziły kruki i wrony z ostrymi dziobami, złowieszczo wpatrujące się w gości. Bruno odruchowo podniósł dłonie, by ochronić głowę. Czuł się jak w samym środku horroru Hitchcocka, jakby te skrzydlate stworzenia miały lada chwila zerwać się do lotu, dźgać jego czaszkę i zatapiać szpony w skórze. Wzdrygnął się, gdy długi ogon sroki zawieszony przy drzwiach musnął jego kark.

– Cholera jasna. – Odskoczył od drzwi jak oparzony, pocierając dłonią szyję.

– Robi wrażenie, co? – zapytała dziewczyna z dwoma kucykami na czubku głowy, które wraz z łobuzerskim uśmiechem nadawały jej wygląd rozbrykanej nastolatki. – Każdy, kto przychodzi tu pierwszy raz, reaguje podobnie jak ty, ale potem jest szau. Zaprosili nas nawet do Galerii ludzi pozytywnie zakręconych w „Teleexpressie”. Tak ich oczarowało nasze gniazdko.

Komisarz skrzywił się, bo w mieszkaniu przywodzącym na myśl chatę szalonego myśliwego doświadczał całej gamy uczuć, ale zdecydowanie nie było wśród nich zachwyty. Kręciło go w nosie od nadmiaru unoszącego się w powietrzu kurzu, a od dziwnego zapachu, który przypominał woń starych, babcinych ubrań, dopadły go mdłości.

– A z muzeum dziwactw jeszcze nie dzwonili? – zagaił. – Czy to jest w ogóle legalne?

– No pewnie. Trzeba złożyć w urzędzie wojewódzkim wniosek o zezwolenie na posiadanie chronionych okazów i załatwione.

– Czyli każdą szajbę można zalegalizować – mruknął pod nosem, ale dziewczyna najwyraźniej już tego nie słyszała, bo trajkocząc

o swojej pasji, prowadziła go w stronę granatowej, poprzecieranej kanapy.

Wilczyński rozglądał się niepewnie, jakby oczekiwał, że któreś z ptaszysk ożyje i rzuci się na niego. Błyszczące paciorki oczu śledziły jego ruchy, a ostre pazury wydawały się gotowe do rozszarpywania tkanek.

– To Norbert. – Przyjaciółka aspirant Konopackiej wskazała chłopaka z brodą, który z wielkimi słuchawkami na uszach siedział po turecku w rogu i zgarbiony nad laptopem szaleńczo klikał myszą, zupełnie ich nie zauważając. – Hej, mamy gościa! – zawołała, potrząsając nim za ramię.

Chłopak ocknął się, ściągnął słuchawki i wyciągnął rękę do Brunona.

– Siema, stary. Sorry, zabijałem właśnie biesa w *Wiedźminie*, bydlak ostro mnie poharatał – dodał usprawiedliwiająco. – Ty pewnie jesteś ten Wilk od Sylwii. Wiadomo już coś? Odezwała się?

Policjant uśmiechnął się na myśl o tym, że jego zaginiona koleżanka dobierała sobie ciekawych przyjaciół. Przysiadł obok gracza i przygwoździł go srogim spojrzeniem.

– Ty mi powiedz – odparł. – Bo wychodzi na to, że wy widzieliście ją ostatni.

– Od soboty nie mieliśmy z nią kontaktu. – Magda zerknęła na swojego chłopaka z niepokojem. – Siedzieliśmy w *Hospodzie*, gadaliśmy i w którymś momencie Sylwia powiedziała, że idzie do kibla, a potem pewnie będzie się zwijać, bo jest zmęczona.

– Tak po prostu czy coś ją zdenerwowało? Pokłóciliście się?

– W życiu, stary. Normalnie poszła do klopa, nic wielkiego. – Brodaty wzruszył ramionami. – Ona często ulatniała się po angielsku. Mówiła, że jest zrypana po robocie, i wychodziła nawet w środku najlepszej imprezy. Może dlatego nie zdziwiło nas, kiedy nie wróciła do stolika. Myśleliśmy, że już pojechała do domu.

– Któreś z was widziało, jak opuszczała lokal?

– Nie. – Norbert pokręcił głową. – Wyszliśmy na fajkę, a jak wróciliśmy, jej już nie było.

– I nie spotkaliście się w przejściu? Z tego, co pamiętam, tam się wchodzi przez taką wąską bramę. Powinniście się natknąć na Konopacką.

– Najwidoczniej jakoś się minęliśmy – wyjaśnił chłopak, rozkładając ręce.

Wilczyński zauważył, że dziewczyna w kucykach mruży oczy i kurczowo ściska swoje palce.

– Czekasz, aż poziom dramatyzmu wzrośnie? Czy wyjawisz, co cię trapi? – zwrócił się do niej.

Magda uśmiechnęła się z zakłopotaniem, drapiąc przy tym tatuaż na lewym ramieniu, przedstawiający kruka z kluczem w lekko rozchylonym dziobie.

– Tamtego wieczoru powiedziałam jej, że według mnie za bardzo zaangażowała się w związek z tym facetem. Jackiem czy jak mu tam. Rozumiem randki, ale wakacje z jego dziećmi to już lekka przesada. Dzieciaki szybko się przywiązują, a jak coś nie wyjdzie między dorosłymi, to one cierpią najbardziej.

– Wkurzyła się?

– Trochę, ale chwilę później odebrała telefon i dopiero wtedy jej odbiło.

– Dlaczego ja nic o tym nie wiem? – dopytywał zaskoczony Norbert.

– Bo w kółko gapisz się w telefon, grasz w te swoje gierki i nie widzisz, co się wokół ciebie dzieje – dogryzła chłopakowi Magda, po czym wróciła do policjanta: – W każdym razie Sylwia stała się nerwowa. Ręce jej się trzęsły, wzrok miała jakiś rozbiegany i nawet piwa nie tknęła. Zapytałam, o co chodzi, ale nie chciała rozmawiać. Siedziałyśmy tak chwilę w milczeniu, a potem rzuciła coś tylko, że boli ją brzuch i idzie do toalety. – Przekrzywiła usta i cmoknęła.

Komisarz domyślał się, kto wytrącił aspirant Konopacką z równowagi, a jednak musiał zadać to pytanie.

– Masz jakiś pomysł, z kim mogła wtedy rozmawiać?

– Nie. Wiem tylko, że to był mężczyzna, bo zanim się rozłączyła, powiedziała do niego coś w stylu: „Nie jesteś taki sprytny, jak ci się wydaje”.

Bruno poczuł, że robi mu się gorąco, strzepnął niewidzialny paproch ze spodni i podniósł się z kanapy.

– Sprawdzimy to w jej billingach – oznajmił. – Gdyby coś jeszcze się wam przypomniało, macie do mnie numer, choć i tak zostanieie wezwani do złożenia zeznań na komendzie.

Magda bez słowa odprowadziła śledczego do drzwi, ale zanim odblokowała zamek, podniosła smutny wzrok na policjanta.

– Ona nie miała powodu, żeby zniknąć ani coś sobie zrobić. Była naprawdę szczęśliwa z Jackiem, lubiła jego synów i wydawała się podekscytowana wyjazdem. – Oblizwała spierzchnięte wargi. – Martwi mnie, że nie odpisała na SMS-y i wyłączyła telefon. To do niej niepodobne. Według mnie Sylwia bała się tego mężczyzny z telefonu. Jego podejrzewałam najbardziej.

Wilczyński jedynie kiwnął głową i wyszedł. Zbiegając z ósmego piętra wąską, pachnącą jeszcze świeżą farbą klatką schodową, czuł wzbierające w nim obawy. Nie dlatego, że nurtowała go postać mężczyzny dzwoniącego do Konopackiej, tylko z powodu wizji nadchodzącej burzy, która rozpęta się, gdy na jaw wyjdzie, że to on rozmawiał z Sylwią tamtego wieczoru.



Widok przyjaciela sprawił, że na twarzy Larysi odmalowało się czyste, niewinne szczęście. Takie, którego doświadczają dzieci, zanim świat nauczy je, co jest właściwe, a czego nie wypada robić. W tej krótkiej chwili zachwytu dziewczynę przepełniały wdzięczność i wzruszenie. Pod powiekami wyczuła podstępne szczypanie. Miała ochotę rzucić się Pawłowi na szyję i uściskać go jak wyczekiwanego ojca, który wrócił do domu po bardzo długiej podróży. Zachłannie pożerała wzrokiem jego starą, pomarszczoną twarz, ogoloną na łyso głowę i wymizerowaną sylwetkę, czując przy tym przyjemne, rozlewające się po całym ciele ciepło.

Gdy tak trwała w oczarowaniu, wpatrzona w błękitne tęczówki dawnego szefa, nadpłynęły czarne chmury żalu i pretensji.

W mgnieniu oka wróciło do niej potworne uczucie bezradności i rozpacz, którego doświadczała przekonana, że Wiśniewski nie żyje. Wspomnienie bólu wywołanego widokiem fragmentów ciała w Zakładzie Medycyny Sądowej nawet teraz rozrywało ją od środka. Ten moment zaćmienia wystarczył, by zamiast z entuzjazmem rzuciła się na przyjaciela z wściekłością.

– Jak mogłeś mi to zrobić?! – wykrzyknęła z furją, uderzając na oślep pięściami w jego klatkę piersiową.

Paweł złapał ją za ręce, powstrzymując atak, a gdy opór dziewczyny zelżał, otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Jego bliskość i kojący zapach całkowicie rozbroiły Larysę. Z jej oczu zaczęły kapać wielkie jak grochy łzy, których część wsiąkała w czarną koszulkę Wiśniewskiego. Reszta roztrzaskiwała się na wyblakłych płytkach podłogowych.

– Zastanawiałem się, czy najpierw się przytulisz, czy mi przyłożysz.

– I co obstawiłeś? – zapytała już łagodnie, lekko pociągając nosem.

– Spodziewałem się, że dostanę w zęby. – Zaśmiał się, a później uwolnił ją z uścisku, który dla obojga zaczynał być nieco krępujący.

– Powinieneś grać w totka.

W jej wilgotnych oczach nie pozostał nawet ślad po niedawnym gniewie.

– Cieszę się, że wróciłaś – wyznał, a Larysa spuściła wzrok, wyłapując głębszy sens słów przyjaciela.

Doskonale rozumiała, że Paweł nie mówił o jej obecności w kamienicy przy Targowej, ale o tym, że po raz pierwszy w ich kilkuletniej znajomości zdecydowała się opuścić gardę. Zrzuciła zbroję, okazała emocje i odsłoniła najdelikatniejszą część siebie. Po rollercoasterze, który jej zafundował, nadal mu ufała, co więcej, dotarło do niej, że czuła się przy nim bezpieczna jak dawniej.

– A więc tak teraz mieszkasz – skomentowała, patrząc na gruby wełniany koc wyściełający dno wanny.

Wiśniewski tylko wzruszył ramionami, gdy wzrok Larysy prześlizgiwał się po żółtym, rdzawym nalocie na ceramice, kapiącym kranie nad umywalką i nadłamanej suszarce sufitowej zamontowanej nad wanną.

- Bywało gorzej - mruknął pod nosem, po czym przysiadł na podłodze, opierając plecy o zimne kafelki z niebieskim wzorem. - Chyba jestem ci winien wyjaśnienie... - Urwał i głośno wypuścił powietrze z płuc, a następnie schował twarz w dłoniach i głośno westchnął. - Nie wiem nawet, od czego zacząć.

- Najlepiej od początku. Kto zginął pod kołami tamtego pociągu, jeśli nie ty?

Dziewczyna zamknęła drzwi i podobnie jak jej przyjaciel zajęła miejsce na posadzce. Mówiła półgłosem, zwrócona twarzą w stronę Pawła, by ani Grażyna, ani jej sąsiadka nie poznały informacji, które mogłyby okazać się dla nich niebezpieczne.

Wiśniewski spuścił głowę i zaczął jeździć palcem po przybrudzonej fudze.

- To nie miało być tak. Chciałem tylko zyskać trochę czasu - odparł przez ściśnięte gardło. - Wiedziałem, że będą mnie szukać, dlatego dałem swoje ubrania Kazikowi. Podobny wzrost, był tak samo zarośnięty i kuśtykający jak ja. Nawet ty wzięłabyś go za mnie, gdybyście spotkali się w podziemiach. Wiesz, że cwaniak zażądał obrączki za ten interes? - Zaśmiał się i nagle posmutniał. - Naprawdę nie przypuszczałem, że go zabiją.

Paweł bezradnie pokręcił głową, a Larysa zadrżała na jego słowa.

- Jak to: zabiją? Policja mówiła, że to było samobójstwo. O kim ty mówisz? Jacy oni?

- Nie było żadnego samobójstwa - zachnął się. - Widziałem, jak przyszedł po niego taki zakapior z dziwną fryzurą. Dorwał go zniemacka w tunelu, gdy Kazio spał. Ten facet był przekonany, że to ja. Kumpel na dzień dobry dostał z pięści w brzuch, a potem zbir zaserwował mu dokładkę, żeby nie fikał. Chciałem tam biec, ratować go, ale wtedy i mnie by dorwał. - Potarł zmarszczone czoło. - Myślałem, że trochę nim potrząśnie, a potem zorientuje się po gadce, że to nie ja, i go puści. Ale się, kurwa, przeliczyłem.

Dawny szef magazynu reporterów uderzył pięścią w podłogę. Jego szczęki zwarły się, a wzrok miotał gromy.

- Powinienem być się domyślić, że ten kretyn od Hallerów nie pokapuje się, że ich wyrolowałem. To moja wina. Kazik nie zasłużył

na taką śmierć.

Dziewczyna, która czuła się coraz bardziej zagubiona, usiłowała nadać za opowieścią Wiśniewskiego. Na dźwięk nazwiska znanych biznesmenów aż się wyprostowała. Hallerowie byli potentatami na rynku nieruchomości, właścicielami kilku centrów handlowych, a od niedawna także udziałowcami w spółce Media Corp., dla której wcześniej pracowała Luboń. Dziennikarka miała osobistą, raczej niechlubną historię znajomości z Robertem Hallerem, najmłodszym synem rodu, a zarazem obecnym prezesem Haller Investments, o którym niegdyś pisała artykuł. Robert był znanym filantropem, zaangażowanym w działalność charytatywną, wielbicielem zwierząt i jednym z najbogatszych Polaków, corocznie wymienianym w rankingu „Forbesa”.

Te wszystkie etykiety nie robiły jednak na Larysie żadnego wrażenia. Wiedziała, że gdy nikt nie patrzy, Robert Haller lubuje się w dużo mniej wysublimowanych rozrywkach. Mężczyzna wynajdywał młode, niepewne swojej wartości studentki oraz dziewczyny szukające akceptacji, które przyjechały do stolicy z mniejszych miast. Wikłał je w chore, oparte na manipulacji układy, a za pieniądze kupował od nich bezwarunkowe posłuszeństwo, lojalność i zgodę na wynaturzony seks. Taki, który pozostawiał blizny do końca życia. I to nie tylko na duszy.

– Chwila, co mają z tym wspólnego Hallerowie? – Zatrzymała Pawła.

Po twarzy Wiśniewskiego przemknął lekki uśmiech, jakby spodziewał się takiej reakcji.

– Wszystko zaczęło się od Lady Di, a tak naprawdę Diany, bezdomnej z Dworca Centralnego – opowiadał. – Wołaliśmy tak na nią, bo choćby nie wiem, jakie szmaty na siebie włożyła, to zawsze wyglądała dobrze. Do tego wечно chodziła wyprostowana jak arystokratka. Śmialiśmy się, że to po to, by korona jej z głowy nie spadła, a potem zaczęliśmy ją nazywać „Dajana”. Od nieżyjącej księżnej. I tak została naszą Lady Di.

– Mieliście tam niezłą ekipę.

– Najlepszą. – Paweł zaśmiał się, jakby wspominał stare dobre czasy, a nie okres tułaczki po zawieszonych ośrodkach pomocy i spania na kartonie, gdy dołączył do grupy bezdomnych okupujących warszawski dworzec kolejowy. – Ale wszystko, co dobre, kiedyś się kończy. Któregoś dnia siedzieliśmy sobie z Di w takiej pioruńsko drogiej francuskiej piekarni z bagietkami na Centralu. Poprzedniego dnia przytuliliśmy trochę grosza i obiecałem jej, że pójdziemy na prawdziwą kawę do eleganckiego lokalu. Szał i bal, po prostu – przywoływał rozpromieniony. – Żałuj, że nie widziałaś min ekspedientów, kiedy poprosiłem o latte i espresso, a potem rzuciłem na ladę banknot pięćdziesięciozłotowy. Oczy mieli tak wielkie, jakby przed chwilą wypili wiadro tej ich mocnej kawy. – Zatarł dłonie na wspomnienie wyrazu twarzy sprzedawców.

– Nie wygonili was?

– Nie zdążyli. Ledwie usiedliśmy, a Diana jakby się zawiesiła. Patrzyła tępo w szybę i nic do niej nie docierało. Zauważyłem, że gapiła się na elegancką kobietę po drugiej stronie. Zapytałem, czy wszystko w porządku, ale nie odpowiedziała. Nagle zerwała się z miejsca, wybiegła z piekarni i bez ostrzeżenia rzuciła się na tę damulkę. – Wiśniewski unosił brwi, ponownie przeżywając tę sytuację. – Powaliła tamtą na ziemię, szarpała za włosy, biła i drapała ją po twarzy, wrzeszcząc przy tym jak opętana. Kiedy do nich podbiegłem, na miejsce przylecieli już ochroniarze i jakiś facet w garniturze. Zabrali Di, która nagle, ni z tego, ni z owego, na nowo stała się normalna. Ale najciekawsze było to, że zaatakowaną kobietą okazała się Zuzanna Haller, młodsza siostra Roberta.

Larysa w zamyśleniu zmarszczyła czoło. Ta historia wydawała jej się coraz bardziej intrygująca. Bezdomna, która z jakiegoś powodu atakuje córkę znanego biznesmena i siostrę jednego z najbogatszych ludzi w kraju?

– Później było jeszcze dziwniej – kontynuował Paweł. – Di wróciła na dworzec po dwóch dniach na dołku. Wtedy po raz pierwszy nie wyglądała jak lady. Sam nie wiem, wydawała się jakaś złamana. Zapytałem, po co to zrobiła, a ona mi powiedziała, że nie wie i że nie

miała pojęcia, kim w ogóle jest ta kobieta. Podobno wkurwiła ją jej torebka, taka papierowa z narysowanym koniem. Wyobrażasz sobie?

– Myślisz, że mówiła prawdę?

– Na bank. Była przerażona tym, co się stało. Trzęsła się, dostała gorączki, a potem przez sen krzyczała: „Robert, nie pozwól im!”. – Wiśniewski wciągnął ze świstem powietrze. – Usiłowałem się dowiedzieć, o jakim Robercie mówiła, sugerowałem Hallera, ale upierała się, że nie zna nikogo takiego. Później powiedziała, że to wszystko wina jej matki. Gdyby jej nie wygoniła, nic złego by się nie stało. Wcisnęła mi do ręki ten medalik. – Paweł wyciągnął z kieszeni dzinsów srebrny łańcuszek, na którym wisiał zaśnieżony medalik z wizerunkiem Matki Boskiej. – I kazała przekazać matce, że jej wybacz. Kobieta nazywa się Darska.

– Udało ci się ustalić, o co chodziło?

– Nie, bo przyszedł po nią jeden z facetów, którzy pomagali wtedy Zuzannie Haller. Ten z taką dziwną fryzurą. Natknąłem się na niego, kiedy szukałem Diany. Koleś miał ze sobą strzykawkę. Nachylał się nad Di i coś jej wstrzykiwał. Chciałem się schować za filar, ale zrobiłem to za głośno i mnie zobaczył. Uciekłem do takiej naszej dziupli w tunelu, gdzie nie da się wejść, jak ktoś nie zna terenu. Dzień później dowiedziałem się, że Lady przedawkowała narkotyki. Pewnie nie muszę ci mówić, że leżała dokładnie w tym samym miejscu, gdzie ich widziałem. On ją zabił, Lara, i upozorował złoty strzał.

– Dlatego oddałeś Kaziowi swoje ubrania – podsumowała dziennikarka. – Bałeś się, że czeka cię los Diany.

Wiśniewski kiwnął głową.

– Tacy ludzie nie zostawiają świadków – wyszeptał.

Larysa położyła mu dłoń na ramieniu, po czym oboje utkwili wzrok w medaliku bujającym się na łańcuszku.

– Ale skoro założyli podsłuch u Grażyny, to znaczy, że nie uwierzyli w twoją śmierć. Na którymś etapie musieli zrozumieć, że popełnili błąd, a teraz cię szukają, Wiśnia, i jeśli są w tym dobrzy, znajdą cię szybciej, niż się spodziewasz.



Wilczyński z trudem zaparkował przy zatłoczonej ulicy Podwale. To miejsce kojarzyło mu się ze staniem w korkach, szczególnie w szczycie sezonu turystycznego i w weekendy, gdy Starówka przyciągała spragnionych spacerów mieszkańców stolicy oraz gości. Komisarz rozejrzał się, by po chwili stwierdzić, że poniedziałkowe wieczory wcale nie wyglądały lepiej. Ulicą przemykały trąbiące na siebie taksówki, międzymurzem przechadzali się podchmieleni, głośno rozmawiający ludzie, a kramy z grzanym winem wabiły słodkim zapachem.

Grudzień w tym roku przywitał warszawiaków jesienną aurą. Powietrze było wyjątkowo ciepłe i wilgotne jak na miesiąc kojarzący się ze śniegiem. Synoptycy zapowiadali rekordowe opady w najbliższych dniach, a łowcy burz czekali na nadchodzący orkan, nazwany Ambrozym. Bruno dostrzegł w oddali pracowników montujących metalową konstrukcję choinki na placu Zamkowym. Dwudziestosiedmiometrowe drzewko wraz z dekoracjami na Starym Mieście i światełkami zdobiącymi Trakt Królewski miało zabłysnąć już w najbliższą sobotę. Większość mieszkańców stolicy z podekscytowaniem czekała na świąteczną iluminację, ale nie Wilczyński. Nie przepadał za tłumami, a przy tym doświadczenie nauczyło go, że tam, gdzie buzowało dużo emocji i kłębiło się sporo ludzi, szybko pojawiały się kłopoty.

Komisarz skręcił w bramę budynku numer dwadzieścia dziewięć, oznaczoną charakterystycznym dla Hospody rysunkiem tęgiego jegomościa z kuflem piwa w dłoni. Dźwięk butów policjanta uderzających o kostkę brukową niknął w gwarze rozmów restauracyjnych gości, którym towarzyszył syk płomieni gazowych lamp. Od zapachu piwa i jedzenia ślina zaczęła napływać do ust Wilczyńskiego, a jego żołądek przypominał o sobie głośnym burknięciem.

– Witam w Hospodzie – zaczepił policjanta kelner w białej koszuli, przepasany fartuchem w butelkowo zielonym kolorze. – Stolik dla ilu

osób?

– A na ile wyglądam?

Chłopak zachichotał nerwowo.

– Oczywiście, zapraszam do środka. – Skinął na dziewczynę w podobnym do swojego uniformie i poprosił, by zaprowadziła gościa na górę.

– Lepiej od razu do menadżera. – Bruno, dostrzegając spanikowany wzrok pracowników, wyjął z kieszeni odznakę i zaprezentował ją zamaszystym ruchem. – Jestem z policji, mam do niego kilka pytań.

Źrenice kelnerki stały się jeszcze większe i bardziej błyszczące. Biła z nich ciekawość połączona z ekscytacją na myśl o nowym temacie plotek. Dziewczyna wyprostowała się, jakby właśnie powierzono jej niezwykle ważną misję, a następnie, lawirując między stolikami, poprowadziła funkcjonariusza do gabinetu szefa. Tuż przy drzwiach prowadzących do biura zatrzymała się i konspiracyjnie szepnęła do Wilczyńskiego:

– Szykuje się jakaś grubsza afera?

Komisarz był przekonany, że gdyby była odrobinę bardziej bezczelna, zacierałaby teraz dłonie. Przywołał ją do siebie palcem wskazującym, a gdy się nachyliła i odgarnęła włosy, by lepiej słyszeć, powiedział jej na ucho to, o co prosiła.

– Jak będziesz tak ciekawska, to z pewnością.

Kelnerka w mgnieniu oka spoważniała. Odsunęła się i wydeła usta, jakby zamierzała pomalować je szminką. Nadaśana zapukała do biura, a gdy ze środka dobiegło niechętnie „proszę”, z triumfalnym uśmiechem wskazała drzwi, po czym zostawiła policjanta samego.

– Powodzenia – rzuciła na odchodne. – Będziesz go potrzebował, bo szef jest dziś cięty jak brzytwa. – Wykonała gest podrzynania gardła, a potem puściła do niego oko i odeszła niemal tanecznym krokiem.

Wilczyński pokręcił głową z niedowierzaniem. Może i dziewczyna była wścibska, ale jednocześnie miała w sobie jakiś czar. Gdyby miał obsadzić ją w filmie, bez wahania powierzyłby jej wyrazistą, zapadającą w pamięć rolę drugoplanową. Rozbawiony tą myślą, wszedł do gabinetu menadżera, który pytająco spoglądał zza biurka.

– Bruno Wilczyński, Komenda Stołeczna Policji. – Wylegitymował się.

Mężczyzna w drucianych okularach i błękitnej, nieco przyciasnej koszuli ściągnął brwi.

– Coś się stało?

– Jeszcze nie wiem, ale w sobotę wieczorem była u was moja znajoma, policjantka, która zaginęła. Staramy się ustalić, dokąd poszła po tym, jak opuściła knajpę. Na monitoringu powinno być widać, w którą stronę skręciła, z kim wyszła i czy nikt jej nie śledził.

Menadżer wydawał się przejęty. Przełknął głośno ślinę i niepewnie podniósł się z krzesła.

– Macie na to jakieś kwity? – upewnił się.

– Piszą się. Będą lada chwila, ale nie wyglądasz na gościa, który lubi tracić czas, więc proponuję od razu obejrzyć nagrania.

– A ty nie wyglądasz na kogoś, kto łatwo przyjmuje odmowę.

– Jakbyś zgadł.

Mężczyźni uśmiechnęli się do siebie.

– Piotr Nadolny. – Menadżer podał Wilczyńskiemu dłoń. – Zapraszam – dodał, wskazując krzesło, które sam do niedawna zajmował.

Bruno opadł ciężko na obrotowy fotel. Mebel zatrzeszczał pod nim i lekko się opuścił. Na biurku wśród sterty papierów leżały faktury, gruby kalendarz w skórzanej oprawie i dziesiątki długopisów. Nadolny przysiadł na krawędzi blatu, odsunąwszy na bok stos opróżnionych talerzy, ustawionych jeden na drugim.

– Wiem, pójdę do piekła za to obżarstwo – stwierdził pół żartem, pół serio, jednocześnie rzucając ukradkowe spojrzenie na koszulę ciasno opiętą na własnym brzuchu.

– Nie wydaje mi się. Raczej do sklepu z ciuchami w rozmiarze 3XL.

Po twarzy Piotra Nadolnego przemknął gorzki uśmiech, mężczyzna zbył uwagę funkcjonariusza wzruszeniem ramion, a potem przysiadł na drewnianym stołku obok i położył sobie na kolanach klawiaturę. Jego długie palce zręcznie poruszały się po klawiszach. W skupieniu wpatrywał się w dwa sąsiadujące ze sobą ekrany, na których migały

kolorowe obrazki. Wreszcie przeniósł jakiś zabezpieczony hasłem folder na ekran znajdujący się po prawej stronie i go otworzył.

– Dostęp do nagrań z monitoringu mam tylko ja. W ten sposób nie ma ryzyka, że coś dostanie się do sieci – tłumaczył.

– Domyślam się, że byłyby to same dramaty.

– Albo nawet horrory, bo ludzie po alkoholu zachowują się czasami potwornie – dodał kwaśno Nadolny.

Komisarz starał się śledzić pojawiające się na ekranie komputera pliki i foldery.

– Dobra, o której godzinie mam jej szukać? – zapytał kierownik.

– Około ósmej pojawiła się w towarzystwie dwójki przyjaciół, mężczyzny z brodą i szurniętej kobiety, choć tej cechy pewnie nie będzie widać na nagraniu. Po niecałej godzinie moja znajoma wyszła, przynajmniej tak mówią tamci dwoje.

Menadżer kiwnął głową, odnalazł odpowiedni plik i otworzył go, wprawiając w ruch zastygnięte w wejściu postaci.

– No to lecimy – rzucił. – Kogo mam wypatrywać?

– Wysoka, dobrze zbudowana kobieta, włosy ciemny blond, najpewniej związane w kucyk, trzydzieści dwa lata.

Bruno nachylił się tak bardzo, że prawie zasłonił swoim ciałem cały ekran. Jego dłoń bezwiednie powędrowała do ust, zaczął obgryzać skórki wokół paznokci. Na nagraniu grupki znajomych wchodziły w bramę i dobijały do gęstniejącej kolejki przed wejściem. Ogonek stopniowo przesunął się i malał, połykany przez otwarte drzwi lokalu. Później jednak na powrót się wydłużał, bo z zaułka wychodzili nowi amatorzy piwa i golonki, którzy dołączali do wygłodniałego tłumu.

– Jest! – zawołał Wilczyński, dotykając palcem monitora. – Tutaj, to ona. Cofnij trochę.

Nadolny przewinął nagranie i zatrzymał w momencie, gdy uśmiechnięta Sylwia Konopacka ustawiła się profilem do kamery. Obraz nie pozostawiał wątpliwości, że policjantka tu była. Ciało komisarza przeszły dreszcze, jakby wstąpiła w niego nadzieja, że zaraz wszystko się wyjaśni.

– To kamera w bramie, prawda? Myślisz, że załapała się na jakieś inne ujęcia z pozostałych kamer? Widziałem, że na schodach też macie monitoring.

– Już sprawdzam. Jeśli siedzieli na górze, powinno ich też być widać tutaj. – Kliknął, a na filmie pojawili się ludzie wchodzący po schodach. Nie musieli długo czekać, by zobaczyć tę samą trójkę, która chwilę wcześniej weszła do restauracji. – *Voilà!*

– Świetnie. – Bruno niespokojnie wiercił się na krześle. – Teraz chcę zobaczyć, jak wychodzi.

Menadżer otwierał kolejne pliki, to zwalniał, to przyspieszał odtwarzanie, ale żaden z gości opuszczających lokal nie przypominał Sylwii. Kolorowa rzeka kurtek, płaszczy i twarzy mieniła się przed oczami Wilczyńskiego jak bożonarodzeniowy łańcuch na choince.

– Tutaj widać jej znajomych. – Mężczyzna pokazał policjantowi dwie osoby trzymające się za rękę. – Jest pięć po dziesiątej, ale twojej koleżanki nie ma z nimi.

– Dlatego, że wyszła wcześniej. Sama. Musimy przejrzeć poprzednie zapisy z kamer.

Piotr Nadolny mruknął i zaczął jeszcze raz sprawdzać kolejne nagrania. Klikał długo, przekładał klawiaturę z nogi na nogę, aż wreszcie potarł czoło i wbił w Brunona zagubione spojrzenie.

– Dziwne, nic z tego nie rozumiem. Według tych nagrań ona nigdy nie opuściła restauracji.

– Może użyła innego wyjścia.

– Nie mamy takiego. Goście wchodzą i wychodzą tylko przez bramę. Sprawdziłem wszystkich opuszczających knajpę aż do zamknięcia. Tej dziewczyny nie ma na żadnym z ujęć. Istnieje jeszcze prawdopodobieństwo, że skorzystała z wyjścia dla pracowników, ale gdyby nawet jakimś cudem udało jej się wymknąć przez kuchnię, złapałaby ją kamera z tamtej strony. Nie ma opcji, żeby ją ominąć.

– Chcesz powiedzieć, że moja znajoma zniknęła w waszym cholernym trójkącie bermudzkim?

– Nie chcę, ale na ten moment nie potrafię tego inaczej wyjaśnić.

Komisarz Wilczyński wyciągnął z kieszeni telefon, przekazał naczelnikowi Pękale najnowsze wieści, a później rozłączył się i ciężko

westchnął.

- Zamknij lokal. Czeka nas niezła impreza – podsumował.



Pierwsze, co czuję, to bolesne uktucie w tyle głowy. Jakby ktoś dźgał moją czaszkę szpikulcem do lodu. Zaciskam zęby i powieki, by przetrwać ten koszmar. Kiedy ból odchodzi, stopniowo, z lękiem otwieram oczy. W twarz uderza mnie dusząca ciemność. Tak gęsta, że nie widzę absolutnie niczego. Chcę krzyknąć, ale orientuję się, że usta mam zaklejone taśmą. Nie jestem w stanie ich otworzyć, ani nawet uchylić. Jedyne, co udaje mi się z siebie wydobyć, to gardłowe, nieartykułowane dźwięki, przypominające jęki zranionego zwierzęcia.

Ręce, nagle sobie o nich przypominam. Leżę na boku, a zdrętwiałe dłonie trzymam z jakiegoś powodu za plecami. Z wysiłkiem unoszę ramię i wtedy zdaję sobie sprawę, że moje nadgarstki są ciasno spętane. Palcami wyczuwam cienką plastikową opaskę wrzynającą się w skórę. Ciągnę mocniej, szarpię, ale na próżno. Wielka iglica na powrót wbija się w moją czaszkę, paraliżując całe ciało. Ból biegnie po kręgosłupie i sprawia, że na ułamek sekundy przestaję oddychać. Zaczynam drżeć. Ze strachu i z zimna.

Kiedy udaje mi się opanować atak paniki, powoli, tak by nie sprowokować kolejnego uktucia, poruszam nogami. Nie dziwi mnie, gdy okazuje się, że i one są spięte. Na kostkach wyczuwam opaskę zaciskową. Myślę o tym, by się podnieść, dotknąć ścian i poszukać jakiegoś wyjścia, ale obawa przed atakiem bólu jest tak silna, że jedynie zamykam oczy.

Nie wiem, gdzie jestem. Nie pamiętam, jak się tu dostałam ani kto mnie tu przyniósł. Kiedy usiłuję odtworzyć minione wydarzenia, ból narasta i zaczyna spowijać mnie mgła. Ostatnie, co potrafię wyłowić z odmętów wspomnień, to telefon z ostrzeżeniem od przyjaciela. Kazał mi uciekać, a później powiedział coś, co mnie przeraziło. „On już po ciebie idzie”. Na samą myśl o tym pochłania mnie zimny

niepokój. Robi mi się niedobrze i jestem pewna, że zaraz zwymiotuję, ale natychmiast nakazuję sobie za wszelką cenę zwalczyć mdłości. Jeśli zwrócę to, co mam w żołądku, uduszę się własnymi wymiocinami.

Zaciskam powieki, z których kapią łzy. Staram się skupić na oddechu. Liczę kolejne wdechy i wydechy, by odzyskać panowanie na sobą. Próbuję przywoływać dobre wspomnienia, ale w mojej głowie cały czas trwają wojna myśli i hałas. Potworne, doprowadzające do obłędu dudnienie. Jakim cudem się tu znalazłam i kto mi to zrobił? Mam wrażenie, że zaraz zwariuję od przygniatających mnie wątpliwości.

Kręci mi się w głowie, a ból w skroniach miażdży czaszkę jak imadło. Z bezsilności przeklinam w myślach, wściekła, że wszystko mi się zamazuje i niczego nie jestem już pewna. Poza tym, że nazywam się Sylwia Konopacka, jestem policjantką i jeśli ktoś mnie szybko nie odnajdzie, umrę w tym miejscu.



– Ludzie nie znikają – fuknął naczelnik Marian Pękała, po czym uderzył płaską dłonią w biurko tak mocno, że echo rozniosło się po całym gabinecie.

Atmosfera wokół zaginięcia Sylwii gęstniała z godziny na godzinę. Wilczyński zgadzał się z przełożonym, jego koleżanka nie mogła rozplynać się w powietrzu, ale nagrania z knajpy na Starówce zdawały się mówić coś zupełnie odwrotnego. Minionej nocy Bruno przejrzał je z jubilerską precyzją. Pochylony nad ekranem laptopa porównywał osoby, które wchodziły do restauracji, z opuszczającymi lokal. Liczba gości zgadzała się niemal idealnie. Poza aspirant Konopacką nikogo nie brakowało.

– Są dwa rozwiązania – zastanawiał się głośno naczelnik. – Albo ona cały czas tam jest, w jakiejś piwnicy, na strychu czy chuj wie gdzie, albo ktoś ją już stamtąd zabrał. – Spojrzał w okno, po czym

dodał niechętnie: – Może poćwiartowali jej ciało i wynieśli w workach na śmieci albo skrzynkach.

– Dlatego musimy zaangażować w poszukiwania psy wyspecjalizowane w tropieniu użytkowym – przerwał rozważania szefa Bruno. – Wprawdzie mieliśmy cholerne szczęście, bo pracownik odpowiedzialny za sprzątanie uznał, że wystarczy pozamiatać, ale i tak przyda się profesjonalny tropiciel. – Spojrzał błagalnie na szefa. – No nie daj się prosić, słyszałem, że masz dojścia.

Komisarz wiedział, że zwierzęta szkolone tradycyjnymi metodami pracowały najlepiej na świeżych śladach, maksymalnie kilkunastogodzinnych. Natomiast czworonogi trenowane metodą mantrailingu były w stanie złapać trop pozostawiony przez człowieka nawet kilkanaście dni wcześniej. Podążały za indywidualnym zapachem zaginionego i potrafiły go bezbłędnie zidentyfikować. Bruno słyszał o pensjonariuszu domu spokojnej starości we Frankfurcie, który pewnego dnia oddalił się od placówki. Po ponad czterech miesiącach od zaginięcia mężczyzny psy nie tylko podjęły trop, ale również doprowadziły śledczych do zwłok starszego pana, znajdujących się w lesie kilka kilometrów od ośrodka opieki. Pensjonariusz najpewniej stracił orientację, błąkał się godzinami, aż w końcu zasnął i zmarł, otoczony przez gąszcz drzew.

Marian Pękała sapnął, podrapał nabiegły czerwienią policzek i zwrócił się do podwładnego:

– A już wydawało mi się, że zacząłeś mówić mniej tych głupich rzeczy.

– Raczej nie, po prostu ostatnio mało się odzywałem.

– Chciałbym gubić kilogramy tak szybko, jak tracę do ciebie cierpliwość. – Marian popatrzył groźnie na Wilczyńskiego. – Wiesz, ile kosztuje zatrudnienie tak wyspecjalizowanych zwierzków? Może jeszcze mam ci sprowadzić te psy z Saksonii, co szukały Ewy Tylman i Iwony Wieczorek?

– Mógłbyś. To by pokazywało, że poza wielkim... umysłem masz też ogromne serce – rzucił Bruno nieopatrznie, mierząc przełożonego wzrokiem, a gdy dostrzegł, jak jego twarz tężeje, uznał, że przesadził,

i szybko dodał: – Ale nie musisz, bo niedawno pięć naszych psów, które przeszły elitarne szkolenie w Niemczech, zdało egzaminy z tropienia „górnym wiatrem”. Skubańce potrafią wyczuwać indywidualne cząsteczki zapachu zachowane w drobinkach skóry, pojedynczym włosie czy we krwi.

Naczelnik położył dłoń na zadrukowanej kartce, po czym zacisnął palce w pięść, gniotąc tym samym jakiś dokument.

– Niech cię szlag, Wilczyński – warknął. – Dobra, zadzwonię zaraz do znajomego i zobaczymy, co da się zrobić, ale jeśli jeszcze raz wyskoczysz z takim głupim tekstem, gwarantuję ci, będziesz szukał swojej chudej dupy na jakimś wygwizdowie, dokąd z radością cię przeniosę – grzmiał, grożąc palcem.

Bruno zamierzał obiecać, że było to po raz przedostatni, a później zdać raport z dotychczasowych ustaleń w sprawie Sylwii, ale zanim zdążył otworzyć usta, w jego kieszeni zawibrował telefon. Na wyświetlaczu zobaczył imię swojego ojca i natychmiast poczuł silne ukłucie w okolicy serca.

Aleksander Wilczyński przeszedł niedawno operację usunięcia części żołądka. Niedługo później okazało się, że mimo zaawansowanego leczenia komórki rakowe zajęły także ocalone fragmenty organu. Może dlatego za każdym razem, gdy ojciec komisarza dzwonił do niego, na Brunona padał blady strach. Nieustająco spodziewał się tego, co najgorsze. Wprawdzie odwiedzał Aleksandra co drugi dzień i wiedział, że jest on pod dobrą opieką wykwalifikowanej pielęgniarki, ale nie potrafił pozbyć się myśli o śmierci, która krążyła niczym sęp nad rodzinnym domem Wilczyńskich.

Skrzywił się i westchnął.

– Ojciec – wyjaśnił krótko przełożonemu, który znając sytuację, przyzwalająco skinął głową i kazał Brunonowi odebrać.

Jednak gdy tylko komisarz zbliżył kciuk do ekranu smartfona, rozległo się donośne pukanie do drzwi, a chwilę później do gabinetu naczelnika wkroczył nabity jegomość o aparycji Arnolda Schwarzeneggera, tyle że młodszego o jakieś trzydzieści lat.

– Dzień dobry, inspektor Sławomir Wrona, Centrum Poszukiwań Osób Zaginionych, Komenda Główna Policji – wyrecytował sucho. – Będę koordynował poszukiwania aspirant Sylwii Konopackiej z ramienia naszej jednostki. Kto od was zajmuje się tą sprawą?

Wilczyński uniósł brwi, zlustrował policjanta od góry do dołu, chwilę dłużej zatrzymując się na jego wypukłej klatce piersiowej i muskularnych ramionach, zapewne wyrzeźbionych na siłowni, po czym rzucił przełożonemu spojrzenie mówiące „co jest, do cholery, grane?”. Komórka nadal dzwoniła w jego dłoni, sprawiając, że atmosfera w pokoju stawała się jeszcze bardziej niezręczna. W końcu telefon umilkł, a naczelnik jedynie przewrócił oczami, odchrząknął i poprawił się na krześle, które wydało z siebie nieprzyjemny zgrzyt.

– Cieszę się, że pan do nas dołączył. – Pękała wyciągnął rękę do inspektora. – Naczelnik Marian Pękała, a to – wskazał na podwładnego – komisarz Bruno Wilczyński, który nadzoruje działania poszukiwawcze.

Mężczyźni ledwie zauważalnie skinęli sobie głowami. Żadnej wymiany uścisków dłoni, jedynie krótkie, pobieżne spojrzenia, nasycone niechęcią. Komisarz, chcąc podkreślić, że czuje się w gabinecie przełożonego jak u siebie, jeszcze bardziej rozsiadł się na krześle, a następnie założył nogę na nogę na kształt amerykańskiej czwórki.

Sławomir Wrona, niezrażony tą próbą pokazu sił, zwrócił się do naczelnika:

– Czy udało się ustalić miejsce zaginięcia? Co z hipotezą wyjazdu, samobójstwa albo zemsty na tle zawodowym? I czy oględziny domu aspirant Konopackiej przyniosły jakieś nowe informacje? – mówił szybko, jakby wystrzeliwał kolejne pytania z karabinu maszynowego. – Muszę znać wszystkie fakty na temat tej sprawy.

Bruno skrzywił się jak po zjedzeniu czegoś ciężkostrawnego. Całym sobą czuł, że nie polubią się z funkcjonariuszem Centrum Poszukiwań. Proste niczym struna plecy mężczyzny, jego formalizm i brak jakichkolwiek ludzkich odruchów przywołały na myśl postać terminatora, w którego wcielał się niegdyś aktor łudząco podobny do Wrony. Wilczyński uniósł wzrok do sufitu i teatralnie westchnął, ale

jego przełożony był szybszy i postanowił uratować sytuację, zanim komisarz coś palnie.

– Ostatnim miejscem, w którym widziano naszą koleżankę, jest knajpa na Starówce, przy ulicy Podwale – wyjaśniał z przejęciem Pękała. – Nagrania z monitoringu pokazują, że w sobotę wieczorem dziewczyna weszła do lokalu, ale nie zarejestrowały jej wyjścia. Od tamtej pory nikt jej nie zauważył i jak na razie nie ma dowodów, żeby po wizycie w restauracji przebywała w innym miejscu.

– To jakaś bzdura – skomentował oschle inspektor. – Wygląda na to, że doszło do zabójstwa. Jeśli dotychczas nie znaleźliście ciała, to może niewystarczająco dobrze przeszukaliście to miejsce.

Tego Wilczyński już nie wytrzymał. Podniósł się gwałtownie z krzesła i wyzywająco spojrzał na mężczyznę.

– Powtórzę, bo może niezbyt dokładnie umyłeś uszy – rzucił kąśliwym tonem. – Sylwia Konopacka, zgodnie z zapisem monitoringu restauracji, nigdy nie opuściła lokalu. Na miejscu pracuje technik kryminalistyki i kilku ludzi z zespołu poszukiwawczego. Jeśli odkryją jakikolwiek trop, który będzie przesłanką do podejrzeń zabójstwa, wtedy będziemy prowadzić śledztwo w tym kierunku. Na ten moment zajmujemy się zaginięciem. Dotarło?

Inspektor pozostawał niewzruszony, za to naczelnikowi wyraźnie drgnęły wąsy.

– Takie emocje, komisarzu, są nie na miejscu. I na pewno nie pomogą sprawie – odparł rzeczowo Sławomir Wrona. – Czy dostałeś już raport od operatora telefonii komórkowej? Wtedy można by określić ostatnie miejsce logowania telefonu.

Mężczyzna poruszył temat dotychczas zręcznie pomijany przez Brunona w rozmowie z Pękałą.

– Z informacji, które dostałem, wynika, że telefon Sylwii został wyłączony w pobliżu knajpy. Tam logował się do stacji bazowej – oznajmił. – Od sobotniego wieczoru nie ma już sygnału.

– Może padła jej bateria – dokończył inspektor. – Czy znaleźliście telefon podczas oględzin w domu?

Wilczyński pokręcił głową.

– Nie ma po nim śladu.

– Jakież inne niepokojące odkrycia w miejscu zamieszkania?

– Krew niezidentyfikowanego pochodzenia w szufladzie. Niedługo ma przyjść szczegółowy raport badania DNA. – Bruno nabrał powietrza głęboko do płuc. – Posłuchaj, wiem, jak to wygląda, znam procedury, ale nic nie wskazuje na to, by Sylwia popełniła samobójstwo, uciekła ani by odegrał się na niej ktoś, komu zalazła za skórę. Wszyscy, których pomogła wsadzić do paki, albo nadal tam siedzą, albo to jacyś niegroźni bandyci i żaden z nich nie zadałby sobie takiego trudu. Jej bliscy twierdzą, że cieszyła się na wyjazd z nowym facetem i nigdy nie wystawiłaby w ten sposób jego dzieci.

Marian Pękała oparł brodę na dłoni, a drugą ręką niespokojnie pstrykał długopisem. W tym samym czasie inspektor Wrona sięgnął po notes i lewą ręką zapisał w nim jakieś informacje. Pomieszczenie wypełniało duszne, ciężkie powietrze, od którego Wilczyńskiego zaczęła boleć głowa.

– Bardzo ciekawa sprawa – podsumował Wrona, ostentacyjnie zamykając notes. – Jeszcze jedno. Co wyszło z wykazu połączeń? Kto kontaktował się z nią w tamtym dniu, gdy zniknęła?

– Chłopak, rodzice, dwójka przyjaciół, z którymi spędzała wieczór, jakaś emerytka, która źle wpisała numer, i ktoś z naszej komendy. Dokładnie z jej biurka – wyjawiał Bruno, po czym dodał: – I ja. Chciałem z nią pogadać, ale nie odebrała.

– A o czym chciałeś z nią porozmawiać? – W oczach inspektora błyszczało zaciekawienie.

– O prywatnych sprawach.

– W śledztwie nie ma czegoś takiego. Zapamiętaj to sobie – zakomunikował poważnie Wrona, a następnie pożegnał się z naczelnikiem Pękałą i skierował kroki w stronę drzwi. W ostatniej chwili jednak się zatrzymał. – Nie muszę chyba podkreślać, że od tej pory wszystkie raporty i nowe informacje mają w pierwszej kolejności trafiać do mnie. Chcę być też obecny na każdym przesłuchaniu. Jeśli nie będziemy ze sobą ściśle współpracować, możemy nie odnaleźć aspirant Konopackiej dostatecznie szybko – rzucił, po czym z wypiętą piersią opuścił gabinet Mariana Pękały.

Naczelnik stęknął, przesunął dłonią po błyszczącym w świetle żarówki czole i przeklął dosadnie.

– Czy jest coś, co można zrobić, żeby się pozbyć tego fiuta? – zapytał Bruno. – Pójdę nawet na depilację bikini, jeśli trzeba.

– Daj spokój. Że też ze wszystkich normalnych ludzi z Centrum Poszukiwań trafił się nam akurat on.

– A kto to taki?

– Mówią na niego cyborg. Cholerny służbista. Ponoć piekielnie dobry w swoim fachu. W firmie żartowali, że jak go bocian przyniósł, jego ojciec powinien był wyrzucić dzieciaka i zostawić bociana. Taki jest upierdliwy.

– To się okaże.

Bruno ze wszystkich sił starał się udawać, że nie robi to na nim żadnego wrażenia. Tak naprawdę jednak cały oblał się zimnym potem. Bo jeśli inspektor Sławomir Wrona był tak dobry w odkrywaniu tajemnic, kwestią czasu pozostawało, kiedy pozna także sekrety Wilczyńskiego.



Grudniowe poranki nigdy nie nastrajały Larysy pozytywnie. Chłód i mrok panujące na zewnątrz sprawiały, że dziewczyna pragnęła jedynie otulić ciało kołdrą, a później spędzić w łóżku cały dzień. Przeciągnęła się leniwie, szeroko przy tym ziewając. Jej oddech był już spokojny, a napięte mięśnie powoli się rozluźniały.

Minionej nocy dziennikarka śniła o Lady Di, jej ataku na Zuzannę Haller i ucieczce Pawła, który stał się przypadkowym świadkiem zabójstwa. Kiedy się obudziła, zajęło jej chwilę, nim doszła do siebie i zrozumiała, że znajduje się we własnej, zmiętoszonej oraz pachnącej wanilią pościeli. Na moment jeszcze przymknęła powieki, po czym wzięła głęboki wdech, otworzyła oczy i rozejrzała się po pokoju.

Ze srebrnego medalika zawieszzonego na nocnej lampce smutno spoglądała na nią Matka Boska, która wyciągała ramiona do ziemi

i deptała węża wijącego się u jej stóp. Wisiorek należał do Diany, bezdomnej pochowanej jako N.N. na cmentarzu komunalnym przy ulicy Powązkowskiej. Co ciekawe, ukrywający się u sąsiadki Grażyny Mastalerz Paweł zadzwonił na Komisariat Kolejowy Policji, by przekazać funkcjonariuszom, że niezidentyfikowane zwłoki należą do Diany Darskiej. Jednak z jakiegoś powodu na stronie internetowej Komendy Stołecznej bezdomna nadal widniała jako osoba o nieustalonej tożsamości. Jakby nie pojawił się nikt, kto mógłby potwierdzić nazwisko wymienione przez Wiśniewskiego, albo jakby kobieta podała byłemu reporterowi nieprawdziwe dane.

Larysa uznała, że najlepiej będzie zweryfikować ten temat przy wsparciu komisarza Wilczyńskiego. Bruno znał wielu policjantów, miał swoje doświadczenia, a do tego darzył dziennikarkę szczególnym uczuciem, mieszkanką zauroczenia i złośliwości. Z uśmiechem na ustach wygrzebała się z kokonu pościeli i sięgnęła po leżący na podłodze telefon. Jednak gdy tylko spojrzała na wyświetlacz, radosny grymas zniknął z jej twarzy, a jego miejsce zajęła długa, ponura zmarszczka na czole.

Na ekranie wyciszonej komórki wyświetlała się informacja o kilku nieodebranych połączeniach. Wszystkie pochodziły z tego samego numeru stacjonarnego i zostały wykonane poprzedniej nocy oraz dzisiejszego poranka. Dziewczyna bez wahania oddzwoniła, a po chwili usłyszała słowa, które sprawiły, że zastygła w bezruchu.

– Komenda Rejonowa Policji Praga-Północ, słucham? – odezwał się męski głos.

Nerwowo przełknęła ślinę i wstała z łóżka, przemierzając mieszkanie w poszukiwaniu dzinsów. Nie potrafiła tego uzasadnić, ale intuicyjnie czuła, że wydarzyło się coś złego.

– Ktoś z tego numeru dzwonił do mnie wielokrotnie wczoraj wieczorem i dzisiaj rano – wyjaśniła. – Nazywam się Larysa Luboń.

Dziewczyna zastygła w oczekiwaniu. Z każdą chwilą stawała się coraz bardziej pewna, że musiało chodzić o Pawła.

– Luboń... – powtórzył w zamyśleniu funkcjonariusz, a w tle dało się słyszeć szelest kartek wertowanego notesu. – Mam – oznajmił wreszcie. – Czy jest pani kimś z rodziny Grażyny Mastalerz?

– Nie. Jesteśmy znajomymi, odwiedziłam ją wczoraj późnym popołudniem. Czy coś się stało?

Niepokój podpełzał do gardła Larysy i coraz mocniej je ścisnął. Dziewczyna schylała się właśnie za pralkę, gdzie leżały jej spodnie, które najpewniej zsunęły się, gdy niedbałym ruchem rzuciła je tam poprzedniego wieczoru.

– Pani Mastalerz miała wczoraj wypadek. Spadła ze schodów w swojej kamienicy i trafiła do szpitala. Z listy połączeń telefonicznych poszkodowanej wynika, że rozmawiała z nią pani jako ostatnia, a teraz słyszę, że nie tylko dzwoniła pani do niej, ale też doszło do spotkania. O której pani od niej wyszła?

– Jakoś po południu.

– Ach tak.

Niedopowiedzenie w głosie policjanta wzmożyło jej obawy. Larysa zastanawiała się, jak dużo informacji może ujawnić. Ostatecznie zdecydowała, że nie wspomni o Wiśniewskim, ale spróbuje delikatnie zbliżyć się do tematu.

– Odwiedziliśmy z Grażyną jej sąsiadkę, panią Halinę. Mieszka piętro niżej, pod dwadzieścia pięć.

– Halina Sokołowska?

– Nie znam jej nazwiska – odparła. – Starsza pani, która nie za dobrze słyszy i jeszcze gorzej widzi. Grażyna Mastalerz pomagała jej z zakupami. Przyniosłyśmy jej torbę warzyw z targu i jakieś proszki.

Policjant na drugim końcu linii mruknął.

– To ciekawe, bo rano córka pani Sokołowskiej zgłosiła, że jej matka się zgubiła. Kobieta choruje na alzheimera i już kilkakrotnie wychodziła gdzieś z domu, zostawiając uchylone drzwi, a później odnajdywała się w innej dzielnicy, najczęściej na cmentarzu nad grobem jakiegoś obcego mężczyzny, którego brała za swojego męża.

Dziennikarka ścisnęła mocniej telefon i zmrużyła oczy.

– Chwila, chce pan powiedzieć, że Grażyna jest w szpitalu, a jej sąsiadka zniknęła? I według pana to wygląda na wypadek?

– Na schodach była rozlana oliwa, każdy mógł się poślizgnąć. Jeden z mieszkańców przyznał się, że stłukł niechcący butelkę i nie posprzątał dokładnie. Teraz zamartwia się, że przez niego Grażynę

Mastalerz zabrała karetkę. – Policjant sapnął, jakby załamywał ręce nad nieodpowiedzialnym zachowaniem mężczyzny. – W każdym razie, gdyby miała pani zamiary na kogoś z rodziny pokrzywdzonej, proszę je nam przekazać.

– Gdzie ją znajdę?

– Leży w Szpitalu Praskim, ale i tak pani nie wpuszczą, skoro nie jest pani z rodziny.

Larysa zamierzała się rozłączyć, jednak gdy już odsunęła słuchawkę od ucha, stwierdziła, że zaryzykuje.

– Halo! Jest tam pan jeszcze?! – zawołała i gdy uzyskała potwierdzenie, zapytała: – Czy w mieszkaniu Mastalerz albo Sokołowskiej przebywał jakiś mężczyzna? – Przygryzała zębami kciuk.

– Nie – odpowiedział nieco zdziwiony policjant. – A dlaczego pani o to pyta?

– Bez powodu, coś musiało mi się pomylić – wykręciła się i jak najszybciej zerwała połączenie.

Serce waliło jej jak oszalałe. Gdyby miała postawić na szali najcenniejsze dla siebie rzeczy i założyć się, czy za wypadkiem Grażyny Mastalerz stał zabójca bezdomnej kobiety, Diany Darskiej, zrobiłaby to bez wahania. Nie miała wątpliwości, że w całej tej sprawie chodziło o Pawła, który rozplątał się, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu.

Istniały tylko dwa warianty. Albo dorwali go ludzie Hallerów, albo zdołał im umknąć. Jeśli wydarzyło się to ostatnie, szanse na nawiązanie z nim kontaktu były nikłe, bo z pewnością nie będzie chciał jej narażać. Jeśli jednak został złapany, to sytuacja stawała się jeszcze bardziej skomplikowana.



Inspektor Sławomir Wrona wszedł do pokoju przesłuchań razem z komisarzem Wilczyńskim. Co jakiś czas spoglądał nerwowo na wyświetlacz telefonu, bo podobno jego żona była już grubo po

terminie porodu. Bruno niemal czuł świszczący oddech mężczyzny na swoich plecach, a od alkoholowo-miętowego zapachu wody kolońskiej, którą spryskał się funkcjonariusz, robiło mu się mdło. Miał ochotę powiedzieć Wronie, że chyba pomylił butelki i zamiast środka po goleniu użył płynu do płukania ust, ale widok spokojnego Jacka Lewickiego, który z brodą wspartą na dłoniach czekał na policjantów, odebrał mu chęć do dyskusji.

– Cześć, Jacek – przywitał się Wilczyński, ignorując wszelkie formalności, po czym rzucił na blat biurka plik dokumentów i zajął miejsce na koszmarne niewygodnym krześle. – Gdzie twój adwokat?

– Nie potrzebuję go, znam swoje prawa – oświadczył Lewicki. – Poza tym wezwaliście mnie tutaj w charakterze świadka, a ja nie mam niczego do ukrycia. Zależy mi tylko na tym, żebyście jak najszybciej odnaleźli Sylwię.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć – skomentował Bruno. – Zresztą to, że przesłuchujemy cię w roli świadka, nie wyklucza postawienia ci zarzutów. Przypominam też o odpowiedzialności karnej za zeznawanie nieprawdy lub zatajanie istotnych dla sprawy informacji. Mam nadzieję, że jesteś jej świadomy.

– Oczywiście, tak samo jak faktu, że aby kogoś oskarżyć, trzeba mieć naprawdę solidne podstawy.

Inspektor Wrona przysłuchiwał się tej rozmowie z zagubionym wyrazem twarzy i ściągniętymi brwiami. Położył dłonie na oparciu wolnego krzesła, ale nie wysunął go, tylko zaintrygowany spoglądał to na Wilczyńskiego, to na świadka.

– Co tu się dzieje? – zapytał skołowany. – Panowie się znają?

– Od dziecka – wyjaśnił Lewicki.

– To bzdura! – zaprotestował na widok uśmiechu przesłuchiwanego komisarz. – Mieliśmy ze sobą kontakt przy okazji kilku wcześniejszych spraw, ale nie łączy nas żadna osobista relacja. Zamiast tracić czas, lepiej przejdźmy do rzeczy.

– Ja to widzę inaczej – przerwał mu świadek, nadal prowokując. – Mało brakowało, a zostalibyśmy braćmi.

Lewicki zbliżył dłoń do palców komisarza i musnął go delikatnie, na co Wilczyński gwałtownie zabrał rękę, po czym podniósł się

z krzesła. Jego oddech przyspieszył, nozdrza rozszerzyły się, a oczy zabłyśły gniewem. Patrzył na mężczyznę po drugiej stronie stołu pewien, że tamten toczy z nim grę. Powietrze wydawało się gęste od emocji. Bruno nie rozumiał jeszcze, do czego zmierzał Lewicki, ale doświadczenie podpowiadało mu, że powinien wzmóc czujność.

– Wyjdźmy na zewnątrz – zaproponował Wrona, dostrzegając napięcie na twarzy kolegi.

Kiedy znaleźli się za drzwiami, Wilczyński uderzył pięścią w ścianę tak mocno, że huk słychać było na drugim końcu korytarza.

– Skurwiel – rzucił pod nosem.

– Co tu się, do cholery, wyprawia? O czym on mówił?

– Bredził. Nie wierz w ani jedno jego słowo. Rozgrywa nas w ten sposób, żeby zdobyć przewagę. – Bruno postanowił, że dla dobra sprawy na razie nie wyjawia inspektorowi tego, co wie o przeszłości Lewickiego.

Gdyby przyznał, że od dawna usiłuje udowodnić Jackowi kilka ohydnych morderstw, straciłby wiarygodność. Wrona z pewnością uznałby go za jednego z tych gliniarzy zaślepionych obsesją i zanimby Bruno się obejrzał, zostałby odsunięty od śledztwa, a jego miejsce zająłby jakiś żółtodziób, którego Lewicki owinąłby sobie wokół palca. Komisarz nie mógł na to pozwolić.

– Jedyne, co musisz wiedzieć, to to, że trzeba na niego uważać. Jest cholernie inteligentny i przebiegły.

– Uważasz mnie za idiotę? Przecież widzę, że coś jest na rzeczy. Jesteś na niego strasznie cięty. Skąd go znasz i dlaczego, do chuja, wspominał, że mogliście być braćmi?

Wilczyński poczuł bolesne ukłucie w okolicy mostka, ale nie dał niczego po sobie poznać. W tej chwili mógł operować tylko półprawdami, które zawsze uważał za lepsze od śliskich kłamstw.

– Stare dzieje. – Machnął ręką. – Ponad trzydzieści lat temu moja matka spotkała go w domu dziecka. Lewicki ubzdurał sobie, że go adoptuje, ale nigdy do tego nie doszło. Z tego, co wiem, matka powiedziała mu, że ma już syna, a on nie najlepiej to przyjął, i jak widzisz, od tamtej pory kiepsko się między nami układa.

– Chcesz powiedzieć, że facet chowa urazę od tylu lat? Przecież to śmieszne. – Inspektor przyglądał mu się z niedowierzaniem.

Bruno wzruszył ramionami, by pokazać swój lekki stosunek do tematu.

– Mówiłem ci, że to psychol. Po prostu nie daj się wciągnąć w jego grę. On widzi, że mi nie ufasz, i wykorzysta tę kartę przy pierwszej nadarzającej się okazji. – Nabrał powietrza. – Nie obraż się, stary, ja też nie pałam do ciebie miłością, czasem myślę, że wolałbym zjeść garść pinezek niż pracować w duecie, ale jeśli to Lewicki zrobił coś Sylwii, musimy trzymać wspólny front. Możesz łazić za mną i dopieprzać się do procedur, ale w tamtym pokoju – wskazał dłonią drzwi, za którymi siedział przesłuchiwany – musisz stawać po właściwej stronie.

Sławomir Wrona dotknął dłonią podbródka i mruknął, jakby się nad czymś intensywnie zastanawiał, a wreszcie, ku zdziwieniu Wilczyńskiego, na jego twarzy wykwitł uśmiech. Nie był to jednak serdeczny ani przyjazny grymas. Przypominał raczej złośliwy uśmieszek kogoś, kto już zbyt wiele razy słyszał takie gadki i miał do nich cyniczny stosunek.

– Tylko dlaczego mam wierzyć, że to właśnie twoja strona jest tą właściwą? – zapytał.

Mężczyźni patrzyli sobie w oczy jak dwaj drapieżnicy, którzy spotkali się na tym samym terenie. W ich spojrzeniach kryło się zarówno wyzwanie, jak i kalkulacja, czy warto podejmować walkę. Chwila napięcia niebezpiecznie się przedłużała. Wilczyński poczuł świerzbiecie dłoni. Niespodziewanie tknęła go myśl, by strzelić inspektorowi w zęby. Ostatecznie jednak uznał, że w ten sposób narobiłby sobie jeszcze więcej kłopotów. Musiał wziąć się w garść i skupić na przesłuchaniu. Przełknął zaczepkę, po czym zbliżył palec wskazujący do klatki piersiowej Wrony.

– Żartowniś z ciebie. Nabrałeś mnie. – Zaśmiał się i dźgnął go w pierś, starając się obrócić ich rozmowę w żart. – Wątpliwości to normalna część tej roboty. Ja na przykład co najmniej raz na miesiąc mam ochotę rzucić wszystko i zostać striptizerem. A potem przypominam sobie, że nie umiem tańczyć, i bez szemrania wracam

do biurka. – Poklepał funkcjonariusza kumpelsko po plecach i nie czekając na jego reakcję, ruszył do pokoju. – Wracajmy – dodał, naciskając kłamkę.

Jacek Lewicki z przymkniętymi powiekami siedział odchyłony na krześle. Jego otwarte dłonie leżały swobodnie na biurku, jakby mówiły: „nie mam przed wami żadnych tajemnic”. Ubrany w dżinsy i błękitną koszulę, mimo kilkudniowego zarostu oraz szarej, zmęczonej cery prezentował się nadzwyczaj elegancko. Bił od niego drażniący spokój, który powodował, że Bruno nerwowo przygryzał wewnętrzną część policzka. Komisarz przekrzywił głowę, lustrując twarz chłopaka Sylwii, a potem z premedytacją głośno odstawił krzesło. Świadek podniósł się raptownie i potarł zmęczone oczy.

– Kiedy ostatni raz widziałeś Sylwię Konopacką? – Wilczyński przystąpił do ataku.

Otworzył teczkę z dokumentami i chwycił za długopis, gotów zanotować każde słowo przesłuchiwanego. Inspektor Wrona zakasał rękawy koszuli, zajął miejsce obok komisarza i wbił wyczekujący wzrok w Lewickiego.

– Byłem u niej w piątek wieczorem – odparł przesłuchiwany, rozciągając kark. – Zjedliśmy kolację, pogadaliśmy chwilę o wyjeździe do Tajlandii, a potem wróciłem do domu. Chłopcy nie lubią zostawać długo z opiekunką, no i nie zasną beze mnie. Odkąd odeszła ich mama, jesteśmy bardziej zżyci niż kiedyś.

– Jak się nazywa ta opiekunka?

– Wala Romaniuk. To Ukrainka. Na pewno potwierdzi moje słowa.

Bruno pokręcił głową z niedowierzaniem. Cudzoziemcy, którzy przyjeżdżali do Polski, by zarobić na utrzymanie rodziny w swoim kraju, byli gotowi powiedzieć wiele, jeśli od tego zależało, z jak bardzo wypchanym portfelem wrócą do domu. Pani Wala z dużym prawdopodobieństwem nie należała do chlubnych wyjątków, ale Wilczyński i tak postanowił to zweryfikować.

Zamierzał zadać kolejne pytanie, gdy z kieszeni Sławomira Wrony dobiegło charakterystyczne gwizdanie, popularny dzwonek telefonu zaczerpnięty z filmu *Kill Bill*. Inspektor zarumienił się lekko, gdyż zapewne uważał tę sytuację za skrajny objaw braku profesjonalizmu.

W popłochu wyciągnął iPhone'a z kieszeni, wyciszył go i drżącymi palcami napisał SMS-a.

– Kontynuuj – bąknął tylko, zerkając na ekran telefonu.

Bruno kiwnął mu głową, nie żałując sobie przy tym cynicznego uśmiechu.

– Czy coś jeszcze wydarzyło się tamtego wieczoru w domu Konopackiej? Może doszło między wami do jakiejś nieprzyjemnej wymiany zdań, pokłóciliście się o coś? – zwrócił się do Lewickiego.

– Nie, skąd taki pomysł? Byliśmy sobą zafascynowani, chcieliśmy jak najwięcej czasu spędzać razem. Szkoda nam go było na kłótnie.

Wilczyński poklepał się po kieszeniach, jakby czegoś szukał, a gdy dostrzegł uniesione brwi Wrony i usłyszał strofujące chrząknięcie, odpuścił.

– Przepraszam, myślałem, że wziąłem ze sobą chusteczki, ale chyba jednak nie – wyjaśnił, a potem jakby nigdy nic zadał kolejne pytanie: – Co na to twoi synowie? Ten cały romans musiał być dla nich szokiem. Zaledwie kilka miesięcy temu stracili matkę, a ty im przyprowadziłeś do domu nową kobietę i zorganizowałeś wspólne wakacje.

Jacek spojrział na swoje dłonie i posmutniał na chwilę.

– Chłopcy od razu ją polubili – odparł. – Wystarczyło, że pokazała im odznakę i opowiedziała o pracy w policji. To raczej ona miała wątpliwości. Martwiła się, że nigdy nie zastąpi im matki.

– Chciała odejść? – wtrącił Sławomir Wrona.

– Nic na to nie wskazywało.

– Czy coś ją gnębiło? Miała powód, by uciec albo targnąć się na swoje życie? A może ktoś jej groził, kogoś się obawiała? – Inspektor nie dawał za wygraną.

– Nigdy o czymś takim nie wspominała. Poza drobnymi problemami w pracy wydawała się naprawdę szczęśliwa.

Wrona aż nachylił się na te słowa.

– Jakimi problemami?

Lewicki zerknął na Brunona i dopiero po chwili namysłu z precyzyjnie odegranym wahaniem wyjął:

– Nie dogadywała się za bardzo z komisarzem Wilczyńskim.

– Litości – zaprotestował Bruno. – Mieliśmy specyficzną relację, ale byliśmy dobrymi kumplami. Przecież to jakiś absurd.

Przesłuchiwany uniósł dłonie w geście rezygnacji, ale inspektor, który zdołał połknąć haczyk, dał mu znak, by kontynuował.

– Wiem tylko tyle, że coraz gorzej radziła sobie z docinkami i szowinistycznymi uwagami Wilczyńskiego. Twierdziła, że komisarz wyszydza ją na forum wśród kolegów. Nie było jej z tym lekko.

– Na tyle, by posunęła się do samobójstwa? – drażył Wrona, ignorując jednocześnie brzęczenie wyciszonej komórki, którą chwilę temu schował do kieszeni spodni.

– Raczej nie. Sylwia rozważała złożenie na niego skargi. Właściwie nawet nie wiem, czy tego nie zrobiła.

Bruno zacisnął dłonie w pięści. Wiedział, że Lewicki go podpuszcza, by udowodnić, jak szybko komisarz potrafi stracić nad sobą panowanie. Wziął więc głęboki wdech, po czym najspokojniejszym tonem, na jaki było go stać w tej chwili, oznajmił:

– Zostawmy ten wątek, on nie ma żadnego związku ze sprawą. Będiesz to mógł zweryfikować, rozmawiając z innymi gliniarzami – zaproponował, patrząc na Wronę. – A teraz zajmijmy się czymś, co naprawdę ma znaczenie. I odbierz ten cholerny telefon albo go wyłącz, bo zaczyna mi działać na nerwy. – Wskazał palcem na kieszeń inspektora, skąd dochodziło bzyczenie wibrującej komórki.

Inspektor Sławomir Wrona niechętnie podniósł się z krzesła.

– Za minutę jestem z powrotem – oświadczył w żołnierskich słowach, a następnie zniknął za drzwiami.

Jacek uśmiechnął się do Brunona, jakby stało się to, na co długo czekał.

– Gdzie ją schowałeś? – wypalił Wilczyński, a gdy przesłuchiwany beztrąsko wzruszył ramionami, zirytował się. – „Nie masz pojęcia, co nadchodzi”, pamiętasz? To twoje słowa. Wtedy byłem przekonany, że masz na myśli Larysę, że to jej coś grozi, ale się pomyliłem. Od początku mówiłeś o Konopackiej. Co z nią zrobiłeś?

Lewicki roześmiał się, a następnie powiedział coś szeptem, na tyle cicho, że komisarz nie mógł go usłyszeć.

– Powtórz! – zażądał Bruno, czując, jak gniew buzuje w każdej jego komórce.

– Tik-tak. Tik-tak – wyszeptał Jacek, a gdy tylko Wilczyński zerwał się z krzesła, Lewicki zacisnął dłonie na krawędzi biurka i z impetem uderzył twarzą w blat.

Po pokoju rozszedł się huk i dziwny chrzęst, a z nosa mężczyzny zaczęła lecieć krew. Jacek uderzył powtórnie i najwyraźniej zamierzał to zrobić kolejny raz, ale Bruno złapał go za włosy, przytrzymując w górze jego głowę.

– Co ty odpierdalasz?! – zawołał.

Wtedy w oczach Lewickiego dostrzegł błysk i zrozumiał, że dotykanie go było błędem.

– Aaaa! – zaczął nagle krzyczeć Jacek. – Pomocy! Puszczaj!

Mężczyźni szarpali się. Wilczyński usiłował powstrzymać przesłuchiwanego przed dalszym robieniem sobie krzywdy, ten zaś wierzgał jak oszalały. Po chwili do pokoju przesłuchań wbiegł inspektor Sławomir Wrona.

Funkcjonariusz w pierwszym odruchu odciągnął Brunona od świadka i dopiero później dostrzegł krew na twarzy i ubraniu Lewickiego oraz jego nienaturalnie przekrzywiony nos.

– Co tu się, do cholery, stało? – rzucił, wpatrując się wściekle w Wilczyńskiego. – Będiesz się z tego grubo tłumaczył – dodał.



Stojąc przed kremowo-brązowym budynkiem Szpitala Praskiego, Larysa nie mogła uwierzyć, że jego mury kryją ponad sto pięćdziesiąt lat historii. Gmach o łukowatej konstrukcji, położony przy alei Solidarności, został zbombardowany przez lotnictwo niemieckie podczas drugiej wojny światowej, a później mocno zniszczony w trakcie walk powstańczych, lecz pomimo uszkodzeń udało się go sprawnie odbudować, a w następnych latach powiększyć i zadbać o modernizację. Dziś, pięknie odremontowany,

onieśmielał swoim ogromem i tylko czujne ucho mogło wychwycić szept przeszłości zaklęty we fragmentach dawnych ścian.

Na samą myśl o tym kark Larysa pokrył się gęsią skórą, a po plecach przeszedł ją dreszcz. Z bagażnika czarnego citroëna saxo, ozdobionego wypłowiałymi naklejkami upamiętniającymi udział poprzedniego właściciela samochodu w rajdach klasy PPC, wyjęła torbę, w której ukryła swoje przebranie. Wewnątrz bawełnianego worka znajdował się lekarski kitel. Dziewczyna pożyczyła go od zaprzyjaźnionego weterynarza, Macieja Sachary, który ze względu na swoje upodobanie do czerstwych dowcipów nazywany był Sucharem. Na wieść o nowej sprawie, w którą zaangażowała się dziennikarka, chłopak pokręcił sceptycznie głową i wygłosił standardowe kazanie, jakie zwykł jej dawać w takich sytuacjach. Później jednak, nie mając siły walczyć z uporem przyjaciółki, wręczył jej fartuch i poprosił tylko, by trzymała się z daleka od kłopotów. I choć złożyła mu obietnicę, oboje wiedzieli, że turbulencje w jej życiu są naturalne jak oddychanie i nastąpią zdecydowanie prędzej, niż ktokolwiek mógłby się tego spodziewać.

Teraz ukryta za klapą bagażnika Larysa zakładała pospiesznie kitel, a gdy dostrzegła grupkę rozgadanych kobiet w służbowych uniformach, która zbliżała się do budynku, postanowiła do nich dołączyć. Dyskretnie podeszła do pielęgniarek i razem z nimi wślizgnęła się do środka. Kobiety, jak się okazało, wracały z zebrania. Wydawały się tak zaaferowane kwestią braku obiecanych podwyżek wynagrodzenia, a do tego wściekłe na jakiegoś mężczyznę z administracji, że nie poświęciły dziennikarce zbytnej uwagi. Dziewczyna mogła dzięki temu swobodnie przemknąć na oddział intensywnej terapii i anestezjologii.

Na pierwszym piętrze budynku A-2 przystanęła lekko zdyszana. Potarła wilgotne z nerwów dłonie o jasne materiałowe spodnie, które włożyła, by dopełniały profesjonalnego wizerunku, po czym zawiązała sznurówki przy białych trampkach, również specjalnie wybranych na tę okazję, i wkroczyła na oddział.

Wiedziała, że zanim zostanie zdemaskowana, minie co najwyżej kilka minut. Pracownicy szpitala z pewnością zainteresują się

nieznaną twarzą i któreś z nich w końcu zapyta o to, kim jest. Do tego czasu musiała odnaleźć salę, w której leżała Grażyna Mastalerz, sprawdzić, w jakim jest stanie, i jeśli tylko będzie to możliwe, wyciągnąć z niej, co się stało z Pawłem.

Kiedy przemierzała wyłożony linoleum korytarz o kremowych ścianach, serce niespokojnie tłukło się w jej piersi. Czuła gryzący w nozdrza zapach chloru, który mieszał się z wonią dochodzącą ze stołówki, a od emocji zrobiło jej się gorąco. Mimo stresu musiała zachować spokój, iść powoli, nie patrzeć zbyt długo w oczy mijanych lekarzy i pielęgniarek, a przy tym mocno wyprostować plecy, by całą swoją postawą sygnalizować pewność siebie.

Wreszcie otworzyła pierwsze drzwi po prawej. W sali leżały dwie osoby podłączone serią rurek i wężyków do komputerów monitorujących ich stan. Larysa przyjrzała się uważnie twarzom pacjentów, których głowy pokrywały grube bandaże, lecz żadna z nich nie przypominała oblicza Grażyny Mastalerz. Na palcach wymknęła się z pokoju, a chwilę później, już z nieco większą odwagą, weszła do kolejnego pomieszczenia i natychmiast zamarła.

Nad jednym z łóżek siedziała pochylona, płacząca kobieta, która na widok dziewczyny niezdarnie wytarła oczy rękawem swetra.

– Przepraszam – powiedziała. – Całe życie się kłóciliśmy, zdradzał mnie i oszukiwał, a teraz jak umiera, to jakoś żal – dodała jakby na swoje usprawiedliwienie.

– To normalne – odparła Larysa, zmuszając się do ciepłego uśmiechu, po czym dla podtrzymania pozorów podeszła do łóżka i poprawiła mężczyźnie poduszkę.

Kątem oka zerknęła również na pacjenta pod oknem i gdy upewniła się, że i tu nie znajdzie żony Henryka Mastalerza, skierowała swoje kroki do wyjścia. Zanim jednak nacisnęła klamkę, usłyszała za sobą głos kobiety.

– Myśli pani, że można wybaczyć komuś, kto nas zostawił, kiedy najbardziej go potrzebowaliśmy?

Dziewczyna westchnęła ciężko i przekleła pod nosem. Nie miała teraz ani sił, ani ochoty na filozoficzne rozważania, co więcej, sama radziła sobie z odpuszczaniem uraz nie najlepiej. Chrząknęła,

wracając w myślach do własnych rodziców, co do których w ostatnich latach nosiła w sobie jedynie kłujący gniew, i nagle zdała sobie sprawę, że to uczucie osłabło.

– Czasami lepiej jest pozwolić złości odejść – rzuciła cicho i zaskakująco nawet dla siebie samej, po czym szybko opuściła salę.

Ręce się jej trzęsły, a w głowie miała pustkę. Niepotrzebnie dała się porwać wspomnieniom o bliskich, których przecież już od dawna uważała za obcych. Potrząsnęła głową, jakby chciała zrzucić te obciążające myśli, i by wrócić do rzeczywistości, mocno uderzyła dłońią zwiniętą w pięść w udo. To pomogło odzyskać kontrolę nad emocjami i na nowo skoncentrować się na zadaniu, ale jednocześnie przyciągnęło uwagę jednej z pielęgniarek. Luboń wyraźnie czuła na sobie wzrok kobiety, w którym tliła się nieufność.

Dziennikarka musiała zatem jak najszybciej zejść jej z oczu. Odwróciła się i z impetem wmaszerowała do pokoju chorych oznaczonego numerem trzy. Na jej widok wysoki, żylasty mężczyzna w czarnym płaszczu i o fryzurze przypominającej ptasie gniazdo drgnął i wcisnął dłonie głęboko do kieszeni.

– Przepraszam, nie chciałam pana przestraszyć – wydukała zmieszana.

Jej konsternacja szybko jednak ustąpiła miejsca satysfakcji, bo pod ścianą dostrzegła znajome rude włosy, rozrzucone na szpitalnej poduszce.

Grażyna Mastalerz miała zamknięte oczy. W jej gardle tkwiła przezroczysta rurka intubacyjna podłączona do niebieskiego wężyka prowadzącego do monitora, który wydawał z siebie miarowy szum. Luboń poczuła ucisk w klatce piersiowej, jakby ktoś położył na niej ciężki kamień. Widok splątanych kabelków i aparatur, przytłaczających drobną kobietę w wielkim łóżku, sprawiał, że dziewczynie coraz trudniej było nabierać tchu. Zerknęła na pulsoksymetr na palcu wdowy po Henryku i kroplówkę podłączoną tuż nad nadgarstkiem, a potem przygryzła mocno wargę, aż poczuła w ustach dziki smak krwi.

Dopiero wtedy zauważyła, że mężczyzna ją obserwuje. Zreflektowała się, bo przecież mógł być kimś z rodziny Mastalerzów

i jej obecność co najmniej zakłócała jego wizytę u krewnej. Nagle jednak uderzyła ją myśl równie gwałtowna, jak smagnięcie wiatru w trakcie wjazdu pociągu na peron. Grażyna i Henryk nie mieli dzieci ani rodzeństwa, a ich rodzice już dawno nie żyli. A to oznaczało, że nieznajomy nie mógł być dla wdowy nikim bliskim.

– Pan jest krewnym pacjentki? – zapytała.

Odwróciła się czujnie, spoglądając nerwowo w stronę drzwi. W tle cicho pikał kardiomonitor, na którym rysowały się rozedrgane linie życia Grażyny Mastalerz. Larysa zarejestrowała, że dłonie mężczyzny ubrane są w skórzane rękawiczki, przez co niepokój zaczął oplatać jej ciało niczym bluszcz. Kącik ust nieznajomego drgnął, on sam zrobił krok w jej stronę, ale gdy był już wystarczająco blisko, by móc zrobić jej krzywdę, do środka wpadła pielęgniarka, która wcześniej przyglądała się Larysie.

Kobieta spoglądała to na dziennikarkę w kitlu, to na mężczyznę w płaszczu, wyraźnie zaskoczona obecnością tych dwojga w sali. Wyglądała, jakby nie mogła się zdecydować, którego z nietuzinkowych gości powinna zaatakować najpierw. W końcu wbiła lodowate spojrzenie w obcego.

– Kim pan jest i co pan tu robi? – wypaliła wściekle i nie czekając na odpowiedź, zaczęła wołać: – Ochrona! Ochrona do trójki!

Mężczyzna odepchnął ją na bok, na tyle mocno, że pielęgniarka zatoczyła się, po czym uderzyła biodrem w sąsiadujące łóżko i upadła na podłogę. Intruz wybiegł z pokoju, stukając drzwiami o ścianę. Larysa nie zastanawiała się nawet sekundy. Ruszyła za nim, słysząc za sobą okrzyki pielęgniarki. Nogi Luboń dawały wielkie susy. Lawirowała między personelem medycznym, pacjentami i odwiedzającymi, objając się o ich ramiona.

W okolicy klatki schodowej nieznajomy zniknął jej z oczu. Desperacko rozglądała się wokół, aż w końcu dostrzegła go przez okno. Pomknęła przed siebie, pewna, że zdoła go dogonić na dole. Przeskakiwała po kilka stopni, by jak najszybciej znaleźć się na parterze, stamtąd wypadła na ulicę, po czym natychmiast rzuciła się w stronę zaułka, dokąd zmierzał mężczyzna. Kluczyła między kamienicami rozsianymi wzdłuż praskich uliczek, wypatrując

nieznajomego. Wreszcie zobaczyła, jak wchodzi do jednej z restauracji.

Pobiegła za nim, a gdy przechodziła przez jezdnię i jej wzrok objął ogromną przeszkloną witrynę, zauważyła, że żylasty mężczyzna w płaszczu nachyla się nad uchem jakiegoś starszego człowieka. Larysa miała wrażenie, że skądś zna jego twarz. Kojarzyła tę charakterystyczną, równo przystrzyżoną siwą brodę i grube, krzaczaste brwi. Nagle z odmętów pamięci dziewczyny wyłoniło się zdjęcie, które widziała kiedyś w jednym z magazynów dla biznesmenów, i błyskawicznie zrozumiała, komu właśnie się przygląda. Mężczyzna popijający croissanta kawą był nikiem innym, jak założycielem Haller Investments.

Patrzyła na Ryszarda Hallera.



– Co ty odpierdalasz? – wykrzykiwał naczelnik Marian Pękała, czerwony jak ludzie, którzy zbyt długo przebywali na słońcu. – Twierdzisz, że facet sam się pobił i z własnej woli złamał sobie nos?

Bruno, trzymając dłonie na biodrach, przymknął powieki i westchnął ciężko. Czuł na sobie nieufny wzrok Sławomira Wrony, który z założonymi na piersi rękami siedział na krześle obok biurka naczelnika i wybijał stopą nerwowy rytm. Tymczasem Pękała dreptał pod oknem, nabuzowany niczym byk przed corridą. W jednej dłoni trzymał raport z przesłuchania, drugą zaś wymachiwał, jednocześnie wykrzykując kolejne pytania pod adresem swojego funkcjonariusza.

– Wszystko wyglądało tak, jak napisałem w papierach – wyjaśniał Wilczyński, znużony tą przeciągającą się rozmową.

– W dokumentach to ja mogę nawet napisać, że jestem przystojny jak Brad Pitt. Mów, jak było – warknął przełożony.

Komisarz wypuścił ze świstem powietrze, a następnie wolno i wyraźnie, jakby tłumaczył drogę obcokrajowcom, raz jeszcze zaczął opowiadać.

– Zapytałem Lewickiego, gdzie jest Sylwia, on się roześmiał, a potem ni stąd, ni zowąd zaczął uderzać głową o blat. Mówię wam, facet to zaplanował, żeby nas sprowokować. Gdybyśmy mieli kamery w każdym pokoju przesłuchań, nie byłoby tego cyrku.

– Ale nie mamy – odparował naczelnik. – Poza tym przesłuchiwalście go w charakterze świadka i było was dwóch. W takich sytuacjach nagrania nie są z reguły konieczne.

– Chyba że jeden z nas wychodzi. – Bruno zerknął znacząco na inspektora. – To żalosne, że w ogóle muszę się z tego tłumaczyć. Nawet go nie dotknąłem.

– Widziałem coś innego – wtrącił Wrona. – Gdy się tam pojawiłem, szarpałeś go za włosy. Poza tym od początku byłeś na niego cięty, a kiedy wyszliśmy zamienić słowo, naciskałeś, żebym stawał po właściwej stronie. Jakbyś wiedział, że to się wydarzy.

Bruno pokręcił głową z niedowierzaniem, unosząc oczy do sufitu.

– Ja wiem, inspektorze, że myślenie nie jest łatwe, ale zapewniam cię, że przy odrobinie wysiłku dasz radę – odgryzł się. – Koleś walił łbem w biurko, więc złapałem go za włosy, żeby przestał. To się nazywa ciąg przyczynowo-skutkowy, sprawdź sobie na Wikipedii. Za co miałem chwycić, za uszy? I tak, namawiałem cię na trzymanie wspólnego frontu, bo z jakiegoś powodu wydawało mi się, że w całej tej grze to my obstawiamy role gliniarzy, którzy szukają zaginionej kobiety, a facet przy stole wciela się w podejrzanego. Chyba że dostałem jakiś zły scenariusz.

Na moment w gabinecie naczelnika zapadła nieprzyjemna, drapiąca cisza. Oddech Wilczyńskiego jeszcze nie uspokoił się po ostatniej tyradzie, jego nozdrza pulsowały, a w gardle poczuł delikatne pieczenie, wywołane falą złości. Musiał przyznać, że Jacek Lewicki odegrał swoje przedstawienie perfekcyjnie, co więcej, trafił na podatny grunt. Funkcjonariusz z Centrum Poszukiwania Osób Zaginionych od początku nie ufał Brunonowi i wystarczył pretekst, by jego podejrzliwość zamieniła się w czystą wrogość. To przez nią temperatura w pokoju zdawała się spaść o kilka stopni, a powietrze sprawiało wrażenie naelektryzowanego.

– Założmy, że ci wierzę i ten Lewicki naprawdę ma coś na sumieniu – zaczął zamyślony Marian Pękała. – Tylko dlaczego wyciąłby ten numer właśnie tobie? Macie jakieś rachunki do wyrównania? – zapytał. – Wiesz, że jeśli pójdziesz z tym do prokuratury, najpewniej zostaniesz zawieszony, a ja będę cię musiał odsunąć od śledztwa. W takich sytuacjach mam związane ręce i nawet jeśli sprawa zostanie rozstrzygnięta na twoją korzyść, ktoś inny przejmie dochodzenie.

– Właśnie o to mu chodzi. On ma świadomość, że nie ustąpię, dlatego usiłuje mnie zdyskredytować.

– Ma jakiś powód, żeby nie lubić cię aż tak bardzo?

Komisarz pomyślał, że niekiedy życie podsuwa ludziom szansę, by powiedzieli wszystko, co im leży na sercu, oczyścili sumienie i rozwiali wątpliwości. Jakby los wyciągał rękę, ośmielając do działania. Miał też świadomość, że te sprzyjające okoliczności trwają tylko chwilę, a później coś się zmienia i moment na wyznanie mija

bezpowrotnie. Zdawał sobie sprawę, że jeśli teraz nie chwyci tej pomocnej dłoni losu, potem będzie już tylko trudniej.

Uchylił usta, by odpowiedzieć, a myśli w jego głowie ułożyły się w sekwencję zdań.

– Dawno temu moja matka pracowała w domu dziecka w Opaczowie. Lewicki był jego wychowankiem. Zaprzyjaźnili się, podobno spędzali razem dużo czasu, a w końcu ona obiecała mu, że go zaadoptuje. Niestety nie uzgodniła tego z moim ojcem i kiedy okazało się, że stary jest przeciwny przyjęciu chłopca z sierocińca, z dnia na dzień odtrąciła Lewickiego, mówiąc mu, że ma już syna.

– Uuu – syknął naczelnik.

– Może gdyby trafiła na inne dziecko, nie byłoby tylu problemów – kontynuował Bruno. – Ale Lewicki miał bardzo ciężką przeszłość. Zanim wylądował w bidulu, biologiczni rodzice przez pięć lat więzili go za regałem, zachowując się, jakby nie istniał. Dla niego decyzja mojej matki stała się kroplą, która przelała czarę goryczy, ale to mnie użyła jako argumentu.

– Nie wspomniałeś wcześniej o jego dzieciństwie. Chcesz powiedzieć, że zafiksował się na tobie, bo zrujnowałeś jego marzenie o rodzinie? – głośno myślał Wrona, obserwując komisarza, który skinął twierdząco. – Ją kochał, ale to ty stanąłeś na drodze do jego szczęścia.

Tymczasem naczelnik, zdrapując z brody niewielki bordowy strup, który zapewne powstał w trakcie golenia, popadł w zadumę. Jego brzuch wylewał się znad paska spodni, a prawa dłoń, choć pusta, zaciskała się w pięść, jakby ugniatała piłeczkę antystresową.

– A czy żona tego Lewickiego to nie jest przypadkiem ta sama kobieta, która popełniła samobójstwo kilka miesięcy temu? – dociekał Marian Pękała ze ściągniętymi od namysłu brwiami. – Była tu u nas, wydawała się lekko niespełna, no wiesz... – Zakręcił palcem obok skroni.

– Tak, to ona...

Bruno zamierzał kontynuować opowieść, ale w jego kieszeni odezwał się telefon. Komisarz sięgnął po komórkę, a gdy zobaczył, że

dobija się do niego technik kryminalistyki pracujący na miejscu zaginięcia, głośno zaklął.

– Co jest? – dopytał Pękała, ale Wilczyński z telefonem przyciśniętym do ucha mruknął coś niewyraźnie, po czym machnął ręką, dając znak, że usiłuje się skupić na tym, co mówi do niego funkcjonariusz zabezpieczający ślady w knajpie, w której po raz ostatni widziano aspirant Konopacką.

W końcu rozłączył się i przygryzając wargę, pokręcił głową z niedowierzaniem.

– W Hospodzie niczego nie znaleźli – oznajmił zamyślony. – Żadnej krwi, rzeczy osobistych, śladów walki ani sygnałów, że ktoś usiłował coś pozacierać. Przetrzepali cały lokal od piwnic aż po strych, sprawdzili też teren wokół knajpy, i nic. Poza syfem, który wkurzył menadżera. Lepka podłoga, trochę przeterminowanych półproduktów i kilku tęgich wesołków, którzy nakładają czepki ochronne tylko wtedy, gdy pojawia się kontrola. Technik mówi, że nadal świetnie gotują, ale gdyby do kuchni wpadła Magda Gessler, jak nic dostałaby zawału.

– A pracownicy kuchni? Może któryś coś zauważył? – drążył naczelnik.

– Nasi zebrali wstępne zeznania, ale ci ludzie twierdzą, że w życiu nie widzieli Sylwii – tłumaczył Bruno. – Mówią, że wieczór spędzili w kuchni i wychodzili z niej tylko na fajkę, wynieść śmieci albo się odlać. Siedziałem nad nagraniami całą noc w nadziei, że znajdę jakiś punkt zaczepienia, zobaczę podejrzanego faceta ładującego skrzynki do bagażnika samochodu albo kogoś wyrzucającego ciężki pakunek do kubła na śmieci, tyle że tam naprawdę nie ma się do czego przyczepić.

Mężczyźni spojrzeli po sobie.

– Mam też wyniki badań krwi z szuflady w domu Konopackiej – dodał Wilczyński. – Bez wątplenia należała do Sylwii, ale była najpewniej wynikiem krwotoku z nosa, bo w łazience znaleziono chusteczki pokryte brunatnymi plamami.

– A co robiły tam twoje zdjęcia? – zapytał Pękała, odbierając SMS-a.

– Nie wiem.

Komisarz przygryzł wargę i utkwiał wzrok w pożółkłej firance, która tańczyła, popychana lekkimi podmuchami wiatru wpadającego przez uchylone okno. Z zewnątrz dobiegał dźwięk krztuszącego się silnika jakiegoś samochodu, a w powietrzu unosił się zapach starej wykładziny.

Bruno wyobrażał sobie, jak aspirant Konopacka wchodzi do restauracji w towarzystwie przyjaciół, siada przy stoliku, a później zbliża do ust kufel piwa przyniesiony przez któreś z jej znajomych. Wieczór toczy się gładko do chwili, gdy policjantka odbiera telefon od komisarza. Rozmowa jest trudna i jeśli prawdą jest to, co potwierdzili towarzysze Sylwii, dziewczyna całkowicie traci po niej dobry nastrój. By poczuć się lepiej, dzwoni do swojego chłopaka, Jacka Lewickiego, a następnie odbiera jeszcze jedno krótkie połączenie z telefonu niedowidzącej staruszki. Lekko podenerwowana rusza do toalety, ale nie zabiera ze sobą kurtki, która wisi na stojaku przy schodach. Tam ślad się po niej urywa. Nie wiadomo, czy w ogóle dotarła do łazienki ani co się z nią stało później.

I choć umysł komisarza niemal parował z wysiłku, to żadne z rozwinięć tej historii, jakie podsuwała mu wyobraźnia, nie pasowało do faktów. A to mogło oznaczać tylko jedno: wprawdzie niełatwo było mu to przyznać, ale w końcu Wilczyński zaakceptował myśl o tym, że musiał popełnić błąd i czegoś nie zauważyć.

– Ogarnąłem ci tego psa. – Naczelnik przerwał jego rozmyślenia. – Niebawem powinien być na miejscu.

– W takim razie jadę do Hospody – rzucił Bruno i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, wyszedł na korytarz.



Kostka cukru, trzymana w palcach sędziwego mężczyzny, dotknęła powierzchni kawy w filiżance, a wtedy czerń zaczęła wspinać się po

poszczególnych kryształach, nasączając je gorzkim napojem i barwiąc na brązowo.

Larysa przyglądała się temu, czując, że widok uruchamia w niej jakieś przyjemne wspomnienia. Odsunęła je jednak, by móc skupić się na rozmowie z Ryszardem Hallerem, który zanurzał właśnie srebrną łyżeczkę w naczyniu i metodycznie mieszał nią kawę.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, zaniepokoiła panią obecność Alberta, mojego kierowcy, w Szpitalu Praskim, a dokładnie w sali Grażyny Mastalerz – posumował spokojnym, wyważonym tonem rzucane wcześniej w gniewie słowa dziennikarki, a gdy potwierdziła, kiwnął głową z życzliwością.

Prezentował ten unikalny sposób dystyngowania zarezerwowany dla osób równie inteligentnych, co majątnych. Każdy jego ruch nosił w sobie znamiona wytworności, był niespieszny i przemyślany, a on sam przypominał dżentelmena brytyjskiej socjety. Ubrany w tkaniny wysokiej jakości, wyposażony w nienaganne maniery, a przy tym ujmująco elokwentny. Ten rodzaj czaru powodował, że ludzie w jego obecności starannie dobierali słowa i wygładzali dłońmi zagniecenia na ubraniu. Jedynie oczy Ryszarda Hallera, błękitne i zimne, budziły niczym nieuzasadniony lęk. Tę samą barwę tęczówki odziedziczył najmłodszy syn biznesmena, Robert. Człowiek, którego Larysa darzyła szczerą, nieskrywaną nienawiścią.

– Przyjaźniłem się z jej mężem, Henrykiem – odparł. – Kiedy dowiedziałem się, że Grażyna miała wypadek, postanowiłem zobaczyć, w jakim jest stanie. Poprosiłem Alberta – zerknął przez witrynę na stojącego przy ulicy mężczyznę z papierosem w ustach, który zdawał się drgnąć, gdy ich spojrzenia się skrzyżowały – żeby sprawdził, czy szpital zezwoli na moją wizytę. Miałem nadzieję, że uda mi się jakoś pomóc, ale niestety nie mogłem zrobić zbyt wiele.

Dziewczyna nie uwierzyła w ani jedno słowo założyciela Haller Investments, szczególnie że Henryk nigdy nie wspominał o tej relacji. Nachyliła się nad niewielkim drewnianym stolikiem.

– Kiedy i kto powiedział panu o tym, że Mastalerz trafiła do szpitala? – zażądała konkretów.

Mężczyzna uśmiechnął się delikatnie, jakby bawiła go jej nieufność.

– Jest pani reporterką, prawda? Pyta pani jak rasowa dziennikarka – skonstatował. – Zadzwoił do mnie policjant z komendy rejonowej na Pradze. Chciał się dowiedzieć, czy Grażyna ma jakichś krewnych, którzy mogliby się nią zaopiekować, a przy okazji wspomniał o wypadku.

– Bzdura, niby dlaczego miałby dzwonić akurat do pana?

– Bo od śmierci Henryka jestem z Grażyną w kontakcie – odparł, zachowując zimną krew. – Widzi pani, wiele lat temu byliśmy z jej mężem nierozłączni. Poznaliśmy się w dawnej Szkole Głównej Planowania i Statystyki, dzisiejszej SGH. Ja robiłem wtedy doktorat, a Heniek był młodym studentem, który uwielbiał dyskusje. Jego poglądy i teorie na temat ekonomii nieraz wprawiały mnie w osłupienie, ale nie dlatego, że były naiwne, tylko z powodu swojej innowacyjności. Henryk jakby dostrzegał więcej niż jego koledzy na roku. Był wizjonerem. Wcale mnie nie zdziwiło, że niedługo po studiach został prezesem największej spółki medialnej w Polsce, a później założył jeden z lepszych magazynów reporterskich w tym kraju.

– Którego renomę dziś konsekwentnie niszczy pański syn.

Haller senior się roześmiał.

– Dużo pani wie – skomentował. – Robert nie jest łatwym człowiekiem, ale zapewniam panią, że to świetny biznesmen i zdecydowanie wie, co robi.

– Mam na ten temat inne zdanie. Pański syn kieruje się jedynie własnym interesem. Nie obchodzi go poziom dziennikarstwa ani reputacja „Magazynu”. Z gazety, która miała swoje ideały i długą historię, wypracowaną przez Henryka i mojego przyjaciela Pawła Wiśniewskiego, Robert uczynił tabloid.

Larysa odniosła wrażenie, że słysząc nazwisko Pawła, mężczyzna mocniej ścisnął filiżankę kawy.

– Jest jakiś powód, dla którego traktuje pani „Magazyn” tak osobiście? – zapytał.

Larysa pomyślała, że mogłaby wymienić dziesiątki przyczyn swojego przywiązania do redakcji, w której odzyskała sens i cel życia, gdy była w jego najczarniejszym momencie, ale zamiast tego odwróciła głowę w stronę okna i odetchnęła głęboko.

Za szybą pośpiesznie przemykali ludzie ubrani w jesienne płaszcze. Na przystanek zajechał właśnie żółto-czerwony autobus miejski, który hamując, głośno zapiszczał, a tuż za nim uniósł się śmierdzący, czarny obłok spalin. Żyłasty pracownik Ryszarda Hallera odsunął się ze wstrętem od napływającej rzeki pasażerów. Rzucił niedopałek na chodnik, przydepnął go stopą, po czym mocno naciągnął skórzane rękawiczki. W rozbieganym wzroku mężczyzny dziewczyna początkowo dostrzegła wrogość, ale po chwili zrozumiała, że się pomyliła. Tym, co czaiło się na dnie oczu nieznanego, była panika.

– Henryk Mastalerz był również moim przyjacielem, pracowaliśmy razem – powiedziała, przerywając milczenie. – Dla tej gazety poświęcił swoje zdrowie, a w końcu i życie. Niech mi więc pan nie wciska kitu, że ten zbir – wskazała palcem mężczyznę na chodniku – znalazł się w szpitalu przypadkiem.

Haller senior na ułamek sekundy spuścił wzrok.

– Mam propozycję – zasugerowała Luboń, chcąc wykorzystać tę rysę na idealnej fasadzie biznesmena. – Pójdziemy teraz do niego we dwoje. Ja będę pytała, pan będzie milczał. Jeśli wasze wersje się potwierdzą, odpuszczę.

– A jeśli nie? – zapytał.

– Przecież nie ma takiej możliwości, prawda?

Posłała mu prowokacyjny uśmiech, ale gdy zauważyła, jak ciężko podnosi się z miejsca, i usłyszała ciche stęknienie wywołane najpewniej bólem, pożałowała swojej wcześniejszej szorstkości. Ryszard Haller oparł drżącą dłoń na ozdobnym, chromowanym uchwycie drewnianej laski i wspierając się na niej, stawiał drobne kroki w kierunku drzwi.

Żyłasty mężczyzna w płaszczu akurat schylił się, by zawiązać sznurówkę, kiedy dzwoneczek nad drzwiami restauracji zadzwieczał. Kierowca Hallera odruchowo zerknął za siebie, a kiedy dostrzegł

nadchodzących swojego szefa i Larysę, napiął wszystkie mięśnie i zacisnął mocno szczęki. Nerwowo rozejrzał się wokół, zaczął szybko przemieszczać się w stronę ulicy, a potem nagle skoczył do przodu i wylądował wprost pod kołami przejeżdżającej ciężarówki.

Świat zamarł. Ludzie wokół wyciągali w pośpiechu telefony komórkowe, jedni, by gdzieś zadzwonić i opowiedzieć o wypadku, inni, by zrobić zdjęcie. Niektóre samochody usiłowały ominąć zbiegowisko, kilka aut zatrzymało się na chodniku. Łysy mężczyzna w okularach rozmawiał już z policją, inny, o wyglądzie pilnego studenta, z pogotowiem. Kierowca furgonetki, który jakimś cudem zdołał się zatrzymać kilkadziesiąt metrów dalej, wlokąc pod samochodem ciało Alberta, wytoczył się z kabiny blady jak kreda i mamrocząc pod nosem, rozglądał się wokół. Sprawiał wrażenie zagubionego obcokrajowca, którego ktoś wysadził w nieznanym miejscu, na peryferiach obcego miasta. Wreszcie usiadł na krawężniku i chowając twarz w dłoniach, zaczął płakać.

Haller senior złapał się za serce, laska wypadła mu z ręki i z trzaskiem uderzyła o betonowe płyty, a z jego twarzy odpłynęła krew. Wsparł się na ramieniu Larysy i patrzył na dziewczynę niczego nierozumiejącym wzrokiem. Czują drżenie mięśni mężczyzny, a do jej uszu docierał szum jego zduszonego oddechu.

– Co to, do cholery, było?

– Nie mam pojęcia – odparł.

Przerażenie w jego wzroku sugerowało, że nie kłamał.



Kiedy komisarz Wilczyński dotarł do Hospody, na miejsce zajęła również policyjna furgonetka. Samochód zaparkował nieopodal wejścia, a ze środka zgrabnym susem wyskoczył pies o czarnym łbie i orzechowej maści reszty ciała. Jego sierść lśniła w promieniach grudniowego słońca. Długie, hebanowe uszy zwisające po obu stronach łba nadawały mu przyjazny wygląd, a nawet w jakiś sposób budziły czułość. Jedynie napięte mięśnie, wyprostowana sylwetka

i czujny wzrok zwierzaka przypominały, że to wyszkolony pies mantrailingowy, sprowadzony do odnalezienia śladów Sylwii Konopackiej.

Tuż za posokowcem kroczył jego przewodnik. Drobny, skupiony funkcjonariusz o pergaminowo białej skórze kiwnął Brunonowi, po czym schylił się, by przypiąć psu smycz do specjalnych szelek tropowych.

– Spokojnie, Nero. – Mężczyzna poklepał czworonoga jak starego przyjaciela.

Wydawało się, że ci dwaj stanowią nierozzerwalny tandem. Obaj trzymali wysoko uniesione głowy, obserwowali otoczenie baczным wzrokiem, a ich ruchy przepełniało napięcie, charakterystyczne dla funkcjonariuszy skoncentrowanych na zadaniu. Ten widok sprawił, że komisarza Wilczyńskiego dosięgnęło żądło zazdrości. Zawsze preferował pracę w pojedynkę i zdawał sobie sprawę, że robota policyjna to w większości przypadków fucha dla samotników, ale nie potrafił odeprzeć silnego, a zarazem zupełnie zaskakującego pragnienia, by nauczyć się tworzyć tak harmonijny zespół, jak policjant z tym psem. Być może wynikało ono z tęsknoty za aspirant Konopacką i wyrzutów sumienia z powodu jej zaginięcia, któremu, jak uważał, mógł zapobiec, choć równie prawdopodobnie miało swoje źródło w myślach o umierającym ojcu i rozważaniach o skomplikowanej relacji z Larysą Luboń. A może po prostu zbyt długo niósł wszystko na swoich barkach i wreszcie zaczął otwierać się na dzielenie z kimś ciężaru tej pracy.

– Kto tu dowodzi? – zagaił przewodnik.

– Ja. Komisarz Bruno Wilczyński. – Wyciągnął dłoń, ale funkcjonariusz jej nie uścisnął.

– Bez urazy – wyjaśnił, spoglądając na zawieszoną w powietrzu rękę. – Chodzi o zapach. Nie chcę, by Nero miał za dużo bodźców.

Bruno wyglądał na zmieszanego. Zamrugnął powiekami, a po jego twarzy przebiegł dziwny grymas.

– W porządku. Znasz sprawę?

– Tak. Policjantka weszła do tej knajpy w sobotę i nigdy z niej nie wyszła. Potrzebuję materiału do nawąchania i bierzemy się do

roboty.

Mężczyźni w milczeniu podeszli do wejścia, ale kiedy komisarz szarpnął za klamkę, okazało się, że drzwi są zamknięte.

– Już pędzę! – zawołał menadżer restauracji, który wysiadał właśnie ze sportowej mazdy.

Piotr Nadolny zadzwonił pękiem kluczy trzymanym w dłoni. Miał rozpiętą kurtkę, a jego nonszalancko zarzucony na szyję szalik kołysał się na wietrze, gdy kierownik przebiegał przez ulicę.

– Proszę – powiedział, szeroko otwierając drzwi. – Od naszej rozmowy nikt się tu nie kręcił, tak jak ustaliliśmy – dodał.

Wilczyński pokazał mu kciuk skierowany w górę, a następnie wraz z przewodnikiem wkroczyli do środka. Menadżer Hospody zamierzał do nich dołączyć, ale mężczyzna z psem powstrzymał go nagłym wyciągnięciem ręki i lodowatym spojrzeniem.

– Pan zostaje na zewnątrz – zawyrokował tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Nadolny spochmurniał na te słowa, wyraźnie zawiedziony, bąknął coś niezrozumiałego pod nosem, by w końcu wyciągnąć z kieszeni paczkę marlboro.

– A spoko, nie ma sprawy, będę miał czas na fajkę – rzucił z udawaną swobodą, wysuwając papierosa z opakowania. – Jakby coś było potrzebne, zaczekam tutaj.

W lokalu panowała przyjemna cisza, zakłócana jedynie pomrukiem lodówek do napojów.

Bruno stanął na jakiejś lepkiej plamie w kolorze moczu i skrzywił się z niesmakiem. Na barowej ladzie po swojej prawej zauważył lekko wgniecioną plastikową butelkę z pompką. Napis na etykiecie głosił, że wewnątrz znajduje się pięć litrów syropu imbirowego – i to właśnie on kapał na podłogę, tworząc pachnący słodyczą, złotobrazowy kleks.

– Psia mać – mruknął, wycierając ubrudzony but chusteczką, po czym uchwycił napominające spojrzenie opiekuna Nera. – Sorry, stary – dodał, unosząc dłonie w przeproszającym geście. – Trzymaj. – Przekazał funkcjonariuszowi ubranie Sylwii Konopackiej zabrane z jej rodzinnego domu.

Nośnik unikalnego zapachu aspirantki powędrował natychmiast przed nos Nera.

– Wąchaj – wydał komendę przewodnik, zakładając psu na pysk foliową torebkę strunową z garderobą zaginionej.

Pies posłusznie wykonał polecenie, za co został nagrodzony przyjaznym klepnięciem.

– Szukaj.

Posokowiec bawarski bez wahania ruszył do pracy. Jego łapy szybko przemierzały lokal, łeb zbliżał się do ziemi, po czym unosił do góry i wysunięty do przodu, prowadził silne ciało. Pies wyglądał na skupionego, a jednocześnie pewnego drogi, którą obrał. Bruno starał się podążać za przewodnikiem i zwierzakiem najciszej, jak potrafił, byle tylko nie zakłócić tego niezwykłego misterium.

Komisarz wielokrotnie obserwował pracę tropicieli, ale Nero wydawał się inny. Nie tylko przeszedł elitarne czteroletnie szkolenie w Niemczech i zdał bardzo trudny egzamin, lecz również miał w sobie olbrzymią determinację. Od zaginięcia policjantki minęły już prawie trzy doby, ale pies doskonale wyczuł jej zapach. Stanowczo kroczył w stronę schodów, a później wspinał się na piętro i przystanął dopiero przy krześle ustawionym obok jednego ze stolików. Tam szczerknął, a następnie, nie czekając na dalsze polecenia, wypuścił się w stronę toalet, przeszedł górnym korytarzem i zbiegł na dół drugimi schodami.

Wilczyński uniósł wysoko brwi, zastanawiając się, co dokładnie zwierzę chce im przekazać. Nero jednak nie zdawał się skończyć, prowadził biegnącego za nim przewodnika korytarzem w stronę kuchni. Smycz napinała się mocno, gdy tropiciel przyspieszał, aż wreszcie na moment zatrzymał się we wnęcie w ścianie, po czym wszedł do kuchni i doprowadził funkcjonariuszy do tylnych drzwi.

Mężczyźni wyskoczyli na zewnątrz rozgorączkowani. Serce komisarza waliło coraz szybciej, a gdzieś w środku poczuł narastające ciepło, jakby budziła się w nim nadzieja na odnalezienie aspirant Konopackiej. Pies prowadził ich chodnikami na tyłach kamienic Starego Miasta, aż w końcu skręcił pomiędzy budynki

i dotarł do niewielkiej brukowanej ulicy. Tam stanął, zaszczekał i wbił wzrok w swojego opiekuna.

– Dziwne – skomentował przewodnik, podsuwając psu smakołyk. – Wychodzi na to, że wasza policjantka dotarła tutaj, a później wsiadła do jakiegoś samochodu.

– To niemożliwe, ona nie wyszła z tamtego lokalu – protestował skołowany Bruno. – Gdyby było inaczej, widzielibyśmy to na materiale z kamer. Knajpę można opuścić od frontu i od zaplecza, sprawdziliśmy to dokładnie. Zapewniam cię, że spędziłem dziesiątki godzin na obserwowaniu każdego pieprzonego fragmentu tych nagrań, i nic. Przeczesałem je klatka po klatce, a Sylwii Konopackiej tam nie było.

– Może właśnie w tym tkwi problem. Czasami zaginięcie przypomina magiczną sztuczkę. Jeśli zaproszony przez magika podejdziesz bliżej, będziesz pewien, że widzisz wszystko dokładniej. Uznasz, że teraz nikt już nie jest w stanie cię oszukać. Z uwagą prześledzisz każdy detal, ale umknie ci cały obrazek. Im bliżej będziesz, tym mniej zobaczysz. I wtedy najłatwiej będzie sprzedać ci iluzję. – Przewodnik uśmiechnął się. – Wiem, o czym mówię, mój ojciec pracował w cyrku.

Bruno nasłuchiwał dźwięku kół uderzających o kocie łby, który mieszał się z narastającym szumem w uszach. Przytknął palce do skroni, a potem zerknął w niebo pokryte szarymi kępkami waty. Powoli docierało do niego, że skupianie się na Sylwii mogło być błędem.

Zamiast niej powinien szukać magika.



Budzę się odrętwiała. Nie mam pojęcia, czy jest dzień, czy noc, bo przez nieustanny mrok trudno to rozróżnić. Zadziwiająco, że gdy oko nie znajduje żadnego punktu odniesienia, umysł wariuje. Minuty wydają się godzinami, a całe dni mijają w kilka minut. Czas się rozmywa, przestaje biec liniowo.

Czytałam kiedyś o chłopcach uwięzionych w jaskini w Tajlandii. Szczęśliwie uratowani w każdym z wywiadów powtarzali, że najgorsza była ciemność. Człowiek w warunkach pozbawionych światła traci swój naturalny rytm. Pojawiają się problemy ze snem, organizm zaczyna się buntować, błędnie dostaje szatu i łatwo o utratę równowagi. Do tego dochodzą halucynacje. Bez jedzenia i picia wycieńczone ciało zaczyna poddawać się wyobraźni. Z podświadomości wypęłzają wszystkie najpotworniejsze myśli. Lęki materializują się i obciążą człowieka niczym robaki. Czy mnie też to czeka?

Po chwili dociera do mnie paradoks tej sytuacji. Nawet gdybym miała wodę, to z zakneblowanymi ustami trudno byłoby mi jej zaczerpnąć. Bez wody przeżyję co najwyżej kilka dni, a to może być za mało. Na ratunek chłopcom w Tajlandii wyruszyło ponad tysiąc żołnierzy i wielu ekspertów z kilku krajów świata, a i tak wydobyć ich na powierzchnię zajęło dziesięć dni. Mnie nie będzie szukać tyle osób.

Nie pozwalam sobie jednak popaść w przygnębienie. Ktoś na pewno zgłosił już moje zaginięcie. Muszę tylko wytrwać do czasu, aż po mnie przyjdą. Skupiam się więc na taśmie i na tym, by ją rozerwać. Jest mocna na tyle, że nie dam rady nawet rozchylić ust. Zakładam, że to tak zwany macgyver, srebrna, uniwersalna taśma naprawcza. Wodoodporna i potwornie wytrzymała. Łatwo urywa się ją palcami, ale nie wtedy, gdy ma się ręce skrępowane na plecach. Uświadamiam sobie, że by ją przedrzeć, muszę zaczepić jej krawędź o coś ostrego.

Postanawiam się podnieść. Na wspomnienie przeszywającego bólu głowy, który mógłby wrócić, dostaję gęsiej skórki. A mimo to muszę spróbować. Delikatnie przekręcam się na bok, przyciągam kolana do klatki piersiowej i czekam. Czuję się jak saper rozbijający bombę. Wiem, że jeden fałszywy ruch może mnie wiele kosztować. Nasłuchuję, ale dobiega mnie tylko coś na kształt szczekania.

Wychwytyuję też odgłos bicia mojego serca. Dudni jak bęben pradawnego plemienia. Miarowo i uspokajająco.

Teraz najtrudniejsze. Muszę dźwignąć tułów do pozycji siedzącej. Normalnie nawet ze związanymi kończynami zrobiłabym to bez wysiłku, ale nie teraz. Jestem osłabiona, głodna i bardzo chce mi się pić. Do tego nic nie widzę, przez co nie wiem, w jakiej przestrzeni się poruszam. Boję się. Mogłabym przysiąc, że słyszę szum własnej krwi. Ale nie wolno mi dłużej nad tym rozmyślać. To osłabia determinację. Muszę się podnieść szybko i zdecydowanie. Tak, jak odrywa się plaster.

Raz i już. Jestem w górze. Siedzę na swoich piętach, tak że podeszwy sportowych butów dotykają pośladków. Dyszę, jakbym wbiegła na drugie piętro. Nadal spinam mięśnie, w obawie, że zaraz upadnę i będę musiała wykonać całą tę gimnastykę od początku, ale na szczęście nic takiego się nie dzieje. Odrobinę kręci mi się w głowie. Czuję też, że boli mnie łokieć, z którego się wybiłam. To nic, powtarzam w myślach, drobnostka. Zaciskam powieki i podążam za uderzeniami serca. Ten dźwięk pozwala mi odzyskać równowagę, koi.

Wtedy nabieram odwagi na więcej. Chcę wstać. Zamierzam zapanować nad sytuacją i nie dać się już pokonać lękowi. Muszę zajrzeć mu w oczy, wyzwąć go na pojedynek. Jesteśmy przecież tylko ja i mój strach.

Żeby to zrobić, ustawiam stopy podeszwami na nierównym podłożu, na którym się znajduję. Zwijam dłonie w pięści, zaciskam zęby, a później w myślach odliczam do trzech i dźwigam się do góry.

Na początku lekko się chwieję. Mięśnie nóg drżą po dużym wysiłku, a ja obawiam się, że lada chwila runę z powrotem na kolana. Nagle na twarzy czuję delikatny powiew świeżego powietrza. Dochodzi z góry, z jakiegoś miejsca nade mną. Ruszam tam, kuszona wizją odzyskania wolności, ale w swojej ekscytacji zapominam, że nogi mam związane opaską zaciskową. To sprawia, że krok, który stawiam, zaburza moją równowagę, a ja z łoskotem upadam na ziemię.

I nagle przypominam sobie wszystko. Niemal widzę ostatnie kadry swojego życia poza tym więzieniem. Jak rozmawiam z mężczyzną, któremu ufam. On proponuje coś do picia, zgadzam się, a potem ogarnia mnie senność. Zanim odpłynę, spoglądam w jego oczy, ale znajduję w nich tylko przeszywający chłód.

Nie rozumiem, co się dzieje, ale jednego jestem pewna: ten mężczyzna napawa mnie strachem.



Podpierający się na drewnianej lasce Ryszard Haller zaczekał w towarzystwie Larysy na przyjazd karetki, złożył wyjaśnienia policjantom, którzy stawili się do wypadku, i z bladą, przepełnioną bólem twarzą przyjął wiadomość o śmierci swojego pracownika. Czuł się pusty, wydrażony z emocji. Gdzieś z oddali dobiegły go strzępki rozmowy lekarza stwierdzającego zgon z prokuratorem, po czym zarejestrował pracowników zakładu pogrzebowego. Nie patrzył na zabierane przez karawan ciało. Odwrócił głowę w drugą stronę i na chwilę przymknął powieki, a później uniósł je i z nieobecny wzrokiem ruszył przed siebie bez pożegnania.

Dłoń starszego mężczyzny drżała, kiedy podnosił z ulicy kluczyki do samochodu. Zacisnął na nich palce i pomyślał, że musiały wypaść kierowcy, gdy tamten rzucił się pod nadjeżdżającą ciężarówkę. Stawiając ostrożnie drobne kroki, Haller senior dotarł do czarnego audi A8, lecz zamiast wsiaść do środka, oparł się lewą dłonią o drzwi samochodu, a prawą rękę położył na sercu. Jego kolana ugięły się, a czerwień z ust odpłynęła, nadając im siną barwę.

– Na pewno może pan prowadzić? – zapytała Larysa, która nie spuszczała mężczyzny z oczu i gdy tylko zauważyła zachwianie, natychmiast pobiegła w jego stronę.

– Nie wydaje mi się. – Wcisnął w dłoń dziewczyny kluczyki. – Odwiezie mnie pani do Podkowy Leśnej? W tym stanie mógłbym popełnić jakieś głupstwo, a myślę, że wystarczy nieszczęście na jeden

dzień. – Uśmiechnął się do niej kwaśno, ale jego kąciki ust błyskawicznie opadły.

Dziewczyna wahała się o kilka sekund za długo, co sprawiło, że mężczyzna przyjął jej milczącą odpowiedź za zgodę i otworzył drzwi limuzyny, by zająć miejsce na tylnej kanapie. Schylał już głowę, gdy odwrócił się i zmierzył skonsternowaną dziennikarkę wzrokiem.

– Coś nie w porządku? Przecież po to pani do mnie podeszła, by pomóc, prawda? Jestem tylko niegroźnym starcem, nie ma się pani czego obawiać. Zresztą z jakiegoś powodu odprowadzała mnie pani wzrokiem, więc proszę sobie darować to hamletyzowanie i zwyczajnie zawieźć mnie do domu – zażądał w sposób tak wyrafinowany, że jego polecenie można było równie dobrze potraktować jak niewinny żart.

Zachowanie Ryszarda Hallera, choć z pozoru szczere, nieustająco budziło w Larysie nieufność. Nie umiała wyjaśnić dlaczego, ale miała wrażenie, jakby coś w jego osobowości zgrzytało. A jednak, gdy próbowała zlokalizować tę skazę, nie potrafiła. Wszystko w mężczyźnie współgrało ze sobą i było spójne. Jego intelekt, maniery i reakcje wydawały się naturalne.

Luboń obejrzała się za siebie, dostrzegając grupkę ludzi gorączkowo dyskutujących o niedawnym wypadku. Rzeńskie powietrze zakłuło ją w nozdrza. Patrzyła, jak życie tego praskiego zaułka powoli wraca do normy, i była pewna, że za kilka, może kilkanaście godzin nikt już nie będzie pamiętał o mężczyźnie z fryzurą przypominającą ptasie gniazdo, którego krew zabarwiła asfalt. Na ulicę wylegały starsze panie z ujadającymi psami, dzieci wracały ze szkół i przedszkoli, ciągnąc za sobą opiekunów zapatrzonych w ekrany telefonów, a ruch uliczny stopniowo odżywał.

Dziewczyna westchnęła, po czym zajęła miejsce za kierownicą samochodu, stwierdzając, że wycieczka do Podkowy pozwoli jej dowiedzieć się więcej o rodzinie biznesmena. Wnętrze limuzyny charakteryzowało się nienachalną elegancją, a zarazem zostało naszpikowane technologią. Liczba ekranów i guzików onieśmielała dziennikarkę przyzwyczajoną do wysłużonego citroëna saxo. Ku jej zdziwieniu audi mimo swych rozmiarów zręcznie zawróciło, po czym

ruszyło płynnie i gładko, a nawigacja prowadziła prosto do rodzinnej rezydencji Hallerów.

Z głośników zaczęły wydobywać się dźwięki muzyki klasycznej. Larysa rozpoznała w utworze wiolonczelową suitę Jana Sebastiana Bacha i ze zdziwieniem pokręciła głową.

– Mam nadzieję, że pani nie przeszkadza – zareagował Ryszard. – Mam tutaj z tyłu panel sterowania i pomyślałem, że dobrze zrobi mi coś kojącego.

– Nie mam nic przeciwko muzyce, ale myślę, że poczułby się pan lepiej, gdyby wyjaśnił mi pan, dlaczego Albert rzucił się pod samochód – zasugerowała. – I to akurat wtedy, gdy został przyłapany w szpitalnym pokoju Grażyny Mastalerz.

– Naprawdę chciałbym to wiedzieć.

W wyblakłym błękitnie oczu mężczyzny Larysa nie dostrzegła ani odrobiny fałszu, jedynie smutek. Haller opierał brodę na dłoni, patrzył przed siebie i delikatnie, w takt muzyki, poruszał głową.

– Chryste, trzeba będzie powiedzieć o wypadku jego żonie – westchnął. – Kobieta zostanie sama z małym dzieckiem. A to taki uroczy chłopczyk, kochał ojca ponad wszystko.

– Wydaje się, jakby łączyło was coś więcej niż zawodowa zależność.

– Albert był z nami od lat. Traktowaliśmy go prawie jak członka rodziny. Niegdyś zgarnąłem go z ulicy i dałem mu szansę na nowe życie. Był zawsze oddany i niezwykle lojalny.

Dziewczyna pomyślała, że być może za bardzo. Jednak czy na tyle, by za sekrety swojego pracodawcy oddać życie? Nie знаła odpowiedzi. Kusiło ją, by wprost zapytać o Dianę Darską, ale jeśli to Ryszard Haller zlecił jej zabójstwo, Luboń znalazłaby się w tarapatach. Postanowiła spróbować innego sposobu.

– Niecały miesiąc temu pańska córka została pobita przez bezdomną na Dworcu Centralnym. Wie pan, o co poszło?

Ryszard wyprostował się i nachylił do przodu.

– Słucham? To jakiś żart?

– Nie. Kobieta, która się na nią rzuciła, mocno poturbowała Zuzannę.

– Proszę mówić jaśniej! – domagał się zniecierpliwiony mężczyzna.

- Po prostu skoczyła na pana córkę, okładała ją pięściami i wyrywała jej garściami włosy. Odciągnął ją dopiero Albert, ale jego niestety nie możemy już zapytać o to zajście.

Biznesmen kilka razy zamrugał. Wydawało się, że nie wiedział o wydarzeniach na Dworcu Centralnym. Skóra na jego obwisłych policzkach, naznaczonych brązowymi plamami, napięła się.

- Nie miałem pojęcia. Skąd pani o tym wie?

- Jak na głowę tej rodziny, jest pan strasznie niedoinformowany.

- Zarzuca mi pani kłamstwo? - Pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Poświęciłem czterdzieści lat ciężkiej pracy, by moje nazwisko coś znaczyło. Zbudowałem Haller Investments tylko dzięki swojej determinacji i odwadze. Jeżeli sugeruje pani, że naraziłbym to wszystko dla jakichś osobistych rozgrywek, to jest pani w błędzie.

- Czy ja wiem? O pańskim imperium krążą różne plotki.

- To pomówienia. Jeśli naprawdę pracowała pani dla Henryka Mastalerza i chce pani poznać moją firmę, proszę napisać o niej artykuł. Zbliża się dobra okazja, w tym roku będziemy świętować czterdziestolecie. W ten sposób dowie się pani o nas wszystkiego.

- Dziennikarstwo ekonomiczne mnie nie interesuje.

- W takim razie nie będę mógł pani pomóc.

Larysa przez moment zastanawiała się nad słowami biznesmena, ale szybko poddała się monotonii jazdy. Limuzyna sunęła gładko, miękko pokonując nierówności nawierzchni, aż wreszcie po kolejnych dwudziestu minutach dotarła do kutej bramy wjazdowej na teren rodzinnej posesji Hallerów. Wrota zgrzytnęły, po czym dostojnie zaczęły się otwierać, wpuszczając samochód wraz z jego pasażerami do środka.

Dziennikarka jechała niespiesznie, by móc zaobserwować jak najwięcej szczegółów otoczenia. Wysokie sosny, imponujące jodły i pierzaste, pozbawione igieł modrzewie dumnie prężyły się na starannie wypielęgnowanym trawniku. Koła audi toczyły się z gracją po żwirowej alei, która prowadziła do pomalowanej na biało, neoklasycystycznej willi.

Luboń zaparkowała w okolicy schodów, a następnie wysiadła z samochodu.

– Dziękuję. – Starszy mężczyzna kiwnął jej głową. – Życzy sobie pani, żebym zamówił taksówkę na mój koszt?

– Nie trzeba, poradzę sobie. Nie lubię mieć długów wdzięczności.

– Ja też nie, dlatego mam nadzieję, że szybko wymyśli pani, jak mógłbym się odwdziaczyć za to, że mnie pani tutaj przywiozła – oznajmił, a potem zaczął mozolnie wspinać się po kamiennych schodkach.

Patrząc na jego malejącą sylwetkę, Luboń wreszcie zrozumiała, co stanowiło rysę na wizerunku mężczyzny. Był to całkowity brak skaz. Ryszard Haller wydawał się idealny w każdym aspekcie, a jeśli coś było nazbyt perfekcyjne, to nie mogło być prawdziwe.



Widok Brunona sprawił, że na twarzy pielęgniarki zajmującej się Aleksandrem Wilczyńskim w ułamku sekundy odmalowała się niewysłowiona ulga. Opadłe kąciki ust opiekunki podskoczyły do góry, w oczach zalśniły drobne iskierki, a cera z szarej stała się bladoróżowa. Pani Kasia, starsza kobieta o wieloletnim doświadczeniu zdobytym w najlepszych warszawskich szpitalach, westchnęła i ściskając w dłoniach kuchenną ścierkę, szeroko otworzyła drzwi.

– Dobrze, że pan jest. Ojciec strasznie krzyczał w nocy. Mówił, że to przez jakiś zły sen, ale rano przy karmieniu zobaczyłam, że ma pogryzione dłonie. O tutaj. – Dotknęła palcem kciuka. – Udałam ślepa, nawet nie mrugnęłam, ale na moje to on gryzł się, żeby nie wyć z bólu. Biedak jest w takim stanie, że leki powoli przestają mu pomagać.

Komisarz poczuł, jakby wielka żelazna ręka ścisnęła jego żołądek. Skrzywił się i przez dłuższy czas trwał w zawieszeniu, wpatrując się w wytarte klepki drewnianego parkietu. Myślał o ludziach, którzy poinformowani przez lekarzy, że nie ma już dla nich żadnej nadziei, odchodzili w ciągu kilku dni. Puszczali linę, która łączyła ich z życiem, choć przed wyrokiem kurczowo się jej trzymali i byli

w stanie wiele znosić. Bruno nie chciał, by Aleksander zrezygnował z walki.

– Proszę mu nie mówić, że to koniec – wymamrotał cicho głosem przesiąkniętym smutkiem.

– Nie muszę, on to doskonale rozumie. Widzi pan, ludzie twierdzą, że śmierć przychodzi nagle, ale to nieprawda. Kostucha rozsiada się przy łóżku chorego na długo wcześniej. Patrzy człowiekowi w oczy, aż w końcu pewnego dnia wstaje, wyciąga rękę i mówi, że to już pora.

– A co, jeśli chory nie chce tej ręki chwycić?

Pielęgniarka uśmiechnęła się półgębkiem.

– Ze śmiercią się nie negocjuje, panie Brunonie. – Poklepała go po ramieniu. – Niech pan leci do ojca. Na pewno się ucieszy.

Wilczyński puścił do niej oko, a gdy chwilę później znalazł się w chłodnej, pachnącej świeżo wypraną pościelą sypialni, zastał ojca pogrążonego we śnie. Za oknem panowała ciemność, która napełniała policjanta spokojem. Najciszej, jak potrafił, zbliżył się do łóżka. Drewniana podłoga zaskrzypiała lekko pod jego stopami i gdy już wydawało się, że Aleksander się obudzi, śpiący jedynie westchnął, a następnie obrócił się na drugi bok. Bruno przyglądał się twarzy mężczyzny, naznaczonej głębokimi zmarszczkami. Jego usta były rozchylone i wydobywał się z nich cichy świst, przypominający nieśmiały dźwięk fletu.

Komisarz nagle zdał sobie sprawę, że właściwie niewiele wie o swoim ojcu. Zna go jak dobrego sąsiada, ale nie ma wglądu w to, co ukryte. Wprawdzie ich relacja przeszła w ostatnich miesiącach ewolucję z zimnej i zdystansowanej do pełnej troski i serdecznej, ale nadal nie miał pojęcia, o czym Aleksander marzył, jakie myśli wypełniały jego głowę tuż przed zaśnięciem i czy było coś, czego żałował na tej ostatniej życiowej prostej. To odkrycie sprawiło, że policjant zaczął rozglądać się po pokoju, jakby patrzenie na przedmioty otaczające leżącego na łóżku mężczyznę, który wciąż w jakiś sposób był mu obcy, mogło mu pomóc lepiej zrozumieć ojca.

Dostrzegł leki stojące w równym rzędku na półce pod oknem, dzbanek z wodą, biografię Wojciecha Kurtyki i *Cień wiatru* Zafóna, z zaplamioną na bordowo okładką. A później, zachęcony

przyjemnym uczuciem narastającej ciekawości, otworzył górną szufladę komody. Wewnątrz w całkowitym nieładzie zalegały rachunki, faktury, umowy i dokumenty. Bruno zaczął je zachłannie przeglądać, a wtedy niespodziewanie ze stosu wysunęło się zdjęcie. Fotografia upadła tuż obok stóp policjanta, w taki sposób, że nie widział, co się na niej znajduje. Dopiero gdy podniósł zdjęcie z podłogi, zobaczył, kogo przedstawia. Zdezorientowany, wmawiał sobie, że się pomylił, że to złudzenie, ktoś uderzająco podobny, gdyż obecność tej kobiety, a właściwie dziewczyny, w życiu jego ojca nie miała żadnego logicznego uzasadnienia. Nie zdążył jednak zebrać myśli, bo Aleksander poruszył się niespokojnie na łóżku, po czym otworzył oczy.

– Cześć, Bruno – przywitał się słabym głosem. – Długo tu jesteś? Chyba mocno spałem. Te leki całkiem mnie zamulają. Jestem przez nie wiecznie zmęczony i słaby.

Policjant pomyślał, że to raczej przez chorobę niż leki, ale nie wspomniał o tym, ponieważ przed oczami nadal majaczyła mu twarz ze zdjęcia, które w pośpiechu zamknął w szufladzie.

– Przyjechałem niedawno – wyjaśnił. – Pani Kasia się o ciebie martwi. – Jego wzrok mimowolnie powędrował do dłoni ojca, schowanych pod kołdrą.

– A ty? Też się o mnie niepokoisz? Mógłbyś odbierać czasem telefony od swojego staruszka. Pewnie masz tam dużo pracy, ale tak naprawdę żaden z nas nie wie, kiedy zadzwonię po raz ostatni. Byłoby głupio nie zdążyć się usłyszeć.

Wilczyński pomyślał, że jego ojciec jak zwykle ma rację. Gdyby przegapił ostatnią szansę na rozmowę z Aleksandrem, zapewne prześladowałoby go to do końca życia. Podszedł bliżej i usiadł na krawędzi łóżka.

– Zjadłyby mnie wyrzuty sumienia. – Uśmiechnął się kwaśno, po czym zaczepnie dotknął palcem policzka mężczyzny. – Nigdy się nie mylisz, co?

– Wiesz, że to nieprawda. Popełniłem w życiu wiele błędów, ale i tak gorsze od tego, co zrobiłem, jest to, czego nie zrobiłem.

Bruno ściągnął brwi i z zaciekawieniem czekał na rozwinięcie tego wyznania.

– Widziałem, jak grzebałeś w komodzie – wyznał Aleksander, unikając wzroku syna. – Ta dziewczyna, której zdjęcie znalazłeś, nazywała się Nina. Ona i ja... – Urwał, by dać sobie więcej czasu na dobór odpowiednich słów. – Byliśmy przyjaciółmi. Wiem, jak żałośnie to brzmi. Stary dziad i ktoś tak młody jak ona. Od razu nasuwają się skojarzenia, ale to była wyjątkowa, czysta relacja.

Burza, która rozpełtała się w umyśle policjanta, całkowicie nim zawładnęła. Komisarz wstał gwałtownie i skrzyżował ręce na piersiach, jakby próbował sprawić, by to, co właśnie budziło się w jego wnętrzu, nie wyrwało się ze środka i nie rzuciło na mężczyznę w łóżku.

– Czyś ty oszalał? – zapytał o wiele głośniejszym głosem, niż zamierzał.

Ojciec wzdrygnął się przestraszony, po czym wzruszył ramionami i wbił spojrzenie w swoje kościste, długie palce, które splótł jak do modlitwy.

– Nie wiem, może w jakiś sposób rzeczywiście straciłem rozum. Nie powinienem był, prawda? Nawet jeśli tylko rozmawialiśmy. Ale teraz to i tak już nie ma znaczenia. Ona nie żyje – dodał. – Niedawno dowiedziałem się, że popełniła samobójstwo. Dlatego wspominałem, że liczy się tylko to, czego nie zrobiłem. Mogłem ją uratować.

Wilczyński złapał się za głowę, przymknął powieki, a ustami głośno wypuścił powietrze. Chodząc nerwowym krokiem po pokoju, starał się zrozumieć konsekwencje tego, co właśnie usłyszał. Dokładnie pamiętał moment, gdy pierwszy raz zobaczył Ninę Zaniewską. Pojechał wtedy na wezwanie na jedno z warszawskich osiedli. Bez wysiłku potrafił odtworzyć bladość skóry dziewczyny, jej orzechowe włosy z grzywką zachodzącą na oczy i kolczyk w nosie. Obraz nagiej, martwej Niny z ręką wygiętą do tyłu na dobre zapisał się w jego pamięci. Wyrył się w niej równie mocno, jak wspomnienie tego, czym się trudniła.

– Czy ty też jej płaciłeś?

– Co? Nie rozumiem, o co ci chodzi – oburzył się Aleksander. – Wiedziałem, że się wściekniesz. Dlatego nic nie mówiłem.

– Nie w tym rzecz. Nina Zaniewska żyła ze sponsoringu – przerwał ojcu. – Obrzydliwie bogaci faceci płacili jej za równie ohydny seks. Wiem to, bo tak się składa, że to ja pracowałem przy sprawie samobójstwa tej dziewczyny. – Na widok zaskoczonego wyrazu twarzy swojego rozmówcy ostentacyjnie przewrócił oczami. – Naprawdę nie miałeś pojęcia, jak zarabia na życie?

Mężczyzna w łóżku zaprzeczył, bezgłośnie poruszając ustami, po czym skrzywił się, jakby właśnie uświadomił sobie coś bardzo bolesnego.

– Boże, ty rzeczywiście niczego nie wiedziałeś – stwierdził gorzko Bruno. – Jakim cudem w ogóle na nią trafiłeś?

Zatopiony w myślach Aleksander ocknął się dopiero po chwili.

– Spotkałem ją w parku, tym, do którego chadzałem na spacer. Siedziała zapłakana na ławce, a ja właśnie dowiedziałem się, że mam raka. Chyba oboje potrzebowaliśmy się komuś wygadać. Zaczęliśmy rozmawiać i dzięki temu zrobiło mi się lżej. – Uśmiechnął się do swoich wspomnień. – Kiedy człowiek myśli, że nigdy więcej nie spotka tej drugiej osoby, bardziej się otwiera. Jak ludzie, którzy przypadkowo wpadają na siebie w pociągu.

– Tylko że nie skończyło się na jednym razie?

Ojciec komisarza pokręcił głową.

– Miałem wrażenie, że w końcu znalazłem kogoś, kto mnie rozumie. Opowiadałem jej o tobie, o mamie i jej śmierci. A ona tego wszystkiego cierpliwie słuchała. Potrafiła to przyjmować bez oceniania mnie.

– Przestań. To brzmi jak ckliwe romansidło. – Bruno poczuł, że zbiera mu się na mdłości.

– Zrozum, my tylko rozmawialiśmy. Traktowała mnie jak ojca.

Pisk w uszach komisarza narastał. Coś wewnątrz jego głowy krzychało, że ta dziwna zbieżność zdarzeń nie może być przypadkowa. I choć nie potrafił udowodnić, że Nina Zaniewska nie popełniła samobójstwa, to wiedział dokładnie, kto stoi za jej śmiercią. Mężczyzna, którego szczerze nienawidził. Teraz zaczął się zastanawiać, czy ten sam człowiek wiedział o przyjaźni Aleksandra z dziewczyną.

– Nie chciałem cię martwić – przerwał jego rozmyślenia ojciec. – Zresztą powinienem był się domyślić, kiedy zadzwoniła do mnie ta policjantka i powiedziała o jej śmierci.

Wilczyński poczuł, jak krew tężeje mu w żyłach.

– Jaka policjantka?

– Sylwia jakaś tam. Nie słyszałem wyraźnie, ale zapytała, czy znałem Ninę, a później przekazała mi wiadomość o jej samobójstwie.

– Kiedy do ciebie dzwoniła?

– Niedawno, tydzień, dwa temu. – Zmrużył oczy, jakby sobie przypominał. – Zdziwiłem się, bo nie należałem do najbliższej rodziny, ale podobno Nina chciała, by mnie poinformować. Teraz zastanawiam się, dlaczego ty nie zadzwoniłeś, skoro to była twoja sprawa.

– Bo ta policjantka kłamała. Nie mogła wiedzieć o twoim istnieniu, ponieważ Zaniewska nie zostawiła niczego, co prowadziłoby do ciebie.

– Jak w takim razie wpadła na to, że w ogóle znałem Ninę?

– Według mnie ktoś podsunął jej taką myśl. Kontaktowała się z tobą tylko po to, by ją potwierdzić.

– Ale dlaczego? Przecież ja nic nie zrobiłem. Kto miałby interes w tym, żeby donosić policji o moich spacerach ze studentką?

Bruno wzruszył ramionami, ale tak naprawdę nie wątpił, że tą osobą musiał być Lewicki. Nie rozumiał jedynie, dlaczego mężczyzna miałby zdecydować się na taki ruch. Doświadczenie podpowiadało mu jednak, że w posunięciach Jacka nie było przypadków.



Larysa odchyliła głowę, pozwalając, by gorąca woda z prysznicza obmywała jej twarz. Po wypadku na praskiej ulicy nieustająco czuła przenikliwe zimno, wbijające się w skórę milionem drobnych szpilek. Obraz mężczyzny wbiegającego pod ciężarówkę wracał do niej, wywołując nudności i dreszcze. Dopiero teraz, skryta w zaparowanej łazience przy akompaniamencie uspokajającego szumu wody, powoli

zaczynała odzyskiwać równowagę. Jej umysł porządkował myśli i generował kolejne pytania, a ona czuła, jakby zapadała się w coraz głębsze bagno. Im więcej wiedziała, tym mniej rozumiała.

Tę gorzką refleksję zakłócił niespodziewany dzwonek do drzwi. Na jego dźwięk drgnęła i natychmiast zakręciła wodę, a później uważnie nasłuchiwała. Brzęczyk zabrzmiał ponownie, tym razem bardziej niecierpliwie i nachalnie. W dziewczynie mieszały się lęk z nadzieją. Automatycznie się spięła, po czym wyszła z kabiny i sięgnęła po ręcznik. Równie dobrze mógł to być ktoś, komu zależało na wyciszeniu sprawy śmierci Diany Darskiej, jak i Paweł Wiśniewski, który zniknął bez wieści.

W pośpiechu pocierała ciało szorstkim, spranym kawałkiem materiału, od którego aż piekła ją skóra. W czasie gdy się ubierała, nerwowość osoby na klatce schodowej musiała narastać, bo zamiast dzwonka tajemnicza postać zaczęła używać pięści, uderzając nią w zamknięte drzwi. Mieszkanie wypełnił głuchy łomot, a chwilę potem odgłos szarpania za klamkę. Larysa poczuła, że ze strachu zaczyna coraz płycej oddychać. Spięta, na palcach pobiegła do pokoju, gdzie zostawiła komórkę. Dzięki kamerze, którą zainstalowała po niedawnym włamaniu, mogła sprawdzić, kto ją nachodzi, i w razie niebezpieczeństwa zdobyć trochę czasu na obmyślenie planu ewakuacji.

Szybko wstukała czterocyfrowy kod zabezpieczający, odnalazła ikonkę aplikacji SafeMe i przygryzając wargę, czekała na obraz z klatki schodowej. Na widok swojego gościa z wściekłością cisnęła telefon na kanapę, pod nosem zmeła kilka niewybrednych epitetów, po czym układając w myślach najbardziej kąśliwe powitanie, na jakie było ją stać, doskoczyła do zamków.

– Jazda na dół i nie wracaj tu bez swojego mózgu, który ewidentnie zgubiłeś gdzieś po drodze – wypaliła, uchylając drzwi zabezpieczone łańcuchem. – O ile ktoś go jeszcze nie zwinął. Chociaż właściwie kto by się połasił na taki mały rozumek? – dodała, posyłając komisarzowi Wilczyńskiemu triumfujące spojrzenie, po którym z satysfakcją zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

– Ty na serio? Długo zamierzasz się tak dąsać? – Policjant wydawał się lekko zażenowany. – No dobra, może trochę przesadziłem z tym łomotaniem, ale muszę z tobą pilnie porozmawiać. Byłem przekonany, że pracujesz w słuchawkach, dlatego się dobijałem. Otwórz, nie wygłupiaj się.

– Nie ma mowy – odkrzyknęła. – Dopóki nie zmądrzejesz, będziesz siedział na klatce. Nie masz pojęcia, jak bardzo mnie wystraszyłeś.

– Co mam teraz zrobić? Skoczyć po kwiaty? Daj spokój, miałem naprawdę kiepski dzień.

– Użyj magicznego słowa na „p”.

Larysa była pewna, że Bruno właśnie przewraca oczami i kręci głową.

– Przepraszam? – podjął próbę.

– Nie. Właściwa odpowiedź to „pizza”.

– Litości, nie mówisz poważnie.

Dziewczyna milczała w oczekiwaniu na dalszy ciąg zdarzeń. Po chwili usłyszała, jak komisarz gniewnie mruczy, a następnie zbiega po schodach, złorzecząc pod nosem.

Kiedy pół godziny później przy chybotliwym stole w skromnej kuchni reporterki zajadali capricciosę, na twarzy policjanta trudno było szukać śladów wcześniejszej złości. Pomieszczenie wypełniał zapach świeżo wypieczonego ciasta, sera i sosu pomidorowego, a w powietrzu unosiły się westchnienia zachwytu nad nieprzemijającym urokiem tego najprostszego na świecie posiłku.

– Paweł Wiśniewski żyje – rzuciła nagle Larysa, a Bruno aż się zakrztusił.

Czerwony na twarzy, odkaszlnął jeszcze kilkukrotnie i wypił duszkiem szklankę wody.

– To niemożliwe. Skąd taki pomysł?

– Rozmawiałam z nim.

Dziewczyna streściła policjantowi wszystko to, czego dowiedziała się od dawnego redaktora naczelnego „Magazynu”, a później opisała wydarzenia ze szpitala i wypadek na Pradze. Wilczyński z każdym zdaniem coraz bardziej marszczył brwi. Wreszcie bez komentarza sięgnął po telefon i wybrał jakiś numer z listy kontaktów.

– Siema, Grubasku, jak tam życie? – Uśmiechnął się, słuchając odpowiedzi rozmówcy. – Zmień profesję, wtedy będziesz miał bardziej wygadanych klientów – skomentował. – Słuchaj, możesz mi sprawdzić, czy niejakiemu Pawłowi Wiśniewskiemu zrobili na Oczki badanie DNA? Facet rzucił się pod pociąg jakiś tydzień temu, trudno było go rozpoznać. – Przez dłuższy czas kiwał głową. – Dobra, czekam na wiadomość.

Larysa przyglądała się mu zaintrygowana.

– Poprosiłem kumpla o małą przysługę – wyjaśnił. – Ma się odezwać, jak zerknie do papierów.

– Dzięki. Teraz muszę jeszcze odnaleźć matkę Diany Darskiej i oddać jej ten medalik. – Rozpięła suwak bluzy, pokazując łańcuszek ze srebrną zawieszka. – Może dzięki niej zrozumie, o co w tym wszystkim chodzi.

– Pomogę ci ją namierzyć. Twój argument mnie przekonał. – Kiwnął głową w stronę głębokiego dekoltu dziennikarki, który dziewczyna pośpiesznie ukryła.

Odkąd spędzili ze sobą noc, atmosfera zrobiła się nieco niezręczna. Nie padły żadne deklaracje, nikt nie określił, czy są kochankami, parą czy może dwójką ludzi, którzy popełnili błąd i teraz chcieli się z niego wycofać. Larysie odpowiadała ta otoczka niedopowiedzenia. Dzięki niej każdy przypadkowy dotyk komisarza sprawiał, że przyjemny prąd wypełniał jej ciało. Lubiała czuć na sobie ciepło jego ukradkowych spojrzeń i wspominać zapach skóry na karku policjanta. Nie chciała zamykać tej relacji w żadnej definicji, nadawać jej etykiety ani jej formalizować. Z jakiegoś powodu stwierdziła, że to nie jest potrzebne. Niespodziewanie przyłapała się na głupim cielecym uśmiechu, zawstydzona odchrząknęła więc i postanowiła zepchnąć konwersację na bezpieczne tory.

– O czym chciałeś ze mną porozmawiać?

– O tym, żebyś uważała na Jacka Lewickiego. Mam wrażenie, że on szykuje coś, co dotknie nas wszystkich. Jeśli będzie chciał cię skrzywdzić, żeby mnie osłabić, zrobi to bez wahania. Nie wyobrażasz sobie, jak misternie jest utkana ta sieć, w której tkwimy. On to wszystko zaplanował już wiele lat temu, porozstawiał figury na

szachownicy, a teraz tylko puścił je w ruch. – Pstryknął palcami. – Obiecay mi, że nie zbliżysz się do niego. Nawet nie będziesz z nim rozmawiała.

– Nie mam powodu, żeby się z nim spotykać. Możesz być spokojny.

Bruno, zadowolony z deklaracji Larysy, streścił jej postępy w poszukiwaniu Sylwii, opowiedział o przesłuchaniu Jacka, a na końcu wyjawiał, z kim przed śmiercią spotykała się Nina Zaniewska.

Luboń szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

– Myślisz, że aspirant Konopacka dostała ten cynk o Ninie i twoim ojcu od Lewickiego?

– Na stówę. Nie wiem jeszcze tylko dlaczego. W mieszkaniu Sylwii zaleźliśmy pełno moich zdjęć, a w dniu jej zaginięcia odkryłem, że zabrała dokumenty ze sprawy Niny Zaniewskiej i akta dotyczące śmierci Daniela Sikory, mojego dawnego przyjaciela. Chciałem z nią porozmawiać, żeby zrozumieć, co się dzieje, ale się pokłóciliśmy, a później ona zniknęła.

– Źle to wygląda, Bruno – podsumowała.

Komisarz zacisnął dłonie w pięści i zmrużył oczy, jakby właśnie coś mu świtało, ale dokładnie wtedy jego komórka zawibrowała, a wyłaniająca się myśl pierzchła niczym przestraszone stworzenie. Na ekranie telefonu zarysowało się powiadomienie o SMS-ie od patologa sądowego Stefana Kościa. Wilczyński przeczytał wiadomość i z niepokojem spojrzał na Larysę.

– Gruby twierdzi, że w papierach wszystko się zgadza. Brat zmarłego dostarczył materiał porównawczy, zrobili badania i potwierdzili tożsamość Wiśniewskiego.

– Nic już z tego nie rozumiem. Przecież pod kołami tamtego pociągu zginął ktoś zupełnie inny. Mogli się pomylić?

– Nie wydaje mi się. Według mnie komuś zależało na tym, by Paweł został oficjalnie uznany za zmarłego.

– Tylko po co?

– Bo łatwiej zabić kogoś, kto dla świata i tak już nie żyje.

Luboń przygryzła wargę. Zamyślona wpatrywała się w ścianę, a jej palce bezwiednie wystukiwały niespokojny rytm na blacie stołu.

- Oni są przekonani, że Diana, ta bezdomna, zdradziła Wiśniewskiemu jakąś tajemnicę, ale to nieprawda - wyjaśniła. - Według Pawła narkotyki podziurawiły pamięć Darskiej jak krety ziemię. Wspomnienia mieszały się jej z wizjami, a przez to nie dało się z nich wyłowić niczego znaczącego.

- Według niego - wtrącił. - Nie wiesz przecież, co ma znaczenie dla Hallerów. Trudno jest coś znaleźć, jeśli nie masz pojęcia, czego szukasz.

Larysa przyznała Brunonowi rację. Teraz najbardziej gnębiło ją to, co stało się z Wiśnią. Czy zdołał uciec? A może skończył podobnie jak Diana? Usiłowała zrozumieć, dlaczego do tej pory nie dał jej żadnego znaku ani nie wysłał wiadomości. Do bólu głowy przeglądała w myślach katalog osób i miejsc, w których mógłby się ukryć, ale za każdym razem kończyła z tym samym. Z bolesną pustką.

Czuła na sobie miękkie spojrzenie Wilczyńskiego, przepiękne czułością, jaką tylko jeden połamany człowiek może podarować drugiemu, równie poranionemu. Nikogo nie musiała udawać, mogła po prostu być, i to w pełni wystarczało. Właściwie w milczeniu, które między nimi zapadło, odnalazła wygodę.

To tylko chemia, ona minie, starała się sobie przypominać, by nie nadawać znaczenia czemuś, co być może wcale go nie miało.

A później przyłożyła usta do jego ciepłych warg i zapomniała o wszystkich składanych sobie obietnicach.



Kobieta przycupnęła na brzegu krzesła w poczekalni komendy. Nim usiadła, wykrzywiła usta z odrazą, ponieważ jej wzrok wyłowił zarys tłustej plamy na niebieskiej tapicerce oparcia. Wychylona do przodu, ze skrzyżowanymi nogami, z nadzieją wpatrywała się w drzwi wejściowe i lekko podskakiwała za każdym razem, gdy szcęknęły, a do środka weszła nowa osoba. Później jednak opadała na siedzisko rozczarowana i speszona swoją pospieszną reakcją.

Z wybawieniem przyszedł jej telefon, który zadzwieczał w torebce. Kobieta wyłuskała komórkę z puchnącego od niepotrzebnych przedmiotów worka i długo patrzyła na ekran urządzenia, raz po raz czytając wiadomość od męża z prośbą, by w drodze do domu kupiła mleko do kawy. Schowana za smartfonem, czuła się mniej zestresowana i napięta. Nie musiała już z niepokojem obserwować otaczających ją obcych twarzy ani skupiać się na strzępkach dolatujących jej uszu rozmów. Wzięła głęboki wdech, a kiedy zawiasy w drzwiach zaskrzypiały, odruchowo uniosła głowę, zderzając się spojrzeniem z komisarzem Wilczyńskim, na którego czekała.

Beata Konopacka zerwała się z miejsca, niemal potykając się o własne nogi, i po chwili z zarumienioną twarzą stanęła przed policjantem.

– Jestem matką Sylwii, pamięta mnie pan? – mówiła szybko, jakby bała się, że jej wypowiedź zostanie przerwana, zanim wyjawi powód, dla którego przyjechała. – Jest coś, o czym wcześniej nie wspominałam, a teraz to nie daje mi spokoju. Nie wiem, być może przesadzam, ale pomyślałam, że powinien pan wiedzieć.

Bruno obserwował, jak kobieta z przejęciem pociera płatek ucha i nerwowo spogląda na boki. Świadomość, że minęły dwa dni od zgłoszenia, a on nie miał dla niej żadnych nowych wiadomości dotyczących zaginięcia córki, wywołała w nim niespodziewany popłoch i uczucie suchości w ustach.

– Chodźmy do mnie – zaproponował, wskazując drogę do swojej klitki bez okien, szumnie określanej pokojem.

Kiedy tylko otworzył drzwi, poczuł zapach nadgniętych owoców. Na biurku obok żółtych karteczek poprzyklejanych do blatu i papierków po cukierkach leżały dwa jabłka ze sporymi brązowymi plamami. Komisarz cisnął je do kosza i ze wstrętem otrzepał dłonie. Beata Konopacka uniosła brwi, jej wzrok prześlizgnął się po wykładzinie, rejestrując kilka zgniecionych puszek po red bullu.

– Mam nadzieję, że z prowadzeniem śledztwa radzi sobie pan lepiej niż ze zdrowym odżywianiem – skomentowała. – Czy wiadomo coś nowego o Sylwii?

Policjant wziął głęboki wdech i niechętnie pokręcił głową.

– Chciałbym mieć dla pani dobre wiadomości, ale nadal pracujemy nad ustaleniem, co się z nią stało po opuszczeniu lokalu na Starówce – szafował formułkami, którymi zazwyczaj gardził, ale patrząc w przepelnione nadzieją oczy kobiety, nie potrafił się zdobyć na szczerść.

W myślach stwierdził, że gorzej byłoby tylko, gdyby użył określenia „robimy, co w naszej mocy”, które zwykle oznaczało, że śledczy byli równie bezradni jak zrozpaczeni krewni zaginionego i gonili własny ogon. Matka Sylwii nieznacznie posmutniała, utkwiała zbolale spojrzenie w ścianie, po czym zaczęła opowiadać.

– Kiedy rozmawialiśmy za pierwszym razem, uznałam, że to nieistotne. Ale później usiłowałam sobie przypomnieć jej twarz w tych ostatnich dniach i za każdym razem wracała do mnie tamta mina. – Spuściła głowę, po czym zwilżyła językiem spierzchnięte wargi. – Tak jak mówiłam, w piątek koło południa pojechaliśmy do Arkadii kupić kilka drobiazgów na jej wyjazd do Tajlandii. Sylwia wydawała się przejęta, żywo gestykulowała, a gdy wspominała o Jacku... Sama nie wiem, jak to ująć. Po prostu widać było, że jest zakochana. Wie pan, ten rozmarzony wzrok, błysk w oku i wypieki na policzkach.

– Doskonale rozumiem. Doświadczam tego za każdym razem, gdy kupuję nową grę na playstation – rzucił, by ulżyć narastającemu poirytowaniu na myśl o dwulicowości Lewickiego i tym, jak zmanipulował matkę swojej ofiary. – Czy to ta mina tak panią zaniepokoiła?

Kobieta zaprzeczyła.

– Przeglądałyśmy akurat bieliznę w Intimissimi, gdy zauważyłam, że Sylwia się wyłączyła. Mówiłam do niej, ale ona patrzyła gdzieś daleko za szybę, jakby coś po drugiej stronie ją zaczarowało. Dopiero kiedy złapałam ją za rękę, ocknęła się i popatrzyła na mnie przestraszona. Spytałam, czy coś się stało, ale zbyła moje obawy machnięciem dłoni. Tyle że według mnie nie powiedziała prawdy. Zobaczyła tam kogoś, kogo się bała, i przejęła się tym na tyle, że nie potrafiła wpisać PIN-u do terminala płatniczego. Nigdy wcześniej to

się nie zdarzyło. – Przytknęła dłoń zwiniętą w pięść do ust, a każdą zmarszczkę na jej twarzy pogłębiały gorzkie wyrzuty sumienia.

Wilczyński zanotował w myślach, że trzeba będzie przejrzeć monitoring z centrum handlowego i najpewniej raz jeszcze przekopać się przez wszystkie sprawy, przy których działała aspirant Konopacka, by wykluczyć motyw zemsty.

– Ma pani pomysł, kogo mogła się obawiać? Swojego chłopaka, może kogoś z przeszłości? – próbował znaleźć punkt zaczepienia. – Pani mąż wspominał, że ostatnio wróciła do licealnych zdjęć.

– Każdy czasem wraca, to nic nie znaczy.

– Nie zaobserwowała pani, by w ostatnich dniach reagowała na kogoś w dziwny sposób? Czasem to są drobne sygnały.

Beata Konopacka spuściła wzrok, wbijając go w czubki przykurzonych kozaków, i zacisnęła dłonie na torebce. Policjant zdał sobie sprawę, że matka Sylwii coś przed nim ukrywa.

– Ostatnio denerwowała się tak, gdy mówiła o panu – wyznała z trudem i przełknęła ślinę.

Zanim oszołomiony Bruno zdołał sformułować jakiegokolwiek pytanie czy choćby zebrać rozbiegane myśli, które potoczyły się w różnych kierunkach niczym rozbite kule bilardowe, szczęknęła klamka drzwi, a do kanciapy wpadł naczelnik Marian Pękała.

Nie bawiąc się w dyplomatyczne uprzejmości, przełożony oznajmił:

– Jacek Lewicki złożył zawiadomienie do prokuratury o popełnieniu przestępstwa podczas przesłuchania. Nie muszę ci chyba mówić, co to oznacza.



Doktor Jerzy Mąkosa w akompaniamencie skórzanych podeszw butów uderzających o posadzkę, z rękami w kieszeniach białego fartucha przemierzał korytarz Zakładu Medycyny Sądowej przy ulicy Wojciecha Oczki. Nos medyka był lekko zmarszczony, jakby właściciel intensywnie się nad czymś zastanawiał, a chód sprawiał wrażenie mechanicznego. Mężczyzna stawiał duże, zamaszyste kroki,

cicho pogwizdując, toteż gdy zza filaru niespodziewanie wyszła dziewczyna w grubej skórzanej kurtce, zatrzymał się w miejscu i posłał jej oburzone spojrzenie. Dopiero po chwili rozpoznał na twarzy nieznamomej ten sam gniew i upór, które widział już wcześniej i które od początku budziły w nim uzasadniony niepokój.

Lekarz odchrząknął, po czym ułożył usta w serdeczny wyraz.

– To znowu pani – skonstatował, siląc się na niefrasobliwy, niemal koleżeński ton. – Załatwia pani u nas jakieś sprawy?

Larysa czuła się jak napastnik, który stanął na drodze ofiary, i nie zamierzała pozwolić, by zdobycz się jej wysliznęła. W oczach medyka dostrzegła popłoch, dzięki któremu wiedziała, że ma nad nim przewagę. Co ciekawe, jego niepewność dodawała jej siły i spokoju. Chcąc go osaczyć, podeszła jeszcze bliżej. Z satysfakcją obserwowała, jak twarz doktora Mąkosy tężeje.

– Sprawy? Nie, po prostu jedna rzecz nie daje mi spokoju. Staram się zrozumieć, dlaczego podpisał pan protokół zgodności DNA Pawła Wiśniewskiego, kiedy w rzeczywistości to nie jego ciało znalazło się na stole sekcyjnym – wyjaśniła.

Mężczyzna prychnął.

– Przykro mi, że nie potrafi się pani pogodzić ze śmiercią przyjaciela, ale ja nie mam z nią nic wspólnego. Robiłem tylko to, co do mnie należało. Potwierdziłem przyczynę zgonu i tożsamość denata, to wszystko. – Rozłożył ręce, jakby chciał podkreślić ich czystość i swoją niewinność. – Być może wizyta u specjalisty mogłaby jakoś pomóc pani przejść przez żałobę. Według mnie warto szukać wsparcia, jeśli rzeczywistość staje się nie do udźwignięcia.

W głosie medyka kryło się tyle troski i ciepła, że dziewczyna nabrała wątpliwości, czy nie wysunęła swoich oskarżeń pochopnie. Być może to ktoś inny zmanipulował wyniki badań profilu genetycznego, a nieświadomy niczego lekarz jedynie zatwierdził końcowy rezultat swoim podpisem. Pomimo wahania postanowiła zweryfikować trop, który podpowiadała jej intuicja.

– Co takiego oni mają na pana, że zaryzykował pan swój autorytet i cały dorobek? A może chodzi o to, co dostał pan w zamian? – prowokowała. – Niesamowite, ile ludzie są w stanie zrobić dla

pieniędzy. Forsa łamie kręgosłupy nawet najmoralniejszym z nas, prawda?

Luboń miała świadomość, że drażniąc lekarza, stąpa po kruchym lodzie, ale jednocześnie była przekonana, że jeśli znajdzie słaby punkt medyka i dostatecznie mocno go naciśnie, uzyska informacje, po które przysłała. Gdy zwarł mocno szczęki, a skóra na jego policzkach się napięła, wiedziała, że jest blisko prawdy.

– To wyłącznie pani urojenia. Nie mam czasu na bezsensowne dyskusje – sarknął wściekle. – Pani przyjaciel zabił się, wskakując pod pociąg. Wiem, że to okrutne, ale taka jest prawda. Im szybciej ją pani zaakceptuje, tym lepiej. – Minał ją i zaczął energicznie kroczyć w stronę schodów.

Larysa była na to przygotowana. Dopiero teraz wyciągnęła asa z rękawa.

– Paweł Wiśniewski żyje, widziałam się z nim – zawołała. Wtedy Jerzy Mąkosa zatrzymał się w pół kroku i powoli odwrócił pobladałą twarz w jej stronę. – Zapewniam pana, że jak na kogoś, kto wrócił z zaświatów, trzyma się cholernie dobrze.

Medyk przygryzł wargę, a następnie, oglądając się na boki, podszedł do dziewczyny.

– Niech pani nie będzie głupia i to zostawi – wysyczał gniewnym tonem.

– Bo co? Grozi mi pan?

– Proszę dać sobie spokój. Niczego się pani ode mnie nie dowie.

– Szkoda, media na pewno zainteresują się sprawą zamartwychwstałego mężczyzny i lekarza, który stwierdził jego zgon. Ciekawe, jak to wpłynie na pana karierę?

Mężczyzna pokręcił głową, ostentacyjnie wypuszczając powietrze z płuc.

– Nie ma pani pojęcia, czego ode mnie żąda. Ludzie, którzy za tym stoją, mają władzę i znajomości. Znajdą panią, a potem zniszczą.

– Jacy ludzie? – naciskała.

Doktor przeklął i odwrócił głowę w stronę okna. Widziała, jak ciężko oddycha. Jego klatka piersiowa rytmicznie unosiła się i opadała, a dłonie zaciśnięte w pięści drżały. Jerzy Mąkosa

w ułamku sekundy stracił całe swoje opanowanie. W końcu sięgnął do kieszeni fartucha po telefon. Nerwowo pociągając nosem, odnalazł to, czego szukał, po czym pokazał Larysie ekran, na którym wyświetlało się zdjęcie jakiejś pary w uścisku.

– Ten człowiek kazał mi podmienić próbki do badania profilu genetycznego w laboratorium – wyznał, wskazując palcem znajomą twarz kierowcy Hallerów, którego dziennikarka spotkała w szpitalu na Pradze. – Zagroził, że jeśli tego nie zrobię, dobierze się jej nie tylko do majtek. Łajdak zdobył jej zaufanie tylko po to, by mnie szantażować.

Lekarz ze smutkiem spojrział na kobietę, którą na zdjęciu mężczyzna całował w policzek, jednocześnie obejmując jej ciało ramionami.

– To moja córka. Jest dla mnie wszystkim – dodał.

Luboń odtworzyła w pamięci wydarzenia poprzedniego dnia i zadrżała. Jak bardzo Albert musiał się bać, że zdecydował się skończyć z życiem? – rozważała. Lecz najbardziej frapujące wydawało się to, kto go przerażał. Czy chodziło o seniora rodu, Ryszarda, a może o jego najmłodszego syna, Roberta, który swoją bezwzględnością przewyższał pozostałych członków klanu?

Stopniowo docierało do niej, jak niewiele wie o tej rodzinie, a zarazem była coraz bardziej przekonana, że to w niej kryje się odpowiedź na nurtujące ją pytania. Niespodziewanie oczywiste stało się to, co powinna teraz zrobić.

– Ten człowiek nie skrzywdzi już pańskiej córki – rzuciła na odchodnym, zanim zostawiła zdruzgotanego lekarza w zakładowym korytarzu. – Wczoraj popełnił samobójstwo.

Wychodząc z Zakładu Medycyny Sądowej, zdołała ułożyć już plan. Równie prosty, co niebezpieczny, a mimo to szalenie kuszący. Nie tracąc czasu na rozważania, które mogłyby zasiać w niej wątpliwości, wybrała numer do redaktor naczelnej „Newsweeka”.

– No proszę, kogo diabli przynieśli – przywitała się swoim zachrypniętym głosem Anita Lange. – Dzięki za ostatni tekst, wszystko gra, puścimy go pewnie w przyszłym tygodniu – oznajmiła. – No i mam nadzieję, że pracujesz już nad nowym artykułem.

Zamierzasz mnie oświecić, jaki tekst dostarczysz na najbliższe kolegium?

Larysa, która zapunktowała w oczach Lange materiałem o Fantomie, uzgodniła z szefową, że będzie dostarczała nowy reportaż do co drugiego numeru tygodnika. Dzięki temu miała więcej czasu na weryfikowanie informacji i porządny research. Wprawdzie planowała skupić się na zagadnieniu traktowania kobiet w jednej ze stołecznych korporacji, ale nadal miała za mało danych, by obronić swoje tezy. Dlatego postanowiła przyjąć propozycję pewnego biznesmena.

– Chcę napisać o Haller Investments. Obchodzą w tym roku czterdziestą rocznicę powstania, a to doskonały pretekst, by się do nich wdrzeć.

Na drugim końcu linii zapadła niezręczna cisza.

– Zdajesz sobie sprawę, że nie pracujesz dla „Forbesa”, prawda?

– Chodzi o coś więcej. Mam podstawy przypuszczać, że rodzina Hallerów nie jest tak krystalicznie czysta, jak jej wizerunek. Według mnie kryje się tam historia, która bardzo ci się spodoba.

– Skąd taki pomysł?

– Zaufaj mi.

– Słyszałam to już od kilku facetów i źle na tym wyszłam.

– Daj mi zielone światło. Jestem pewna, że oni coś ukrywają.

– Co to za temat, Larysa? – naciskała redaktor naczelna.

– Z trupem w tle.

– Wyjawisz coś więcej?

– Na ten moment nie mogę.

– W porządku, ale pamiętaj, jakie są zasady. Nie ma artykułu, nie ma pracy. A co, jeśli się mylisz?

– Wpadnę w kłopoty.

– Cieszę się, że rozumiesz swoje położenie. Próbuje. Skoro tak się upierasz, to może rzeczywiście coś jest na rzeczy. Nie zapomnij tylko o deadline.

Anita Lange rozłączyła się, odkładając energicznie słuchawkę, a Luboń poczuła, jak oplata ją lęk pomieszany z ekscytacją.



– Złamany nos i żebro?! – uniósł się Bruno. – To są jakieś żarty? Nawet go nie tknąłem, jakim cudem miałbym mu złamać żebro? Telepatycznie? Czy ja wyglądam jak Kaszpirowski? Co za absurd! – Wściekły ściągnął kurtkę i rzucił ją na oparcie krzesła.

Naczelnik Marian Pękała podwinął rękawy koszuli. Jego palce skubały spierzchnięte wargi, a na prawym policzku rysowała się siatka cienkich czerwonych żyłek, niczym pająk o wielu odnóżach. Niechybny znak, że tego dnia przełożony miał już co najmniej jedną erupcję wściekłości za sobą. Mężczyzna sapnął ciężko, pogładził się po coraz bardziej wystającym brzuchu, a w końcu mlasnął i gdy miał już odezwać się do podwładnego, pełną napięcia ciszę przecięło ostentacyjne pukanie do drzwi.

Po chwili do gabinetu naczelnika wszedł inspektor Sławomir Wrona z ponurą miną i wysoko uniesioną brodą.

– Ty to chyba masz jakiś wkurworadar, co? – skomentował Wilczyński. – Wpadasz zawsze wtedy, gdy sypią się iskry. Jeśli pojawiaasz się, żeby dolać oliwy do ognia, to bardzo proszę. Najlepiej od razu zajmij się budowaniem stosu.

Funkcjonariusz Centrum Poszukiwań Osób Zaginionych spojrzął na komisarza z zimną wyższością. Wrona należał do ludzi, którzy nigdy nie bywali mili, empatyczni ani wyrozumiali. Wszyscy wokół i ich dramaty nie stanowili obiektu jego zainteresowań. Liczyły się konkretne działania, paragrafy i wyniki. Wszystko, co dało się zmierzyć, a później suchymi słowami opisać w raporcie albo przedstawić w tabelce Excela. Szczerze mówiąc, wątpliwe pozostawało, czy poza miłością do kodeksów i regulaminów ten mężczyzna czuł cokolwiek innego. Zachowywał się jak ktoś wyprany ze wszelkich emocji. Jakby był bezpowrotnie zamrożony.

Jeśli nawet narodziny syna nie wywołały w nim radości, to co miałyby go poruszyć? – rozważał Bruno.

– Zostaw nas samych – zwrócił się do Wilczyńskiego inspektor. – Muszę omówić pewne fakty z naczelnikiem Pękałą.

Komisarz zmrużył oczy, a generator pytań w jego umyśle zaczął pracować na najwyższych obrotach. Chociaż decyzja o odsunięciu go od śledztwa w sprawie zaginięcia aspirant Konopackiej była nieunikniona, nie zamierzał ustępować bez walki. Teraz, gdy miał na karku prokuratora, naczelnik nie wystawi się na ryzyko i z pewnością przekaże temat innemu policjantowi, a jego wyśle na przymusowe wakacje. Wiedział to, a jednak się nie poddawał.

– Jeśli te informacje dotyczą Sylwii, powinienem się z nimi zapoznać – oznajmił. – Na razie nadal prowadzę tę sprawę.

Marian Pękała, czując na sobie pytające spojrzenie inspektora, chrząknął i przygryzł dawno niestrzyżone wąsy. Zbierał się na odwagę do rozmowy z Brunonem, przeżywając przy tym wewnętrzne katusze, tak wyraźnie rysujące się w jego rozbieganym wzroku czy drzeniu dłoni. Naczelnik często krzyczał, wymachiwał rękami i purpurowiał, jednak ten rodzaj ekspresji był raczej jego osobliwym sposobem komunikacji niż dowodem na to, że lubił awantury. W rzeczywistości ich nie znosił. Po każdym wybuchu długo dochodził do siebie, a wykresy obrazujące poziom stresu na smartwatchu, który dostał od żony, osiągały najwyższe wartości. Domyślał się, że i teraz nie pójdzie gładko, dlatego czekał, aż Sławomir Wrona ujawni, z czym przyszedł, a później zniknie, umożliwiając mu rozmowę z Wilczyńskim bez świadków.

– Niech zostanie – zdecydował.

Inspektor nie spodziewał się takiego obrotu spraw, jednak w żaden sposób nie wyraził swojego rozczarowania. Kiwnął głową na znak akceptacji decyzji Pękały, po czym wziął głęboki wdech, jakby szykował się do wygłoszenia długiego raportu.

– Dzieciak z budynku sąsiadującego z posesją Konopackich niechcący uchwycił mężczyznę, który kręcił się w niedzielę na podwórku zaginionej. Mały nagrywał komórką jakiś filmik do szkoły o dokarmianiu ptaków na zimę i kiedy robił zbliżenie na sikorki, zauważył obcego faceta dobijającego się do domu policjantki – relacjonował, co jakiś czas zerkając wymownie w stronę komisarza. – Pewnie nikt by się o tym nie dowiedział, ale matka chłopaka regularnie grzebie mu w telefonie. Znalazła nagranie, wpadła

w panikę, a potem zadzwoniła bezpośrednio do Centrum Poszukiwań i przekazała nam filmik.

– Udało się zidentyfikować tego człowieka? – dopytywał naczelnik, który zaciekawiony nowymi informacjami nie zauważył, że Wilczyński nagle zbladł i znieruchomiał, co było do niego raczej niepodobne.

– To byłem ja – wtrącił Bruno, by ukrócić swoje męki, a zarazem pozbawić inspektora przyjemności wbicia mu szpili. – Nie patrzcie tak na mnie, chciałem z nią pogadać. Tak samo jak inni niepokoiłem się tym, że nie odbierała telefonu.

– Dlaczego nic nie powiedziałeś? – Marian Pękała zmarszczył czoło. – Wspominałeś, że do niej dzwoniłeś, ale o wizycie na jej podwórku nawet się nie zająknąłeś.

– To nie ma znaczenia dla sprawy – bronił się komisarz. – Chciałem sprawdzić, czy wszystko w porządku. Wydawało mi się dziwne, że nagle unika kontaktu, a jej telefon jest non stop wyłączony. Nazwij to intuicją czy jak tam chcesz.

Wilczyński poczuł wilgoć po wewnętrznej stronie dłoni. Nagle odniósł wrażenie, że koszula, którą narzucił na siebie rano, skurczyła się w praniu i teraz mocno ścisnęła jego ciało, powodując trudności w oddychaniu.

– I co się stało? Spotkaliście się? – drążył przełożony.

– Nie. Przez jakiś czas dobijałem się do drzwi, ale nikt nie otwierał. Pomyślałem, że może odsypia po imprezie albo zanocewała u kogoś ze znajomych czy swojego faceta. – Ostatnie dwa słowa wypowiedział z przekąsem. – Zamierzałem odpuścić, tyle że coś mnie tknęło i pociągnąłem za klamkę. Drzwi na dole były zamknięte, ale zobaczyłem, że z drugiej strony budynku są schody, które prowadzą do osobnego wejścia. Tym razem klamka ustąpiła. Wszedłem do środka i wołałem Sylwię, ale nic się nie wydarzyło. Dom wydawał się pusty. Dla pewności obszukałem jeszcze parter, a potem odpuściłem.

– Tak po prostu? – zaatakował inspektor.

– Litości. Przesłuchujesz mnie? – Bruno ze świstem wypuścił powietrze, jednocześnie kręcąc głową z niedowierzaniem. – A co miałem zrobić? W domu nikogo nie było. Pomyślałem, że po prostu

zapomniała zamknąć drzwi i gdzieś wyszła. Temat skończony. – Ton jego głosu zdradzał narastające poirytowanie.

– To ciekawe, bo tamten dzieciak mówi, że wyniosłeś coś z jej domu.

– Przywidziało mu się.

– Zastanawiające, o czym tak bardzo chciałeś z nią porozmawiać. – Wrona się nie poddawał. – Musiało ci zależeć, skoro pojechałeś do jej domu i nieustająco do niej wydzwaniałeś. Bo przecież ten telefon z komendy, z biurka Konopackiej, w sobotę wieczorem, to też byłeś ty, prawda?

Funkcjonariusz go podpuszczał, Wilczyński nie miał co do tego żadnych wątpliwości, a jednak nauczony doświadczeniem wiedział, że jeśli człowiek zapada się w grzędawisku własnych kłamstw czy choćby niedomówień, powinien wyznać prawdę, nim będzie za późno. Pogłębianie fałszu prowadziło do podobnego zakończenia, co chaotyczne wymachiwanie rękami i nogami osoby zapadającej się w bagno. Wiodłoby na samo dno.

– Przez grzeczność nie zaprzeczę – wysilił się na humor, choć tak naprawdę wszystko w nim drżało. – Wtedy, w sobotę, odkryłem, że Sylwia kopiowała i wynosiła akta z firmy. Próbowałem zrozumieć, dlaczego to zrobiła. Zadzwoiłem do niej, pokłóciliśmy się, a później już nie chciała odbierać ode mnie połączeń. Dlatego skorzystałem z telefonu na jej biurku, ale i to nie pomogło. – Przeczesał palcami włosy. – W niedzielę pojechałem do niej, żeby wszystko wyjaśnić. Akta, które zabrała z komendy, leżały na biurku w jej pokoju, więc wziąłem je ze sobą. Nie mówiłem o tym, żeby nie narobić jej kłopotów. Postępowała niezgodnie z regulaminem, a jeśli dodatkowo umożliwiła komuś zapoznanie się z materiałem, to złamała tajemnicę służbową. Poniosłaby za to konsekwencje. Poza tym odłożyłem już dokumenty na miejsce.

– Co to były za sprawy? – włączył się nagle Pękała, który dotychczas przysłuchiwał się wymianie między policjantami. Z zainteresowaniem przekrzywił głowę.

– Samobójstwa Niny Zaniewskiej i śmierci Daniela Sikory – wyjaśnił komisarz, a jego przełożony ze zrozumieniem pokiwał

głową.

Inspektor Sławomir Wrona wydawał się zdezorientowany. Jego buńczucznie nadęta pierś oklapła, wzrok natomiast błędził od Wilczyńskiego do Pękały i z powrotem, jakby liczył na to, że któryś z nich pokwapi się, by wyjaśnić mu, o czym rozmawiają. Nic takiego jednak się nie wydarzyło.

W pokoju zapanowała atmosfera zadumy. Na czole Brunona malowała się głęboka pionowa zmarszczka, a jego prawa dłoń wystukiwała niespokojny rytm, uderzając o plastikowy podłokietnik krzesła. W tym samym czasie naczelnik z brodą opartą na splecionych dłoniach oddychał ciężko, raz na jakiś czas przetykając zbierającą się w ustach ślinę. Obaj pogrążyli się w czymś na kształt apatii. Z niewidzącym wzrokiem spoglądali w dal i pewnie trwałoby to jeszcze przez jakiś czas, gdyby do gabinetu nie zapukał funkcjonariusz z działu informatyki.

Drobny policjant o chłopięcym wyglądzie poprawił zsuwające się na czubek nosa okulary i szybko zorientowawszy się w sytuacji, wyjaśnił, że udało mu się złamać zabezpieczenia komputera aspirant Konopackiej, wejść do jej prywatnej poczty i otworzyć zaszyfrowany plik.

– Co w nim było? – Wilczyński wyciągnął dłoń po otwartego laptopa.

– Nie wiem – bąknął informatyk, uciekając spojrzeniem. – Moim zadaniem jest otworzyć plik, reszta należy do śledczych prowadzących sprawę. Zostawiłem go na pulpicie, w folderze bez nazwy – dodał, po czym naprędce opuścił pokój.

Komisarz wyczuł w powietrzu ostry zapach kłamstwa, którego nie dało się pomylić z niczym innym. Zaintrygowany nacisnął spację, a gdy ekran rozjarzył się, ukazując błękitne tło pulpitu, odszukał wspomniany folder. Czuł na sobie niecierpliwy wzrok naczelnika i Sławomira Wrony, jednak w tej chwili ci dwaj zupełnie się dla niego nie liczyli. Ważne było tylko to, co zaraz zobaczy. Intuicja podpowiadała mu, że stoi przed szansą na przełom. Zwykle łajał się za naiwne myślenie życzeniowe, uważał, że domeną profesjonalistów jest logika, a nie magia, ale teraz znalazł się pod ścianą, a to

sprawiło, że udzielił sobie dyspensy od własnych żelaznych zasad i na moment uwierzył w zaklęcia.

Dwukrotnie kliknął w żółtą teczkę. Jego oczom ukazał się plik dźwiękowy w formacie WAV, który natychmiast uruchomił. Z głośników laptopa popłynął znany głos Sylwii Konopackiej, a tuż po nim nieśmiały szept jakiejś kobiety.

– Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną porozmawiać.

– To ja dziękuję, cieszy mnie, że ktoś w końcu się tym zainteresował. Widzi pani, ja jedyna słyszałam ich kłótnię. Zanim mój mąż rzekomo do siebie strzelił, wrzeszczeli na siebie. Bruno krzyczał: Okłamywałaś mnie całe życie. Udawałaś przyjaciela, a ja dałem się na to nabrać. Według mnie to on zabił Daniela.

– Wszystko wskazuje...

– Proszę pani, to jest policjant. Bez trudu upozorowałby samobójstwo.

– Ale po co?

– Daniel wiedział coś o nim i chciał to ujawnić.

– Skąd taki pomysł?

– Żony to czują. Zresztą po samobójstwie takiej młodej dziewczyny mąż zaczął się dziwnie zachowywać. Jakby coś w nim pękło. Kilka razy prosił, bym powiedziała Wilczyńskiemu, że go nie ma, nie odbierał jego telefonów. Daniel stał się nerwowy. Wściekał się o głupoty, nawet jak mu powiedziałam, żeby startł pastę do zębów z lustra w łazience, to burknął coś w stylu: W zacieraniu śladów akurat jestem dobry.

– Chce pani powiedzieć, że krył Brunona i miał już dość?

– Tak myślę. I wydaje mi się, że mogło to mieć związek z tamtą samobójczynią.

Wilczyński nie słyszał już dalszego ciągu nagrania. Gdy zrozumiał, w co usiłował wmanewrować go Lewicki, docierał do niego już tylko bulgot jego wzburzonej krwi.

Jacek omamił Sylwię, zasiał w niej wątpliwości. Celowo wysłał ją do wdowy po Danielu Sikorze, niepotrafiącej pogodzić się ze śmiercią męża i obarczającej winą komisarza, który jako ostatni rozmawiał z mężczyzną. Lewicki chciał, by policjantka straciła zaufanie do Brunona, bo w ten sposób łatwiej było nią manipulować. Dlatego zaczęła podejrzewać go o najpotworniejsze rzeczy, a to z kolei stanowiłoby dla Wilczyńskiego doskonały motyw, by się jej pozbyć.



Nie tracę nadziei, dopóki oddycham. Z łaciny Dum spiro, spero. Kiedyś chciałam zrobić sobie taki tatuaż po wewnętrznej stronie nadgarstka. Dziś, zamiast na skórze, kreślę te słowa w moim otumanionym umyśle. W mroku, w którym tonę, przeżywam niekończące się déjà vu. Wszystko wygląda tak samo, a każda następna chwila jest podobna do poprzedniej. Kurwa, kurwa, kurwa.

Niekiedy kusi mnie, by się położyć i nic już nie robić. Poddać się. Słodko zapaść się w miękką ciemność. Dać się jej pochłonać, wyciągnąć ramiona i pozwolić się czerni objąć, a potem z zamkniętymi oczami dryfować do miejsca przeznaczenia. Zasnąć na zawsze.

Nie wiem, ile minęło czasu. Może dni, a może godziny. Trudno to stwierdzić. W moim więzieniu znalazłam niewielką kałużę, w której zanurzam palce, jak wtedy, gdy byłam dzieckiem. Nagle myśl o mamie i tacie powoduje, że pod powiekami zaczynają gromadzić mi się łzy. Staram się je zatrzymać, uwięzić, zanim umkną, ale to na nic. Ciepłe strumienie płyną po twarzy, zostawiając na skórze mokre, słone ślady. Decyduję, że jednak się nie poddam.

Muszę zrozumieć, gdzie jestem. Leżąc na boku, to prostuję, to zginam złączone ze sobą nogi, dzięki czemu zaczynam pełznąć niczym jakiś dziwny robak. W przemieszczaniu się pomaga mi też lewe ramię. Wspieram się na nim i choć boli, gdy wgniatam je

ciężarem ciała w nierówną powierzchnię podłoża, nie rezygnuję. Mam nadzieję dotrzeć do ściany.

Wkrótce moje stopy natrafiają na twardą, pofałdowaną powierzchnię. Podczołguję się bliżej, a później przesuwam podeszwami adidasów po ścianie, szukając jej załomu.

Mija zaledwie kilkadziesiąt sekund, nim natrafiam na drugą ścianę i zyskuję pewność, że jest zaokrąglona. Przesuwam po niej złączonymi nogami. Wyobraźnia powoli zaczyna szkicować kształt mojego więzienia, ale by zyskać co do niego pewność, dźwigam się do góry i siadam na piętach. Gdy zawroty głowy ustają i odzyskuję równowagę, prostuję przed sobą nogi. Mam teraz idealną pozycję do skłonu. Gdybym bardzo się postarała, mogłabym dotknąć czołem kolan. Jedyną różnicą jest to, że teraz nie mogę chwycić dłońmi za stopy, bo ręce nadal mam związane za plecami. I właśnie ten fakt zamierzam wykorzystać.

Odpycham się stopami, jednocześnie przesuwając ciało w tył. Kiedy moje pośladki i plecy docierają do nierównej, pofałdowanej ściany, wyciągam dłonie i opuszkami palców przemierzam każdy jej centymetr. Muszę zebrać jak najwięcej informacji o tym miejscu. Mam też nadzieję, że natknę się na jakiś ostry element albo nierówną krawędź, dzięki którym zdołam rozedrzeć taśmę na ustach. Gdyby to się udało, mogłabym wezwać pomoc. O ile w pobliżu znajdują się jacyś ludzie.

Czuję, jak przy eksploracji ścian napinają mi się mięśnie ramion i pleców. Początkowo znoszę to łagodnie, ale im dłużej pracuję rękami, głaszcząc nimi powierzchnię ścian, tym więcej wysiłku to wymaga. Ciało zaczyna boleć, ręce drętwieją, a ja coraz bardziej mam ochotę na sen. Wiem jednak, że nie wolno mi tracić czasu. Już i tak zbyt wiele go zmarnowałam. Każda minuta, której nie wykorzystam na ratowanie życia, może stać się tą, która zadecyduje o mojej śmierci.

Postanawiam wstać. Mocno zapieram się stopami o podłoże i sunąc plecami po ścianie, unoszę się do góry. Oddycham teraz ciężko.

W ustach czuję cierpką suchość, a mój żołądek zaciska się z głodu. Mam wrażenie, jakby złakniony posiłku organ zasysał do środka mnie całą i zjadał po kawałku. Od tego ucisku w podbrzuszu kręci mi się w głowie. Zamykam więc oczy i próbuję uspokoić oddech. A gdy wreszcie dochodzę do siebie, ociężale i mozolnie przesuwam złęczone stopy w prawo, po czym zaczynam wędrówkę po moim lochu.

Palce badają kolejne odcinki ścian, w czasie gdy drżące mięśnie nóg walczą o to, by utrzymać mnie w pionie. Powierzchnia, której dotykam, przypomina kształtem strukturę blachy falistej. Składa się z górek i dołków, a gdy pukam w nią kostkami dłoni, wydaje z siebie głuchy odgłos. Przypomina gruby plastik, jakieś mocne i gładkie w dotyku tworzywo. Nie znajduję na nim żadnych wystających części, zadziórów ani ostro zakończonych krawędzi.

Zmęczona osuwam się na podłogę. Po raz pierwszy opuszcza mnie nadzieja. Znajduję się w pułapce bez wyjścia, w której nikt mnie nie znajdzie. Nie mogę krzyczeć, mam związane ręce i nogi. Do głowy przychodzą coraz bardziej absurdalne pomysły. Mam wrażenie, że umrę z powodu obłądu, a nie z głodu czy zimna. Czarne myśli przywodzą mnie na skraj rozpacz, a kiedy leżę znów na boku, przybita i obolała, przypomina mi się, jak na filmach ludzie wyswobadzają się z kajdanek.

Po chwili zastanowienia decyduję, że będę musiała wyłamać sobie kciuk.



Kiedy ubłocone saxo zbliżyło się do kutej stalowej bramy z ornamentem roślinnym, wrota zaczęły się rozwierać jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Larysa pomyślała, że ktoś w rezydencji musiał obserwować podjazd, ewentualnie system informował pracownika o obecności samochodu w uliczce czymś w rodzaju alarmu. Wszystko wskazywało na to, że jej przybycie było oczekiwane.

Jadąc alejką, wsłuchiwała się w chrobot żwiru, który chrzęścił pod kołami niczym piasek w zębach. Stare, nastawione na maksymalną moc ogrzewanie w Citroënie cicho szumiało, a z otworów wentylacyjnych wydobywał się delikatny zapach palonych kabli.

Auto bez wątpliwości wymaga naprawy, kto wie, może nawet wymiany na nowszy model, pomyślała, a gdy zaparkowała przed wejściem do okazałego domu tuż obok czerwonego Lexusa o błyszczącej karoserii, zdecydowanie utwierdziła się w tym przekonaniu. Rozziew między światem, w którym żyła, a tym, do którego właśnie wkraczała, był ogromny.

W drodze do drzwi wejściowych towarzyszyło jej nieodparte przecucie, że jest obserwowana. Nie to zwyczajne, wywołujące lekki niepokój, gdy odnosi się wrażenie, że ktoś po prostu się nam przygląda, ale to przeszywająco zimne i unoszące włoski na karku doznanie bycia śledzonym. Kiedy wydaje się, że ktoś obcy zagląda nam w duszę. Zadarła wysoko głowę, by sprawdzić, czy to aby nie jej rozpasana wyobraźnia tworzy tak paranoiczne scenariusze, i zadrzała. Na poddaszu, w oknie za firanką, wyraźnie rozlewała się ciemna plama, zarys sylwetki jakiejś postaci. Spodziewała się, że obserwator pod naporem jej wzroku cofnie się w głąb pokoju, ale to nie nastąpiło. Ten ktoś nie miał w sobie lęku, raczej determinację, która przyprawiła Larysę o dreszcze. Jakby przypominał upiora bez twarzy, a nie człowieka.

Strząsnęła z siebie nedorzeczne myśli, po czym zdecydowanie mocniej, niż było to konieczne, wcisnęła czarny, okrągły guzik dzwonka. Rozległa się łagodna melodia przypominająca śpiew ptaków i po chwili w progu stanął sam Ryszard Haller, właściciel koncernu i senior rodu. Ubrany w spodnie z miękkiego materiału i sweter w serek, spod którego wystawał fragment białego podkoszulka, uśmiechnął się kurtuazyjnie.

– Zapraszam – powiedział, wskazując dłonią wewnątrz. – Cieszę się, że zmieniała pani zdanie.

Szedł przodem, wspierając się na wydającej ciche skrzypnięcia lasce, przez ogromny hol, którego ściany wyłożone były lustrami. Wysokie, ciągnące się od podłogi aż po sufit zwierciadła potęgowały

uczucie zagubienia w tym przestronnym wnętrzu. Larysa pomyślała, że trafiła do labiryntu. Korytarz wił się, a każda jego odnoga wyglądała dokładnie tak samo jak poprzednia. Zewsząd patrzyły na nią odbijające się w gładkiej tafli oczy i choć należały do niej, wydawały się obce.

– Kiedyś wierzono, że lustra mają magiczną moc – wtrącił mężczyzna, jakby czytał w myślach dziewczyny. – Według niektórych ludzi można w nich ujrzeć własną duszę. Z tego powodu w dawnych czasach, gdy umierał któryś z domowników, zwierciadła odwracano albo zasłaniano kawałkiem materiału lub prześcieradłem. Najlepiej w czarnym kolorze. Żeby dusza zmarłego nie zabłąkała się w lustro, nie została w nim uwięziona i by nie zabrała w zaświaty kogoś innego, do towarzystwa.

Dziennikarka uśmiechnęła się półgębkiem i choć była sceptyczna wobec czarodziejskich opowieści, poczuła, jak napinają się jej mięśnie karku.

– Chyba nie wierzy pan w te bzdury?

Ryszard Haller zatrzymał się niespodziewanie, a jego twarz prezentowała dziwną mieszaninę zdziwienia z oburzeniem.

– Co widzi pani w swoim odbiciu? – zapytał w taki sposób, jakby rozkazywał.

Larysa niechętnie odwróciła się w stronę lustra i przypatrywała się sobie przez dłuższy czas. Zobaczyła w nim zmęczoną kobietę przepelnioną lękiem. Wyblakłe tęczęwki oczu, szarą skórę i kogoś, kto był wyczerpany ciągłym uciekaniem. Przed sobą, ludźmi, a może nawet przed prawdą. Nagle wydała się sobie zupełnie słaba i krucha. Niemalże bliska rozpadnięcia się na kawałki.

– Przecież oboje wiemy, że to brednie – wypaliła, by odgonić niedorzeczne myśli. – Niezła próba, ale proszę, by więcej nie grał pan ze mną w ten sposób. Jest pan na to zbyt inteligentny, a ja mam uczulenie na manipulatorów.

Haller przepaszająco kiwnął głową. Przekręcił ze zgrzytem gruby metalowy klucz w drzwiach po lewej stronie korytarza, po czym zaprosił dziewczynę, by zajęła miejsce na jednej z dużych, kremowych kanap ustawionych prostopadle do kominka. Sam

sięgnął po mosiężny dzwonek umieszczony na metalowym talerzyku i lekko nim potrząsnął. Na jego dźwięk drzwi po drugiej stronie salonu uchyliły się nieznacznie, w wąskiej szczelinie zamajaczyła czyjaś głowa, a wtedy mężczyzna poprosił o dzbanek herbaty i dwie filiżanki.

Larysa rozejrzała się niepewnie, lecz ku jej zadowoleniu tylko w dwóch miejscach dostrzegła okrągłe zwierciadła w złoconych ramach. Odetchnęła z ulgą, czując, że wreszcie wyzwoliła się z lustrzanego więzienia. Wsłuchana w dźwięk trzaskającego w kominku drewna, pozwalała koić się miękkości kanapy i zapachowi ogniska.

– Przejdźmy do rzeczy – oznajmił Ryszard Haller, siadając naprzeciw dziennikarki. – Dlaczego zdecydowała się pani jednak napisać artykuł o mojej firmie? Co takiego się zmieniło? Czyżbyśmy nagle stali się bardziej interesujący? – Oparł dwie dłonie na chromowanym uchwycie laski.

Luboń spodziewała się podobnych pytań.

– W pewnym sensie tak, bo po wypadku na Pradze zobaczyłam Haller Investments z innej perspektywy. Pomyślałam, że ten koncern to ludzie, a oni zawsze ciekawią mnie najbardziej. Zastanawia mnie, co musieli poświęcić, kim się stać i do czego się posunąć, by osiągnąć to, co ma dziś pańska rodzina. Słowem, chcę zobaczyć prawdziwą twarz Hallerów.

Na dźwięk chrobotu w zamku biznesmen odwrócił się w stronę drzwi, przez które weszła starsza kobieta z tacą uginającą się pod ciężarem porcelanowego imbryka i zestawu filiżanek. U pasa pokojówki pobrzękiwał zawieszony na grubym sznurze pęk kluczy. Kobieta postawiła na stole herbatę i cicho niczym duch odpłynęła. Haller odprowadził ją wzrokiem i dopiero gdy usłyszał zgrzyt zamka świadczący o tym, że drzwi zostały zamknięte, wrócił do rozmowy.

– Ciekawy pomysł. – Podniósł filiżankę do ust i upił łyk herbaty. – Jak zamierza pani to osiągnąć?

– Chciałabym porozmawiać z każdym z członków rodziny.

Zmrużone oczy mężczyzny sugerowały, że zastanawia się nad propozycją dziennikarki.

– Zgodzę się, w końcu jestem winien pani przysługę, choć uważam, że to strata czasu – oświadczył po namyśle. – Zorganizuję pani spotkanie z każdym poza Łucją. Żona trzyma się z dala od biznesu.

– Dlaczego? – Luboń zdawała sobie sprawę, że małżonki potentata próżno było szukać na oficjalnych fotografiach z firmowych uroczystości. Właściwie niewiele było o niej wiadomo, bo zniknęła z życia publicznego ponad dwadzieścia lat temu.

– Łucja nie przepada za ludźmi. Od lat boryka się z nerwicą i lękiem społecznym. Nie chce nikogo widywać. Do niej jedynej nie będzie miała pani dostępu.

Larysa przywołała w pamięci kontur sylwetki w oknie. Czy to mogła być żona Ryszarda? Przyprawiająca o dreszcze postać ukryta w mroku. Czy rzeczywiście była chora? A może ktoś ją tam uwięził? Dziewczyna wręcz przestraszyła się myśli, która zaczęła oplatać jej umysł. Czy to możliwe, by drzwi na poddasze również były zamykane na klucz?

Momentalnie osoba, z którą zakazano jej rozmawiać, stała się dla niej najbardziej interesująca.



Bruno Wilczyński miał świadomość, że lada chwila do jego klitki zapuka jakiś ważniak z wydziału wewnętrznego, zabezpieczy elektronikę i poprosi komisarza o opuszczenie komendy do czasu wyjaśnienia sprawy, a następnie wezwie go na bardzo długie i nic niewnoszące przesłuchanie. Nie zamierzał kombinować, asekuracyjnie nawet nie podchodził do komputera, by nie oskarżono go o próbę zacierania śladów. Chciał przez chwilę zwyczajnie побыć sam, by móc usłyszeć własne myśli i zaplanować kilka ruchów do przodu. Sięgnął do szuflady po długopis, który zatknął klipsem za kieszeń w koszuli, a następnie jakby nigdy nic wydobył spod biurka piłkę do kosza i zaczął nią rzucać do wygiętej obręczy zawieszanej na ścianie.

Po wydarzeniach w pokoju naczelnika Pękały wszelkie podejrzenia padły na niego. Został oficjalnie odsunięty od śledztwa oraz zawieszony w czynnościach. Musiał oddać broń, blachy i legitymację. Wzięli nawet kurtkę – po tym, jak Sławomir Wrona zauważył na podszewce ślady krwi. Bruno zakładał, że mogły zostać po jego szarpaninie z Lewickim podczas przesłuchania, ale powoli przestawał być pewien czegokolwiek. W duchu beształ się za to, że zataił prawdę, chcąc chronić Sylwię, ale jednocześnie nie miał cienia wątpliwości, że gdyby jeszcze raz musiał podjąć decyzję, ponownie wybrałby lojalność wobec aspirantki.

W oczach inspektora Wrony komisarz uciszył koleżankę, która zaczęła grzebać w jego starych, niewygodnych sprawach. Zarówno nagranie w komputerze Sylwii, skopiowane akta, jak i zdjęcia Wilczyńskiego w domu funkcjonariuszki miały świadczyć o tym, że Konopacka zbierała na niego materiały. Telefon Brunona do policjantki w sobotę wieczór, gdy była w pubie, i jego późniejsza wizyta w jej domu, które zataił, jedynie dopełniały obrazka, stawiając komisarza w pierwszym szeregu podejrzanych.

Nie spodziewał się, że Marian Pękała, który znał go tyle lat, da się porwać nienawistnej narracji uprawianej przez funkcjonariusza

Centrum Poszukiwań. To jedyne go zabolalo. Niemal słyszał chrzęst kruszejącego zaufania naczelnika, gdy umilkło nagranie Sylwii. Przełożony domagał się odpowiedzi i żądał informacji. Chciał zrozumieć, do czego nawiązywała wdowa po Danielu Sikorze i o co Wilczyński kłócił się z mężczyzną na chwilę przed tym, zanim tamten strzelił sobie w głowę, ale komisarz uparcie twierdził, że nic takiego nie miało miejsca. Kłamał i obaj mieli tego świadomość.

Być może łatwiej jest wybaczyć, gdy okłamuje nas ktoś obcy, pomyślał gorzko Bruno, ale kiedy zwodzi nas osoba, której ufaliśmy, coś pęka bezpowrotnie. Tak jak między nim a Danielem Sikorą, technikiem kryminalistyki, który popełnił wtedy samobójstwo. Wilczyński dokładnie pamiętał tamto popołudnie w domu przyjaciela. Zapisało się w nim w postaci dźwięków, jakby w ramach samoobrony wymazał ze wspomnień obrazy, wstawiając na ich miejsce czarną plamę. Gdy zamykał oczy, potrafił usłyszeć zaskoczone powitanie Elwiry, żony Daniela, skrzypiące pod stopami drewniane stopnie schodów, drżący głos przyjaciela, swój ostry ton podczas kłótni, a później dźwięk przeładowywania broni i wystrzału.

Wspomnienie tamtego huków niekiedy budziło komisarza w nocy. Wraz z nim jak wygłodniałe hieny zjawiały się wyrzuty sumienia, które kąsały ciało Wilczyńskiego. Początkowo, w czasie długich, pozbawionych snu nocy, analizował wydarzenia z domu Sikorów i układał alternatywne scenariusze, ale to pomagało tylko na chwilę. Na końcu zawsze dopadała go cierpka niemoc. A teraz, gdy Sylwia Konopacka zastanawiała się, czy to nie on zabił Daniela, czuł się podwójnie zdradzony.

Nagłe skrzypnięcie klamki nie pozwoliło w pełni wybrzmieć gorzkiej myśli policjanta. Do środka wpadło dwóch umundurowanych funkcjonariuszy odprowadzanych przez Mariana Pękałę i inspektora Wronę, którzy po chwili zawahania ostatecznie zatrzymali się w drzwiach.

– Zaczekajcie! – zawołał Bruno, który nadal ścisnął w dłoniach piłkę. Wziął zamach, wyrzucił do góry ramiona, podskakując przy tym lekko, a następnie obserwował, jak piłka idealnym łukiem wpada do obręczy i przelatuje przez siatkę – Yes! Widzieliście to? –

spytał, siląc się na wesoły ton, by ukryć pod nim bezradność i przygnębienie. – A tak w ogóle, mogliście mnie uprzedzić, że wpadniecie, zamówiłbym drinki i egzotyczne tancerki. Byłby ubaw.

– Żartowniś z ciebie, co? – zagaił jeden z ważniaków, na co Bruno jedynie wzruszył ramionami.

– Komisarz Wilczyński? – upewnił się drugi z funkcjonariuszy, a gdy otrzymał potwierdzenie, zażądał przekazania elektroniki i opuszczenia miejsca pracy.

Bruno wiedział, że to nastąpi, a jednak emocje, których doświadczał, wyobrażając sobie ten moment, i te, które zawładnęły nim teraz, nie miały ze sobą nic wspólnego. Rzeczywistość szarpała nim dużo bardziej niż wizje. Z niechęcią pozwolił się przeszukać. Wydawał się nieobecny, gdy funkcjonariusz Biura Spraw Wewnętrznych Policji mechanicznie przesuwiał dłońmi po jego ubraniu. Zmyślony patrzył gdzieś w bok, a jego zęby przygryzały wewnętrzną część ust. Niczym maszyna odpowiadał na rutynowe pytania, potakiwał i wyjaśniał. Wreszcie z piłką do koszykówki pod pachą opuścił pokój.

– Zadowolony? – warknął do stojącego w korytarzu Wrony, ale ten nawet nie drgnął.

– Zaczekaj, Bruno. – Zatrzymał go naczelnik. – Musimy pobrać od ciebie próbkę DNA.

Komisarz pokręcił głową i wypluł przekleństwo.

– Może od razu mnie wsadźcie?

– Nie komplikuj sprawy. – Marian Pękała mówił cicho, jednocześnie się nachylając, jakby prosił, choć być może robił to ze strachu. Bał się eskalacji i wielkiej awantury, którą słyszałyby cała komenda. – Zrobimy to u mnie, bez zbędnego szumu. Wiesz przecież, że to w twoim interesie.

Wilczyński zacisnął mocno dłonie. Czuł, że spokój kosztuje naczelnika równie dużo, co jego powstrzymanie się od wybuchu.

– Chodźmy – ustąpił, po czym ruszył w stronę gabinetu przełożonego.

Gdy zjawił się funkcjonariusz z zestawem do pobierania wymazu, Bruno siedział już na krześle. Bez protestów otworzył usta i pozwolił,

by policjant w niebieskich lateksowych rękawiczkach włożył mu do buzi sterylne patyczki przypominający ten do czyszczenia uszu. Wacik dotknął wewnętrznej części policzka, po czym wylądował w samozamykającej się torebce papierowo-foliowej, a później w bezpiecznej kopercie transportującej. Wszystko zostało odpowiednio oznaczone i pojechało od razu do laboratorium.

Jedynym, co czuł w tej chwili komisarz, było upokorzenie. Sławomir Wrona z rękami skrzyżowanymi na piersi zajął miejsce pod ścianą, Pękała kołysał się zaś na stopach z miną wyrażającą zakłopotanie.

– Mogłeś mi to powiedzieć na początku. Dlaczego, do kurwy nędzy, zachowałeś to dla siebie? – zapytał z wyrzutem.

– Bo wbrew pozorom nie jestem takim egoistą, za jakiego mnie macie. Wiem, z jakimi konsekwencjami wiąże się wynoszenie dokumentacji z firmy. Chciałem to najpierw wyjaśnić z Sylwią, poznać jej wersję. Tyle że Konopacka zaginęła, a ja, nie wiedząc o tym, wystawiłem się jak głupi. Wizyta u niej, telefony, to wszystko działało się, zanim dostaliśmy zgłoszenie od rodziny. Gdybym się tym pochwalił od razu, wsypałbym ją.

– Trzeba było tak zrobić – wtrącił inspektor Wrona.

– Ciebie nikt o zdanie nie pytał – odgryzł mu się Wilczyński.

Naczelnik wodził wzrokiem po szlaczku na linoleum, jakby przygotowywał się do zadania kolejnego pytania.

– Te insynuacje wdowy po Danielu... Wiesz, skąd się wzięły? – wykrztusił w końcu.

– Nie, ale ludzie mówią i robią różne rzeczy, gdy są zrozpaczeni.

– A ty? Co zrobiłeś? – Sławomir Wrona przybrał swój przenikliwy wyraz twarzy i wgapiał się w komisarza.

Bruno miał ochotę uderzyć tego człowieka w nos, ale uznał, że takich jak on bardziej dotyka ignorowanie.

– Nie wierz we wszystko, co widzisz – zwrócił się bezpośrednio do przełożonego. – Lewicki usiłuje zrobić wam wodę z mózgu, a wy biegniecie za nim jak owce za swoim przewodnikiem, wesoło dyndając dzwoneczkami – frustrował się Wilczyński. – Nie widzisz, że on odciąga waszą uwagę od Sylwii? Chce, żebyście skupili się na

mnie, wtedy nie dostrzeżecie tego, co sam robi. Wy będziecie tracić czas, a Konopacka gdzieś tam umrze, bo jedyny glina, który potrafił rozgryźć Lewickiego, stanie się podejrzanym. – Uderzył dłonią w udo, jakby dla podkreślenia swoich słów.

Twarz naczelnika poczerwieniała, jego wąs drgnął, a dłonie powędrowały na biodra.

– Lewicki? A kim on niby jest, żeby mieć w tym interes? – zapytał.
– Biednym chłopcem z twojej przeszłości? Wdowcem z dwójką dzieci, który żyje z wynajmu mieszkań i inwestycji na giełdzie? Widziałeś, jak on wygląda? Jak wzorowa sierota, kurwa. Nawet jeśli nie ty go pobiłeś, to jest pozamiatane, rozumiesz? Prokuratura dobierze ci się do dupy, a wewnątrzni poprawią. Chcesz pyszczyć na Lewickiego? Śmiało, ale przynieś mi jakiś konkret, a nie swoje fantazje, bo tego żaden sąd nie łyknie. – Cera przełożonego zbliżała się do purpurowej, gdy energicznie wymachiwał rękami, a kropelki śliny tryskały z jego ust. – Sprawdziłem go, Bruno, ten facet jest czysty jak łąza.

– On chce, żebyś tak myślał. Manipuluje tobą. Kilka tygodni temu mnie ostrzegął. Powiedział, że nie mam pojęcia, co nadchodzi, a kiedy kazałem mu spierdalać z tymi gierkami, oznajmił, że już za późno, bo zabawa się rozpoczęła. To psychol.

Naczelnik i Sławomir Wrona wydawali się zaintrygowani.

– Daj mi coś, czego będę mógł się chwycić – rzucił pojednawczo naczelnik.

Wilczyński westchnął ciężko. Miał dość. Bolała go głowa, a oczy piekły ze zmęczenia.

– Wiem, że to Jacek Lewicki zabił moją matkę – zaryzykował. – Nie mam na to żadnych dowodów poza wyznaniem Daniela, który przed śmiercią opowiedział mi, jak pozacierał ślady, by jej śmierć wyglądała na samobójstwo.

– Dlaczego miałby to zrobić? – drażył Pękała.

– Lewicki był jego siostrzeńcem. Daniel odmówił adopcji chłopca, przez co mały tułał się po sierocińcach i rodzinach zastępczych, doświadczając tam potwornych rzeczy.

– Chcesz powiedzieć, że Sikora czuł się odpowiedzialny za to, co się stało? – Naczelnik ściągnął brwi.

– Jak diabli. Poza tym nie chciał, by czternastolatek trafił do poprawczaka. Usprawiedliwiał go, wierzył, że gdyby moja matka tak go nie skrzywdziła, nigdy nie doszłoby do tej tragedii.

– Sorry, ale to wszystko brzmi cholernie nieprawdopodobnie – wtrącił Wrona. – Daniel Sikora nie żyje, Lewicki się wszystkiego wyprze, a ty możesz nam wcisnąć każdy kit. Nie kupuję tego. – Założył ręce na piersi i pokręcił głową.

Bruno wiedział, że niekiedy im bardziej człowiek chce udowodnić swoją rację, tym mocniej się pogrąża, dlatego postanowił przerwać tę jałową wymianę zdań. Na odchodne rzucił naczelnikowi zbolące spojrzenie, a później wstał i skierował się w stronę drzwi.

– Poszukajcie sprawy Jakuba Andrzejewskiego, chłopca więzionego za regałem – powiedział, zatrzymując się w progu. – Żeby zrozumieć, kim jest Lewicki dzisiaj, musicie dowiedzieć się, kim był kiedyś.

Szedł spokojnym krokiem, ściskając w dłoni długopis, który tak naprawdę był pendrive'em. Po tym, jak Marian Pękała przerwał rozmowę Brunona z matką Sylwii, komisarz domyślił się dalszego ciągu zdarzeń i tuż przed wizytą w gabinecie szefa przezornie skopiował najważniejsze informacje ze sprawy aspirant Konopackiej do pamięci przenośnej. Zapisał tam również adresy wszystkich Darskich, których znalazł w Warszawie, z myślą, by przekazać je Larysie.

Znał konsekwencje wynikające z prowadzenia śledztwa na własną rękę, ale nie zamierzał się nimi przejmować. Podczas rozmowy z szefem dotarło do niego, że by pokonać wariata, sam musi stać się równie nieobliczalny jak on.

I właśnie to zamierzał teraz zrobić.



– Trzymaj gardę! – krzyczała niewyraźnie do brata, który opuszczał dłonie ubrane w rękawice bokserskie, odsłaniając przy tym twarz.

Larysa i młodszy o dziesięć lat Bartek umówili się na poranny trening w klubie Pięściarz. Za oknami było jeszcze ciemno, zimny wiatr wyszarpywał śmieci z przepelnionych koszy i gnał je opustoszałymi ulicami, złowieszczo przy tym pomrukując. Ludzie o zdrowych zmysłach i ci, którzy nie musieli zrywać się o świcie do pracy, jeszcze spali, zatopieni w pogniecionych, ciepłych pagórkach pościeli. W klubie panowała cisza. Tylko stary mężczyzna, właściciel tego przybytku, a zarazem dawny trener bokserski z Ukrainy, rozsiadł się na drewnianej ławie, siorbiąc czarną jak smoła i gorzką jak piołun kawę. Z uznaniem spoglądał na zwinne nogi chłopaka, ale kiedy przeniósł wzrok na swoją najbardziej zadziorną podopieczną, skrzywił się rozczarowany. Poruszała się wolniej niż zazwyczaj, wydawała się rozkojarzona i nieobecna.

– Lara! – zawołał trener Grisza, rozkładając ręce w geście niezrozumienia. – *Wse dobre?*

Zdyszana dziewczyna dała znak bratu, by się zatrzymał, po czym wypluła na ring ochraniacz na zęby.

– Nie mam pojęcia, co się ze mną dzieje – tłumaczyła, z trudem łapiąc powietrze. – Jakbym nie mogła się obudzić.

– Może to przez te lustra, o których mi opowiadałaś – zażartował Bartek. – Skradły twoją duszę.

Chłopak roześmiał się i zaserwował jej lekkiego kuksańca w bok. W odpowiedzi otrzymał mordercze spojrzenie, które na szczęście po chwili zmiękło.

– *Wipocznij, dziś dostatnio.* – Trener przywołał ich gestem i wskazał miejsce na ławce.

Potań dłonie o siebie, jak miał w zwyczaju robić tuż przed tym, zanim rozgadał się na dobre, opowiadając znane już wszystkim, nieco przykurzone anegdoty z klubu. Nie zdążył jednak otworzyć ust, ponieważ telefon w jego biurze rozwrzeszczał się niespodziewanie i wydawało się, że dzwoniący nie zamierza odpuścić. Grisza niechętnie podniósł się z ławki, wymamrotał coś niezrozumiale pod nosem, po czym zniknął w zagraconej kanciapie. Przez cienkie jak

tektura ściany dolatywały ich chrapliwy śmiech mężczyzny i jego mocny ukraiński akcent.

– Nie gniewasz się? – zapytała dziewczyna, patrząc na brata.

– Że biłaś się jak leszcz i mogłem ci bez trudu skopać tyłek? No coś ty. Cała przyjemność po mojej stronie. W końcu pokazałaś, że nie zawsze jesteś żelazną damą i tak jak wszyscy, masz gorsze dni – wypalił, po czym natychmiast się speszył, bo przypomniał sobie, że po śmierci Pawła Larysa prezentowała stan daleki od idealnego. – Sorry – dodał zakłopotany, chcąc uratować sytuację.

– W porządku. – Poklepała go po ramieniu. – „Miałam zły dzień. Tydzień. Miesiąc. Rok. Życie. Cholera jasna” – zacytowała Charlesa Bukowskiego, pisarza, który podobnie jak ona przepełniony był głębokim sceptycyzmem wobec ludzi, a jednocześnie nieustająco pragnął ich bliskości.

Bartek roześmiał się w ciepły sposób, który zawsze ją rozczulał, jakby tym perlistym dźwiękiem otaczał ją niczym wspierającym ramieniem.

Nie powiedziała mu o Wiśniewskim. Nie chciała go narażać. Pomyślała jednak, że mogłaby go zaangażować w sprawę Diany Darskiej, bezdomnej z Dworca Centralnego, i rozbudzić w młodym studencie politechniki detektywistyczne instynkty.

– Czysto hipotetycznie – zaczęła wyjaśniać – gdybym chciała dowiedzieć się, jakie tajemnice kryje dom z lustrami, czego powinnam użyć? Ukrytych kamer, podsłuchu?

– Teoretycznie powinnaś się do niego w ogóle nie zbliżać – zaznaczył surowym tonem. – Ale oboje wiemy, że nie ma na to szans, dlatego proponuję miniaturowy cyfrowy dyktafon aktywowany głosem. Widziałem takie cacka w sieci. Są nie większe od zapalniczki, działają do czterdziestu dni, a każde nagranie oznaczane jest datą i godziną. Wyprodukowane w niezawodnych Chinach i złożone przez małe, sprytne, żółte rączki. – Kilkakrotnie uniósł i opuścił żartobliwie brwi. – Powiesz mi, do kogo należy dom, który zamierzasz nielegalnie inwigilować?

– Nie, ale dam ci inną zagadkę – oznajmiła z szelmowskim uśmiechem. – Sprawdź, czy pod adresem, który prześlę ci zaraz

w SMS-ie, mieszkała kiedyś Diana Darska. Dowiedz się o niej trochę i daj znać, co udało ci się ustalić. To niedaleko twojego akademika, więc nie nadłożysz drogi, a ja w tym czasie zajrzę do pozostałych lokalizacji.

– Mam pytać o coś konkretnego? Pod jakim pretekstem w ogóle ją zagadnąć?

– Jej raczej już nie spotkasz, nie żyje. Miałaby około czterdziestu lat. Wystarczy, że znajdziesz kogoś z rodziny Diany, resztą zajmę się sama.

Bartek usiłował nasrożyć brwi, ale radość z wyzwania, jakie postawiła przed nim siostra, wygrała i na jego usta wypełził uśmiech. Pogawędzili jeszcze chwilę o jego studiach, Larysa opowiedziała bratu o specyficznej redaktor naczelnej „Newsweeka”, a w końcu jak zwykle, gdy dyskusja zesłała na temat Podlasia i kontaktów z rodzicami, oboje napięli się na tyle, że rozmowa siadła.

Godzinę później, w drodze od osiemdziesięcioletniej Lucyny Darskiej zamieszkującej ciasną, pachnącą zupą kawalerkę na Bemowie, dziennikarkę dopadło poczucie winy. Nie znosiła tego uczucia. Wetknęła do uszu słuchawki i już miała wybrać numer brata, gdy to on zadzwonił do niej.

– Ubiegłeś mnie o sekundę – odebrała. – Chciałam cię przeprosić za moje zachowanie.

– Słucham? Halo? Coś przerywa, powtórz głośniej – wygłupiał się, wypominając siostrze w ten sposób, że jeszcze do niedawna słowo „przepraszam” nie potrafiło jej przejść przez usta.

– Bardzo zabawne.

– Nieustająco – skomentował radosnym tonem zwycięzcy. – Ale lepiej posłuchaj tego. Nie zgadniesz, kto otworzył mi drzwi w mieszkaniu na Mokotowie – zawiesił głos, by odpowiednio zbudować napięcie. – Diana Darska we własnej osobie. Babka na oko czterdziestoletnia, długie włosy, brunetka, powiedziałbym, że niczego sobie.

– Do rzeczy.

– Wyjaśniłem jej, że szukam krewnych innej kobiety o tym samym imieniu i nazwisku, upewniłem się, czy nie miała kogoś takiego

w rodzinie, ale ona zaprzeczyła. Podziękowałem i już zamierzałem odejść, a wtedy ona się rozgadała. – Chrząknął, po czym zaczął mówić miękkim, lekko piskliwym głosem: – Podobno rok temu na jakiejś konferencji branży budowlanej Robert Haller też pomylił ją z jakąś inną Darską. Podeszedł do niej, gdy skończyła swoje wystąpienie na konwencie, zapytał, czy go rozpoznaje, a kiedy wyjaśniła, że nie ma nic wspólnego z poszukiwaną kobietą, odszedł zmieszany.

Larysa mruknęła w zamyśleniu. Jej opuszki palców uderzały o kierownicę do wtóru klikającego kierunkowskazu. Biznesmen zapewne zareagował na znane mu imię i nazwisko, ale skoro nie miał pewności, czy osoba, którą zaczepia, jest tą właściwą, to musiało znaczyć, że ostatni raz widział Dianę dawno temu. Zwykle nawet w ciągu dekady ludzie nie zmieniają się fizycznie aż tak bardzo, a zatem od ich poprzedniego spotkania musiało upłynąć wiele lat, zauważyła.

– Świetnie się spisałeś – pochwaliła brata, parkując samochód pod strzelistym domem na Służewie. – Trzymaj kciuki, idę sprawdzić ostatni adres – rzuciła, nim zerwała połączenie.

Szare niebo ciężko wisiało nad klockowatymi bryłami otynkowanych domów z lat dziewięćdziesiątych, których konstrukcje dziś przyprawiłyby niejednego architekta o ból zębów. Dziewczyna przesunęła wzrokiem po oknach, w większości okratowanych na poziomie parteru, a później, czując dreszcz przemieszczający się w górę pleców, rozważała, ile tajemnic kryją w sobie mroczne podpiwniczenia i co, poza garażami, się w nich mieści. Wzdrygnęła się, patrząc na liczne wylane betonem ścieżki i podjazdy, które zostawiały ledwie skrawki ziemi na przydomowe ogródki. Jedyne fragmenty życia w tych pejzażach wypełnionych zimnem i obojętnością.

Kiedy wciskała guzik domofonu, nie liczyła na wiele. Lady Di mogła nigdy nie meldować się w stolicy albo zmieniać miejsce zamieszkania, co właściwie uniemożliwiałoby jej odnalezienie. W oknie na piętrze pokrytego żółtym tynkiem budynku paliło się ciepłe światło. Luboń wyobraziła sobie, że to lampka, którą ktoś

zapalił do czytania książki albo robótki na drutach, by rozproszyć popielatość ponurej aury. Uśmiechnęła się do siebie, a wtedy z głośnika wydobyły się trzaski i słaby, sprawiający wrażenie nieśmiałego kobiecego głos.

– Słucham?

Dziennikarka wzięła głęboki wdech.

– Dzień dobry, nazywam się Larysa Luboń, poszukuję informacji o rodzinie Diany Darskiej.

– Skąd pani zna ten adres? – Tembr głosu stał się wyraźnie mniej delikatny.

Na to pytanie nie było dobrej odpowiedzi. Nie mogła przecież powiedzieć, że dostała go od znajomego policjanta. Musiała zmyślić naprędce wiarygodną bajeczkę i przedstawić ją na tyle autentycznie, by osoba po drugiej stronie łyknęła blef bez cienia wątpliwości.

– Przekazała mi go Diana. Mam też coś, co należało do jej matki, ale jeśli to pomyłka, to bardzo przepraszam. Poszukam gdzie indziej.

Larysa celowo zamarkowała chęć odejścia i jednocześnie zarzuciła przynętę. Po chwili coś w domofonie skrzypnęło, po czym rozległ się charakterystyczny pisk zwalnianej blokady furtki. Dziennikarka popchnęła metalową bramkę, czując, że jest bliżej odpowiedzi niż dotychczas.



Miniony wieczór Bruno spędził u boku chorego ojca. Aleksander był tak słaby, że właściwie jedynie leżał w łóżku z na wpół przymkniętymi powiekami, wydając z siebie raz na jakiś czas ciche pomruki. Na ścianie przeciwległej do wezgłowia chorego komisarz rozwiesił białe prześcieradło. Później przytargał ze strychu zabytkowy już rzutnik do slajdów i pokryte kurzem pudełka pełne małych, plastikowych ramek, w których zamknięte były lata jego dzieciństwa. Podzielone na kadry, poklatkowane i nieco wyblakłe.

Kiedy montował sprzęt, nie przypuszczał, że lada chwila zaleje go fala tak intensywnych uczuć, niezdolnych do stłumienia. Zaskoczyła

go, a następnie porwała w sam środek czułości, piękna i bólu. Jakby te stany były nierozrwalne i jeden nie mógł istnieć bez drugiego. Wlał w siebie duszkiem szklankę wody, a potem zaczął opowiadać ojcu ich życie. Od początku. Od ślubu rodziców, przez jego narodziny, aż do dnia śmierci matki.

Projektor klikał przy każdej zmianie obrazu, a Bruno, nachylony nad rozpromienioną twarzą Aleksandra, opisywał, co widzi. Alicję w długiej sukni na łące pełnej maków, ojca z błękitnym dziecięcym wózkiem na metalowym stelażu i czterech wielkich kołach, wreszcie ich troje w lunaparku podczas jego ósmych urodzin, na tle olbrzymiego diabelskiego młyna, którym nigdy się nie przejechał.

– Często o niej myślisz? – zapytał, by oderwać się od napierających wspomnień o śmierci matki.

– Nieustannie – wychrypiał Aleksander. – Powiniennem być pozwolić jej adoptować tamtego chłopca – skonstatował gorzko.

W tamtej chwili Bruno chciał pokrzepić ojca. Zaserwował mu jakiś wyświechtany zwrot w stylu „daj spokój”, pocałował lekko spoconą, pachnącą marsylskim mydłem skroń, a później uciekł przed ciężarem odpowiedzi na wątpliwości Aleksandra.

Może dlatego, gdy obudził się rano w swoim mieszkaniu, głowa pulsowała mu ostrym bólem. Jakby jego umysł całą noc rozważał alternatywne scenariusze. Czy gdyby matka Brunona zaadoptowała Jacka Lewickiego, wszystko skończyłoby się inaczej? Czy jej miłość do chłopca, którego nikt nie chciał, potrafiłaby wypłenić kiełkujące w nim nasienie zła? Wilczyński bronił się przed takim stwierdzeniem, a jednak myśl, że decyzja Alicji zaważyła na życiu tylu niewinnych osób, dopadła go i wbiła w jego pierś swoje ostre szpony.

Niczym swędzenie powracało odwieczne pytanie o to, czy niektórzy ludzie rodzą się obarczeni genem zła, czy to okoliczności czynią ich potworami. Jacek mógł być przykładem efektu Lucyfera, opisanego przez profesora Philipa Zimbardo, według którego czasem pod wpływem czynników zewnętrznych zwyczajni ludzie zaczynali czynić zło. Wprawdzie badania amerykańskiego psychologa wielokrotnie kwestionowano, a jednak Wilczyńskiego zastanawiało, kiedy przelała

się czara goryczy Lewickiego. Czy już wtedy, gdy biologiczni rodzice wzięli go za regałem, udając, że nie słyszą jego płaczu? A może w dniu, w którym matka komisarza odepchnęła chłopca i złamała wszelkie złożone mu wcześniej obietnice?

– To obłąd! – warknął Bruno, przyłapując się na tym, że próbuje usprawiedliwić psychopatę.

Wściekły wskoczył pod zimny prysznic i mocno nacierał skórę ostrą stroną gąbki kąpielowej. Ciało piekło, zmieniając kolor na ciemnoróżowy, ale dzięki temu komisarz odrywał się od jałowych rozważań. Kwadrans później z nową energią i odświeżonym umysłem mógł już zasiać do pracy.

Przesunął stół pod okno, ustawił na nim komputer, a obok siebie położył gruby kołowy notatnik w kratkę i plik żółtych samoprzylepnych karteczek, które z jakiegoś powodu stały się jego zawodowym fetyszem. Był gotów wyklócać się o to, że śledztwa, które prowadził bez notowania na jaskrawych fiszkach, grzęzły i trwały znacznie dłużej niż te wspierane karteczkami. Nasłuchując szelestu folii, z miną zadowolenia, a może nawet ekscytacji rozpakował nowy notatnik, po czym starannie poprzyklejał jedną kartkę obok drugiej po lewej stronie blatu. Żółte kwadraty tworzyły teraz siatkę, która powoli zaczęła zapełniać się informacjami.

W pierwszym rzędzie Wilczyński zapisał tropy do sprawdzenia. Znalazły się tam omyłkowy telefon, wykonany przez jakąś starszą kobietę na numer policjantki w dniu jej zaginięcia, i nagranie z centrum handlowego Arkadia. Bruno miał nadzieję, że kamery zarejestrowały twarz osoby, której przestraszyła się Sylwia Konopacka podczas zakupów z matką. Niestety bez odznaki i legitymacji policyjnej wydobyć nagrania od menadżera sklepu czy ochrony galerii graniczyło z cudem.

Przytłoczony świadomością tego, jak bardzo w nowych realiach skurczyły się jego możliwości działania, komisarz uległ przygnębieniu. Ze wzrokiem utkwionym za oknem, miarowo uderzał końcówką długopisu o kartkę aż do chwili, gdy dotarło do niego brzęczenie wibrującej komórki.

– Chwilowo nie ma mnie w domu. – Odebrał niechętnie, rejestrując nieznany numer na wyświetlaczu.

Ktoś po drugiej stronie się roześmiał.

– A myślałem, że to, co o panu mówią na mieście, to tylko legendy.

– Zapewniam, że w każdej z nich jest ziarno prawdy. Jestem dość zajęty, więc przejdźmy do konkretów. Czego chcesz, kim jesteś i dlaczego nikim ważnym?

– Pracuję dla „Faktu”, nazywam się Eryk Manta i jestem autorem publikacji o Jacku Lewickim. – Zrobił wymowną pauzę, jakby oczekiwał spektakularnej reakcji Wilczyńskiego, ten zaś milczał, spodziewając się dalszego ciągu tych rewelacji. – Pomyślałem, że chciałby pan przedstawić swoją wersję wydarzeń na komendzie i... – Nie dokończył, bo Bruno mu przerwał.

– Z wielką przyjemnością – oznajmił entuzjastycznie. – Moja wersja wydarzeń brzmi: spierdalaj. – Ostentacyjnie wcisnął czerwoną słuchawkę i odłożył komórkę ekranem do dołu.

Telefon dziennikarza podziałał na niego jak shot mocnego espresso – w końcu się ocknął i poczuł pulsującą w żyłach motywację. Obiecał sobie, że nie będzie sięgał po karty rozdawane przez Lewickiego, tylko przygotowuje swoją talię.

Potańczało czoło ciepłe od pędzących myśli i równymi, drukowanymi literami wykaligrafował słowo NAWIGACJA. Wiedział, że aspirantka uwielbiała ciepły głos Krzysztofa Hołowczyca i nawet podczas podróży po Warszawie ochoczo korzystała z map samochodowych. Jeśli chciał się dowiedzieć, co robiła przed zniknięciem, musiał przejrzeć rejestr ostatnio wyszukiwanych adresów w komputerze bordowego subaru Konopackiej. Tyle że aby dotrzeć do tych informacji, należało wyprzedzić inspektora Sławomira Wronę, który z dużym prawdopodobieństwem sam wpadł już na ten pomysł, a w trakcie odwiedzin u rodziców Sylwii zapewne nie zawaha się poinformować ich o tym, że Bruno został odsunięty od śledztwa.

Wilczyński gwałtownie zerwał się z miejsca, wsunął stopy w buty, po czym chwycił motocyklową kurtkę oraz kask i czym prędzej pognął do garażu. Widok czarnego ducati panigale, które wprowadzie kosztowało go kilka miesięcy zaciskania pasa i niemały kredyt

zaciągnięty w banku o niemiecko brzmiącej nazwie, jak zawsze sprawił, że policjantowi wzrósł poziom adrenaliny we krwi. Dźwięk mruczącego silnika motocykla łaskotał jego uszy, a zapach spalin przyjemnie drażnił nozdrza.

Mknąc po warszawskich ulicach, komisarz napawał się tym chwilowym poczuciem wolności, a jednocześnie gdzieś z podświadomości dobiegało go tykanie zegara przypominające, że czas Sylwii Konopackiej powoli się kończy.

Przekręcił mocniej manetkę gazu, dzięki czemu wkrótce dotarł do domu rodziców policjantki. Na jego widok ubrana w szeleszczący bezrękawnik Beata Konopacka, która akurat zamiatała teren posesji, zastygła w bezruchu, z jedną ręką na biodrze, a drugą mocno zaciśniętą na drewnianym trzonku miotły.

– Coś się stało – bardziej oznajmiła, niż zapytała. – Znaleźliście ją, tak?

Jej twarz wyrażała olbrzymie napięcie, usta ledwie dostrzegalnie drgały i choć starała się panować nad sobą, Wilczyński był pewien, że wystarczy impuls, by ta fasada pękła.

– Nie – wyjaśnił cicho, dławiony poczuciem winy.

Kobieta spuściła wzrok, a jej ciało oklapło, jakby siła, która trzymała w gotowości mięśnie, wyparowała.

– Przepraszam, myślałam, że skoro tamten policjant też tu jedzie, to coś się wydarzyło. – Podrapała w zakłopotaniu skórę głowy. – Chwilami mam już wrażenie, że tracę rozum. Nieustannie wymyślam, czym jeszcze mogłabym się zająć, żeby tylko nie zwariować i nie wałkować na milion sposobów tego, gdzie ona może być.

Bruno posłał kobiecie pokrzepiający uśmiech, choć tak naprawdę interesowało go jedynie to, przez kogo zostanie lada moment nakryty na bezprawnym działaniu na własną rękę.

– Który z moich kolegów z komendy dokładnie do pani dzwonił? – dopytał.

– Inspektor Wrona. Wydawał się zdenerwowany, dlatego uznałam, że chce mi przekazać jakieś wieści, ale najwyraźniej się pomyliłam.

– Akurat jego tonem głosu bym się nie przejmował. Funkcjonariusz Wrona należy do tego rzadkiego gatunku ludzi, którzy urodzili się z kijem w tyłku.

– To tak jak pan z niewyparzoną gębą – dogryzła mu. – Czy poza tymi wątpliwej jakości żarcikami przywiózł pan jakieś informacje dla mnie? Gdzie ona jest? Udało się wam cokolwiek ustalić czy drepciecie w miejscu, jak zwykle?

Pogarda w jej głosie sprawiła, że na sekundę spuścił wzrok, a jego klatkę piersiową przygniół ciężki kamień. Miał wrażenie, jakby otrzymał od niej piekący policzek, na który w pełni zasłużył. Sylwia zaginęła w nocy z soboty na niedzielę, a w czwartek oni nadal nie wiedzieli niczego. Jak pieprzone żółtodzioby.

Chciał coś powiedzieć, ale wszystkie słowa wypowiedane w myślach wydawały się niezręczne, w jakiś sposób kanciaste i tandetne. Beata najwyraźniej zauważyła, że nie doczeka się odpowiedzi.

– Co pan robił przez cały ten czas? – zaatakowała. – Minęły cztery dni. Cholernie długie dni i noce, a moja córka nadal siedzi gdzieś tam sama i przerażona. Jak panu nie wstyd? Przychodzi pan tutaj z pustymi rękami i tą swoją arogancją wypisaną na twarzy, jakby nic się nie stało. Rzygać się chce. – Splunęła mu pod nogi. – Gdyby chodziło o pana, Sylwia nie kładłaby się spać, żeby pana odnaleźć. A wie pan dlaczego? Bo uważałyby, że pan by dla niej zrobił to samo. Więc niech się pan ogarnie, do cholery, i nie wraca tu bez mojej córki! – krzyknęła roztrzęsiona, po czym zaczęła płakać.

Miotła z łoskotem upadła na beton. Konopacka rozejrzała się nieporadnie, jakby nie wiedziała, co powinna teraz zrobić z rękami. Przypominała zagubione dziecko. Wilczyński przyciągnął ją do siebie, objął ramionami i milcząco słuchał płaczu kobiety. Bał się poruszyć, by nie zerwać tej cienkiej, niemal pajęczej nici zaufania, która właśnie się między nimi nawiązywała. Wbrew temu, co mu zarzucała, nie czuł wstydu, przenikał go palący gniew. W jego trzewiach rozszalał się huragan. Szarpiący od środka. Taki, który mógłby popchnąć człowieka na skraj obłądu. Przełknął ślinę dopiero wtedy, gdy płacz Beaty ucichł.

– Muszę dostać się do jej samochodu – wymawiał każde słowo ostrożnie, jakby bał się, że ją spłoszy.

Matka Sylwii zgrabnie wyśliznęła się z ramion policjanta, otarła wilgotną twarz, po czym z kieszeni bezrękawnika wyjęła klucz do subaru.

– Siedziałam w nim wcześniej. Szukałam jej zapachu. – Wzruszyła ramionami, a później bez słowa odeszła do swoich obowiązków.

Komisarz miał świadomość, że jego czas się kurczy. Inspektor Sławomir Wrona mógł się pojawić na posesji Konopackich w każdej chwili, a to wywołałoby karczemną awanturę, na którą Wilczyński nie chciał marnować energii.

Z trudem wcisnął się na fotel kierowcy mocno dosunięty do deski rozdzielczej, co przypomniało mu, że aspirantka była od niego sporo niższa. Kiedy już wyregulował siedzenie i przestał się czuć we wnętrzu samochodu jak olbrzym, uruchomił komputer pokładowy, przełączył na nawigację, a następnie wszedł w zakładkę „ostatnie adresy”. System zamontowany w subaru wyświetlał dziesięć ostatnio odwiedzonych miejsc. Bruno sfotografował listę z nadzieją, że okażą się one czymś więcej niż tylko zbiorem nazw ulic i numerów.

Przez moment rozglądał się po wnętrzu. W duchu obiecał sobie, że prosto z domu Konopackich pojedzie do knajpy, w której po raz ostatni widziano policjantkę, ale na razie jeszcze szukał znaków, czegoś, co pomogłoby mu ujrzeć sprawę w nowym świetle. Na próżno. Dostrzegł jedynie napoczętą paczkę chusteczek higienicznych, szminkę w schowku i miniaturową torebkę żelków Haribo. Poczęstował się misiem w żółtym kolorze, a później jakby coś go podkusiło, sięgnął po szminkę i napisał nią na tapicerce wiadomość dla inspektora.

Żałował, że nie zobaczy jego wyrazu twarzy, ale jednocześnie nie chciał być blisko, gdy Beata Konopacka dowie się, co przed nią zataił.



Czarna herbata ze szklanki w metalowym uchwycie smakowała wspomnieniami lat dorastania. Larysa pociągnęła duży łyk, a po jej wnętrzu rozlało się przyjemne ciepło. Dom Matyldy Darskiej wypełniał zapach palącego się w kominku drewna. W tle słychać było trzaski iskier, strzelanie płomieni i szczęk pękających polan. Dźwięki otulały zatopioną w skórzanym fotelu dziennikarkę jak miękkiej pled. Przywodziły na myśl zawsze rozgrzane dłonie komisarza Wilczyńskiego, jego szerokie ramiona i poczucie bezpieczeństwa, które w nich odnajdywała. Być może Bruno, podobnie jak języki ognia, rozpuszczał w niej wszystko, co zamarzło. Uśmiechnęła się tajemniczo, a gdy uniosła wzrok, dostrzegła przyglądającą się jej kobietę, która chwilę wcześniej przyznała, że jest matką Diany, i właśnie wróciła z kuchni z cukiernicą w rękach.

Zajęła miejsce po drugiej stronie ławy, po czym wsypała do szklanki dwie kopiaste łyżki białego cukru i mieszając, zwróciła się do swojego gościa:

– Dlaczego interesuje panią moja córka?

Luboń rozpięła suwak bluzy i zręcznym ruchem ściągnęła z szyi łańcuszek, na którym wisiał medalik Matki Boskiej Niepokalanej depczącej węża. Kątem oka dostrzegła, że Matylda Darska zeszywniała, a szklanka z herbatą, którą unosiła do ust, wróciła na stół, nim kobieta zdążyła się napić.

– Diana wręczyła ten medalik mojemu przyjacielowi z prośbą, by oddał go jej matce. – Podała srebrny łańcuszek Matyldzie. – Poprosiła też, by przekazać, że pani wybacza.

W głębi oczu gospodyni mignęły iskry gniewu.

– Bezczelna dziewczucha – fuknęła, rzucając przedmiot na ławę. – Proszę to stąd zabrać. Ona mi wybacza? Ona? Też mi coś. – Prychnęła. – To ja mogłabym zdobyć się na gest i zapomnieć o tym, jak mnie upokorzyła, ale Bóg mi świadkiem, nie mam takiego zamiaru. – Zaciskała dłonie w pięści. – Mam nadzieję, że po śmierci trafiła tam, gdzie jej miejsce. Dla mnie to już skończona sprawa.

Larysa wyprostowała się i zamrugowała intensywnie.

– Pani wie, że ona nie żyje?

– Oczywiście, że wiem.

– To dlaczego jej zdjęcie nadal wisi na stronie Komendy Stołecznej jako niezidentyfikowane? Czy ktoś z policji się z panią kontaktował?

Kobieta bawiła się uchwytem szklanki, ale w końcu przeważyła w niej potrzeba wylania swoich żali.

– Owszem, zadzwonili do mnie – przyznała. – Podobno jacyś bezdomni wiedzieli, jak się nazywała, i w ten sposób mnie odnaleźli. Weszłam do internetu, zobaczyłam ją, a potem powiedziałam tym policjantom, że jej nie znam – oznajmiła z zaciętą miną. – Widziała pani, jak wyglądała na tych zdjęciach? Co ze sobą zrobiła? Gruba, rozlazła i zapijaczona. Jak jakieś monstrum.

– Nie chciała jej pani pochować? – Oczy Larysy swoim rozmiarem zdradzały, jak bardzo jest zszokowana.

– Kogo? Tej narkomanki i dziwki? Znajomy spotkał ją kilka lat temu na dworcu w Berlinie, jak szukała klientów. – Wzdrygnęła się. – To już nie była ona. Moja córka umarła dla mnie dawno temu, gdy uciekła z domu. – Gniotła w palcach rąbek swetra. – Diana nigdy nie była łatwym dzieckiem. Ledwie skończyła dziesięć lat, a już smarkuła zaczęła pyskować, wracać późno i zadawać się nie wiadomo z kim, a jak coś jej nie pasowało, to krzyczała, że nas nienawidzi. Dlatego podarowałam jej ten medalik. Miałam nadzieję, że może Maryjka jakoś ją ochroni, ale i to nic nie dało. – Pokręciła głową z dezaprobatą.

Luboń zamrugła skonsternowana, ale Matylda najwyraźniej tego nie dostrzegła, bo kontynuowała swoją opowieść:

– Diana przyszła tu jakiś miesiąc temu. Wyobraża sobie pani? Po dwudziestu czterech latach zwyczajnie zapukała do drzwi, jakby nic się nie stało. I jeszcze miała czelność mówić do mnie „mamo” – sarknęła. – Cała brudna, potargana i śmierdząca. Upierała się, że chce mi coś powiedzieć, ale nie miałam ochoty jej słuchać. Kazałam się jej wynosić i nigdy nie wracać.

Kobieta złożyła ręce na podołku. Oddychała ciężko, jednocześnie wyzywająco patrząc Larysie w oczy. Dziennikarka dostrzegła jej nieme oczekiwanie potępienia, ale nie zamierzała go dać Matyldzie. Ostatnio coraz częściej myślała, że krzywdzenie innych jest

przerzucaniem na nich cierpienia, którego sami nie potrafimy udźwignąć. Patrząc na dogasające ognisko w kominku, zapytała:

– Czy coś łączyło Dianę z rodziną Hallerów? Mam na myśli właścicieli koncernu Haller Investments.

Darska ściągnęła brwi i rozchyliła wargi, a przy tym zaczęła niespokojnie wiercić się w fotelu.

– Z tego, co wiem, to nic.

– To znaczy, że nie mogła znać Roberta Hallera?

– Tego młodego prezesa? Niby skąd? Ludzie tacy jak my nie przyjaźnią się z takimi jak oni. To dwa różne światy. Obserwujemy ich, zazdrościmy im, nienawidzimy ich i jednocześnie chcemy być tacy jak oni, ale to wszystko. Nie ma takiej możliwości, by Diana знаła Roberta Hallera. Zresztą ona miała jakiegoś chłopaka, wydzwaniał tu, gdy uciekła z domu. Szukał jej przez kilka lat.

To zaintrygowało dziennikarkę.

– Wie pani, jak się nazywał?

– Nie, nigdy się nie przedstawił. Bardzo uprzejmy, miły głos. Czasem chyba dzwonił z zagranicy, bo w tle słychać było język angielski.

Larysa pamiętała, że Robert Haller studiował w Londynie, jak jego ojciec. Jeśli później biznesmen zaczepiał inne kobiety o tym imieniu i nazwisku, równie dobrze mógł dzwonić do domu Darskiej. Nie przyznał, kim jest, by nie robić sensacji.

Dziewczyna podniosła się z fotela, który zaskrzypiał, jakby odetchnął z ulgą. W drodze do drzwi sunęła zmęczonym wzrokiem po zdjęciach wyeksponowanych na regale. Przedstawiły Matyldę z dzieckiem w różnych przepięknych radością sceneriach. Luboń automatycznie założyła, że prezentują małą Dianę, i dopiero gdy znalazła się w przedpokoju, dotarło do niej, że dziecko na fotografiach nie było dziewczynką, tylko ślicznym chłopcem o zielonych oczach i z drewnianym konikiem w dłoniach.

– Ma pani jeszcze jedno dziecko? – zwróciła się do kobiety. – Chodzi mi o te zdjęcia w salonie.

Matka Diany objęła szczupłe ciało ramionami, smutno kiwając przy tym głową.

– To Wojtuś, kochane maleństwo. – Patrzyła w dal niewidzącym, zaszklonym wzrokiem. – Ojciec wywiózł go do Niemiec niedługo po tym, jak Diana uciekła. Porwał go w nocy, gdy spałam. Pewnie mu naopowiadał bzdur, że jadą na wycieczkę czy coś, a potem zabrał go do tej swojej kochanicy i kazał mówić do niej „mamo”. – Zacisnęła mocno szczęki. – W sądzie wyparł się wszystkiego. Oczywiście potwierdził, że zostawił mnie dla innej kobiety, ale nigdy nie przyznał się do zabrania Wojtka. Oszukał wszystkich, a ja wyszłam na wariatkę. Policja sprawdziła wszelkie tropy. Szukali małego w Polsce i za granicą, podejrzewali nawet mnie, a później się poddali. Tak to jest, jak dzieje się nam krzywda, nikogo tak naprawdę nie obchodzi ból drugiej osoby.

Larysie zrobiło się żal Matyldy. W jednym momencie opuściła ją córka, której nie kochała, syn, który był dla niej wszystkim, i mąż, na myśl o którym przepełniała ją gorycz.



Niektórzy uważają, że przypadek jest tym, co wypada opatrności z rąk. Według Brunona jest raczej tym, co wymknęło się uwadze sprawcy. Wilczyński nigdy nie wierzył w przypadki, dlatego gdy spotykał na swojej drodze zbiegi okoliczności, przyglądał się im z wyjątkową podejrzliwością. Dla niego owe zrządenia losu nie były niczym więcej, jak tylko tropami w śledztwie, za którymi z ciekawością podążał.

Kiedy zsiadał z motocykla na skraju ulicy Wyczółki, w miejscu, w którym szpaler pozbawionych liści drzew oddzielał posesje od toru wyścigów konnych Służewiec, w powietrzu wyczuł woń spalin i smród końskich odchodów. Skrzywił się z niesmakiem, a jego żołądek wykonał salto. Głód, który dopadł go już podczas wizyty u matki Sylwii, wzmagął się, przez co każdy silny zapach działał na zmysły policjanta drażniąco. Otarł wilgotne czoło, przełknął ślinę, po czym pchnął niedomkniętą furtkę niewielkiego murowanego domu, porośniętego bluszczem od strony ulicy.

Na zagraconym podwórku piętrzyły się ułożone w stosy stare, drewniane okna, obłazące z farby, w rogu stała zdezelowana i wypłowiała kanapa, a na środku uwagę przyciągała sterta gruzu. Wyleniały, chudy kundel, uczepony na łańcuchu do zbitej z desek, prowizorycznej budy, na widok obcego zaczął wściekle ujadać, dziko podskakując. Zwierzak w szale trącał metalową miskę, która przewracała się i dzwoniła o betonową wylewkę. Z jakiegoś powodu ta niechlujna sceneria obudziła w Brunonie niepokój i jeszcze większą czujność. Automatycznie sięgnął do paska po broń, ale szybko zdał sobie sprawę, że przecież musiał ją zostawić w komendzie.

W drodze do wejścia jego uwagę przyciągnęła srebrna skoda fabia ze zmiętym kocem na tylnej kanapie i opróżnioną butelką wódki na siedzeniu pasażera. Wilczyński położył dłoń na masce samochodu, która okazała się jeszcze ciepła, po czym ostrożnie wszedł schodami na piętro i mocno zastukał do drzwi. Otworzyła je babinka w długiej włóczkowej kamizelce, podpierająca się na kulach. Pachniała znanym mu, słodkawym i mdlącym zapachem starych ludzi, a jej wypłowiałe oczy zerkały zza grubych okularów w plastikowej oprawie.

– Dzień dobry – przywitała się głośno, prawie jakby krzyczała. – Pan policjant? To pan dzwonił? – dopytywała, mrużąc oczy.

Bruno wyjaśnił, kim jest, ale zauważył, że tylko część tych informacji dociera do kobiety o białych włosach. Staruszka najwyraźniej miała poważne problemy ze słuchem. Za każdym razem, gdy mówił, nachylała się w jego stronę i kiwając głową, wykrzywiała usta, w których kącikach gromadziła się zaschnięta ślina.

– Czy jest pani pewna, że w minioną sobotę nie dzwoniła pani do Sylwii Konopackiej? – starannie wyartykułował każde słowo.

– No po cóż bym dzwoniła? Toż mówiłam tamtemu panu, że ja nie znam tej kobiety. Coś źle nacisnęłam pewnie. Stara jestem, to i głucha, i ślepa. – Zarechotała suchym śmiechem. – Wejdzie pan, bo pierogi mi się rozgotują.

Kobieta szła przodem, z trudem stawiając kolejne kroki, a jej stopy odziane w góralskie bambosze z grubym kożuszkim rytmicznie szurały o podłogę. Wreszcie doprowadziła gościa do ciasnej kuchni, wskazała mu drewniany ikeowski taboret z okrągłym siedziskiem, sama zaś cedzakiem zaczęła wyciągać pierogi z wielkiego emaliowanego garnka. Układała je na półmisku, posapując przy tym z wysiłku.

– Dużo jedzenia jak na jedną osobę. Mieszka tu ktoś z panią? – zagaił Wilczyński.

– No dużo, dużo. Na zimę będzie jak znalazł. Te są na dzisiaj, a reszta do zamrożenia.

Staruszka dumnie zaprezentowała rzędy surowych pierogów ułożone na posypanej mąką stolnicy i skryte pod kuchenną ścierką. Jej niedopowiedzenie zdawało się wynikać z problemów ze słuchem, aczkolwiek Bruno uważał, że to jedna z tych kobiet, do których dociera tylko to, co same chcą usłyszeć.

– A ten samochód pod domem to pani?

– No mój, ale to rupieć gorszy jak ja. – Machnęła ręką. – Sterczy tam tylko i ludzi straszy. Może trzeba by go sprzedać czy co. Tyle że ja już nie mam głowy do takich rzeczy. Jeszcze by mnie oszukali i nic by z tego nie wyszło.

Komisarz pomyślał, że kłamstwo może być sztuką, a ta kobieta opanowała ją do perfekcji. Nie zdradzała się nerwowymi gestami, wszystkie jej ruchy były płynne i spójne, a mimika twarzy pozostawała łagodna. Gdyby nie dotknął wcześniej maski skody, łykałby jej bajeczki jak młody pelikan. Jeśli poruszała się o kulach, nie mogła prowadzić auta, a to znaczyło, że kogoś kryła.

– Jedna rzecz nie daje mi spokoju... – Zawiesił głos, by przyciągnąć uwagę staruszki. – Skoro ten telefon to była zwykła pomyłka, to dlaczego połączenie trwało aż trzydzieści sekund?

Mistrzynie łągarstwa nawet nie mrugnęła. Sięgnęła po talerz, na który przełożyła kilka pierogów z półmiska i z uśmiechem zaserwowała je swojemu gościowi.

– Z mięskiem i warzywami. Lepiej jeść, póki gorące.

Zapach jedzenia łaskotał nozdrza i uruchamiał ślinianki w ustach Wilczyńskiego, a gdy chwilę później kobieta polała danie tłuszczem ze smażoną cebulą, komisarz miał ochotę się oblizać.

– Pytałem, o czym rozmawiała pani z zaginioną policjantką przez pół minuty – powtórzył z kamienną twarzą, jakby aromat tańczący w powietrzu nie robił na nim wrażenia.

– O niczym. Myślałam, że dodzwoniłam się do Celiny, mojej bratowej. Numer wpisuję zawsze z pamięci i pewnie wszystko pomyliłam. Wie pan, guziczki takie małe robią teraz w tych telefonach, a stary palec gruby, to nieraz się omsknie.

Bruno zamierzał wyłożyć swoją najsilniejszą kartę na stół, lecz zanim zdążył przycisnąć gospodynię o to, dlaczego aspirant Konopacka miała wpisany w nawigacji jej adres, usłyszał stuknięcie na piętrze, przypominające odgłos upuszczonego przedmiotu uderzającego o podłogę.

– Czy mógłbym skorzystać z toalety? – zapytał, niewinnie się przy tym uśmiechając.

Kobieta wyjaśniła mu, gdzie znajdzie łazienkę, i gdy tylko wróciła do pakowania pierogów w małe foliowe woreczki, komisarz zmienił kierunek swojej eksploracji i zaczął rozglądać się po domostwie. Jego dłoń lekko nacisnęła kłamkę zamkniętego pomieszczenia naprzeciwko toalety, a następnie popchnęła oszklone drzwi, ukazując pokój, który zapewne służył starszej pani za sypialnię. Obok regału upstrzonego obrazkami świętych znajdowało się niepościelone łóżko i mały stolik z radiem.

– Pomylił pan drogę – odezwała się emerytka, która niespodziewanie wyrosła za jego plecami. Tym razem poruszała się bezszelestnie. A zatem tak też potrafiła, pomyślał. – Łazienka jest za pana plecami.

Wilczyński odegrał zmieszanego. Czujny wzrok kobiety odprowadził go we wskazane miejsce, a on poczuł, że robi się mu coraz bardziej gorąco. Kiedy tylko zarygłował za sobą drzwi, odetchnął z ulgą. W lustrze jego twarz sprawiała wrażenie wymizerowanej. Białe policzki, podbiegnięte fioletem oczodoły i czerwone z niewyspania oczy. Pokręcił głową z zażenowaniem wobec faktu, że kobieta w tym

wieku wodziła go za nos. Dla niepoznaki spuścił wodę, ale coś najwyraźniej było popsute, ponieważ ze spluczki doleciał go najpierw bulgot, a po chwili nieprzyjemny pisk.

– Zapomniałam powiedzieć! – krzyknęła. – Spuszczamy wodę deszczówką, ale ostatnio coś się zepsuło. Trzeba będzie to przełączyć na sieć.

Bruno wypadł z łazienki.

– Spuszczamy? Pani i kto?

Nie czekając na wyjaśnienia, minął kobietę i ruszył schodami na piętro. Staruszka wsparta na kulach obserwowała go z bezradnością w zmęczonych oczach. Komisarz zauważył jakiś ruch na końcu korytarza, rzucił się przed siebie, szarpnął za drzwi, ale w momencie, gdy je otworzył, chłopak, którego przyłapał na kamiennym parapecie, zerknął na niego i wyskoczył przez okno. Wilczyński przeklął siarczyście. Wielkimi susami zbiegł na dół, po czym ruszył w stronę wyjścia, ale właśnie wtedy staruszka podstawiła mu kulę, a on runął z łoskotem na podłogę. Kiedy się otrząsnął i dotarł do podwórka, nie było śladu ani po chłopaku z żelem na włosach, ani po srebrnej skodzie fabii.

Wściekły wrócił do domu, podszedł blisko do kobiety, która zwarła usta w wąską kreskę, i nachylając się nad jej twarzą, wysyczał:

– Kto to, do cholery, był?

– Wnuk mojej siostry – odparła buńczucznie, jakby nie zauważyła, że czas jej przedstawienia już minął.

– Czy to on dzwonił do aspirant Konopackiej z pani telefonu?

– Może i on.

– Koniec tych gierek. Wie pani, co grozi za składanie fałszywych zeznań? Moja koleżanka zaginęła, a pani krewny jest głównym podejrzanym – skłamał, by ją nastraszyć, a gdy dostrzegł niepokój na jej twarzy, uznał, że trafił. – Jak on się nazywa?

– Jędrzej Sobiech.

– Gdzie go znajdę?

Staruszka prychnęła.

– Pewnie na jakiejś melinie albo jeszcze gorzej. I po co pan chłopaka straszył? Bo gdzieś zadzwonił? Z koleżanką chciał

pogadać? Nie macie już co robić w tej policji, co? Tylu bandytów po ulicach chodzi, a wy biednego dzieciaka ganiacie. Ledwie co z Anglii przyjechał. Jazda mi stąd! Szacunku do starszych za grosz. I pomyśleć, że ja za taką Polskę w powstaniu walczyłam. – Wygięła usta w wyrazie obrzydzenia. – Niczego więcej się pan ode mnie nie dowie. Jazda, bo psem poszczuję.

W ustach komisarza rozszedł się gorzki smak porażki. Bez uprawnień mógł co najwyżej wdać się z kobietą w jałową dyskusję, która skończyłaby się jeszcze większym kacem moralnym. Wyciągnął z kieszeni długopis i na starej gazecie zapisał swój numer.

– Jak już zacznie mu się palić pod tyłkiem i dobiorą się do niego moi koledzy, niech zadzwoni.

– A czemu to?

– Powiedzmy, że ja gram dobrego glineę, a tamci złych – powiedział i opuścił dom na Wyczółki.



Po spotkaniu z matką Diany Darskiej Larysa czuła się, jakby zsiadła z karuzeli. Im więcej wiedziała, tym mniej rozumiała, a jednocześnie historia zabitej bezdomnej miała na nią coraz bardziej magnetyzujący wpływ. Jakby trafiła do labiryntu, który ją wabił. Zahipnotyzowana brnęła w ciemność, korytarze rozwidlały się, tworząc nowe ścieżki, i choć zdawała sobie sprawę, że jeśli podąży naprzód, w sam środek kłębowiska dróg, coraz trudniej będzie jej trafić do wyjścia, nie potrafiła oprzeć się wołaniu.

Luboń wierzyła, że jeśli zdoła odkryć motyw zabójstwa kobiety i powiązania między Darską a Hallerami, wyjaśni nawarstwiające się tajemnice. Najbardziej jednak pragnęła, by jej przyjaciel, Paweł Wiśniewski, mógł wyjść z ukrycia. O ile gdzieś tam jeszcze był.

Przeglądając artykuły z dziewięćdziesiątego piątego roku dotyczące zaginięcia Wojtusia Darskiego, natknęła się na znajomo brzmiące nazwisko reportera – Grzegorz Brzozowski. Powtarzała je w myślach w nadziei, że dzięki temu coś drgnie w odmętach pamięci, a ona

zrozumie, skąd je kojarzy, ale wspomnienia nadal spowijała gęsta mgła. Wreszcie sprawdziła listę kontaktów w telefonie i zaskoczona parsknęła śmiechem.

Niekiedy najprostsze rozwiązania okazują się najlepsze, pomyślała, po czym wybrała numer dziennikarza.

– Larysa? – odebrał zaskoczony, a barwa jego głosu wywołała z jej podświadomości kadry sprzed miesiący. – Pupilka Wiśni?

Nagle przypomniała sobie, gdzie miała okazję natknąć się na mężczyznę. Zarozumiały gbur, jak mawiał o nim Wiśniewski, był znajomym Pawła ze Stowarzyszenia Dziennikarzy i już wcześniej wspierał ją swoją wiedzą, a ściślej, skwapliwie podzielił się kilkoma niamiarami, gdy został postawiony pod ścianą.

– We własnej osobie – potwierdziła. – Szukam informacji na temat sprawy zaginionego chłopca, sześciolatniego Wojtka Darskiego. Pisałeś o tym sporo w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych.

– No proszę, nic się nie zmieniło, nie tracisz czasu. Nadal konkretna i bezpośrednia. Szczerze mówiąc, nie powiem ci wiele więcej, niż przeczytałaś w moich artykułach. To było dawno temu, a ja wciągam za dużo cholesterolu, żeby pamiętać szczegóły. Chyba najbardziej mógłby pomóc ojciec małego.

– Tyle że mieszka za granicą.

– Już nie. Wrócił do Polski kilka lat temu. Wpadliśmy na siebie kiedyś na piwie w Lolku. Mam jego numer i mógłbym pomóc, ale nie ma nic za darmo. – Zarechotał. – Może wyskoczmy razem na jakiegoś drinka?

Dziewczyna przewróciła oczami, nie mogąc uwierzyć w zuchwałość dziennikarza. Po chwili stwierdziła jednak, że drobna manipulacja jeszcze nikomu nie zaszkodziła, i zarzuciła przynętę.

– Jasne, wpadaj do chińczyka przy metrze Służew.

– Teraz? – Wydawał się zszokowany.

– Teraz albo nigdy, za godzinę muszę stąd wyjść, mam ważne spotkanie, ale jak się postarasz, to na pewno zdążysz. Twoja decyzja.

Rozłączyła się jak najszybciej, by mężczyzna mógł zrobić to, co przedstawiciele jego płci lubili najbardziej. Gonić króliczka.

By zająć czymś głowę, zaczęła robić notatki w grubym notesie w linie. Skulona na krześle pod oknem w barze azjatyckim nieopodal centrum handlowego Land usiłowała zebrać myśli i przygotować się na spotkanie z Maciejem Hallerem, najstarszym synem Ryszarda oraz członkiem rady nadzorczej koncernu. Z kuchni dobiegał syk smażonych na patelni dań, salę, pomalowaną wściekle czerwoną farbą, wypełniał gwar rozmów, a zapach tłuszczu wgryzał się w ubranie, włosy i skórę, by zostawić na nich trudny do usunięcia ślad. Larysa jednak, niewzruszona ciężką wonią ani knajpianym zgiełkiem, przeczesywała internet w poszukiwaniu informacji o swoim przyszłym rozmówcy.

Kiedy kończyła kurczaka w sosie słodko-kwaśnym, zdołała uporządkować zebrane dotychczas informacje. W jej notesie pod nazwiskiem pięćdziesięcioletniego Macieja Hallera można było przeczytać, że mężczyzna wciąż pozostawał kawalerem, ukończył prestiżowy Uniwersytet w Cambridge i gdy rok temu jego ojciec odsuwał się w cień, by ustąpić miejsca młodszemu pokoleniu, to właśnie pierworodny syn był typowany przez media jako pretendent do objęcia fotela prezesa. Ku zaskoczeniu wszystkich stanowisko objął jego brat, co sprawiło, że Maciej jeszcze bardziej pograżył się w hazardzie i alkoholu, rozrywkach, które od lat z upodobaniem kultywował. Portale plotkarskie wręcz puchły od kąśliwych doniesień o wypadkach samochodowych syna potentata, jego bójkach w klubach dla gentelmanów czy nadmiernej rozrzutności. Maciej stanowił uosobienie rozpuszczonego bogacza. Budził w ludziach niezdrową ciekawość, zazdrość i jednocześnie pogardę.

Larysę nurtowało, dlaczego ktoś nastawiony tak buntowniczo mimo swojego wieku, możliwości i majątku zdecydował się nadal mieszkać w rodzinnej willi u boku ojca, który podarował mu zapewne jedno z większych życiowych rozczarowań. Czy mogło chodzić o matkę pograżoną w depresji? – zastanawiała się. Być może pragnął być blisko niej, by chronić ją przed chorobą.

Albo przed ojcem, który trzymał żonę zamkniętą w pokoju na poddaszu, dopowiedziała bujna wyobraźnia. Od wizyty w rezydencji Hallerów myśl o tym, że Łucja może być przetrzymywana wbrew

swojej woli, prześladowała dziennikarkę i choć z logicznego punktu widzenia nie miała sensu, to jednak nijak nie chciała odejść.

Rozważania Luboń przerwało nagłe wtargnięcie do lokalu Grzegorza Brzozowskiego, dziennikarza mającego około sześćdziesiątki, z wydatnym brzuchem, zaczerwienionymi policzkami i lekką zadyszka. Uśmiech, który mężczyzna prezentował na twarzy, mógł równie dobrze zdobić lico osoby, która właśnie dowiedziała się, że wygrała na loterii. Absurdalnie szeroki, odsłaniający zęby aż po różowe dziąsła rogal.

– To co pijemy? – zagadał, rozcierając skostniałe z zimna czerwone dłonie. – Mają tu coś w ogóle? – Rozglądał się wokół.

– Ja dokończę swoją wodę, a tobie chyba dobrze zrobi butelka czegoś zimnego.

– Może to i racja, skoro mam tak gorącą towarzyszkę przy stole. – Spojrzenie, którym ją obdarzył, lepiło się do jej ciała, sprawiając, że czuła się brudna.

Kiedy podniósł ciężkie od nadprogramowych kilogramów cielsko, westchnęła z niechęcią, a następnie przymknęła powieki i wzięła głęboki wdech. W myślach pocieszała się, że gdy tylko wyciągnie z reportera potrzebne jej informacje, ta żenująca schadzka dobiegnie końca. Jednak patrząc na szerokie plecy mężczyzny, jego rzadziejące włosy i niezgrabne ruchy, poczuła niespodziewany żal. Miała przed sobą obraz tego, jak niekiedy trudno pogodzić się z przemijaniem. Jakby Brzozowski swoim tupetem próbował ocalić ostatnie iskry młodości, które w nim zostały. Na siłę chciał zatrzymać tamtego bezczelnego chłopaka, którym kiedyś był, ale nie zauważył, że nie przystawał on do ciała sześćdziesięciolatka. W efekcie z bystrego i nagradzanego dziennikarza przeistoczył się w podstarzałego podrywacza o mało wyrafinowanych manierach.

– No, to co tam chcesz wiedzieć o sprawie Darskich? – Wrócił do stolika z puszką żubra.

– Najbardziej interesuje mnie Diana, starsza siostra Wojtka. Według matki uciekła z domu jako szesnastolatka, na krótko przed zaginięciem brata. Nie rozumiem, dlaczego żaden z artykułów, które

znalazłam w archiwach, nawet o niej nie wspomina. Jakby nigdy nie istniała. Pomyślałam, że jej ojciec może wiedzieć więcej.

– Nie byłbym tego taki pewien – oznajmił sceptycznie. – Tadek od tamtej sprawy sporo pije i, jak by to ująć, traci niekiedy kontakt z rzeczywistością. Kiepsko poradził sobie ze zniknięciem syna, a żona go właściwie zniszczyła. Wiesz, mały zniknął z domu w środku nocy, żadnych śladów włamania, zero hałasów, jakby wyszedł z kimś, kogo dobrze znał. W sumie nic dziwnego, że podejrzenia padły na ojca. – Rozłożył ręce, jakby mówił tym gestem „voilà!”. – Niby sąd oczyścił później Tadeusza z zarzutów, ale co się do człowieka przyklei, to już z nim zostaje. Ludzie do końca będą się zastanawiali, czy to jednak nie on zrobił coś temu dzieciakowi. – Pokręcił głową i pociągnął długi łyk z puszki. – Nawet jego partnerka, ta, dla której wyjechał do Niemiec, przestała mu ufać. A co on takiego zrobił? Że wpisał młodego do paszportu? I co z tego? Gdyby wywoził Wojtka, na pewno ktoś by to zauważył. To był dziewięćdziesiąty piąty rok, trzepali ludzi na granicy, zaglądali do bagażników, sprawdzali samochody z psami, a sześciolatek nie jest tak drobny, żeby go ukryć pod siedzeniem.

– Czyli jest niewinny?

– Jak łąza. No prawie, bo wtedy w Lolku wyznał mi, że tak naprawdę to chciał zabrać dzieciaka, ale przestraszył się tego, jak jego żona sobie poradzi. Diana gdzieś się zawieruszyła. Był pewien, że to chwilowe, nie pierwszy raz nawiała, więc specjalnie się tym nie przejmował, ale gdyby jednak nie wróciła, a on wyjechałby z Wojtkiem, jego żona zostałaby całkiem sama. A tego nie chciał jej robić.

Larysę intrygowało, jak mało uwagi dostała w tym wszystkim starsza siostra chłopca. O jego zaginięciu pisała każda gazeta w kraju, a jej ucieczka nikogo specjalnie nie obeszła.

– Nikt nie szukał tej dziewczyny? Nie zgłosił, że zaginęła?

– A co mam ci powiedzieć? W każdej rodzinie są dzieci mniej i bardziej kochane. Te problematyczne i te, z którymi wszystko idzie jakoś źle. Niby mówi się, że rodzice tak samo kochają każde dziecko.

– Prychnął. – Pierdolety. Diana była dla nich niewygodna, wymagała

wysiłku, a jak starzy są skupieni tylko na sobie, to skąd mają wziąć jeszcze parę dla dzieciaka? – Wzruszył ramionami i w kilku łykach opróżnił puszkę. – Wojtuś to był słodki chłopiec. Taki z podręcznika, grzeczny, miły i bezproblemowy.

– Dasz mi telefon do Tadka? Spróbuję coś z niego wyciągnąć.

Grzegorz Brzozowski sięgnął po komórkę, przez dłuższy czas przeglądał ją, stękając, wreszcie wsunął telefon do kieszeni i wydymając wargi, pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć „nic z tego”.

– Niestety nie mam – wyjaśnił. – Chyba jednak nie zapisałem.

– Okłamałeś mnie.

– Ty mnie też, więc jesteśmy kwita. Bo nie powiesz mi chyba, że to była obiecana randka? – Spojrzał na nią spod byka. – Dam ci radę, dziewczyno, nie próbuj zbajerować bajeranta. Na tym się zawsze źle wychodzi.

Larysa sięgnęła pamięcią do słów, które cytował jej niegdyś Paweł Wiśniewski. Jeśli ktoś zdołał cię oszukać, to dlatego, że obdarzyłaś go większym zaufaniem, niż był wart, powtórzyła w myślach i obiecała sobie następnym razem działać ostrożniej.



Nie dam rady, myślę, wypełniona po brzegi wściekłością. Podejmuję kolejne próby wyłamania kciuka i za każdym razem się wycofuję.

Drażniące krople potu spływają mi na czoło, a narastająca bezsilność powoduje, że zaczynam płakać. Wyrzucam sobie naiwność i łatwowierność. Jakim cudem mogłam dać się nabrać filmom, w których więźniowie z niewielkim wysiłkiem wyłamują sobie kciuk, a później z łatwością uwalniają się z kajdanek? Jestem pewna, że żaden z tych pozał się Boże scenarzystów nigdy nie przetestował tego manewru na sobie i nie pokwapił się, by skonsultować go z ortopedą.

Prawda jest taka, że aby celowo złamać sobie palec, trzeba się naprawdę porządnie natrudzić. Niewyobrażalne, jak bardzo psychika

broni nas przed cierpieniem i jak trudno świadomie, a zarazem z premedytacją zrobić sobie krzywdę. Spocona z wysiłku już niemal rezygnuję z tej rozpaczliwej próby, ale wtedy na myśl przychodzą mi sytuacje, w których różni ludzie uszkadzają kciuk niechcący, na skutek urazu o dużej sile.

Przypominam sobie mecz siatkówki w liceum i Zosię, która przed każdym wyjściem na boisko w duchu modliła się, by piłka nie leciała w jej stronę. Musiała jednak rzucać niewłaściwe zaklęcia, bo któregoś dnia mocny serw najlepszej zawodniczki w szkole pędził wprost na jej głowę. Przestraszona i zdeterminowana, by nie wyjść na klasową fajtlapę, wyciągnęła dłonie, chcąc odebrać piłkę, ale gdy ta, rozpędzona, dotknęła palców dziewczyny, w sali rozległ się chrzęst kości i podążający za nim syk przerażonych zawodniczek. Z dziwnie wygiętym palcem blada i roztrzęsiona Zosia trafiła na pogotowie. Po tamtej akcji, by uniknąć kolejnych upokorzeń, a przy tym oszczędzić sobie stresu, przyniosła zwolnienie z wuefu i już do końca ogólniaka nie pojawiała się na zajęciach.

Uznaję, że właśnie tego potrzebuję: porządnej kontuzji. Wiem, że to szaleństwo. Myślę jak obłąkana. Waham się, a później stwierdzam, że beczynne czekanie na śmierć to jeszcze większe wariactwo. Starannie planuję każdy ruch, a gdy jestem już gotowa, ciężko dźwigam ciało do góry. Łapię równowagę, uspokajam oddech, a potem mocno przyciskam dłonie do pleców, starając się odgiąć kciuk, by uderzył o podłoże. Wtedy zaciskam zęby i nie dając sobie ani sekundy więcej do namysłu, rzucam się w tył, na plecy. Ciało odzywa się bólem, jednak palec nadal nie jest uszkodzony. W ostatniej chwili zgięłam go, jakbym chciała uchronić się przed zderzeniem. Powoli próbuję raz jeszcze. Tym razem drugą dłonią przytrzymuję kciuk i ze zwierzęcym pomrukiem upadam.

Słyszczyć cichy trzask. Ból jest tak koszmarny, że gryzę język do krwi. Krzyczę, ale przez tę cholerną grubą taśmę na zewnątrz wydobywa się tylko dziwny kwik. Leżę na plecach, a dłonie mam pod sobą. Przekręcam się na bok i zaczynam szarpać rękami, by uwolnić

się z opaski zaciskowej. Pulsujące ćmienię w dłoni doprowadza mnie do szaleństwa, ale nie rezygnuję. Nie po to zdecydowałam się na tak desperacki krok, by teraz odpuścić.

Ciągnę mocno, ale kciuk od razu puchnie, co wcale nie ułatwia zdjęcia opaski. Coś jest nie tak, myślę. Dlaczego to nie działa jak na filmach? Dlaczego obwód mojej dłoni nadal jest za szeroki? Z wściekłości kopię ścianę za sobą. A może wcale nie wyłamałam palca? Może tylko go wybiłam? Rwący ból sprawia, że kręci mi się w głowie. Mam wrażenie, jakby wokół, w otaczającej mnie czerni, wirowały nietoperze. Wciskam głowę w klatkę piersiową, by się przed nimi osłonić. Trzęsę się z zimna i strachu. Czuję, że się duszę, jakby te krwiopijcze bestie odbierały mi tlen, muskając moją twarz błoniastymi skrzydłami, i w końcu tracę przytomność.



Gęsta ciemność spływała na miasto, czyniąc je bardziej dusznym. Bruno potarł zmęczone oczy, które paliły równie mocno z wyczerpania, co ze złości. Komisarz miał wrażenie, że kręci się w kółko, a zapadający mrok boleśnie uświadamiał mu upływający czas. Uniósł twarz w stronę atramentowego nieba, jakby spodziewał się znaleźć na nim wskazówki, znaki, a może gwiazdy, które pozwoliłyby dotrzeć do Sylwii. Niczego jednak nie dostrzegł. Świat pozostawał głuchy na jego nieme modlitwy i bezradne wzdychania.

Kimkolwiek był Jędrzej Sobiech, uciekający z domu swojej ciotecznej babki, Wilczyński mógł go szukać jak wiatru w polu. Oczywiście istniało spore prawdopodobieństwo, że chłopak wróci na stare śmieci i ponownie zawita na Wyczółki, ale by się za nim uganiać, trzeba by poświęcić wiele godzin na żmudne obserwacje, a w tym momencie czas był towarem deficytowym w życiu Brunona. Musiał o nim pamiętać i jednocześnie zapomnieć, bo im bardziej skupiał się na upływających dniach, tym mocniej go to paraliżowało.

Lęk o to, że nie zdąży odnaleźć aspirant Konopackiej w porę, odbierał mu jasność myślenia, dlatego teraz postanowił działać inaczej. Wyrzucić z pamięci szept Jacka Lewickiego, prowokujące „tik-tak” wymruczane w trakcie przesłuchania, i znaleźć odpowiedź na pytanie, które wykrzyczał naczelnik Pękała – „Kim on, kurwa, jest?”. Bo właśnie tam kryło się rozwiązanie.

W chwili gdy o tym myślał, odezwał się telefon wciśnięty do wewnętrznej kieszeni kurtki. Wilczyński długo nie odbierał. Zasłuchany w dźwięki piosenki *Legendary Welshly Arms*, zanucił fragment, w którym wokalista śpiewał o tym, że prawda może być bronią w walce ze światem pełnym chorych intencji, i nagle stało się dla niego jasne, czym musi przygwoździć Lewickiego – prawdą.

– Hej, tato – rzucił, gdy wreszcie sięgnął po telefon i zobaczył imię ojca na ekranie. – Jak się czujesz?

– Mizernie – ledwie wydusił z siebie Aleksander. – Muszę z tobą o czymś pogadać. Przyjedziesz?

Bruno spojrzał na szyld knajpy, w której zaginęła Sylwia. Zamierzał tam wejść i sprawdzić coś, co nie dawało mu spokoju.

– Mogę być dopiero późnym wieczorem, może nawet w nocy, zaczekasz na mnie?

Dopiero gdy zadał to pytanie, zdał sobie sprawę, że tak naprawdę nie prosi ojca o cierpliwość, ale o to, by nie odszedł za wcześnie. Jakby pętla czasu zaciskała się na jego szyi w każdej z sytuacji, których doświadczał.

– Wprawdzie planowałem iść do jakiegoś baru i trochę się rozerwać, ale niech ci będzie – usiłował żartować ojciec.

– To zrobimy tak, żeby bar przyszedł do ciebie. Trzymaj się, tato.

Rozłączył się, po czym ścisnął telefon w dłoni, jakby to on był winien tego bólu, który szarpał komisarzem od środka. I wtedy znana melodia rozbrzmiała ponownie. Jednak tym razem na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko Lewickiego.

– Chyba się potwornie nudzisz, skoro dzwonisz do mnie. – Bruno odebrał.

– A ty? – Jacek Lewicki mówił spokojnym, opanowanym głosem. – Nie powinieneś kogoś szukać, zamiast ciągle wracać w to samo

miejsce?

Wilczyński rozejrzył się wokół z niepokojem.

– Oczywiście wiem, że teraz jest ci trudniej – ciągnął Jacek. – Ale nie myślałeś chyba, że gdy wyjdą na jaw twoje sekrety i to, jak mnie potraktowałeś podczas przesłuchania, będziesz mógł nadal prowadzić śledztwo? Jako przyjaciel radziłbym działać, zanim sprawy skomplikują się jeszcze bardziej. Bo wiesz, że tak się stanie, prawda?

– Ciekawe tylko, dla którego z nas skomplikują się bardziej.

Lewicki roześmiał się.

– Jesteś zagubiony jak dziecko we mgle, Bruno. I tak samo naiwny. Obaj wiemy, że to ustawiona gra, możesz się miotać, a i tak niczego nie osiągniesz. Burza nadchodzi wielkimi krokami, przywitaj ją z godnością.

Krew buzowała w żyłach komisarza, który zacisnął palce lewej ręki w pięść tak mocno, że wbił paznokcie we wnętrze dłoni. Na moment przymknął powieki, a gdy je otworzył, gotów, by odparować swojemu rozmówcy, tamten już się rozłączył. On ci miesza w głowie, powiedział do siebie w myślach, nieświadomy tego, jak bardzo napięte stało się jego ciało.

Napędzany gniewem z impetem wtargnął do knajpy, odburknął coś ociekającemu uprzejmością kelnerowi przy drzwiach, a następnie zignorował biegnącą za nim dziewczynę w fartuszkach. Interesowało go tylko jedno: musiał jak najszybciej dostać się do gabinetu menadżera restauracji. Bez trudu znalazł drogę do kanciapy Piotra Nadolnego, w której ostatnio przeglądali materiał z kamer, i nie siląc się na kurtuazję, wparował do środka.

– Ej! – krzyknął przestraszony mężczyzna, a gdy dotarło do niego, na kogo patrzy, zaklął pod nosem.

Wilczyński zdążył dostrzec zwinięty w ciasny rulonik banknot, który Nadolny pospiesznie ukrył w dłoni. Ślady białego proszku wokół jego lewej dziurki do nosa i karta kredytowa na biurku nie pozostawiały złudzeń co do tego, czym się przed chwilą raczył.

– Chowaj zabawki i znajdź mi raz jeszcze nagrania z soboty – zażądał Wilczyński. – Najpierw kamera z głównego wejścia. Okolice

ósmej, tam, gdzie widać Sylwię.

– Jezu, gościu, nie mogłeś sobie tego obejrzyć na komendzie? Przecież macie to zgrane na pendrivie?

– Mamy też fajne przepisy, które pozwalają nam ostro dojechać idiotów ćpających w pracy. Życzysz sobie jakieś sentencje z kodeksu karnego czy przestaniesz chojraczyć i odpalisz to nagranie?

– Dobra, już dobra. – Mężczyzna uniósł drżące dłonie w obronnym geście, po czym zaczął klikać w poszukiwaniu odpowiedniego pliku. – Proszę.

Bruno patrzył na aspirant Konopacką, jakby widział ją pierwszy raz w życiu. Nie potrafił określić, czego tak naprawdę szuka, ale pamiętał, że gdy wcześniej oglądał materiał, tknęło go dziwne przeczucie, jakby jego podświadomość zarejestrowała aspekt, który on przegapił. Sunął zatem wzrokiem po jej roześmianej twarzy, wysokim kucyku, długich nogach w dżinsach i ciasnej kurtce, ale nadal nie dostrzegał niczego nadzwyczajnego. Wreszcie jego spojrzenie padło na buty policjantki, różowe adidas New Balance, a wtedy w ułamku sekundy neurony w mózgu komisarza rozjarzyły się dzikim blaskiem.

– Teraz otwórz nagrania z kamery rejestrującej tylne wyjście – ponaglał mężczyznę. – Włącz od ósmej i przyspiesz odtwarzanie.

– Się robi.

Zręczne palce menadżera restauracji uderzyły kilka razy w klawiaturę i po chwili na ekranie komputera pojawiły się małe ludziki poruszające się w nienaturalnie szybkim tempie. Komisarz wstrzymał oddech. W duchu błagał, by to, co spodziewał się ujrzeć, nie było jedynie wytworem jego wyobraźni. Gdy obserwował pracowników wynoszących śmieci i wychodzących na papierosa, powoli tracił nadzieję, ale nagle coś mignęło mu przed oczami.

– Cofnij – rozkazał, a później nie odrywał wzroku od kadrów przesuwających się na ekranie. – Tutaj, zatrzymaj.

Patrzył na różowe buty Sylwii na nogach osoby w sięgającej kolan niebieskiej bluzie z kapturem nasuniętym na głowę.

A więc tak to zrobiłaś, pomyślał.

– Kto to jest? – Dotknął palcem monitora.

– Jeden z chłopaków pracujących na kuchni. Łajza, tak na niego wołają, bo zawsze chodzi w powyciąganych ciuchach z lumpeksu. Jest nowy, przyucza się. Na razie głównie siedzi na zmywaku i odbiera lekcje życia od pozostałych.

– Słodko – skomentował Wilczyński. – Dawaj mi go tu, sprawdzę, jak dużo już umie.

Piotr Nadolny uniósł brwi, ale nie zaprotestował. Sięgnął po telefon i poprosił kogoś na drugim końcu linii, by przekazał chłopakowi, że szef na niego czeka.

Ledwie mężczyzna odłożył słuchawkę, rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi. Chłopak, który wszedł do gabinetu, patrzył na przełożonego wielkimi, przestraszonymi oczami. Długie, kręcone włosy związał gumką na karku, ale pojedyncze niesforne pasma wyslizgnęły się i tańczyły wokół twarzy. Jego dłonie, ukryte w przepastnej kieszeni czarnej kangurki, poruszały się nerwowo.

Wyglądał na studenta, z cerą naznaczoną trądzikiem i sinymi półksiężycami, które rysowały się pod oczami. Stojąc przed szefem, przenosił ciężar ciała z jednej nogi na drugą, a gdy ukradkiem zerkał na policjanta, kąciki jego ust ledwie zauważalnie drgały.

Komisarz niespodziewanie poczuł do pomocnika kuchennego sympatię. Może za sprawą skromnego uśmiechu, który w końcu wymknął się kontroli chłopaka, albo dlatego, że dzieciak przypominał mu jego samego sprzed lat.

– Jak masz na imię? – zapytał, ubiegając menadżera, który właśnie chrząknął i otworzył usta.

– Fabian, proszę pana.

– Oryginalnie – skomentował Bruno. – Zaprosiliśmy cię tutaj, by ustalić, co się wydarzyło w minioną sobotę. – Zarejestrował uciekający wzrok pracownika. – Moja koleżanka z komendy przyszła tu ze znajomymi na piwo, a później zniknęła. Mam na ten temat swoją teorię, ale zanim ją wygłoszę, chciałbym cię o coś zapytać, okej?

Chłopak skinął głową, wyraźnie bardziej spięty.

– Podejdz, proszę. – Wilczyński zawołał go za biurko menadżera, po czym wskazał na niebieską bluzę na ekranie. – Czy wiesz, do kogo to

należy?

Pomocnik kuchenny przełknął głośno ślinę.

– Wygląda jak moja, ale w sumie wiele osób mogłoby mieć taką samą.

– Słuszna uwaga. Choć mnie się wydaje, że mogłeś ją zgubić.

Wilczyński odnosił wrażenie, jakby Fabiana coś uwierało, w jego oczach dostrzegał niewypowiedzianą prośbę, której nie potrafił zrozumieć. Jeśli prawdą było, że ze słów można wyczytać sporo, z niedopowiedzeń więcej, a najważniejsze kryło się w milczeniu, to milczenie tego chłopaka wręcz krzyczało.

Pracownik tarł powyciągane rękawy bluzy, przygryzał wargę i lekko się garbił. Nieśmiało popatrywał w oczy komisarza, ale ze wszystkich sił unikał spojrzenia menadżera. Ten zaś ze splecionymi na piersi rękami badawczo śledził rozmowę policjanta z podwładnym. Ściągnięte brwi i zmrużone oczy Nadolnego zdradzały jego poirytowanie chwilową utratą kontroli i tym, że wbrew swemu życzeniu został osadzony w roli biernego obserwatora. Nie wiedział, dokąd zmierza śledczy ani czego może się spodziewać po chudym wyrostku z kuchni.

– Nie chciałbyś się przejść? – zwrócił się do kierownika komisarz w sposób, który nie był nawet zawołaną prośbą, lecz raczej zdecydowanym poleceniem. – Zobaczyć, jak wygląda świat poza tą jaskinią, i spalić kilka małych, wrednych kalorii?

Piotr Nadolny westchnął, przewracając przy tym oczami. Zgarnął z biurka kalendarz w skórzanej oprawie, swój telefon i duży ceramiczny kubek z napisem: „Praca ma swoje zalety: piątek, wypłatę i urlop”.

– Wrócę za pół godziny – mruknął rozeźlony, po czym zniknął za drzwiami.

Do gabinetu wdarł się restauracyjny harmider. Śmiech podchmielonych gości i szum rozmów zmieszany z muzyką puszczaną z głośników. Dopiero gdy fala dźwięku opadła, Bruno zwrócił się do Fabiana:

– Mam taki dar, choć kto wie, może to przekleństwo, że potrafię odróżnić dobrych kłamców od tych kiepskich. Wiesz, którym jesteś?

– Beznadziejnym.

– Bingo! Przybiłbym ci piątkę, ale gramy w przeciwnych drużynach i nie bardzo mogę. Dam ci jednak szansę na rehabilitację. Wystarczy, że zdradzisz mi, co takiego zaszło tamtego wieczoru. – Kiwnął głową w stronę kadru zatrzymanego na ekranie komputera.

Chłopak lekko się zarumienił, a później objął rękami swoje szczupłe ciało.

– Ci goście z kuchni znęcają się nade mną – mówił cicho w obawie, by nikt więcej nie usłyszał jego słów. – Robią mi różne kawały, wymyślają przezwiska i takie tam. Wtedy, w sobotę, chyba ich czymś wkurzyłem. Nie wiem, może chodziło o to, że kierownik mnie pochwalił albo że po prostu byłem zadowolony. Dla takich jak oni każdy pretekst jest dobry. – Schował pasmo włosów za ucho. – Zamknęli mnie w spiżarni, rozebrali do majtek, zabrali ciuchy, a potem włąli do gardła wódkę. Siedziałem tam i płakałem jak jakiś smarkacz. Bałem się, że jak wyjdę, to szef mnie zobaczy i będę miał przerąbane. W końcu zasnąłem, a jak się obudziłem następnego dnia, grałem twardziela.

Wilczyński w myślach rekonstruował wydarzenia sobotniego wieczoru. Kilku gnojków wyrzuciło gdzieś ubrania chłopaka, Sylwia znalazła jego obszerną bluzę, która doskonale nadawała się na kamuflaż, a następnie schowana pod kapturem przemknęła pod okiem kamer, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. To dlatego, gdy weryfikował, czy każdy z wchodzących opuścił knajpę, pomylił się. Patrzył zbyt powierzchownie, przez co umknęło mu to, co było ukryte.

Nadal jednak nurtowało go, z jakiego powodu policjantka nie chciała być widziana. Czy planowała zniknąć i zatrzeć po sobie wszelkie ślady, wiedząc, że Bruno będzie jej szukał? A może skorzystała z tylnego wyjścia, bo musiała uciekać przed kimś, kto wszedł od frontu? Do listy wątków wymagających sprawdzenia dopisał ponowny seans z materiałem zarejestrowanym przez kamery. Zrozumiał, że w tej sprawie nie liczyło się to, co wyraźne na pierwszy rzut oka, ale szczegóły, których należało szukać jak schowanych

przedmiotów w książkach dla dzieci, tych rozwijających spostrzegawczość.

Zaabsorbowany łąmigłówką na moment zapomniał o chłopaku i przypomniał sobie o nim dopiero wtedy, gdy Fabian energicznie wydmuchał nos.

– Dlaczego nie zmienisz pracy albo nie poskarżysz się na to, co dzieje się w kuchni? – zapytał.

– Nie jestem kapusiem ani mięczakiem. Jeśli odejdę, to na moich zasadach, a nie dlatego, że zwałem ze strachu. Wie pan, jak to jest, jak ktoś raz ucieknie, to potem już ucieka do końca życia. Nie mogę pokazać, że się boję. Zresztą poradzę sobie z nimi sam, tylko na razie jeszcze nie mam na to conceptu.

Gdy skończył mówić, mina mu zrzędała. Wzruszył ramionami i westchnął ciężko. Jego odwaga zaimponowała komisarzowi, który postanowił wyciągnąć do chłopaka pomocną dłoń.

– Powiem ci, jak to się robi – zadeklarował. – Wiesz, dlaczego niektórzy faceci trzymają się w tych żałosnych grupkach? Bo tylko kiedy są razem, czują się mocni. W pojedynkę każdy z nich robi w gacie ze strachu. – Puścił oko do Fabiana. – Musisz namierzyć największego kozaka w tej bandzie. Zwykle to ten najgłupszy i najbardziej przerażony. Nie pytaj tylko, dlaczego pozostali go słuchają. Gdybym wiedział, już dawno startowałbym po Nobla. Kiedy już go zlokalizujesz, upokorzysz go na oczach kumpli.

– Niby jak?

– Oglądałeś film *Służące*?

Młody kiwnął głową.

– A pamiętasz scenę, w której czarnoskóra gosposia uciera nosa swojej pani, serwując jej czekoladowe ciasto z wkładką?

Fabian zmarszczył czoło, a po chwili w jego oczach błysnęły iskierki zrozumienia.

– Fuj! O kurde, nie! – roześmiał się. – To jest tak hardcorowy numer, ale naprawdę trzeba mieć jaja.

– No właśnie. – Wilczyński puścił do chłopaka oko. – Pamiętaj, że nic nie boli bardziej niż urażona męska duma.



Najpierw usłyszała silne uderzenie zatrzasniętych drzwi, a tuż po nim dźwięk zbiegania po schodach. Uniosła głowę dokładnie w tej samej chwili, w której Maciej Haller wpadł do pokoju z kominkiem, gdzie go oczekiwała. Ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy, ale mężczyzna uciekł wzrokiem i kierując się w stronę barku z alkoholami, przyłożył dłoń do policzka, który – co zdążyła zauważyć – nosił na sobie wyraźne ślady czyichś palców. Larysa pomyślała, że musiało dojść do kłótni. Jakiejś burzliwej wymiany zdań, uciętej nagłym smagnięciem.

– Przepraszam za spóźnienie – odezwał się biznesmen. – Mam nadzieję, że nie nudziłaś się za bardzo.

Jego bezpośredniość była dokładnie tym, czego się spodziewała po lekturze prasowych doniesień na temat najstarszego syna rodu Hallerów. Maciej napełnił szklanekę bourbonem, opróżnił ją w kilku haustach i powtórnie sięgnął po karafkę, by uzupełnić szkło.

– Patrzyłam na ogień – wyjaśniła Larysa, choć tak naprawdę pod jego nieobecność grzebała w szafkach i ukryła dyktafon pod kanapą.

– Czyżbyś nie wiedziała, że z żywiołem trzeba uważać? Jeśli podejdziesz za blisko, możesz się poparzyć, a nawet spłonąć.

– Nie grozi mi to, jestem z żelaza.

– Tak słyszałem, ale dopóki nie dotknęły cię płomienie, skąd możesz wiedzieć, czy jednak nie okażesz się kimś z papieru? Najgorzej kończą ludzie, którzy wierzyli, że są ze stali, podczas gdy tak naprawdę byli z pergaminu. – Złączył ze sobą opuszki palców lewej dłoni i przytknął je do ust. – Puf! – syknął, po czym dynamicznie odsunął rękę i rozczapierzył palce, jakby naśladował wybuch.

Uśmiechnęła się do mężczyzny, ale jego słowa zasiały w niej niepokój wywołujący gęsią skórę na odsłoniętym karku. Czy w ten sposób ją ostrzegał? Tylko przed kim? Klanem, do którego wtargnęła bez zaproszenia, chcąc wyciągnąć na światło dzienne

najmroczniejsze sekrety, a może przed sobą samym? – zastanawiała się.

– Co tak naprawdę robisz w domu moich rodziców? – zapytał, nie spuszczając z niej oczu. – Wiem, że pretekstem jest artykuł, ale zastanawia mnie, co kryje się pod spodem.

– Ciekawość. Intryguje mnie to, kim są Hallerowie, gdy nikt nie patrzy. Jesteście pierwszą rodzinną grupą inwestycyjną, realizujecie olbrzymie projekty w kilkudziesięciu krajach na świecie i od czterdziestu lat żadne inne przedsiębiorstwo nie jest w stanie was prześcignąć. A jednak nikt do końca nie zna rodziny Hallerów. Dużo wokół was półprawd, niedomówień i legend. Uznałam, że jubileusz to dobry moment, by z nimi skończyć. Chcę zobaczyć ludzi, nie biznesmenów.

– Niektórzy uważają, że pod maskami zwykłych ludzi kryją się prawdziwe potwory. Nie boisz się?

Rozciągnęła usta w wymuszonym uśmiechu, który nie zdołał dodać jej pewności siebie. Starła się w żaden sposób nie zdradzić swojej prawdziwej motywacji dla wizyty w rezydencji, pilnowała, by nie wspominać o Dianie Darskiej i jej śmierci, ale chwilami odnosiła wrażenie, jakby wszyscy już wiedzieli i tylko bawili się nią jak kot myszą, zanim ją pożre. Lęk, zimny jak lód, stopniowo wypełniał żyły dziennikarki, a kiedy dotarł do serca, poczuła ostre ukłucie strachu.

– Boję, ale bardziej przeraża mnie to, że miałabym się poddać temu lękowi – przyznała. – Strach rośnie, gdy mu ulegamy.

Czuła na sobie przenikliwy wzrok mężczyzny, a w powietrzu piżmowy zapach jego perfum, dostrzegła drobne czarne włoski wyglądające zza kołnierzyka koszuli i zadrapanie tuż obok ucha, na policzku, który wcześniej ktoś uderzył.

– Od czego w takim razie zaczniemy?

– Od początku.

Maciej Haller opowiadał jej o dzieciństwie, o ojcu, który od zawsze pochłonięty był pracą, ale znajdował czas na czytanie dzieciom książek, często zbyt poważnych jak na ich wiek, o rodzeństwie, Zuzannie i Robercie, z którymi dzielił tajemnice oraz samotność, a także o swoim dorastaniu, buncie i poszukiwaniu własnej drogi.

Larysa nagrywała na służbowy dyktafon to, co mówił, ale jednocześnie notowała kluczowe słowa i swoje spostrzeżenia. Miała wrażenie, że mężczyzna pomija w tej z pozoru szczegółowej historii coś ważnego, wręcz oczywistego. I kiedy wreszcie to uchwyciła, przerwała mu w pół słowa.

– Rozmawiamy już ponad godzinę, a ty ani razu nawet nie napomknąłeś o matce – zauważyła. – Co się z nią działo przez te wszystkie lata?

Rozmówca Luboń zmrużył powieki, jakby chciał cofnąć się w przeszłość i wydobyć z niej przykurzone wspomnienia.

– Nic wielkiego. Pracowała jako psychiatra w szpitalu, zajmowała się nami, kiedy tylko mogła, a później zachorowała. – Wzruszył ramionami. – Nie chciałbym o tym mówić.

– Dlaczego?

– Całe życie trzymała się z boku tego wszystkiego. – Zatoczył dłonią koło, wskazując pomieszczenie. – Po co teraz ją w to mieszać?

– Chcę zrozumieć, jaką rolę odegrała w twoim życiu.

– Znaczącą, niech to ci wystarczy.

To zaciękało dziennikarkę.

– Mogłabym z nią porozmawiać?

– Nie lubi, gdy inni na nią patrzą, woli trzymać się z boku. Jest... – zawiesił głos – chora. Widzisz, świat biznesu dzieli się na tych, którzy występują na scenie, i tych za kulisami. Na głośno krzyjących i tych, którzy szepczą. Ona nie ma potrzeby stać w świetle reflektorów. – Postawił z łoskotem pustą szklanekę na stole i podniósł się. – Skończmy na dziś, zmęczyła mnie ta rozmowa.

Dziewczyna niechętnie kiwnęła głową, ale nagle tknęło ją coś jeszcze.

– Dlaczego to twój młodszy brat został prezesem firmy, a nie ty? – zawołała, zatrzymując Hallera w drodze do wyjścia.

Mężczyzna odwrócił się i spojrzał na nią chłodno.

– Za karę – oznajmił.

– Nie rozumiem. Co chcesz przez to powiedzieć?

Po twarzy Macieja przemknął gorzki, a zarazem zuchwały grymas.

– Że każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój własny sposób – zacytował Lwa Tołstoja. – Zapytaj o to Roberta. Choć wątpię, czy doczekasz się odpowiedzi.

– Tak jak od ciebie na najważniejsze pytanie.

– To znaczy?

– Kto cię uderzył w twarz i dlaczego? – Wyzywająco patrzyła mu w oczy, a gdy zignorował jej pytanie i odwrócił się tyłem, by wyjść, niezrażona dokończyła: – Masz pięćdziesiąt lat, mieszkasz z ojcem, którego nienawidzisz, i matką, która z jakiegoś niejasnego powodu jest zamknięta na poddaszu. Twój brat, człowiek dążący po trupach do celu, dostał wszystko, czego pragnąłeś, a tobie rzucono ochłap na pocieszenie. Nędzne miejsce w radzie nadzorczej, w której na dobrą sprawę niczego nie możesz przegłosować w pojedynkę. Nie stać cię na to, by odejść? To nie więzienie.

Żelazna dłoń Macieja Hallera znalazła się na jej gardle szybciej, niż zdążyła zamknąć usta po skończonym zdaniu. Odpychała mężczyznę, usiłując się wyswobodzić i zaczerpnąć powietrza, ale był od niej silniejszy. Zaciskał palce na tchawicy dziewczyny, sprawiając, że jej twarz przybrała purpurową barwę, a oczy zdawały się wychodzić na wierzch. Wreszcie, jakby ktoś go odczarował, puścił ją, zdyszany poprawił koszulę, która wysunęła się ze spodni, po czym palcami przeczesał włosy. Larysa wzięła głęboki wdech, cała drżała. Umysł podpowiadał jej, że powinna uciekać, ale nie była w stanie się poruszyć. Sparaliżował ją strach, jakiego nigdy dotąd nie czuła.

– Nic o nas nie wiesz – syknął. – Nie mam pojęcia, po co tu przyszłaś, ale się dowiem, a później zniszczę cię w najbardziej bolesny dla ciebie sposób.



Twarz śpiącego Aleksandra Wilczyńskiego emanowała łagodnością. Nie było na niej buntu ani oporu, raczej zgoda na to, by niebawem pożegnać się z życiem. Mężczyzna obrócony na bok pochrapywał lekko, a z jego warg sączyła się strużka śliny. Bruno postawił

butelkę whisky na nocnym stoliku, musnął opuszką zagniecenia w kącikach oczu ojca, po czym wziął wychudzoną, naznaczoną brązowymi plamami dłoń rodzica i splótł jego palce ze swoimi. Wsłuchiwał się w szmer oddechu mężczyzny, a w końcu i jego powieki zaczęły opadać. Przymknął oczy, oparł głowę o fotel i gdy zapadał się w otępiającą watę snu, usłyszał swój telefon.

Odebrał nerwowo, przestraszony, że dzwonek lada chwila zbudzi ojca. Kiedy jednak usłyszał niepewny głos Larysy, pożałował swojej gwałtowności.

– Miałeś kiedyś tak, że coś ledwie się zaczynało, a ty już czułeś, jak to się skończy? – zapytała.

– Chodzi ci o to, co się dzieje między nami?

– Nie. Mam na myśli moją obecność w rezydencji Hallerów. W tej rodzinie jest coś dziwnego. Za każdym razem, gdy od nich wychodzę, czuję, że coraz bardziej nasiąkam strachem. Jakby oni wszyscy wiedzieli coś, czego ja nie wiem, i szeptali o tym za moimi plecami.

– Byłaś na jakimś nocnym maratonie filmów grozy? – zasugerował, chcąc ją uspokoić i ukryć to, że sam poczuł, jakby mrówki chodziły mu po plecach. – Przyjedź do mnie, chętnie posłucham o tej rodzinie Addamsów.

– Jesteś stuknięty.

– Normalność to iluzja, Lara. – Uśmiechnął się w sposób, który sprawiał, że barwa jego głosu nabierała miękkości. – A teraz nie każ się prosić, tylko wskakuj do swojej czarnej karocy i ruszaj. Ja też nie mogę się doczekać.

Odkładając telefon, słyszał jej złośliwy komentarz, co tylko utwierdziło go w przekonaniu, że cieszy się nie mniej niż on. Słodkie oczekiwanie, pomyślał. Pełne niewypowiedzianych nadziei i pragnień, o które nigdy by siebie nie podejrzewał. By czuć jej zapach zapisany na poduszce. Obserwować archipelag ubrań, które w nieładzie rzuciła na podłogę w łazience. Słuchać jej zachrypniętego głosu o poranku, gdy z przejęciem opowiada mu o swoich snach. Z żadną inną kobietą nie potrzebował tych drobiazgów, ale gdy był z Larysą, to właśnie szczegóły nadawały ważność wszystkiemu, co wydawało się zwyczajne. To, jak podwijiała

nogi na krześle, jak masowała kark, gdy za długo siedziała przy komputerze, i jak marszczyła nos za każdym razem, kiedy się z nim droczyła.

– Ekhm... – Aleksander odchrząknął, by zwrócić na siebie uwagę syna. – Grzebałeś w apteczce? Pytam, bo wyglądasz jak ja po zażyciu dużej dawki morfiny.

– Coś w tym stylu.

Wymienili się uśmiechami, które mówiły więcej niż tysiąc słów.

– Jak się czujesz? – zapytał Bruno.

– Dobrze, ale w triathlonie bym dziś nie pobiegł.

– Czy ja wiem, jakbyś się uparł, to nikt nie byłby ci w stanie zabronić.

Ojciec komisarza kiwnął smutno głową, a potem spuścił wzrok na swoje dłonie i zaczął skubać skórki przy paznokciach.

– Myślę, że powinieneś o czymś wiedzieć. Zresztą i tak nie mam siły dłużej tego ukrywać – wyznał. – Widzisz, ja właśnie tak myślałem przez całe życie: że nikt mi nie będzie niczego zakazywał. A teraz ponoszę tego konsekwencje.

– Mógłbyś wyrażać się jaśniej?

– Brałem jeden kredyt za drugim, pożyczałem od różnych ludzi, dałem się nawet namówić na inwestycje na giełdzie. – Zaczął nerwowo skubać brew. – A później przyszedł kryzys gospodarczy, przedsiębiorcy przestali brać towar z moich hurtowni, biznes nie szedł jak dawniej, giełda też poleciała na łeb, na szyję i wpadłem w kłopoty.

Policjant zmrużył oczy, jakby nie bardzo rozumiał, do czego jego ojciec zmierza.

– Chwila, chcesz powiedzieć, że...

– Że zbankrutowałem – przerwał mu Aleksander. – Mam cholerne długi, z których nie jestem w stanie się wygrzebać.

– Ile?

– W sumie jakieś dwa miliony z kawałkiem.

– Kurwa mać – rzucił pod nosem Bruno, po czym wstał z fotela i z rękami na biodrach zaczął chodzić po sypialni ojca.

Ze złości skóra swędziała i piekła go, jakby wpadł w wysokie pokrzywy. W myślach rzucał przekleństwami, ale żadne z nich nie przynosiło mu ulgi. Był pewien, że Aleksander musi słyszeć, jak syn zgrzyta zębami. Widział też bez wątpienia jego pociemniały wzrok oraz rozszerzone nozdrza, z których niemal buchała para.

Komisarz podszedł do okna, odchylił zasłonę, a później patrzył w noc i na brzydki, pusty dom naprzeciwko. Starał się odzyskać panowanie nad sobą, zatrzymać gniew, zanim kogoś skrzywdzi.

Tak naprawdę nie chodziło mu o długi ojca, tylko o fakt, że nie pisał on ani słowem o swoich problemach. Z drugiej jednak strony z jakiego powodu mężczyzna miałby to robić, skoro jego syn przez tyle lat go odtrącał?

– Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? – zapytał Bruno.

– A co byś zrobił? Ta twoja policyjna pensyjka ledwie starcza na opłatę kredytu za mieszkanie i motocykl. Myślisz, że ja nie wiem, jak nędznie wam tam płacą? – Aleksander otarł ślinę, która zebrała się w kąciku ust. – Chciałem to załatać giełdą. Na początku naprawdę dobrze mi szło, dostawałem dobre cynki od takiego jednego faceta, ale potem kupiłem nie te akcje, co trzeba, i przegrałem sporo kasy.

Bruno pokręcił głową, ze świstem wypuszczając powietrze z płuc.

– Dlatego zamieściłem to ogłoszenie o sprzedaży domu – dodał wyjaśniająco ojciec.

– Przestań, ustaliliśmy, że to nie ma sensu. Zresztą nikt go nie kupi za kwotę, której potrzebujesz. Ile da się z niego wycisnąć? Milion dwieście? Może milion trzysta, jak agencja nieruchomości stanie na rżęsach.

– Tamten facet, o którym ci wspominałem, Lewicki, zaoferował półtora miliona.

– Ten koleś to psychopata, rozumiesz? Zrobił to, bo mnie nienawidzi. Wiedział, że się dowiem, i tylko czekał, aż stracę panowanie nad sobą. Zapomnij o nim. – Bruno wymachiwał dłonią.

– W dodatku zerwałeś z nim umowę, więc nie ma do czego wracać.

Ojciec komisarza uciekł wzrokiem. Oparł usta na złączonych dłoniach, które zaciskał tak mocno, że kostki stawały się białe.

– Nie zerwałem – rzucił w końcu. – Okłamałem cię.

Bruno położył rękę na potylicy, jakby ktoś przed momentem uderzył go w głowę. Mrugał szeroko rozwartymi oczami, a jego wargi ułożyły się w kształt litery „o” w wyrazie zdziwienia połączonego z szokiem. Nic jednak nie powiedział. Był to jeden z tych niewielu przypadków w życiu komisarza Wilczyńskiego, gdy naprawdę nie umiał znaleźć odpowiednich słów.

– Musiałem to zrobić. – Milczenie syna ciążyło Aleksandrowi na tyle, że zaczął się usprawiedliwiać. – Zrozum, nie mogłem postąpić inaczej. To miły facet, niedawno stracił żonę, ma dwóch synów. Stworzą tu dom. Nie chciałem cię obciążać. Wystarczająco dużo przeze mnie... – Głos mu się łamał.

– Daruj sobie – warknął Bruno.

– Dzisiaj dostałem pieniądze. Księgowy pomógł mi uregulować większość długów. Już po wszystkim, synu. Odejdę ze spokojem. Nikomu nie będę niczego winien.

Komisarz podbiegł do ojca, chwycił go obiema rękami za poły piżamy i szarpnął do góry na tyle mocno, że jeden z guzików odskoczył, a ciało mężczyzny przesunęło się na prześcieradle.

To nie był on, nigdy wcześniej nie spotkał takiego siebie, ale było za późno, by zatrzymać bestię, która się obudziła. Jakby zgasło w nim wszystko, co ludzkie, a władzę przejęło to, co zwierzęce.

– Czy ty sobie zdajesz sprawę z tego, co zrobiłeś? – rzucił zmienionym, nasączonym irytacją głosem. – Sprzedałeś dom mężczyźnie, który zamordował twoją żonę!

Dotąd Aleksander Wilczyński dygotał, przerażony atakiem własnego syna, a może szaleńca, którym ten się stał, ale po jego ostatnich słowach jakby zapadł się w sobie. Jego mięśnie zwiotczały, a mężczyzna, wyczerpany szamotaniną, opadł na poduszkę.

– Ale, ale... – powtarzał, rozglądając się bezradnie jak dziecko.

– Co? Nadal się łudziłeś, że popełniła samobójstwo? Tak byłoby łatwiej, prawda? Wygodniej. Wiesz, co powiedział mi Daniel? „Błagałem ją, by nie mąciła mu w głowie”. Ale matka nie mogła się powstrzymać, wymyśliła sobie, że go zaadoptuje, mamiała go miesiącami, przytulała, głaskała, a potem nagle ucięła wszystko. Bez uprzedzenia. W ten sposób złamała Jacka.

– Chcesz powiedzieć, że Lewicki to tamten chłopak? To nie ma sensu. On nie mógłby... – Aleksander schował twarz w dłonie i pokręcił głową.

– Mógłby – odparł już spokojniej Bruno. – Spędził w tym domu wiele nocy. Z ukrycia, jak duch, obserwował to, czego pragnął najbardziej: rodzinę, której częścią chciał się stać. Znał nas lepiej niż my siebie samych. A później mama kazała mu odejść i coś w nim pękło. Wiesz, dlaczego dzieci są często groźniejszymi sprawcami przestępstw niż dorośli? Bo nie czują strachu i nie mają wyrzutów sumienia. – Wziął głęboki wdech. – Niektórym wydaje się, że mogą tak bezkarnie ranić innych. Tylko co, jeśli osoba, którą kaleczymy, ma już tyle ran i blizn, że nie zniesie kolejnej? Nie poradzi sobie z następnym odrzuceniem? Matka powinna była o tym pomyśleć, zanim go odepchnęła. Bo ludzie doprowadzeni do ostateczności tracą rozum, stają się brutalni i bezwzględni – podsumował gorzko.

Bruno wpatrywał się w smutne oczy Aleksandra przez dłuższy czas. Było mu wstyd z powodu tego, jak potraktował ojca. Nie powinien był, miał przecież świadomość, że za wszystkim stał Lewicki, który wykorzystał słabość i potrzebę odkupienia u umierającego człowieka. Dlatego, by choć odrobinę zatrzeć to złe wrażenie, podszedł do mężczyzny leżącego w łóżku.

– To nie twoja wina, przepraszam – rzucił, a później pocałował Aleksandra w czoło, pożegnał się krótko i wyszedł.

Kiedy znalazł się na zewnątrz, pożałował, że nie pali. Mógłby teraz sięgnąć po papierosa i puścić z dymem gniew szarpiący trzewia.

Zamiast tego wybrał numer Jacka i czekał. Zaskakująco ciepły, grudniowy wiatr gwizdał, przeciskając się przez szczeliny w starych oknach domu. Policjant wypatrywał na niebie zwiastunów nadchodzącej nawałnicy, zapowiadanej od jakiegoś czasu przez synoptyków, ale na razie firmament wyglądał jak zawsze. Granatowy, upstrzony kilkoma drobnymi gwiazdami, które przypominały piegi.

– Czyli już wiesz – zabrzmiał niespodziewanie w słuchawce głos Lewickiego. – Historia zatacza koło, prawda? Kupując dom od twojego ojca, wrócę tam, gdzie wszystko zaczęło się zmieniać.

– Masz na myśli swoją przemianę z dziecka w mordercę?

– Raczej z kogoś, kto poddawał się lękowi, w człowieka, który odkrył, że sam może napawać przerażeniem. Po co doświadczać bólu, skoro możesz go sprawiać innym.

Bruno przymknął na moment powieki. Nie mógł dać się porwać emocjom bez względu na to, jak drażniła go prowokacja Jacka. Zdusił w sobie potrzebę odparowania rozmówcy mocnymi słowami.

– Gdzie jest Sylwia Konopacka? – zapytał rzeczowo.

– W bezpiecznym miejscu. Oczywiście o ile nie popełni żadnych głupstw.

– Ona nie ma z tym nic wspólnego, zostaw ją.

– Za późno na negocjacje.

– Dlaczego nie weźmiesz mnie? Przecież o to ci chodzi od początku.

– A skąd wiesz, o co mi tak naprawdę chodzi? Masz mnie za szaleńca, a szukasz logiki w tym, co robię. Nie pomyślałeś, że jej nie ma? Obłąd nie kieruje się rozsądkiem. Podąża za tą jedną natrętą myślą, która zagnieżdża się w mózgu jak robak. – Jego gromki śmiech przyprawił komisarza o ciarki. – Zastanawiałeś się kiedyś nad tym, jaki pasożyt trawi twoje wnętrze, Bruno? To może być najważniejsze pytanie, na jakie odpowiesz sobie przed śmiercią.

Lewicki rozłączył się nagle, zostawiając policjanta w stanie rozedrgania. Słowa mężczyzny zatruwały myśli komisarza. Sprawiały, że tracił rozum i popadał w podobną psychozę jak ten, którego ścigał. Stawał się nim.

W tej chwili pragnął jedynie odpalić silnik i mocno przekręcić manetkę gazu, by jak najszybciej znaleźć się w domu. Pozwolić Larysie scałować z niego cały ten brud. Spojrzeć na siebie jej oczami i być może, przy odrobinie szczęścia, zobaczyć kogoś więcej niż tego, kim był naprawdę. Kogoś mniej żałośnie egoistycznego.

Przełknął kulę tkwiącą w gardle, po czym zdał sobie sprawę, że Lewicki już drugi raz zachowywał się tak, jakby dokładnie wiedział, gdzie przebywa jego rozmówca. Zsiadł z motocykla i zaczął go oglądać z każdej strony. Wreszcie włożył dłoń pod tylny błotnik, a jego palce natrafiły na niewielką prostokątną wypukłość. Chwytną ją i odkleił. W świetle ulicznej latarni przyglądał się przedmiotowi, zastanawiając się, jak długo z nim jeździł. Wreszcie rzucił lokalizator

GPS na chodnik i deptał go tak długo, aż z urządzenia zostały odłamki.



Siedząc w wannie wypełnionej gorącą wodą niemal do krawędzi, zastanawiała się, jakim cudem oboje znaleźli się w tym miejscu. Łazienkę spowijała gęsta para wodna, osiadająca na lustrze i meblach, a powietrze przesycone było zapachem brzoskwiń, tak wyraźnym w pieniającym się żelu do kąpieli. Larysa czuła na plecach miękkiego dotyku gąbki i chłodny powiew oddechu Brunona, który masował jej skórę.

Pół godziny wcześniej spotkali się pod blokiem. Wilczyński dał jej znak, by wjechała za nim do garażu, po czym wskazał miejsce nieobecnej sąsiadki i oznajmił, że dopóki kobieta przebywa za granicą, Luboń może tam swobodnie parkować. Ledwie wysiadła z samochodu, Bruno klepnął ją w ramię, a następnie zawołał, że ten, kto wbiegnie ostatni na górę, zmywa naczynia po kolacji. Przeskakiwała więc po kilka schodów, ale nie była w stanie konkurować z długimi nogami komisarza. Dogoniła go dopiero na trzecim piętrze, pod drzwiami jego mieszkania. Zdyszany i uśmiechnięty, przekręcał już klucz w zamku.

Gdy wpadli do środka, sprawy potoczyły się błyskawicznie. Wilczyński oparł się o ścianę, jego twarz znalazła się blisko jej twarzy, a kiedy poczuła dotyk mięsistych warg policjanta na swoich ustach, bezwiednie jęknęła. Żadnych oczekiwań, obiecywała sobie w myślach, zaciskając powieki, gdy zdejmował z niej kolejne warstwy ubrań i całował jej ciało. Później utonęła. W szerokich ramionach i całkowitym zapomnieniu.

– Wiesz, że nienawidzę wanien? – rzucił, gdy po wszystkim, w kąpielni, streszczali sobie wydarzenia minionego dnia, a on namydlał jej plecy. – Nie korzystałem z nich, odkąd... – Zawiesił głos, bo wspomnianie samobójstwa matki, która umarła w wannie,

wydało mu się w tym momencie niestosowne. – Od jakichś trzydziestu lat.

– Według mnie to cholerne burżujstwo: mieć w kawalerskim mieszkaniu i wannę, i prysznic. Nie wstyd ci, komisarzu Wilczyński?

– Wstyd? Nie znam takiego słowa.

Larysa mruknęła, uśmiechając się lekko pod nosem, ale jej myśli podążały już w innym kierunku.

– Martwisz się o Pawła, co? – zaczepił.

– Też – przyznała. – To wszystko mnie przytłacza. Zaginiony Wiśniewski, zabójstwo bezdomnej Diany Darskiej, a teraz jeszcze ta historia z jej sześciolatnim bratem, który przepadł jak kamień w wodę. – Westchnęła ciężko, wyszła z wanny, po czym sięgnęła po ręcznik i zaczęła wycierać nim ciało. – Do tego nie mogę przestać myśleć o Łucji Haller. Trudno mi uwierzyć, że kobieta, która była wziętą lekarką, pozwoliła się dobrowolnie zamknąć na poddaszu. Przecież nawet gdyby była chora, mogłaby jakoś uczestniczyć w życiu rodziny, a ona jest jak duch. Niewidzialna. Nikt nie chce o niej mówić, jakby celowo ją pomijali.

– Jestem gotów się założyć, że nie minie nawet tydzień, a dostaniesz się do jej kryjówki.

– To nie będzie takie proste. Oni wszyscy mają klucze. Noszą je na szyi albo przy pasku, ale żadne z nich jakoś nie zgłasza się na ochotnika, by mnie tam wpuścić. Jedyнным sposobem byłoby zostać u nich na noc.

– Ale na to oczywiście nigdy się nie zdecydujesz – wyraźnie podkreślił ostatnie dwa słowa.

Dziewczyna owinęła ciało ręcznikiem, a następnie chwyciła na palec kulkę piany dryfującej po powierzchni wody i osadziła ją na nosie Brunona.

– Co zamierzasz zrobić z Jackiem? – zapytała, by zmienić temat.

– Porwę go i będę torturował, aż wyzna, co zrobił z Sylwią. Dowiem się, co przeraża go najbardziej, a później będę sprawiał mu ból, o jakim nawet nie śnił.

Larysa nieufnie przyglądała się dziwnemu uśmiechowi Wilczyńskiego.

– Nie mówisz poważnie, prawda? W ten sposób zniżyłbyś się do jego poziomu.

– To, że go nienawidzę, nie czyni mnie od razu złym człowiekiem – bronił się. – Poza tym tak tylko fantazjuję – dodał, choć dobrze wiedział, że kłamie.

Ziarno obłędu kiełkowało już w jego umyśle, wypuszczało pędy i korzenie, które z każdym dniem sięgały coraz głębiej. Luboń ściągnęła brwi, przez chwilę jeszcze lustrowała oblicze policjanta, ale w końcu mu odpuściła.

– Myślę, że przeraża go jego ojciec. Jeśli prawdą jest, że najmocniej uderzamy w tych, których się najbardziej boimy, to stawiałabym na niego – rzuciła, nim wyszła z łazienki.

W pokoju zdjęła ręcznik, szybko narzuciła na siebie ubranie, bo z powodu pękniętej szyby wewnątrz było chłodno, a potem usiadła na kanapie z laptopem na kolanach. Oczy kleiły się jej ze zmęczenia, ale postanowiła przejrzeć internet w nadziei, że zdoła namierzyć Tadeusza Darskiego. Na Facebooku nie znalazła ani jednej osoby o takim imieniu i nazwisku, a wyszukiwarka doprowadziła ją jedynie do porucznika o pseudonimie Wasyl, należącego niegdyś do antykomunistycznej organizacji „Warta”. Później próbowała konstruować adresy mailowe z wykorzystaniem personaliów ojca Diany, ale bez większych sukcesów.

Zamierzała się już poddać, kiedy natrafiła na ogłoszenie o projektowaniu i montażu niemieckich mebli kuchennych na zamówienie, oferowanych przez niejakiego t.darskiego. Potarła dłońmi odrastające włosy, które łaskotały opuszki. Z sypialni dochodził ją dźwięk rozmowy Brunona przez telefon. Nie potrafiła wyłowić poszczególnych słów, ale komisarz wydawał się czymś poirytowany. Podnosił głos, chodził po pokoju i trzaskał szafkami. Wreszcie ponownie jej wzrok zatrzymał się na ogłoszeniu w portalu Olx. Szanse na to, że znalazła odpowiednią osobę, były mizerne, a mimo to zaryzykowała. Krótka wiadomość wysłana do mężczyzny, który mógł się okazać ojcem Diany, uspokoiła ją. Dawała złudne poczucie, że sprawy posunęły się choć odrobinę do przodu.

Larysa przeciągnęła się. Coś chrupnęło jej w karku, a ona przypomniała sobie, jak Paweł Wiśniewski niegdyś zażartował, że dziewczyna się sypie. To wspomnienie napełniło ją ciepłem, jak kubek gorącej herbaty. Z uczuciem błogości wypisanym na twarzy uchyliła drzwi sypialni. Bruno siedział na łóżku. Wokół niego leżały jakieś pojedyncze dokumenty, teczki i otwarty notes, w którym gorączkowo coś zapisywał, jednocześnie przygryzając skuwkę od długopisu. Przypominał naukowca w twórczym szale. Czerwone policzki, błyszczące oczy i zero reakcji na świat zewnętrzny. Znała ten stan i bardziej niż ktokolwiek rozumiała, że nie należy go zakłócać.

Na palcach wycofała się do salonu, dokładnie w chwili, gdy usłyszała swoją komórkę. Numer na wyświetlaczu nic jej nie mówił.

– Tak? – odebrała niepewnie.

– Laryso, tu Grażyna Mastalerz – odezwał się zduszony, słaby głos.

– Jestem w szpitalu. Napadł mnie mężczyzna, który szukał Pawła, i...

– Spokojnie – przerwała kobiecie, słysząc, ile wysiłku wymaga od niej mówienie. – Wiem o wszystkim. O tym, że byłaś w śpiączce i leżysz na intensywnej terapii w Praskim. Policja myśli, że pośliznęłaś się na schodach, choć szczerze w to wątpię. Kiedy cię odwiedzałam, natknęłam się na jakiegoś podejrzanego typu.

Mastalerz wciągnęła z przerażeniem powietrze.

– On ci już nie zagraża. Nie żyje. – Uspokoila ją Luboń. – To długa historia. Twoja sąsiadka zniknęła, Pawła nie ma i nie wiem nawet, gdzie go szukać. Przyjdę do ciebie z samego rana, wtedy o wszystkim porozmawiamy, a teraz odpoczywaj, dobrze? Nie powinnaś do mnie dzwonić, ktoś może cię podsłuchiwać.

– Zabrałam telefon jednej z pacjentek – wyszeptała Grażyna.

– To dobrze. Nie wiesz może, co się stało z Pawłem? Bardzo się o niego martwię.

– Był wtedy w piwnicy. Poszedł po słoiki dla pani Halinki.

– Czy to znaczy, że uciekł?

– Musiał, skoro go nie ma.

Luboń pomyślała, że istniały też inne wytłumaczenia, ale to chwilowo ją uspokajało. Jeśli Wiśniewski zdołał umknąć wysłannikowi Hallerów, szanse na rozwikłanie zagadki śmierci Diany rosły.



Minionej nocy dręczyły go koszmary. Śniło mu się, że odnalazł Sylwię, wyciągał do niej dłoń, wołał, a ona nie chciała jej złapać. Odwróciła się i uciekła w ciemność. Bruno usiłował ją dogonić, ale jego nogi aż po kolana grzęzły w gęstym, czarnym błocie, sprawiając, że nie mógł zrobić nawet kroku. Padł twarzą w lepłą breję, która zaczęła wlewać się mu do nosa, oczu i ust. Z całych sił walczył o to, by wyrwać ciało z bagna, ale wtedy poczuł, że ktoś na nim siedzi, jednocześnie wciskając jego głowę w muł. Coraz bardziej brakowało mu powietrza, szarpał się, wił, a w końcu skapitulował. I wtedy to poczuł – delikatny, niemal czuły dotyk na plecach, jakby głaskanie, a później ten głos. „Już po wszystkim”. Głos aspirant Konopackiej.

Mokry od potu obudził się o czwartej. Pokój tonął w ciemności, a on oddychał ciężko jak topielec, który w ostatniej chwili umknął śmierci. Na drżących nogach, bezszelestnie, by nie zbudzić Larysi, wymknął się do łazienki. Jego dłonie się trzęsły, twarz pokryta kropelkami potu przybrała siny odcień, oczy zaś lśniły jak w gorączce. Ledwie poznał samego siebie w odbiciu. Z silnym postanowieniem odzyskania kontroli nad własnym ciałem odkręcił zimną wodę nad umywalką, zaczekał, by stała się lodowata, i włożył pod nią głowę. Bolało. Igiełki mrozu wbijały się w skórę. Szum wody wypełnił jego uszy, ale Bruno zacisnął palce na ceramice i trwał pod chłodnym strumieniem. Wreszcie zakręcił kran i wziął głęboki wdech. Łapczywy, prawie jak ten pierwszy w życiu, tuż po narodzinach.

Kiedy wreszcie poczuł, że krew zaczyna mu szybciej krążyć w żyłach, rozsiadł się przy stole w dużym pokoju, oświetlanym jedynie stołową lampką. Plama światła przypominała teraz wyspę, na której on, skulony na krześle niczym rozbitek, otoczył się notatkami. Późnym wieczorem, zanim zasnął, szukał informacji o ojcu Jacka. Wysłał wiadomość do szpitala psychiatrycznego w Choroszczy, gdzie mężczyzna przebywał, a następnie napisał do kilku sierocińców, w których mógł wychowywać się Lewicki. Chciał

wiedzieć, czy mieszkał u nich podopieczny o wskazanych personaliach, ale nie liczył na wiele, świadom niechęci takich placówek do udzielania informacji. Gdyby miał nakaz umożliwiający dostęp do akt i nadal korzystał z uprawnień policjanta, osiągnąłby więcej, ale pozostawiony sam sobie musiał nauczyć się przyjmować odmowę. Pracownicy sierocińców dbali o ochronę informacji niejawnych i nie byli skory do ujawniania danych osobowych swoich podopiecznych. Rozumiał to, a jednocześnie, gdy w skrzynce mailowej nie znalazł nawet jednej odpowiedzi, zmartwił się.

Zawiedziony zaparzył sobie kawę, po czym ze wzrokiem wbitym w ulicę za oknem sączył smolisty napój. Pojedyncze samochody ospale przemykały Dereniową. Pomruk ich silników i szum kół trących o asfalt kołysał Wilczyńskiego, jakby kusił, by odłożył pracę na później i wrócił do ciepłej pościeli. Spodobała mu się ta myśl, ale dokładnie w chwili, gdy błogo się do niej uśmiechnął, usłyszał dźwięk powiadomienia o nowej wiadomości na WhatsAppie. Komunikaty agresywnie dawały o sobie znać kolejnymi sygnałami, przypominającymi bzyczenie. Atakowały jego uszy jak żądne krwi komary.

Wszystkie wiadomości stanowiły odpowiedź na pewną niezbyt moralną propozycję, którą komisarz złożył jednemu ze swoich znajomych. Wysłał mu zaproszenie do projektu o wysokim ryzyku, ale za to gwarantującego dużą dawkę adrenaliny. Pierwsze przyszło pytanie, które zdradzało zainteresowanie potencjalnego współnika: „Czy w razie wtopy będziesz mnie krył?”. Tuż po nim następowała racjonalizacja: „Dowiem się, dlaczego chcesz uprawiać taką partyzantkę, zamiast normalnie zapytać? Masz przecież swoje sposoby”. Stanowiła znak, że ewentualny partner w zbrodni przemyślał temat, ale targają nim jeszcze wątpliwości.

Wreszcie pojawiło się coś, co komisarz uznał za potwierdzenie współpracy: „Musiałbym się do tego solidnie przygotować, poznać ich systemy i sprawdzić, czy mają to zdigitalizowane. W takich miejscach dane często nadal trzyma się w papierowych teczkach poupychanych w szufladach”. Bruno odpisał szybko jednym zdaniem: „Spokojna twoja rozczochrana”. Wiedział, że Bartek Luboń

je zrozumie, a może nawet się uśmiechnie. Przypieczętowali umowę, po czym komisarz z satysfakcją zamknął komputer.

– Nie śpisz? – usłyszał za sobą głos dziennikarki. – Z kim pisałeś?

Miała na sobie majtki i prześwitującą białą koszulkę na ramiączkach, które razem czyniły ją w jakiś sposób kruchą. Przecierała zaspane oczy, a zziębnięte ciało otuliła ramionami. Bruno przeczuwał, że wystarczy pretekst, by w tej delikatnej kobiecie na nowo obudziła się wojowniczką, dlatego postanowił nie mówić jej o Bartku. Larysa pilnowała, by jej brat trzymał się z dala od kłopotów, a Wilczyński zazwyczaj był ich synonimem.

– Z nikim – odparł, siląc się na obojętność.

Dziewczyna mruknęła z niedowierzaniem, a później pozbierała swoje ubrania z podłogi. Zegar wskazywał szóstą trzydzieści i choć świat nadal spowijał mrok, oczywiste stało się, że żadne z nich nie wróci już do łóżka. Piątek zaczął się na dobre.

– Muszę lecieć – wyjaśniła, a później wyszła, unikając jego wzroku.

Tajemniczość Larysy fascynowała go równie mocno, jak przerażała. Dziewczyna stanowiła zagadkę, która wydawała się nierozwiązywalna – i może właśnie z tego powodu przyciągała Brunona jak magnes. Instynkt śledczego nakazywał mu ją odgadywać, ale czy gdyby wreszcie ją rozwikłał, poczułby satysfakcję? Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Możliwe, że nawet się jej obawiał, bo jaki sens miałyby wtedy to wszystko, co dotychczas wydarzyło się między nimi?

Te rozważania towarzyszyły mu w drodze na komendę, ale gdy tylko przestąpił próg gmachu przy Nowolipiu, na powrót poczuł energię łowcy. Widok kolegów, dźwięk rozterkotanych telefonów i zapach dobrze znanych murów przyprawiały go o przyjemny dreszcz. Na moment zapomniał o tym, że toczą się wobec niego postępowania, wyparł z pamięci obraz pogardy i nieufności, jaką obdarzył go inspektor Wrona. Na nowo zapragnął przynależać, móc robić to, w czym był dobry, a przy tym raz na zawsze rozprawić się z Jackiem Lewickim. Niespodziewanie wstąpiła w niego nadzieja, że zdoła przekonać naczelnika o swojej niewinności. Jeśli ktokolwiek miał kupić jego argumenty, tą osobą był Marian Pękała.

Ufał swojemu przekonaniu, gdy bez pukania wparował do gabinetu przełożonego, ale wystarczyło przelotne spojrzenie w oczy naczelnika, by opadły go wątpliwości.

Pękała zajmował miejsce za biurkiem. Otoczony papierami, zastygł na ułamek sekundy z dłońmi nad klawiaturą, po czym starł z nad górnej wargi kroplę potu, która powstała najpewniej na skutek intensywnego wysiłku umysłowego.

– Nie powinienes się tu pokazywać – chłodno przywitał go przełożony.

Bruno syknął teatralnie, udając obrażonego, szybko jednak stwierdził, że jego szef nie jest w nastroju do żartów, i postanowił skupić się na konkretach.

– Wiem już, jak zaginęła Sylwia Konopacka – oznajmił. – Tamtego wieczoru opuściła knajpę w obszernej niebieskiej bluzie z kapturem, którą zwinęła jednemu z pracowników. Właściciel ubrania spędził noc nagi jak go Pan Bóg stworzył, zamknięty przez swoich kolegów w knajpianej spiżarni. Chłopak obawiał się konsekwencji tego incydentu, dlatego postanowił milczeć. Na szczęście w końcu pękł, a nagrania z monitoringu zarejestrowały, jak aspirantka, skryta pod kapturem, opuszcza budynek tylnym wyjściem, co zresztą potwierdził pies mantrailingowy pracujący na miejscu.

– Sprawdzimy to. – Odpowiedź Pękały była sucha i nad wyraz formalna.

– Jeśli ściągniecie materiał z okolicznych kamer, być może uda się wam ustalić, w którą stronę poszła, ewentualnie zweryfikować, czy wsiadła do jakiegoś samochodu.

Naczelnik nieznacznie skinął głową. Wydawał się czymś zaaferowany, spoglądał z niepokojem w stronę drzwi, a jego prawa dłoń ciasno obejmowała nadgarstek lewej. Jakby usiłował zakryć coś tymi splecionymi przedramionami.

I wtedy Wilczyński to zobaczył. Skrawek gazety ze znanym mu logotypem „Faktu”.

– To artykuł o Lewickim? – Wskazał na ręce szefa. – Napisali chociaż coś zabawnego? Byłem zbyt zajęty dłubaniem w nosie, by autoryzować to gównno.

– A szkoda. – Marian Pękała uniósł ramiona, odsłaniając przy tym publikację zawierającą nad wyraz niekorzystne zdjęcie Brunona z charakterystycznym czarnym paskiem na oczach. – Przedstawia cię jako egocentryka, człowieka pozbawionego empatii i gotowego brnąć po trupach do celu karierowicza.

– Jest w tym jakieś ziarno prawdy. – Komisarz uśmiechnął się, ale jego przełożony najwyraźniej nie uważał tego komentarza za dowcipny, ponieważ trzasnął płaską ręką o blat biurka tak mocno, że szyby zatrzęśły się w oknach.

– Ośmieszylesz całą policję – wycedził przez zęby Pękała. – Teraz nawet gdybym chciał cię z tego bagna wyciągnąć, to już nie mogę, rozumiesz? Opinia publiczna jest po stronie Lewickiego. Biedny wdowiec, pobity na komendzie, krzywdzony w dzieciństwie przez ojca psychopatę. Zresztą spójrz tylko na te zdjęcia. – Rzucił gazetę w stronę komisarza. – To koniec, Bruno, twoje słowo przeciwko jego słowu.

Serce Wilczyńskiego zaczęło walić jak oszalałe, a plecy pokrył zimny pot. Zachłannie pożerał kolejne akapity publikacji i z każdym kolejnym czuł, że coraz bardziej zbiera mu się na mdłości. Jego wzrok zatrzymał się na archiwalnym zdjęciu kojca, w którym rodzice więzili małego Lewickiego. Wśród brudnych szmat dostrzegł maskotkę misia z dziurami zamiast oczu, na której widok przeszedł go dreszcz.

Nie przypuszczał, że Jacek kiedykolwiek zdecyduje się ujawnić swoją przeszłość, ale gdy doczytał do ostatniej kropki, zrozumiał, że Lewicki wykorzystał idealny moment na wyciągnięcie karty przeszłości. W tekście roiło się od manipulacji, a jego inicjator nie omieszkał wspomnieć o domniemanej narcystycznej osobowości komisarza, która pozbawiła jego matkę możliwości adopcji nowego dziecka, doprowadziła kobietę do depresji oraz samobójstwa. Gdy to przeczytał, poczuł, jak krew gotuje mu się w żyłach.

– „Narcyzm należy do zaburzeń osobowości i potrafi przybierać niebezpieczną formę. Jeśli najwyższa wartość narcyza zostanie zakwestionowana, ten może posunąć się do rzeczy ostatecznych” – przeczytał głośno fragment artykułu. – Co to za bzdury? Jakiś

przekupiony domorosły psycholog mądrzy się w temacie, o którym nie ma pojęcia. Ktoś ich prosił o tę diagnozę? Pozwę tych imbecyli, zanim zdążą mrugnąć.

– Kurwa, Bruno, czy ty jesteś ślepy? – Dłonie naczelnika drżały. – Nie widzisz, że to wszystko do ciebie pasuje? Skupiony na sobie, arogancki, oczekuje uwielbienia, nie ma zdolności samokrytyki, czuje się lepszy od innych, a w relacje wchodzi tylko po to, by wykorzystywać ludzi do swoich celów.

Wilczyński ściągnął brwi.

– Wszystkich was popierdoliło – warknął. – Tańczycie tak, jak zagra wam Lewicki. – Wściekle rzucił gazetę na biurko, a wywołany tym podmuch powietrza sprawił, że kilka leżących tam luźnych kartek spadło na ziemię, odsłaniając jakieś zdjęcie z głową mężczyzny obwiedzioną czerwonym flamastrem.

Komisarz niespodziewanie zamilkł, podniósł fotografię i niemal poczuł, jak sygnał elektryczny w jego mózgu przeskakuje między neuronami.

– Namierzyliście go? – zapytał rozemocjonowany.

– O co ci chodzi? To zdjęcie z Arkadii, zarejestrowane przez monitoring pod sklepem, w którym Konopacka z matką robiła zakupy. – Marian Pękała wygrzebał kilka podobnych stop-klatek z zaznaczonymi osobami. – Dzieciak z inspektorem Wroną wybrali tych, którzy zatrzymali się tam na dłużej i wyraźnie patrzyli w głąb sklepu. Osobiście uważam, że można to wyrzucić do śmieci. Nie mamy pojęcia, kim są ci ludzie.

Wilczyński uśmiechnął się.

– Oni cię nie interesują. – Wyjął z ręki przełożonego plik zdjęć i upchnął je w koszu. – Szukasz tego człowieka. – Wskazał palcem na chłopaka, którego niedawno spotkał w domu przy Wyczółki. – Nazywa się Jędrzej Sobiech, a Konopacka miała w nawigacji adres jego ciotki. Tej samej, z której numeru ktoś wykonał połączenie do Sylwii w wieczór jej zaginięcia.

Naczelnik nachylił się zafrapowany, a Bruno streścił mu pokrótce swoją wizytę u starszej kobiety. Rysy Mariana złagodniały. Dotychczasową złość zaczynało wypierać zaciekawienie. Mężczyzna

uchylił usta, zapewne by zasypać komisarza pytaniami, ale dokładnie w tamtej chwili do pokoju wszedł inspektor Sławomir Wrona w towarzystwie Jana Ogórka.

– Mamy wyniki badań krwi... – Funkcjonariusz Centrum Poszukiwań urwał, zaskoczony widokiem Wilczyńskiego.

– Wyluzuj. Ja też wolałbym zjeść nieświeże mięso niż się na ciebie natknąć, ale najwyraźniej taka nasza karma – przywitał go Bruno. – To co tam wiecie na temat krwi z mojej kurtki? Bo domyślałam się, że właśnie to chciałeś obwieścić swoim piskliwym, podnieconym głosem.

Sławomir Wrona zerknął porozumiewawczo na Mariana Pękałę, ale naczelnik tylko machnął ręką.

– Dawaj, nie buduj napięcia – ponaglił inspektora. – Udało się ustalić, do kogo należy?

– Tak. Do Sylwii Konopackiej.

Bruno niemal ugiął się pod ciężarem pytających spojrzeń.

– O nie, nie. – Pogroził Ireneuszowi palcem. – Nie bawią mnie te numery. Było śmiesznie, Wrona, a teraz powiedz prawdę.

– Zgodność z jej DNA jest stuprocentowa – wyjaśnił cicho Jan Ogórek i jakby dla złagodzenia wydźwięku swojej wypowiedzi wzruszył ramionami.

– Musiał mi ją podłożyć Lewicki, kiedy szarpaliśmy się w trakcie przesłuchania.

– Nie mógł, został dokładnie przeszukany przed wejściem do pokoju – oświadczył inspektor. – Chyba już wystarczy tych kłamstw, nie uważasz?

Wilczyński milczał, odtwarzając w pamięci sytuacje, w których Lewicki miał dostęp do jego kurtki. Zanim jednak zdołał rozgryźć tę zagadkę, kątem oka dostrzegł, że Wrona kiwnął ponagląco na Ogórka. Bruno nie potrzebował dużo czasu, by zrozumieć, co nastąpi. Oczywiście wyobraźni widział, że lada chwila zostanie skuty i zatrzymany, a potem ludzie z wydziału wewnętrznego zetrą go na miazgę. Jeśli dołożą do tego nagrania z monitoringu spod domu Sylwii, połączenia, które do niej wykonywał, i jego rzekomy rys narcystyczny, nie będzie miał nic do powiedzenia.

Odwrócił się gwałtownie, odepchnął Dzieciaka, a potem biegł najszybciej, jak potrafił, wiedząc, że właśnie zrobił jedną z najgłupszych możliwych rzeczy.

Uciekł tak, jak uciekają winni.



Po długich negocjacjach z pielęgniarką Szpitala Praskiego Larysa dostała zgodę na dziesięciominutowe odwiedziny u Grażyny Mastalerz. Gdyby nie błagalna prośba pacjentki oraz fakt, że kobieta przypominała oddziałowej jej zmarłą niedawno matkę, sprawa byłaby przegrana. Dziennikarka nie należała do rodziny ani nie pełniła funkcji opiekuna prawnego, a do tego przyszła poza godzinami odwiedzin, wyznaczonymi na popołudnie. Na szczęście empatia pielęgniarki zdołała wygrać z przywiązaniem do regulaminów i ostatecznie kobieta zezwoliła na ekspresową wizytę.

Luboń delikatnie przytuliła wymizerowaną żonę Henryka. Nawet jej rude włosy zdawały się stracić swój naturalny blask, a zielone dotychczas oczy bardziej przypominały popielate. Kobieta leżała w łóżku, do jej ręki plastikową rurką podłączono kroplówkę, która kapiała miarowo, jakby tą niespiesznością próbowała wprowadzić pacjentkę w trans. Senność potęgował dodatkowo szum respiratora chorej z sąsiedniego pośłania. Wypełniał pokój łagodnym szmerem.

– Jak się czujesz? – wyszeptała Larysa, przysiadając na krawędzi łóżka.

– Lepiej. – Głos Mastalerz nadal był słaby, a mówiąc, ledwie otwierała wysuszone usta. – Niedługo może wypuszczą mnie do domu.

– Zabiorę cię do siebie, nie powinnaś być teraz sama. Tamci ludzie mogą wrócić.

Grażyna lekko uniosła głowę, a na jej czole pojawiła się pionowa zmarszczka.

– Wspominałaś przecież, że ten mężczyzna nie żyje. Jacy ludzie? O kim ty mówisz, Laryso?

Dziewczyna potarła dłońmi twarz i powoli wypuściła powietrze z płuc. To zdanie wymusnęło się jej niepostrzeżenie, nie planowała dokładać żonie Henryka stresu ani też odsłaniać jej kulis tego, co zaszło w kamienicy na Targowej. Luboń przeczuwała jednak, że Grażyna nie odpuści. Upór w jej kocich oczach informował, że będzie domagać się odpowiedzi i z pewnością nie zadowoli jej kłamstwo.

– Czy Paweł wyjaśnił, dlaczego musiał się u ciebie ukrywać?

– Nie od razu. Przyszedł w nocy, był w fatalnym stanie. Wtedy nie rozmawialiśmy, po prostu poszedł spać. Rano zapytał, czy znam jakieś bezpieczne miejsce. Twierdził, że u mnie go znajdą. Żli ludzie, tak o nich mówił. Bredził o morderstwie bezdomnej, o tym, jak uciekał, o jakimś koledze... Myślałam, że zwariował, ale potem zobaczyłam tego faceta pod kamienicą, znalazłam podsłuch w domu i mu uwierzyłam.

Larysa przygryzła wargę.

– Ten mężczyzna pracował dla rodziny Hallerów.

– Tych Hallerów? Właściciele konsorcjum budowlanego? – Grażyna zdziwiona spojrzała na dziewczynę, a gdy ta skinęła głową, drgnęła.

– Mój mąż przyjaźnił się kiedyś z Ryszardem Hallerem. Poznali się na uczelni. Uwielbiał jego najmłodszego syna, Roberta. A później nagle to się urwało, jakby wymazał ich gumką. Do dziś nie wiem, o co poszło, Henryk nigdy nie chciał o tym mówić. – Z nieobecnych wzrokiem patrzyła przed siebie, jakby znajdowała się w odległych czasach, zasnutych mgłą.

– Chcesz powiedzieć, że nie byłaś w kontakcie z seniorem rodu, Ryszardem Hallerem?

– Nie, od lat ze sobą nie rozmawialiśmy.

Luboń zdała sobie sprawę, że starszy mężczyzna ją okłamał.

– Ale, co ciekawe, kilka miesięcy temu odwiedził mnie jego syn, Robert – dodała wdowa. – Chciał wiedzieć, czy mam jeszcze kasety z nagraniami artykułów Henryka, pamiętasz?

Dziewczyna przytaknęła. Nie musiała nawet zamykać oczu, by przywołać obraz Mastalerza, z podwiniętymi rękawami koszuli chodzącego po pokoju i mówiącego do siebie. Założyciel magazynu reporterów miał ekscentryczne, jak na tamte czasy, metody pracy.

Tłumaczył, że musi wiedzieć, jak dana historia brzmi, jakie budzi emocje, sprawdzić, czy ma swoją melodię. Kładł dyktafon na stole, uruchamiał go, po czym z rękami w kieszeniach wędrował po gabinecie i słowami kreślił opowieść. Przypominał wtedy mówcę występującego na scenie, budował dramaturgię, wtrącał pytania retoryczne, a później słuchał tych nagrań i dopiero wtedy, gdy uznał, że widzi i czuje daną historię, zasiadał do pisania reportażu.

– Dałam mu wszystkie – oznajmiła Grażyna. – Mnie i tak nie były potrzebne, leżały tylko, z roku na rok coraz bardziej zakurzone. Robert ucieszył się, ale dzień później zadzwonił i zapytał, czy ktoś jeszcze miał do nich dostęp.

– Dziwne. Ciekawe, po co były mu potrzebne.

– Na pamiątkę, tak powiedział. Myślę, że naprawdę żałował zerwanej relacji. On też nie rozumiał, dlaczego Henryk poróżnił się z jego rodzicami.

Luboń oparła brodę na dłoni i stukając palcami o policzek, zastanawiała się, z jakiego powodu Robert Haller po latach braku kontaktu nagle wrócił do domu Mastalerza. Czego szukał na starych kasetach magnetofonowych?

– Powiedziałam Robertowi, że nikt nie dotykał tych nagrań od lat, ale to nieprawda. – Westchnęła. – Widzisz, Henryk wspierał nie tylko ciebie. Miał jakąś misję, by ratować pogubionych młodych ludzi. Ufundował stypendium kilkorgu wychowankom sierocińców, opłacił ich edukację. Był wśród nich taki chłopak, wyjątkowo inteligentny, ale miał w sobie coś niepokojącego. Za każdym razem, gdy nas odwiedzał, w domu robiło się zimno. Jakby ktoś pootwierał wszystkie okna i wywołał przeciąg. Nie lubiłam go. – Wzdrygnęła się. – Jestem prawie pewna, że w pudle, które zostawił mu Henryk, były też kasety.

Myśli Larysy popędziły w kierunku jedynej osoby działającej na nią dokładnie tak, jak chłopak ze wspomnień Grażyny. Nie dowierzając jeszcze temu, co wyłaniało się z mgły, przełknęła głośno ślinę i pokręciła głową, jak gdyby chciała odgonić własne fantazje. Zaprzeczyć im i spowodować w ten sposób, by się rozpięchły.

– Ten chłopak... Pamiętasz jego nazwisko? – zapytała z nadzieją w głosie.

– Igor Szymanowicz.

Dziewczyna pobladła, a stado drobnych igieł wbiło się w jej pierś, odbierając dech. Dokładnie tak nazywał się dawniej Lewicki, zanim zaczął używać swojego drugiego imienia i przyjął nazwisko żony. Do Larysy nagle dotarło, że będzie musiała złamać dane Brunonowi słowo.

I nigdy się do tego nie przyzna.



Im bardziej przed czymś uciekasz, tym bardziej będzie cię to ścigać. Bruno miał tego świadomość, a jednak nie widział innej drogi pozwalającej mu na wyjście z potrzasku, w którym się znalazł. Nawet jeśli ta obrona przez niego była drogą bez powrotu i być może prowadziła do zatracenia.

Po opuszczeniu komendy rozedrgany wskoczył na motocykl. W płucach czuł bolesne pieczenie, jego oddech stał się płytki, a tępy ucisk w żołądku przyprawiał o mdłości. Kiedy znalazł się na Wisłostradzie, mocno docisnął manetkę gazu, niebezpiecznie lawirując między samochodami. Jechał zdecydowanie za szybko, strofowany rykiem klaksonów. Agresywnie zmieniał pasy, jakby prosił się o nieszczęście. Przed oczyma nadal majaczyła mu twarz naczelnika Pękały i jej zimny, kamienny wyraz, za którym kryło się rozczarowanie, a może nawet pogarda. Niczym echo słyszał wyzute z emocji słowa inspektora Wrony: „miałeś motyw”, co sprawiało, że jeszcze bardziej pragnął udowodnić wszystkim, jak bardzo się mylą.

Wzmógł o tej porze ruch jedynie potęgował nerwowość komisarza. Nagle poczuł, jakby wszyscy go opuścili. Zatrzymał się właśnie na światłach przy skrzyżowaniu alei Wilanowskiej z ulicą Przyczółkową i na sekundę zamknął oczy. Wprawdzie samotność od lat była jego przyjaciółką, ale teraz, gdy ciepło oddechu wypełniało kask, doświadczał jej jakoś bardziej dotkliwie. Może te

najtrudniejsze momenty musimy przejść sami, pomyślał. Chwile, gdy mierzymy się ze swoim największym lękiem i wstydem. Bo przecież bliskość z drugim człowiekiem nie chroni przed cierpieniem.

W końcu nikt nie może popłynąć naszymi żyłami ani wedrzeć się nam pod skórę, skonstatował, ruszając.

Ta myśl obudziła w nim większą niż dotychczas determinację. Wiedział już, co zrobi z Jackiem Lewickim, nie miał jednak jeszcze pomysłu, jak tego dokona. Dlatego pojechał do Konstancina. Chciał z bliska przyrzeć się światu swojego przeciwnika, zrozumieć, co go najbardziej zaboli. W tym celu zaparkował pod szkołą podstawową przy Mirkowskiej. Nie wiedział właściwie po co. Różne myśli krążyły mu po głowie. Wmawiał sobie, że nie jest desperatem, że czasem po prostu nie ma innego wyjścia. Otarł dłonią spocone czoło, wziął głęboki wdech i ruszył w stronę boiska, na którym grupa chłopców grała w piłkę nożną.

Zawodnicy ubrani w getry piłkarskie, kolorowe spodenki oraz T-shirty biegali za piłką, krzycząc do siebie i podskakując z radości po każdej udanej akcji. Większość miała czerwone policzki, a ich oczy błyszczały od endorfin. W powietrzu unosił się przyjemny zapach rywalizacji. Ktoś wołał „podaj!”, jakiś chudy dryblas usiłował odebrać piłkę przeciwnikowi ślizgiem, po czym brutalnie sfaulował gracza, wywołując tym jęk zawodu kibiców. Początkowo Wilczyński myślał, że to starsze dzieciaki. Sądząc po ich wzroście, celował w jakąś czwartą czy piątą klasę, ale szybko zauważył na boisku również młodszych uczniów. Rozejrzał się, a kiedy jego wzrok natrafił na charakterystyczne, piegowate twarze synów Jacka Lewickiego, poczuł ucisk w piersi.

Bliźniacy znajdowali się za linią boczną, tuż pod siatką. Jeden z chłopców siedział na murawie, zawiązywał but, drugi zaś podskakiwał wokół niego i z przejęciem śledził sytuację na boisku. Jasne, falujące czupryny dzieci upodabniały je do cherubinów o błękitnych, niewinnych oczach. Obaj wydawali się ufni, a zarazem ciekawi świata, dzięki czemu zapewne nietrudno byłoby ich zmanipulować, skusić w jakiś sposób, a później porwać. To pozwoliłoby uderzyć w Jacka, zachwiać jego niezmaconą pewnością

siebie i odebrać mu poczucie kontroli. Ale czy Bruno naprawdę tego chciał, czy tylko szalał z bezsilności?

Idąc w stronę synów Lewickiego, znalazł w trawie paczkę kart piłkarskich, które dzieciaki kolekcjonowały. Włożył je do kieszeni, po czym przysunął się do siatki, by lepiej słyszeć rozmowę chłopców.

– Jesteście cieniasy, gracie jak bobasy! – krzyczał ten bardziej ekspresyjny, gdy drużyna, której kibicował, strzeliła gola przeciwnikowi.

– Cicho bądź, Franek! – uspokajał go brat, przeglądający album z kartami piłkarskimi. – Kto się przezywa, sam się tak nazywa, pamiętasz?

Chłopiec pokazał bratu język i nadal wykrzykiwał prowokujące hasła, naśladując przy tym gesty wycierającego oczy malucha.

Wilczyński mimowolnie się uśmiechnął. Widok tych dwóch łobuzów sprawiał, że jego hardość topniała. Różnice w temperamencie dzieci, których twarze wyglądały jak odbite przez kalkę, rozczulały go.

– No to co z tym piątkowym kinem? – zapytał ten spokojniejszy. – Wymyśliłeś już, co chciałbyś obejrzeć?

– Wszystko, ale wyluzuj, Jasiek. Najpierw zamówimy pięćdziesiąt pepperoni, a potem zobaczymy sto bajek na Netfliksie! – ekscytował się Franek. – Zjemy tyle, że aż nam pękną brzuchy!

– I będziemy leżeć jak tamte wieloryby na plaży.

– Tak! I przyjdą po nas ci ludzie, co nam tata pokazywał na tablecie. Żeby nas z powrotem wepchnąć do morza. – Franek położył się na trawie i udawał, że nie da rady się poruszyć.

Obaj zaczęli chichotać jak norki, a następnie przekrzykiwać się w pomysłach na to, co jeszcze wydarzy się, gdy pochłoną niezliczone ilości pizzy.

Zahipnotyzowany tą czystą dziecięcą radością Bruno pomyślał, że ma przed sobą prawdziwe szczęście. I choć uważał Lewickiego za potwora, to teraz odnalazł w nim również dobrego ojca. Kogoś, kto potrafił zadbać o dzieci po śmierci ich matki i ocalić w nich tę iskrę niezmaconej radości. Jakby jednocześnie można było mieć w sobie ciemność i światło. Być całkowicie niemoralnym w kwestii poczucia

sprawiedliwości i pozbawionym wyrzutów sumienia, a zarazem troskliwym i czułym. Zamyślony komisarz nie zauważył, że od jakiegoś czasu obserwuje go trener. Muskularny mężczyzna z gwizdkiem na szyi nagle wyrósł po drugiej stronie siatki, a jego mina była daleka od przyjaznej.

– Jest pan ojcem któregoś z tych dzieci? – zaatakował bez ostrzeżenia.

– Ja... – bąknął zaskoczony Wilczyński. – Nie, tak tylko chciałem popatrzeć. Fajnie grają.

– Tak? A mnie się wydawało, że bardziej od meczu ciekawili pana mali chłopcy. – Mężczyzna wskazał głową w stronę bliźniaków. – Radzę stąd pójść, zanim będę zmuszony wezwać policję.

Komisarz poczuł się dotknięty tą insynuacją, zamierzał wyjaśnić, co tam robił, ale płaski nos faceta, jego szerokie barki i napompowana klatka piersiowa nie nastrajały do dyskusji. Zresztą co właściwie miałby mu powiedzieć poza mizernym kłamstwem o przyjemności z oglądania meczu? Uniósł dłonie w geście rezygnacji, po czym wycofał się bez protestów, by nie wzbudzać wokół siebie niezdrowego zainteresowania. Nie odszedł jednak daleko i gdy tylko trener wrócił do sędziowania rozgrywki, odszukał w grupie dzieci bliźnięta Lewickiego.

Chłopcy opuścili przed chwilą boisko, a następnie niepilnowani przez nikogo wędrowali w stronę budynku szkoły. Jeden przytulał do piersi album z kartami przedstawiającymi wizerunki piłkarzy, drugi natomiast wymachiwał ramionami, nucąc pod nosem jakąś skoczną piosenkę. Bruno podążył za dziećmi. Z każdym krokiem znajdował się bliżej, aż wreszcie miał je niemal na wyciągnięcie ręki. Patrzył na drobne, bezbronne ciała i coraz bardziej brzydził się sobą. Czy nienawiść zaślepiła go na tyle, że był gotów przekroczyć wszelkie granice? Nawet te moralne? Jak mógł w ogóle pomyśleć o czymś takim?

– Chłopaki – odezwał się głosem, którego nie rozpoznał.

Może to już nie był on, tylko ktoś, kim się stał na skutek obłądu i desperacji. Obcy i zły. Ktoś, nad kim nie miał kontroli.

Bliźniacy przystanęli zaskoczeni. Franek obrzucił nieznanego nieufnym spojrzeniem, a Jasiek mocniej ścisnął trzymany w dłoniach album. Wilczyński sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki, po czym wyjął z niej błyszczące foliowe zawiniątko z niebieskim znaczkiem i napisem „Fifa 365”.

– Proszę, wam przydadzą się bardziej niż mnie. – Wyciągnął rękę z paczką kart w stronę dzieci, których twarze przepełniał niepokój. – To tylko karty piłkarskie – wyjaśnił. – Weźcie, nie gryzą.

Franek już zamierzał po nie sięgnąć, ale bliźniak go powstrzymał.

– Nie wolno nam brać niczego od obcych – powiedział Jasiek.

– Nie jestem obcy. – Uśmiechnął się pokrzepiająco. – Mam na imię Bruno i znam waszego tatę, Jacka Lewickiego.

Ta informacja nie rozpuściła jednak oporu chłopców.

– No dobra, położę je tutaj – schylił się i zostawił paczkę kart na trawniku – a wy będziecie mogli udawać, że je znaleźliście.

– Tak! – wyrwało się uradowanemu Frankowi.

Po twarzy komisarza przemknął gorzki uśmiech.

– Pozdrówcie tatę – powiedział, a potem odwrócił się i najszybciej, jak potrafił, dotarł na parking.

Nie patrzył już na dzieci Jacka, nie słyszał okrzyków dochodzących z boiska ani trąbienia samochodu, przed którego maskę wyszedł nieopatrznie. Za budynkiem oparł się plecami o zimną ścianę, po czym zgięty wpół, zwymiotował.

Wstrząsające nim torsje, choć bolesne, uświadamiały mu, jak bardzo się pogubił. Zatrwała go ślepa wrogość, żółć, która była przeciw domena Lewickiego. Pożałował tego, ale nie zrezygnował ze swojego planu. Po prostu go zmodyfikował.



Najtrudniej jest okłamywać tych, od których sami oczekujemy prawdy. Ta myśl spadła na Larysę niczym ciężki, drapiący koc, gdy tylko skończyła rozmawiać z komisarzem Wilczyńskim. Bruno dzwonił, by zapytać, czy mógłby zatrzymać się u niej na kilka dni,

miesiące, lat, a może nawet całe życie, jak żartował, i choć w normalnych okolicznościach by mu odmówiła, tym razem uległa. Miała świadomość, że to żalostny sposób na uciszenie wyrzutów sumienia i że powinna mu była wyznać prawdę o tym, gdzie jest oraz z kim zamierza się spotkać, ale wiedzieć, co należy zrobić, to jedno, a znaleźć w sobie odwagę, by to wykonać, to już zupełnie inna sprawa. Dlatego gdy usiłował dowiedzieć się, co ją zajmuje, krótko odparła, że jest w pracy, a później go pożegnała.

Miała nadzieję, że kłamstwo przyniesie ulgę, ale jej miejsce szybko zajął moralny kac. Z każdą kolejną minutą głębszy i bardziej dokuczliwy. Stojąc pod domem Jacka Lewickiego, walczyła ze sobą. W nerwach odgryzała odstające przy paznokciach skórki, przez co na palcach wykwitwały drobne krople krwi. Mogła się jeszcze zatrzymać i uciec, ale niezaspokojona ciekawość działała jak narkotykowy głód, całkowicie kneblowała rozsądek. W końcu dziewczyna zgasiła silnik, a następnie wyskoczyła z samochodu i zapukała do drzwi Lewickiego.

Kiedy usłyszała kroki mężczyzny, a chwilę później chrobot klucza przekręcanego w zamku, poczuła chłód wślizgujący się pod bluzkę niczym wąż.

– Dawno się nie widzieliśmy – przywitał ją Jacek ubrany w białą koszulkę z długim rękawem i ciemne dżinsy. Na jego twarzy malował się zagadkowy uśmiech. – Bruno wie, że mnie odwiedzasz?

Czytał w niej jak w otwartej księdze, a jego przeszywający wzrok sprawił, że na ułamek sekundy odwróciła twarz.

– Nie muszę mu mówić. Możemy mieć swoją małą tajemnicę – zaproponował, kładąc jej dłoń na policzku.

Luboń cofnęła się gwałtownie, by uciec od zimnego dotyku.

– Nigdy więcej tego nie rób – syknęła.

Lewicki sprawiał wrażenie rozbawionej sytuacją. Z kurtuazją odsunął się, gestem zapraszając dziewczynę, by weszła do środka, ale ona nawet nie drgnęła. Wiedziała, że po tamtej stronie znajdzie się w świecie, w którym reguły ustala człowiek nieobliczalny. Strach, który ścisnął ją za krtań, był tak silny, że nie potrafiła nawet przełknąć śliny. Jakby jej gardło wyschło.

– Nie zrobię ci krzywdy – oznajmił.

Spojrzała na niego oczami przelęknionego dziecka. Chciała zapytać, z jakiego powodu miałyby mu wierzyć, ale w ustach znalazła tylko piasek, który uniemożliwiał wyartykułowanie czegokolwiek. Jej dłonie drżały, a na policzku nadal czuła dotyk palców Jacka. Paraliżujący i bolesny. Czy to w ten sposób muskał skórę osób, które później pozbawiał życia? Rozważała to, a przed jej oczyma przesuwwały się twarze ofiar Lewickiego. Po raz pierwszy nie potrafiła dostrzec w nim człowieka. Jedynie zło i ciemność. A mimo to nie odeszła. Wzięła głęboki wdech i niemal nadludzkim wysiłkiem wyrzuciła z siebie:

– Porozmawiajmy tutaj.

– Dobrze, co chcesz wiedzieć?

– Czy zabrałeś z domu Henryka Mastalerza jakieś kasety?

Jacek wyciągnął dłonie przed siebie i zaklaskał w irytujący, teatralny wręcz sposób.

– Brawo. Zajęło ci to bardzo dużo czasu, ale gratuluję. – Uśmiechnął się. – Henryk i jego dobre serce... Gdyby nie on, byłbym dzisiaj nikim. Nie skończyłbym szkoły ani studiów, a co najważniejsze, nigdy nie dowiedziałbym się o twoim istnieniu. Raz w miesiącu zapraszał mnie do siebie na herbatę. Doskonale rozumiesz, o czym mówię, prawda?

Larysa przypomniała sobie, jak wyróżniona czuła się zawsze, gdy spędzała czas z Mastalerzem. On piła mleko, on czarną i gorzką herbatę. Zwykle zasiadali na skrzypiących fotelach obitych skórą w kamienicy przy Targowej, niekiedy szli na spacer i rozmawiali. O literaturze, życiu i pracy dziennikarza.

– Nie bądź zawiedziona. – Lewicki przerwał jej rozmyślenia. – Jeśli cię to pocieszy, to tylko z naszą dwójką nawiązał tak głęboką więź. Pozostałym jedynie finansował naukę. Według mnie dokuczał mu kompleks mesjasza. Był przekonany, że musi nas ocalić. Kto wie, może dręczyły go wyrzuty sumienia z powodu śmierci młodszego brata, który się zapił? Podobno Henryk odmówił mu pomocy.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Wiedza to władza, nie uważasz? Znalazłem jego zdjęcie w domu Mastalerzów i zapytałem. Tylko tyle.

Na myśl o tym, że Jacek zasiadał w tym samym fotelu co ona, pił z tej samej szklanki, a Henryk wpatrywał się w niego tym samym zafascynowanym wzrokiem, zrobiło jej się niedobrze.

– Zobaczyłem cię kiedyś, jak wbiegałaś po schodach. Wydawałaś się bardzo smutna. Udawałaś silną, ale tak naprawdę byłaś krucha.

Luboń zacisnęła szczęki, piorunując Jacka wzrokiem. Nie mogła pozwolić, by wciągał ją w swoją grę. Słowa Lewickiego potrafiły zatruć umysł, otumaniały, sprawiając, że ten, kto ich słuchał, musiał zbliżyć się do swoich największych lęków. W jej przypadku najbardziej obezwładniającym strachem była słabość. Ta, która niegdyś sprowadziła na nią gwałt i cierpienie.

Chcąc uniknąć powrotu do trudnych wspomnień, Larysa skupiła się na otaczającym świecie. To zawsze pomagało. Z kanonady dźwięków zdołała wychwycić stukot żelaznej klapy przejeżdżającej obok wywrotki z piaskiem, szczekanie psa i głośną wymianę zdań między sąsiadami. Ciepły wiatr głaskał jej skórę, a zapach świeżo wypieczonego chleba z pobliskiej piekarni przyjemnie drażnił zmysły. Zaburzony spokój powracał, a wraz z nim determinacja dziennikarki.

– Nie mam czasu na psychoanalizę, interesują mnie tylko te kasety – wyjaśniła stanowczo.

– Tak, właśnie widzę. I myślę sobie, że mógłbym ci je nawet pożyczyć, a właściwie jedną z nich, ale pytanie, jak mi się za to odwdzięczysz.

Jej napięte ciało i skrzyżowane na piersi ramiona wyraźnie sygnalizowały niechęć do jakichkolwiek układów.

– Nie jesteś jedyną osobą, której zależy na tym nagraniu – kontynuował negocjacje. – Robert Haller wychodzi z siebie, próbując je namierzyć, co jest właściwie zrozumiałe, bo to, do czego się tam przyznaje, stawia go w bardzo niekorzystnym świetle.

– Czego chcesz? – przerwała mu.

Lewicki przechylił głowę, po czym uśmiechnął się w sposób niemal życzliwy.

– Cieszę się, że wreszcie dochodzimy do porozumienia. Przekażesz Wilczyńskiemu krótką wiadomość. – Sięgnął po kopertę leżącą na stoliku obok drzwi. – Oczywiście mógłbym do niego zadzwonić, ale zależy mi na tym, by dostał ją od ciebie.

Larysa prychnęła, po czym wyrwała kopertę z rąk Jacka. Jej plany nie zakładały ślepego podążania za wymysłami obłąkanego człowieka. Uznała, że sama zapozna się z wiadomością i dopiero wtedy zadecyduje, co zrobić z jej treścią.

– Nagranie – zażądała ostro.

Mężczyzna podał jej starą, przezroczystą kasetę magnetofonową, na której flamastrem ktoś napisał „czerwiec 1995 r.”. I choć Luboń trzymała w dłoni to, co jeszcze przed momentem wydawało się niezbędne do zrozumienia tajemnicy Roberta Hallera, teraz zamiast satysfakcji czuła jedynie niepewność. Lewicki nie należał do ludzi, którzy pozwalali wytrącić sobie broń z ręki, a jeśli to robił, to tylko wtedy, gdy miał przewagę i ukryte intencje. Nic w jego wykonaniu nie zależało od przypadku.

– Dlaczego to robisz? – Spojrzała na niego badawczo. – Znasz to nagranie i wiesz, co ujawnia. Nie powinieneś go zatrzymać, by nadal szantażować Roberta? Bo przecież to jest hak, który na niego miałeś, zgadza się?

– W dwa tysiące piątym roku, podczas przygotowań do Dnia Domina, do hali Frisian Expo Center wleciał wróbel. Przewrócił ponad dwadzieścia trzy tysiące kostek domina, za co organizatorzy zastrzelili go wiatrówką.

– To nie ma związku.

– Mylisz się – uciał. – Chcę ci powiedzieć, żebyś nie stała się takim wróblem. Układałem te kostki domina wiele lat i kiedy przyjdzie pora, przewrócę jedną z nich, a ona popchnie następne. Jeśli zachowasz się jak ten ptak, obawiam się, że może spotkać cię jego los. Wszystko, co teraz zrobisz bądź czego nie wykonasz, wpłynie na całą układankę. Ta koperta i nagranie to jej części.

– Jesteś stuknięty.

Na twarzy Lewickiego zagościł nieprzenikniony wyraz.

– Wiesz, że śmierć tamtego wróbla uczczono tylko minutą ciszy? – powiedział.

Larysa spojrzała w dal, powoli wypuszczając powietrze z płuc, a potem bez słowa odeszła. Piasek rozsypany na ścieżce trzeszczał pod jej stopami, jakby ostrzegał przed paranoją, którą rozbudzał Jacek. Jego szaleństwo wpijało się w umysł dziewczyny, stopniowo go odurzając. Miała wrażenie, że gdyby spędziła z tym mężczyzną choć odrobinę więcej czasu, stałaby się niepoczytalna jak on. Człowiek, który przerażał, gdy mówił, a jeszcze bardziej, kiedy milczał.

Wsiadając do samochodu, pomyślała, że być może Stephen Hawking miał rację, twierdząc, że to cisi ludzie mają najgłośniejsze umysły. Zatopiona w rozważaniach, przekręciła kluczyk w stacyjce, a gdy uniosła wzrok, by zerknąć w lusterko wsteczne, napotkała spojrzenie Lewickiego. Zimne i przenikliwe. Niespodziewanie uznała, że bardziej od krzykliwych przestępców powinniśmy obawiać się milczących, hołdujących perfekcji ludzi. Bo z ich cichości rodziły się demony.



Kiedy odzyskuję świadomość, mam nadzieję, że to wszystko okaże się snem. Wyobrażam sobie, że ciemność jest rezultatem jedynie szczelnie zaciągniętych zasłon w pokoju. Niemal wierzę, że lada chwila wstanę, odsunę je i wpuszczając światło do środka, zacznę zwyczajny nowy dzień. Ale to się nie wydarzy.

Pulsujący ból kciuka lekko zelżał, jednak znośnie jest tylko wtedy, gdy nim nie ruszam. Przy każdym najdrobniejszym drgnięciu mam wrażenie, jakby ktoś miażdżył mi rękę, od dłoni aż po ramię. Dlatego staram się nie poruszać. Ułożona na boku oszczędzam siły. Dotychczas działałam chaotycznie, teraz próbuję wyłączyć panikę, zrozumieć, gdzie jestem, i przygotować plan.

Przez jakiś czas idzie mi całkiem dobrze, zaczynam oddychać spokojniej, a później z ciemności wyłania się twarz Jacka. Czuję, jakby tu był. Podchodzi do mnie, siada obok i gładzi moje włosy. W jego dotyku jest czułość, ta, która tuliła mnie do snu, ale teraz zamiast spokoju przynosi lęk. Obserwuję z niepokojem dłonie Jacka, pamiętam, jak dotykał nią mojego policzka, niemal daję się temu zwieść, a wtedy jego ręka zamienia się w węża, który sycząc, wpęłza pod moją bluzę i kąsa prosto w serce. Zrywam się przerażona. Pot cieknie mi po plecach i choć wiem, że to tylko halucynacje, to strach jest tak samo silny, jak gdyby Lewicki był tu naprawdę.

Nie mogę przestać zadawać sobie pytania, dlaczego mi to zrobił. Świadomość, że to wszystko od początku było grą i nigdy tak naprawdę mnie nie kochał, boli bardziej niż złamany palec. Jak mogłam być tak głupia i nie zauważyć sygnałów jego obłądzenia? Czy obawiałam się nie tego człowieka, co trzeba?

Do oczu napływają mi łzy. Dopiero teraz widzę, że to Lewicki podsuwał mi wszystkie tropy na temat Wilczyńskiego. Chciał, bym się od niego odsunęła i przestała mu ufać, a ja byłam tak zaślepiona czarem Jacka, a jednocześnie wściekła na Brunona, że dałam się zwieść. Kręcę głową ze smutkiem.

Zastanawiam się, co się teraz stanie. Czy Wilczyński już mnie szuka? Jak szybko odkryje, że to Jacek zrobił mi krzywdę? I nagle uświadamiam sobie coś, co odbiera mi dech. Chyba rozumiem, dlaczego Lewicki to zrobił. Być może nigdy nie chodziło o mnie, tylko o Brunona. Ja byłam jedynie środkiem do celu. To Wilczyński stanowił obsesję mojego chłopaka. To jego chciał zniszczyć. A skoro tak bardzo mu na tym zależało, to Bruno znajdzie się w jeszcze większych tarapatach niż ja.



Aleksander Wilczyński spał, gdy koło południa Bruno wpadł z krótką wizytą. Oddech mężczyzny był płytki, pozornie spokojny,

a jego wyniszczone chorobą ciało wydawało się rozluźnione. Tylko powracające skurcze, wywoływane bólem żołądka, sprawiały, że twarz chorego raz na jakiś czas przecinał przykry spazm. Komisarz chciał jeszcze raz przeprosić ojca za ich ostatnią rozmowę. Zajął miejsce w fotelu i czekał, nasłuchując pochrapywania Aleksandra. Po kwadransie spędzonym na rozmyślaniach o Jacku Lewickim poczuł, że musi się ruszyć, bo inaczej zwariuje. Nie dość, że rozsadzała go energia, to jeszcze pośladki mu ścierpły, a gdy poruszył głowę, doszło go ciche chrupnięcie w kręgach szyjnych.

Stojąc przy oknie, przeciągnął się, po czym wykonał kilka wymachów ramionami i trzy przysiady. Krew natychmiast zaczęła szybciej krążyć. Bruno odsunął poźółkłą, pachnącą starością firanę, dzięki czemu mógł obserwować sąsiedni, opuszczony dom. Miał w sobie coś demonicznego. Okna na parterze i piętrze zostały zabite deskami, a w tym na strychu tańczyły strzępy dawnych firan, szarpane przez wiatr wpadający do środka. Grube mury gdzieś pokrywała warstwa srebrnoszarej pleśni. Pozbawiony mieszkańców gmach stał się zmurszałą skorupą bez duszy. Idealną, gdyby ktoś chciał nastraszyć jakiegoś człowieka. Komisarz zatrzymał galopujące w niebezpiecznym kierunku myśli, ale jego nogi niosły go już w stronę osieroczonego budynku.

Bez wahania pchnął metalową furtkę i skrzywił się w reakcji na piskliwy, wwiercający się w czaszkę dźwięk, który wydała. Podwórko pokrywały butwiejące liście, śliskie jak masło, teraz bardziej podobne do lepkiego błota. Bruno szarpnął za klamkę, a gdy – zgodnie z jego przypuszczeniami – drzwi okazały się zamknięte, okrążył dom w poszukiwaniu innego wejścia. Po chwili jego uwagę przyciągnęły obsypane rdzą gwoździe, którymi deski przybito do murów. Ogarnął wzrokiem podwórko w poszukiwaniu jakiegoś narzędzia, które umożliwiłoby mu sforsowanie zabezpieczeń. Wreszcie dostrzegł samotną, pozbawioną liści brzozę, oderwał jej grubą, nadłamaną gałąź, a potem wcisnął ją między deskę a ścianę budynku, jak dźwignię. Stare gwoździe zgrzytnęły i po chwili puściły. Drugą żerdź zerwał już ręcznie, zaparł się kolanem o ścianę,

pociągnął mocno rękami, a wtedy decha odskoczyła. Oczom Wilczyńskiego ukazał się ziejący czernią otwór.

Serce komisarza zabiło szybciej. Czuł się jak eksplorator na zakazanym i niedostępnym nikomu terenie. Upewnił się, że nie jest obserwowany, a następnie oparł brzuch na parapecie z cegieł i trzymając się ściany, wpełzł do środka. Ciemność, w którą wpadł, rozpraszało jedynie wątle światło przedostające się przez wyrwę po deskach, ale i ono wystarczyło, by mógł ocenić, że wylądował na zakurzonej, betonowej posadzce. W środku dominował zapach wilgoci zmieszany z wonią mysiego moczu. Bruno otrzepał dłonie i ubranie z pyłu, po czym latarką w telefonie oświetlił wnętrze.

Z mroku wyłoniła się pokaźna przestrzeń na kształt salonu, z łukowatymi przejściami do kolejnych pomieszczeń. Nieopodal pod ścianą znajdowały się dwie kostki z betonu, przypominające siedziska. Wilczyński uniósł brwi, uśmiechając się pod nosem, i bezwiednie pomyślał o starej piosence Martyny Jakubowicz.

Architekt, który projektował to wnętrze, albo przesadzał z substancjami odurzającymi, albo miał poważne problemy ze wzrokiem, skonstatował. Choć wydawało mu się, że ojciec kiedyś wspominał o jakichś szalonych artystach, którzy uciekli do Stanów i nigdy nie zdołali sprzedać swojego dziwaczного domu pełnego betonowych rzeźb.

Gdzieś blisko pisnęła mysz, a dźwięk pazurów drapiących o posadzkę sprawił, że Wilczyński się wzdrygnął i natychmiast odruchowo postawił kołnierz kurtki. Ostrożnie przemierzał opuszczone wnętrze, prowadzony jedynie wiązką światła latarki, i choć zdawał sobie sprawę, że dom od lat pozostawał niezamieszkały, wyobraźnia podsuwała mu najstraszniejsze wizje tego, co może kryć się za następnym załomem. Nie natrafił jednak na nic więcej niż odchody gryzoni, skrawki porwanej wełny mineralnej i mysią rodzinę, uciekającą przed nim w panice.

Wilczyński dostrzegł, że schody z parteru prowadzą na antresolę niezabezpieczoną żadną barierką, w której centralnym punkcie znajdował się okrągły betonowy filar. Oświetlając sobie drogę, komisarz wszedł na piętro i obrzucił wzrokiem przestrzeń.

Konstrukcja słupa wydawała się solidna. Bruno podszedł bliżej, słysząc chrupanie piasku i odłamków betonu pod stopami, a następnie położył dłoń na zimnej powierzchni kolumny, uznając, że spełni swoją funkcję.

Nie rozważał już, czy to zrobi – decyzję podjął dużo wcześniej, gdy odwiedził synów Jacka Lewickiego w szkole. Teraz właściwie tylko planował, jak się do tego zabierze i co będzie mu potrzebne. W myślach zanotował listę zakupów, a jednocześnie argumentów utwierdzających go w przekonaniu, że nie ma innego wyjścia. Ręce mu się trzęsły, ale wmawiał sobie, że to z powodu zmęczenia. Stres, niezdrowe, łykane w pośpiechu zimne przekąski i niewystarczająca ilość snu musiały odbijać się na jego zdrowiu. Nie chciał dostrzegać tego, co stawało się coraz bardziej wyraźne. Niszcząc Lewickiego, bezpowrotnie rujnował także swoje życie.

Kiedy skończył penetrować opuszczony gmach, sięgnął do kieszeni po wibrujący telefon. Dzwonił Marian Pękała, przez co Wilczyński zacisnął mocniej szczęki i przeklął pod nosem. Nie zamierzał odbierać, nadal czuł się zdradzony. Ostentacyjnie odrzucił połączenie, po czym zerknął w okna sypialni ojca. Wiedział, że powinien tam wrócić, porozmawiać z Aleksandrem, ale jednocześnie nie mógł ignorować upływającego czasu ani pozwolić sobie na jakąkolwiek lukę w planie, który krystalizował się w jego myślach.

Walczyły w nim przeciwstawne pragnienia. Jedno z nich szeptem zachęcało, by porzucił wszelkie zamiary, wtulił się w ojca jak małe dziecko i spędził z nim ostatnie dni. By wyrwał śmierci z rąk tyle ciepła oraz miłości Aleksandra, ile tylko zdoła, aż do ostatniego oddechu rodzica. I by wyposażył ojca w to, co ma najlepszego, zanim ten wybierze się w podróż donikąd. Drugie natomiast krzyczało, by odnalazł Sylwię Konopacką i raz na zawsze rozprawił się z Lewickim. Nawet gdyby koszt tej decyzji okazał się niewyobrażalnie wysoki.

Nie zastanawiał się długo. Z jakiegoś powodu czuł, że wszystkie dotychczasowe drogi prowadziły go dokładnie w to miejsce, w którym teraz się znalazł. Dlatego odpalił silnik motocykla i ruszył przed siebie, nie zostawiając przestrzeni na wątpliwości. Zamknięte w klatce piersiowej serce policjanta rytmicznie pompowało krew,

która szumiała mu w uszach i pulsowała w opuszkach palców skrytych pod skórzanymi rękawiczkami. Jego umysł był jasny, ostry niczym brzytwa, w pełni skoncentrowany na kolejnych krokach.

Rozważał właśnie, czy zdąży jeszcze zweryfikować jeden z adresów zapamiętanych przez nawigację w samochodzie aspirantki Konopackiej, gdy ponownie odezwał się jego telefon. Mechanicznie odebrał połączenie przez zestaw głośnomówiący zamontowany w kasku, a gdy usłyszał głos brata Larysy, rozpogodził się.

– Jakie wiadomości wolisz najpierw, gorsze czy złe? – zapytał Bartek.

– A opcja „dobre” nie istnieje w twoim repertuarze?

– Nie tym razem. Ten szpital jest cholernie dobrze zabezpieczony. Właściwie nie da się dostać do ich systemu.

– Mów dalej. W twoim „właściwie” wyczuwam obietnicę happy endu.

– Chciałbyś, ale nie będzie tak cukierkowo – oświadczył młody Luboń. – Wyobraź sobie, że najbardziej zawodnym elementem wszelkich systemów zabezpieczeń jest najczęściej człowiek. Bez względu na to, jakie zapory wybudowałiby informatycy, jedno nieostrożne kliknięcie naiwnego użytkownika potrafi otworzyć drzwi nieproszonym gościom. I żeby skrócić tę porywającą historię mojego geniuszu, powiem tylko, że udało mi się zhakować skrzynkę mailową dyrektora szpitala.

Wilczyński mruknął pod nosem, co trudno było zinterpretować jako objaw zadowolenia. Zawartość poczty kierowniczkowej ośrodka rzeczywiście nie robiła na nim wrażenia i raczej nie dawała nadziei na poznanie się z kartą pacjenta, którego poszukiwał.

– Wybacz, że nie podskoczę z radości, ale prowadzę – skomentował.

– Znalazłeś tam coś ciekawego?

– Przekopałem się przez setki nudnych wiadomości, ale w końcu trafiłem na jedną, która mogłaby cię zainteresować. – Na moment zawiesił głos, by zbudować napięcie. – Wynika z niej, że facet, o którego pytałeś, jutro po południu stanie przed komisją lekarską, a ta zadecyduje, czy pacjent opuści wariatkowo.

– Co? Na jakiej podstawie?

– Pewnie czyjegoś widzimi się, ale formalnie uzasadnili to tak. – Bartek chrząknął i zaczął czytać: – „Stan zdrowia pacjenta nie wymaga dalszego udzielania świadczeń zdrowotnych w warunkach szpitalnych”. Przesłałem ci to właśnie w mailu. Ogólnie chodzi o to, że chcą go wypuścić, ale potrzebują dupokrytki, by w razie draki rozmyć odpowiedzialność.

Bruno był gotów pójść o zakład, że Michał Andrzejewski, ojciec Jacka, a zarazem pacjent szpitala psychiatrycznego w Choroszczy, nie wyleczył się z paranoi na punkcie swojego syna. Nauczył się jednak umiejętnie ją ukrywać i powściągać emocje, gdy patrzyli na niego inni. Wszystko po to, by móc opuścić zakład opieki, dopaść Lewickiego i wreszcie odpłacić mu za to, kim syn go uczynił.

Komisarz wiedział od Larasy, że Jacek podpalił swojego ojca, a potem stał nad nim, patrząc, jak ten płonie. Stąd stary nosił na twarzy plastikową maskę przysłaniającą blizny. A jednak to nie ten fakt uczynił Andrzejewskiego obłąkanym i jednocześnie żadnym odwetu. Jego szłał nakręcał strach, który Lewicki podsycał latami. Strach pożerający człowieka za życia, kawałek po kawałku, każdego dnia. To z nim Michał Andrzejewski najbardziej chciał skończyć, ale by przestać go czuć, musiałyby pozbyć się Jacka, pomyślał Wilczyński.

– Bruno, dlaczego nie ogarnąłeś tego sam? – zapytał niespodziewanie Bartek, wyrywając komisarza z rozmyślań. – Po co te wszystkie podchody? Ja rozumiem, że już nie lubisz swojego starego playstation i bardzo chciałeś mi je oddać, ale przecież nie musiałeś. Wystarczył nakaz albo mignięcie odznaką, a dowiedziałbyś się więcej niż ja po włamaniu się do komputera tej babki. Poza tym sam mówiłeś mi kiedyś, że nie powinienem tego robić.

– To prawda, ale nigdy nie wspominałem, że nie bywam hipokrytą.

– Daj spokój, o co chodzi?

Komisarz zastanawiał się, ile powinien ujawnić chłopakowi, szybko jednak stwierdził, że cokolwiek powie, bez wątplenia trafi to do Larasy, wywołując nowe, zupełnie niepotrzebne komplikacje. A tymi w ostatnich dniach los zdecydowanie hojnie go obdarzał. Żył jedynie nadzieją, że młody Luboń nie zapragnie pochwalić się

siostrze włamaniem na konto dyrektor szpitala psychiatrycznego i dzięki temu sprawa przyschnie.

– To nie jest takie proste, młody – silił się na ton życiowego wyjadacza. – W poniedziałek wpadnij do mnie po konsolę, dobra? W końcu dziś mikołajki, coś ci się od życia należy, dziecino. – Zaśmiał się. – Świetna robota.

Podziękował bratu Larysy, lecz gdy tylko się rozłączył, telefon zawibrował ponownie.

– Co tam? Zapomniałeś czegoś? – odebrał przekonany, że Bartek wrócił roztrzasać swoje wątpliwości.

– To chyba ty zapomniałeś słów roty ślubowania – grzmiał naczelnik Marian Pękała. – Był tam taki fragment: „Przestrzegać dyscypliny służbowej oraz wykonywać rozkazy i polecenia przełożonych”. Coś ci świta? Gdzie ty się w ogóle podziewasz? Masz wrócić i wszystko wyjaśnić!

– Nie mam nic...

– Zamknij się, teraz ja mówię – warknął przełożony. – Nie mam pojęcia, w jakie gówno wdepnąłeś, ale twoja ucieczka z komendy spowodowała, że wpadłeś w nie po uszy, i choćbym nie wiem jak się nadał, nie będę cię w stanie z tego wyciągnąć. Zostałeś sam, Wilczyński, dociera to do ciebie? Ogórek z inspektorem Wroną wystarali się o nakaz przeszukania twojego lokum na Dereniowej. Jeśli znajdą tam cokolwiek wiążącego cię z zaginięciem Sylwii Konopackiej, zapewniam, że sam złożę zeznania obciążające twoją osobę.

Bruno poczuł się, jakby dostał pięścią w brzuch. Dokręcił mocniej manetkę gazu i w ostatniej chwili wyprzedził zmieniającą pas ciężarówkę. Kierowca furgonetki dał po hamulcach, jednocześnie trąbiąc, ale komisarz nie zwrócił na niego uwagi. Pochłoneły go wyobrażenia policjantów przeszukujących mieszkanie, a do ust napłynął mu gorzki smak.

– Niczego nie znajdą – powiedział, jakby składał obietnicę.

Prawda była jednak taka, że Wilczyński przestał już być pewien czegokolwiek.



Pomarańczowy tygrys naklejony na szybie mokotowskiej przychodni weterynaryjnej Tygrysek niezmiennie witał Larysę z szeroko rozpostartymi łapami. Dziewczyna obserwowała przez witrynę, z jaką czułością jej przyjaciel, Maciek Sachara, bandażował nogę białego yorka z różową kokardą zatknietą na głowie. Ten widok przywołał wspomnienia pierwszego spotkania z Sucharem, kiedy z podobną troską i uwagą zajmował się dźgniętym nożem brzuchem Luboń.

Poza umiłowaniem do czerstwych dowcipów to właśnie umiejętność słuchania i szczerowość nieustająco ujmowały Larysę w przyjacielu. Suchar wychwytywał to, co ukryła między zdaniem, obnażał wszystkie jej lęki, nazywał rzeczy po imieniu, jakby nie bał się odrzucenia. Być może właśnie na tym polegała prawdziwa przyjaźń, na dawaniu tego, czego druga osoba potrzebowała, nawet gdy ona tego nie chciała.

Czekając, aż klientka z psem opuści gabinet, myślała o kopercie od Lewickiego zostawionej w samochodzie. Na razie nie miała odwagi jej otworzyć. Nie wiedziała też, czy powinna. Spojrzała na lekarza za szybą, który pożegnał się z psim pacjentem, po czym nieśmiało zapukała do drzwi. Suchar otworzył jej, wycierając świeżo umyte dłonie w ręcznik, a jego wzrok zawiesił się na torbie z tajskim jedzeniem, którą Larysa trzymała w rękach.

– Jakim cudem zawsze wiesz, kiedy chce mi się jeść? – Przytulił ją niezgrabnie swoim wielkim, misiowatym ciałem.

– Zwykle jesienią i zimą jesteś non stop głodny. Wiecznie rozglądasz się za czymś do chrupania, a każda nasza rozmowa prędzej czy później i tak schodzi na żarcie. Chyba mogę powiedzieć, że rachunek prawdopodobieństwa działał na moją korzyść. – Posłała mu serdeczny uśmiech, po czym weszła do środka.

Maciek nie krył radości. Uruchomił ekspres do kawy, a następnie zaczął wzdychać i wydawać z siebie pomruki zadowolenia na widok pad thaia z krewetkami, którego Luboń wyjęła z torby. Wyraz twarzy

mężczyzny przypominał ten, który mają dzieci, gdy po rozpakowaniu prezentu w środku znajdują dokładnie to, o czym marzyły.

Błyszczące oczy, zaróżowione policzki i lekko uchylone usta przyjaciela rozbawiły Larysę.

– Strzykawkę? – zaproponował.

– Co takiego?

– Kawę z trzech espresso, strzykawkę.

Stary dobry Suchar, pomyślała, dziękując za napój, który doprowadziłby jej i tak ostatnio rozedrgane serce do jeszcze większych palpacji.

Kiedy jedli, dyskretnie obserwowała przyjaciela. Coraz dłuższe włosy, gęstniejąca broda oraz wydatny brzuch Sachary upodobniały go niezmiennie do poczciwego Hagrida z filmów o czarodzieju Harrym Potterze. Luboń zastanawiała się, ilu klientów przychodni miało to samo skojarzenie i czy prosili go o pamiątkowe zdjęcia, które później lądowały na Instagramie albo Facebooku.

– Nie patrz na mnie tak podstępnie – rzucił, gdy uchwycił jej spojrzenie. – Lepiej powiedz, jak tam sprawy między tobą a komisarzem Wilczyńskim. Jesteście bardziej jak Romeo i Julia, a może bliżej wam do bohaterów *Titanica*?

– Czy istnieje powód, dla którego wymieniasz same pary, które skończyły tragicznie?

– Naprawdę to zrobiłem? – Przyłożył dłoń do ust, jakby się przejął.

– Musiała przeze mnie przemówić podświadomość albo zazdrość, wybac. Przecież wiesz, że jestem nieustającym optymistą, nawet na cmentarzu widzę same plusy. – Puścił do Larysy oko, a ta chwyciła rolkę papierowych ręczników i rzuciła nią w Maćka.

Żarty i przekomarzania na moment oderwały Luboń od zmartwień. Stanowiły przyjemną pauzę w ciągłym paśmie napięcia, które przyprawiało ją o ból głowy. Wreszcie śmiała się głęboko, z trzewi, tak bardzo, że aż nie mogła złapać tchu. Chwytała te drobne chwile szczęścia i niczym koraliki nawlekała na nitkę pamięci, jakby przeczuwała, że niebawem mogą okazać się jej potrzebne.

– Masz jeszcze to swoje stare radyjko kasetowe? – zapytała, gdy emocje powoli zaczęły opadać.

– No pewnie. Rock z mojego dzieciństwa na niczym nie brzmi tak dobrze, jak na magnetofonie z lat dziewięćdziesiątych. Szczególnie w pustym gabinecie, po pracy.

Suchar podszedł do szafki przy ścianie, schylił się, po czym wyjął z niej sprzęt jak ze starych teledysków MTV, w których raperzy przemierzali ulice z boomboxem na ramieniu.

– Będziemy czegoś słuchać? – sondował, stawiając radio na stole. – Za pół godziny mam pacjenta, więc wypadałoby się uwinąć z tą dyskoteką.

Larysa kiwnęła głową ze zrozumieniem. Jej palce sięgnęły po kasetę ukrytą w plecaku, a następnie umieściły ją w odtwarzaczu. Kiedy nacisnęła guzik „play”, z głośników wydobył się szum, tuż po nim nastąpiło chrząknięcie, a później zabrzmiał niski męski głos.

Piętnasty czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego. Tuż po diagnozie Joanna zrezygnowała z pracy. Bała się, że peruka spadnie na biurko, a uczniowie zaczną się z niej śmiać. Urszula po mastektomii wskoczyła pod samochód, bliskim zostawiła list, w którym napisała, że nie potrafi żyć bez piersi. Ela przez rok udawała, że choroby nie ma, a później, gdy osłabła, poprosiła męża, by swoją maszynką zgolił jej włosy. Co czują kobiety, które dostają diagnozę potwierdzającą nowotwór? Jak radzą sobie ze strachem i samotnością? Skąd czerpią siłę do walki?

Tembr głosu Henryka Mastalerza przenosił Luboń do dawnych czasów, gdy poznała właściciela koncernu Media Corp., a później została jego najpilniejszą uczennicą. To on uczynił z niej dziennikarkę. Sprawił, że życie, które niebezpiecznie kierowało ją w stronę destrukcji, nabrało barw, a może nawet sensu. Nauczył, jak przekuć gniew w działanie, i na tym paliwie tworzyć artykuły, które oddawały głos ludziom dotychczas tego głosu pozbawionym.

– Kto to? – Suchar wydawał się dezorientowany.

– Mój dawny profesor, mentor i pierwszy szef. Założyciel magazynu reporterów, Henryk Mastalerz.

Dziewczyna wyjaśniła Maćkowi, że mężczyzna nie żyje od kilku lat, a nagrywanie artykułów na kasety magnetofonowe należało do jednego z wielu jego ekscentrycznych zwyczajów. Przymknęła oczy, wsłuchując się w piękne frazy dziennikarza. Zawsze wiedział, gdzie postawić kropkę. Wyczuwał, w którym miejscu pozwolić sobie na niedopowiedzenie bądź przesadny akcent. Operował słowem jak chirurg skalpelem. Świadomie, z odwagą i bez wahania. Zazdrościła mu tej umiejętności.

Podążając za głosem Mastalerza, wracała do przyjemnych wspomnień z czasów ich wspólnej pracy. Uśmiechnęła się, przywołując w myślach twarz mężczyzny, a wtedy niespodziewanie rytm nagrania uległ zmianie. Ktoś trzasnął drzwiami, Henryk urwał swój monolog, po czym nastąpiła gwałtowna wymiana zdań zapoczątkowana wściekle wyszczynanym pytaniem Roberta Hallera. Larysa przysłuchiwała się jej w takim szoku, że nie wszystko dotarło do niej za pierwszym razem. Cofnęła taśmę i puściła nagranie raz jeszcze. Obok magnetofonu położyła komórkę z uruchomionym dyktafonem, by móc później wracać do zarejestrowanej rozmowy.

– Dlaczego nie odbierałeś telefonu!?

– Poprosiłem Grażynę, by zdjęła słuchawkę z widetek. Zawsze tak robię, gdy piszę.

– Dzwoniłem do ciebie, bo potrzebowałem twojej pomocy, a teraz jest za późno. Nic już się nie da zrobić! Oni kazali mi jechać do Londynu. Mam wrócić na uczelnię i udawać, że nic się nie stało. Zapomnieć o tym, rozumiesz? Chcą to wszystko zatuszować. Ukryć gdzieś ciało tak, żeby nikt nigdy się nie dowiedział. Boże, jak my będziemy z tym żyć?

– Ale z czym? Jakie ciało? Robercie, o czym ty mówisz?

– To był wypadek. Musisz mi wierzyć. Tam w stadninie... Ja nie chciałem.

– Co się wydarzyło?! Proszę, powiedz mi, jak mogę ci pomóc. Mam do kogoś zadzwonić? Odezwać się do twoich rodziców?

– Nie! To był błąd. Nie powinienem być tu przychodzić. Muszę się wziąć w garść. Już i tak nie ma odwrotu. Do nikogo nie dzwoń, a już na pewno nie do moich rodziców. Zapomnij o tej rozmowie!

Na nagraniu słychać było zatrzaskiwane drzwi, stukot podeszw butów biegnącego za Robertem Hallerem Henryka, a później jego nawoływanie. Potem głodne finału tej historii uszy Luboń musiały zadowolić się szumem taśmy nawijanej na szpulę, a wreszcie dźwięk kroków wrócił. Były wolne i coraz głośniejsze, jakby zbliżały się do dyktafonu. Gdy ustały, coś zatrzeszczało i nagrywanie zostało wyłączone.

Larysa z Maćkiem spojrzeli na siebie, lecz żadne z nich nie powiedziało ani słowa. W jego napełnionych lękiem oczach dostrzegła niewyartykułowaną prośbę, być może nawet błaganie, o to, by nie podążała za tropem, który właśnie odkryła. Tymczasem w jej wzroku kryły się przeprosiny, bo wiedziała, że musi rozwikłać tę zagadkę i żadna siła nie zdoła jej przed tym powstrzymać.

Musiał to z niej wyczytać. Dostrzec jakiś drobny grymas twarzy, drgnięcie powieki albo upór wypisany w napiętych mięśniach. Może dlatego, nim wyszła, zawołał do jej oddalających się pleców:

– Nawet koty mają tylko dziewięć żyć, Lara! A ty już dawno wykorzystowałaś swój limit. Nie kuś losu.



„Tyle wiemy o sobie, ile nas sprawdzono”. Wilczyński powtarzał w myślach znany cytat. Gdyby kilka miesięcy wcześniej ktoś powiedział mu, do czego się posunie w niedalekiej przyszłości, wyśmiałby te niedorzeczne wróżby. A jednak stał teraz przed sklepem z militariami, sceptycznie zerkając na wizerunki twardej broni w rękach, zdobiące witrynę. Mógł jeszcze zrezygnować, zadzwonić do Pękały, poszukać jakiegoś rozwiązania, ale by to zrobić, musiałby wierzyć, że ono istnieje.

Gdy tylko popchnął drzwi, dzwoneczek sygnalizujący pojawienie się nowego klienta przywitał go radosnym dźwiękiem, najwyraźniej nieświadom zamiarów komisarza. Bruno powiódł wzrokiem po półkach pełnych gadżetów, po czym zaciągnął się zapachem brezentu, który tak bardzo przypominał mu biwaki nad jeziorem i mokry od deszczu las. Wnętrze sklepu obfitowało w ubrania outdoorowe, buty, broń, latarki, noże, gazy pieprzowe i lornetki. Znalazł tam nawet legendarną energetyczną czekoladę z kofeiną, jaką niegdyś raczyli się piloci Luftwaffe, oraz replikę szabli husarskiej z XVII wieku kosztującą połowę jego miesięcznej pensji. Na widok ceny aż zagwizdał z wrażenia, co przyciągnęło uwagę sprzedawcy. Mężczyzny o surowości wojskowego dowódcy wypisanej na twarzy i szerokiej klatce piersiowej ukrytej pod T-shirtem moro.

– Czego kolega szuka?

Wilczyński zerknął za siebie, by upewnić się, czy ekspedient kieruje to pytanie do niego. Pozostali dwaj klienci robili wrażenie pochłoniętych oglądaniem kurtek, przez co komisarz uznał, że najwyraźniej to on znalazł się na celowniku ekspedienta.

– Nie mam pojęcia, czego szuka kolega – odparł – ale ja potrzebuję jakiegoś dobrego paralizatora. Takiego, który zdezorientuje przeciwnika i jak najdłużej utrzyma go w szoku.

– Mogę zaproponować ten. – Sprzedawca położył na ladzie sprzęt przypominający niewielki pistolet. – Taser pulse laser pointer. Konstrukcja wzorowana na broni palnej. Wystrzeliwuje elektrody, które rażą napastnika przez trzydzieści sekund bez przerwy, całkowicie pozbawiając go kontroli nad mięśniami.

– Bomba, biorę.

– Nie chce pan go obejrzyć? Mogę też pokazać inne.

– Nie trzeba – uciął Bruno. – Trochę się spieszę. Wezmę jeszcze lornetkę, nóż taktyczny, latarkę i pałkę teleskopową. Ile płacę?

Zdezorientowany ekspedient zmarszczył czoło.

– Wie pan, że te produkty mają służyć wyłącznie samoobronie?

– Jasne. Moglibyście jeszcze wymyślić sprzęt, który obroni człowieka przed nim samym.

Mężczyzna za kontuarem zacisnął dłonie na ladzie, a jego niespokojny, błędzący wzrok zdradzał, że czuł się nieswojo w towarzystwie dziwnego klienta. Przejęty sprzedawca wyłożył na blat zamówione produkty, zapytał o formę płatności, ale gdy komisarz sięgnął po portfel, obiekcje ekspedienta wróciły. Być może zadał sobie pytanie, kto, u licha, potrzebuje do samoobrony jednocześnie noża, pałki i paralizatora, a odpowiedź, którą podsunęła mu wyobraźnia, wywołała uzasadnione obawy. Zbliżył rękę do terminala, zapewne po to, by anulować transakcję, ale nim zdążył, Bruno przysunął czytnik do siebie, dotknął go kartą i sprawnie wpisał PIN. Urządzenie w odpowiedzi zazgrzytało, a po chwili wypłuło paragon. I choć zwykle był to pożądany finał sprzedaży, tym razem wywołał w mężczyźnie uczucie niepokoju.

Sprzedawca przełknął ślinę, po czym ostrożnie zerknął w stronę kamery przemysłowej, co nie umknęło uwadze Wilczyńskiego. Nagły skurcz niepokoju ścisnął żołądek komisarza pakującego zakupy do foliowej siatki. Jego umysł w ciągu zaledwie kilku chwil roztoczył przed nim wizję konsekwencji odwiedzin sklepu z bronią i niezbyt rezolutnego posunięcia, by zapłacić kartą. Bruno mógł zaserwować jakieś uspokajające kłamstwo, zmiękczyć sceptycyzm ekspedienta, ale ostatecznie postanowił zignorować potencjalne ryzyko i opuścić lokal. Być może w ostatnich dniach ujawnił się jego wrodzony dar do podejmowania złych decyzji. Starał się jednak skupiać na tym, na co miał wpływ. Inne sprawy pozostawiał ich własnemu biegowi.

Kiedy zakupy trafiły do wynajętego godzinę wcześniej peugeota partnera, komisarz opadł zmęczony na siedzenie kierowcy. Ubranie kleiło się do cienkiej warstwy potu na plecach, a głowa pulsowała narastającym bólem. Wilczyński sapnął, klepnął się mocno w policzki, by odzyskać wigor, po czym odpalił silnik. Był głodny, ale najpierw musiał przygotować zasadzkę. W bagażniku miał już łańcuch, kilka kłódek, łom budowlany z końcówką do wyciągania gwoździ, taśmę naprawczą i gruby karton, a w głowie – plan. Nie należał do idealnych, jednak w warunkach, w których Wilczyński działał, wydawał się satysfakcjonujący.

W drodze do opuszczonego domu naprzeciwko posesji swojego ojca Bruno przyłapał się na tym, że popadł w myślenie tunelowe. Nie dostrzegał już alternatywnych wyjść z sytuacji, w której się znalazł, nie liczył na przełom w poszukiwaniach Sylwii prowadzonych przez funkcjonariusza Wronę ani na taryfę ulgową Pękały. W analizach zachowań sprawców, które czytywał, wielokrotnie napotykał na opinie psychologów i psychiatrów twierdzących, że ludzie myślący tunelowo mają zawężone spektrum świadomości. Dostrzegają jedynie krótkoterminowe konsekwencje własnych działań, ignorując dłuższą perspektywę. Tkwią w transie odbierającym im zdrowy rozsądek. Wilczyński buntował się przeciwko tej tezie, wmawiał sobie, że działa świadomie i wie, w co się pakuje, ale czy na pewno tak było?

By uciec od wątpliwości, najpierw nastawił głośno radio. Próbował śpiewać do wtóru z Bradleyem Cooperem i Lady Gagą piosenkę o zapadaniu się w bezdenną otchłań, ale przy kolejnym „sha-lla-lla-lla-llow” nie wytrzymał i wyłączył muzykę. Później beznamiętnie, tylko dla zajęcia myśli, studiował mijane tablice z nazwami ulic. Charakterystyczne niebieskie prostokąty z czerwonym paskiem u dołu. Wtedy coś go tknęło, zatrzymał się gwałtownie na poboczu, zmuszając kierowcę jadącego za nim dusterą do nagłego odbicia w lewo. Facet pokazał Wilczyńskiemu środkowy palec, ale policjant tego nie zauważył, ponieważ cała jego uwaga skupiona była na telefonie komórkowym. Szukał zdjęcia z adresami z nawigacji samochodowej aspirant Konopackiej. A kiedy wreszcie je znalazł, zrozumiał, że intuicja go nie zawiodła.

Wcześniej zdołał sprawdzić większość wskazań z komputera pokładowego bordowego subaru policjantki, ale jeden z adresów nadal pozostawał zagadką. Bruno wpisywał go w wyszukiwarkę i oglądał położenie tego miejsca na mapie, a teraz niespodziewanie zdał sobie sprawę, że wylądował nieopodal. Co prawda musiałby zawrócić, jednak szansa na wypełnienie luki w historii Sylwii stanowiła wystarczającą pokusę. Komisarz zerknął jeszcze na zegarek, upewnił się, że zostanie mu wystarczająco dużo czasu, by wykonać plan, po czym wycofał i odbił w prawo.

Przed upływem kwadransa dotarł pod wskazany adres. Szyld na ogrodzeniu i fasadzie brązowego budynku zawiadamiał, że wewnątrz mieści się firma Genco. Wilczyński wklepał nic niemówiącą nazwę do wyszukiwarki w telefonie, a po chwili jego oczom ukazał się link do witryny internetowej. Zniecierpliwiony stuknął palcem w ekran komórki i zastygł z otwartymi ustami. Miał przed sobą zdjęcie szczęśliwej rodziny, na którym uśmiechnięci, elegancko ubrani dorośli trzymali za ręce kilkuletnich dziewczynkę i chłopca, a pod nimi widniał napis: „Pewne, szybkie i całkowicie poufne testy na ustalenie ojcostwa”. Dodatkowo wyskakujące na głównej stronie firmy okienko informowało o promocji na testy DNA z mikrośladów, które pomagały w typowaniu biologicznego ojca dziecka. Reklama zachęcała do skorzystania ze starej gumy do żucia, szczoteczki do zębów, chusteczki higienicznej albo butelki, używanych wcześniej przez potencjalnego kandydata na ojca, i wabiła sporą obniżką ceny.

Bruno pokręcił głową z niedowierzaniem. Ze wspomnień rozmów ze świadkami zaczęły wyłaniać się poszczególne informacje. O tym, że Sylwia nie tknęła piwa w Hospodzie, o jej ciągłym zmęczeniu i o krwotoku z nosa. Wszystkie objawy mogły wskazywać na ciążę, teraz widział to wyraźnie. Męczył go jednak powód, dla którego policjantka odwiedziła Genco. Jeśli ojcem jej dziecka nie był Lewicki albo miała co do tego wątpliwości, to kto inny mógł nim być? Do Wilczyńskiego stopniowo docierało, jak słabo znał swoją koleżankę. Kim się stawała po wyjściu z pracy? Nie znał odpowiedzi na te pytania. Czarna plama niewiedzy rozlewała się przed nim, tworząc obszerną i coraz bardziej wciągającą go, smolistą kałużę.

Nie zostawiając sobie czasu na refleksję, ruszył w stronę domu ojca. W międzyczasie sięgnął po telefon i wybrał numer Jana Ogórka. Aspirant długo nie odbierał, ale komisarz uparcie trzymał komórkę przy uchu. Wierzył, że warto być uczciwym, nawet jeśli nie zawsze się to opłaca.

– Bruno? – odezwał się zaskoczony policjant.

– Posłuchaj, Dzieciak, Sylwia Konopacka była w ciąży. Na krótko przed zaginięciem odwiedziła laboratorium świadczące usługi w zakresie badań DNA, głównie ustalania ojcostwa. Nazywają się

Gentico. Z nakazem pewnie dowiecie się więcej niż ja, ale na początek to wam wystarczy.

– Nie powinieneś do mnie dzwonić.

– Daj spokój, zależy mi na odnalezieniu Sylwii tak samo jak wam. Wprawdzie wywaliliście mnie z drużyny, ale to nie znaczy, że będę siedział beczynn timer na ławce rezerwowych.

– Nie mogę z tobą... – Ogórek nie dokończył, bo ktoś wyrwał mu słuchawkę.

– Wilczyński, to ty? – Bruno usłyszał głos inspektora Sławomira Wrony.

– No proszę, mój ulubiony funkcjonariusz Centrum Poszukiwań. Usychałem z tęsknoty.

– Bardzo zabawne. Ciekawe, czy w więzieniu też będziesz taki uczuciowy.

– Niekoniecznie, podobno zimny ze mnie drań.

– Przyznaj się, co jej zrobiłeś? Zakopałeś gdzieś? Poćwiartowałeś? – nie odpuszczał komisarzowi, który na te słowa uniósł brwi.

– Daruj sobie – odciął się od niedorzecznych oskarżeń.

– Nie zamierzam. Szczególnie teraz, gdy znaleźliśmy jej telefon w twoim mieszkaniu. Jesteś zaskoczony, prawda? Nie wywiniesz się z tego, komisarzu. Jest motyw, są dowody, jeszcze tylko świadkowie i po tobie.

Bruno syknął wściekle. Zauważyłby ślady włamania, gdyby do niego doszło, pamiętał też o zamykaniu drzwi czy okien, ale kilka dni temu zostawił klucz w kanciapie, by faceci ze stróżówki wpuścili szklarza, i najpewniej w tym miejscu powstała luka, pomyślał. Teraz rozumiał już, że wybita szyba stanowiła jedynie pretekst do tego, by obcy człowiek mógł wejść do jego mieszkania. Nie musiał się nawet zastanawiać, kto byłby do tego zdolny.

Lewicki wyprzedził go o kilka ruchów, ale raczej nie przewidział, do czego policjant gotów był się posunąć.



Większość ludzi uważała, że nie można wrócić do przeszłości, ale Larysa nie do końca się z tym zgadzała.

Według niej niektórzy nigdy jej nie opuścili. Ci ludzie nieustająco przeżywali dawne wydarzenia, krążyli wokół nich myślami, jakby żywili nadzieję, że dzięki temu zmienią zapisaną na karcie pamięci historię. W rzeczywistości stawali się zakładnikami tego, co minęło, męczennikami na własne życzenie, uwięzionymi w blaknących wspomnieniach.

Znała ten stan, w którym oglądanie się za siebie uniemożliwiało dostrzeżenie przyszłości. Do niedawna sama tkwiła w pułapce, na milion sposobów analizowała, jak doszło do najtrudniejszego wydarzenia w jej życiu, i za każdym razem kończyła w tym samym miejscu. Wyczerpana i bezradna, a przeszłość wcale nie ulegała zmianie. Dopiero gdy ją zaakceptowała, przyjęła jako część swojej historii, bez której nie poznałaby Henryka Mastalerza, Pawła Wiśniewskiego, Suchara i Brunona – dopiero wtedy ten bagaż przestał jej ciążyć, a ona mogła ruszyć naprzód. Uwolnić się.

Myślała o tym, gdy słowa Roberta Hallera: „Boże, jak my będziemy z tym żyć?” wracały do niej echem. Chciała wiedzieć, czy przeszłość ścigała biznesmena, dawała o sobie znać w koszmarach pełnych strachu i cieni, czy może zdołał przed nią umknąć. W dziewięćdziesiątym piątym roku Robert miał dwadzieścia lat, był wtedy na drugim roku w London School of Economics, ale w czerwcu musiał przyjechać do Polski. Co takiego wydarzyło się w stadninie Hallerów? Nie mogła przestać o tym myśleć. Szczególnie że w tym samym roku Diana Darska uciekła z domu, a jej ojciec porzucił rodzinę, wyjechał do Niemiec i rzekomo zabrał ze sobą sześciolatniego Wojtka.

Usiłowała przypomnieć sobie, co Lady Di wykrzykiwała przez sen, gdy jeszcze razem z Pawłem Wiśniewskim koczowała na dworcu, jakby w jej słowach tkwiła jakaś wskazówka, którą dopiero teraz Larysa mogłaby zrozumieć, ale nie potrafiła ich odtworzyć w pamięci. Musiała odszukać Pawła, który był kluczem do rozwiązania tej zagadki. Problem tkwił w tym, że nie wiedziała nawet tego, od czego powinna zacząć.

Zuzanna Haller dostrzegła ściągnięte brwi i matowe oczy Luboń, gdy tylko dziennikarka przekroczyła próg ich rodzinnej rezydencji w Podkowie Leśnej.

– Albo to mój starszy brat tak cię nastraszył podczas ostatniej rozmowy, albo coś cię potwornie trapi – oznajmiła, przyglądając się dziewczynie.

Stała oparta plecami o lustrzaną ścianę, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Jej długie, wijące się niczym węże, orzechowe włosy spływały na ramiona, a posągowa wręcz sylwetka onieśmiała. Ubrana w prążkowany biały golf i buty na słupku sprawiała wrażenie niezwykle wysokiej i choć biel jej stroju oraz sposób, w jaki patrzyła na dziennikarkę, kojarzyły się tylko z królową śniegu, to w kącikach ust córki potentata czaił się łobuzerski uśmiech.

– Właściwie jedno i drugie – odparła Larysa.

To wyznanie przyniosło jej pewnego rodzaju ulgę. Zuzanna roześmiała się w głos, po czym niespodziewanie wzięła Luboń pod rękę.

– Chodź, pójdziemy do mnie, nie cierpię tej części domu. Jest strasznie przygnębiająca, nie uważasz? Wszystko tu jest takie zimne.

Prowadziła dziewczynę jak dawno niewidzianą przyjaciółkę, której miała wiele do opowiedzenia po długiej rozłące. Wokół niej unosiły się intensywny, słodkawo-korzenny zapach anyżu i dźwięk pobrzękującej na nadgarstkach biżuterii. Gestykulowała, wybuchała śmiechem i bez oporu wytykała przywary rodziny Hallerów. Wydawała się szczerą, gdy nazywała ojca starym, ślepym durniem, Roberta zachłannym karierowiczem, a Macieja zakompleksionym chłopcem, który nosi w sobie tyle strachu, że nieustannie musi szcuć innych. Mimo to Larysa sceptycznie odnosiła się do tej niczym nieuzasadnionej poufałości.

– A ty kim jesteś? – zapytała kobietę, gdy dotarły do czegoś na kształt saloniku, urządzonego w przytulnym skandynawskim stylu hygge.

– Tchórzem, który nie ma odwagi powiedzieć im tego w oczy i z tej przyczyny wylewa swoje żale przed cierpliwymi słuchaczami, takimi

jak ty. Wina? – Wyjęła korek z napoczętej butelki. – Mam świetnego rieslinga z Rheinhessen w Niemczech.

Zuzanna po mistrzowsku zmieniała tematy, zonglowała anegdotami, a niekiedy wtrącała opowieści na kształt zwierzeń, tylko po to, by stworzyć wrażenie intymności i już za moment je zburzyć. Luboń nie potrafiła ocenić, czy spektakl, którego była świadkiem, został wyreżyserowany i służył manipulacji, czy może pokazywał prawdziwą, ekstrawertyczną naturę kobiety.

Córka Ryszarda usiadła z kieliszkiem w dłoni na fotelu, założyła nogę na nogę, po czym przytknęła umalowane karminową szminką usta do krawędzi kieliszka. Kryształ mienił się w jej palcach, odbijając światło.

– Ojciec wspominał, że piszesz dla „Newsweeka”. Podobno chcesz pokazać prawdziwą twarz Hallerów. To prawda? – Uśmiechnęła się, gdy dziennikarka skinęła głową. – Skąd pomysł, że nasza rodzina okaże się bardziej atrakcyjna niż inne? A co, jeśli jesteśmy jak Dorian Gray? Obłudni i źli? Kto wie, czy w zamkniętym pokoju na strychu nie trzymamy portretu, który szpetnieje pod wpływem naszych grzechów, podczas gdy sami pozostajemy bez skazy.

– Gdyby tak było, nie wpuścilibyście mnie do tego domu.

– Mylisz się. Uważasz, że to ty nas obserwujesz, ale co, jeśli to my przyglądamy się tobie? Jak myślisz, dlaczego wszyscy nosimy klucze na szyi? – Sięgnęła po swój ukryty pod golfem i zatknięty na srebrnym łańcuszku. – Nie przyszło ci do głowy, że to klucze do klatki, w której cię zamykamy?

Larysa drgnęła. Jej żołądek skurczył się, a wzrok odruchowo powędrował w stronę drzwi, po chwili także okna. Jakby sprawdzała potencjalne drogi ucieczki. Słowa Zuzanny przypominały prowokację, ale jednocześnie budziły namacalny, pierwotny lęk. Niepokój, który wspinał się po kręgosłupie i ścisnął za kark. Zanim jednak dziennikarka zdążyła zebrać myśli, kobieta parsknęła śmiechem.

– Przepraszam, mam specyficzne poczucie humoru – wyjaśniła. – Nieco mroczne.

– Dlaczego w takim razie nosicie te klucze?

Zuzanna mruknęła, powoli podniosła się z fotela i dopełniła kieliszek winem. Jej krok wydawał się lekko chwiejny, a wzrok coraz bardziej mętny.

– Zastanawiałaś się kiedyś nad tym, czym jest rodzina? – zapytała, gdy opadła na swoje poprzednie miejsce. – Według mnie każdy z nas jest w pewien sposób jej więznielem. Nikt nie pyta o to, czy chcemy należeć do tej konkretnej rodziny, w której przychodzimy na świat. Losujemy określony zestaw i nie możemy wymienić go na inny. Nieważne, czy pragniemy być obciążeni jej historią i traumami albo czy akceptujemy panujące w niej zasady. Kiedy się pojawiajemy, porządek jest już ustalony, a my mamy obowiązek dostosować się do reguł. W przeciwnym razie zostaniemy odrzuceni. Dorastamy więc w tej zamkniętej, często skażonej przestrzeni i zaczynamy wierzyć, że właśnie tak wygląda świat. A przecież to tylko nasza klatka. – Zakręciła kluczykiem na łańcuszku. – Te klucze służą bezpieczeństwu. Są ważne dla matki. Prześladowają ją różne lęki, a dzięki nim jest spokojniejsza.

– I dlatego siedzi zamknięta na poddaszu?

– Tam czuje się najlepiej. Widzi stamtąd wszystko. – Zaśmiała się gorzko.

W oczach dziennikarki Zuzanna była jakby wyjęta z serialu *Miasteczko Twin Peaks*. Pod pozorami niewinności zdawała się ukrywać mroczne oblicze, prześwitujące przez jej absorbującą osobowość. Choć i to mogło być jedynie sztuczką.

Luboń zastanawiała się, czy siostra Roberta wiedziała, co wydarzyło się w dziewięćdziesiątym piątym roku w stadninie Hallerów. Nie mogła jednak zapytać jej o to wprost, bo jeśli tamto zdarzenie w jakikolwiek sposób łączyło się z Dianą Darską i jej morderstwem, ściągnęłaby na siebie kłopoty. Dotychczas wszyscy, którzy dotykali tej sprawy, ginęli w niewyjaśnionych okolicznościach, popełniali samobójstwo albo ulegali nieszczęśliwym wypadkom. Larysa nie chciała stać się jedną z nich.

Powiodła wzrokiem po gustownie urządzonej pomieszczeniu, a później przypomniała sobie, że Zuzanna studiowała architekturę wnętrz w Zurychu. Może dlatego nawet przedmioty na drewnianym

biurku pod ścianą tworzyły idealną kompozycję. Pastelowa filiżanka ze złotym uchem, świeczka w skandynawskim stylu, miseczka z cukierkami anyżowymi i papierowa torba z logotypem stadniny. Szczególnie ta ostatnia zainteresowała dziennikarkę.

– Jeździsz konno? – Wskazała symbol wierzgającego konia na papierze.

– Tak, regularnie. To mi pomaga układać myśli. Chociaż nasza stadnina, Hallerówka, nie jest już tym, czym była dawniej. Kiedyś organizowaliśmy zawody i pokazy jeździeckie. Mieliśmy prawie sto koni, nawet te szlachetne półkrwi. Przyjeżdżali goście, którzy chcieli potrenować, lub totalni amatorzy, by uczyć się dosiadania tych pięknych zwierząt. – Patrzyła w dal rozmarzonym wzrokiem. – Teraz tylko my korzystamy ze stadniny. Wiele lat temu rodzice zamknęli ją dla osób spoza rodziny.

– Kiedy? W dziewięćdziesiątym piątym?

– Jezu, nie pamiętam, może. Jakoś pod koniec moich studiów.

– Ale skoro Hallerówka tak świetnie funkcjonowała, to dlaczego ją zamknęliście? Był jakiś szczególny powód?

Córka Ryszarda wzruszyła ramionami.

– Musiałabyś spytać o to rodziców. Może po prostu nie chcieli się już dzielić – zasugerowała. – Na pewno znasz to powiedzenie, że wszystko zostaje w rodzinie. Więc zostało.

– Pytanie tylko, czy to dobrze. Nie uważasz, że o niektórych rzeczach świat powinien się dowiedzieć?

Larysa pożałowała swoich słów, gdy tylko opuściły jej usta. Słyszała teraz dudnienie własnego serca, czuła, że mięśnie napięły się jak cięciwa łuku tuż przed wypuszczeniem strzały, a oddech się spłycił. Jej rozmówczyni sprawiała wrażenie opanowanej, a jednak w tym, jak kurczowo ścisnęła nóżkę kieliszka, można było zauważyć zdenerwowanie.

– Maciej uważa, że twoja największa słabość to nieustępliwość – przerwała milczenie. – Według niego ta rysa powoduje, że nie umiesz wycofać się w porę, i w końcu cię to zniszczy. Ciekawa teoria, prawda?

Dziennikarka zmusiła się do niefrasobliwego uśmiechu, który kosztował ją mnóstwo energii. Wszystko w niej krzychało: „oni wiedzą, po co tu przyszłam”, a jednocześnie miała świadomość, że i tak nie odpuści. Zuzanna trafiła w punkt. Zawziętość, z którą Luboń podchodziła do swojej pracy, prowadziła ją nieuchronnie w stronę przepaści. Nawet gdy znajdowała się na krawędzi urwiska, nadal nie potrafiła zrezygnować z walki o prawdę. Po raz pierwszy Larysa głęboko w sobie poczuła, że właśnie tak umrze. Zginie oszukana przez to, co mogło być jej największą siłą, a okazało się najpotworniejszą słabością.

– Pora na mnie – zakomunikowała. – Chciałabym jeszcze na chwilę zajrzeć do pokoju z kominkiem. Myślę, że zostawiłam tam coś po spotkaniu z twoim bratem.

Kobieta kiwnęła głową, po czym wstała, ale jej nogi najwyraźniej nie były przygotowane na tak gwałtowny ruch. Prawa stopa wygięła się pod dziwnym kątem, sprawiając, że Zuzanna straciła równowagę i zaczęła upadać na bok. Usiłowała jeszcze odzyskać panowanie nad ciałem, w ostatniej chwili wyciągnęła rękę, by chwycić się stolika, na którym stała taca z alkoholami, ale palce omsknęły się, a ona z łoskotem upadła na podłogę. Luboń pomogła jej dojść do siebie.

– Wszystko w porządku? – zapytała, dźwigając córkę Ryszarda z podłogi.

– Za dużo wina.

Kobieta zwała się na fotel, a Larysa nagle zrozumiała przyczynę mętnych oczu i chaotyczności swojej rozmówczyni. Zuzanna była pijana. Chcąc dać jej szansę na wyjście z twarzą z tej krępującej sytuacji, dziennikarka schyliła się, by podnieść przewrócony kosz na śmieci, i wtedy to usłyszała. Brzdęk szkła uderzających o siebie butelek. Odsunęła leżące na wierzchu, pozgniatane papierowe kartki, odkrywając opróżnione małe po gorzkiej żołądkowej, balsamie pomorskim i lubelskiej cytrynowce. Być może powinna czuć w tym momencie przewagę, wykorzystać słabość córki Hallera, ale zawartość kosza budziła w niej jedynie smutek.

– Pójdę już – powiedziała.

– Weź klucz. Salon jest na pewno zamknięty.

Zuzanna wyciągnęła do niej rękę z kluczem zawieszonym na łańcuszku, po czym zwinęła się w kulkę na fotelu i zasnęła.

Drobny srebrny przedmiot w dłoni Larysy błysnął w świetle żarówki. Był przepustką do tajemnic, do których wcześniej nie miała dostępu. Zacisnęła na nim palce z myślą, że jeszcze raz wystawi los na próbę.



Mówi się, że dla mózgu nie ma różnicy między tym, co widzi naprawdę, a tym, co sobie wyobraża. Jego struktury odzwierciedlają tę samą aktywność zarówno wtedy, gdy czegoś doświadczamy, jak i kiedy jedynie fantazjujemy o doświadczeniu. Może właśnie z tego powodu, gdy komisarz Wilczyński skończył przygotowywać pułapkę dla swojego przeciwnika i kilkakrotnie powtórzył w myślach kroki niezbędne do realizacji planu, dopadło go dojmujące wyczerpanie.

Spocony przysiadł na betonowym słupku w opuszczonym domu, a wątpliwości zakradały się do niego jak szczury. Wiedział, że kiedy przekroczy tę cienką linię dzielącą rozsądek od szaleństwa, niczym już nie będzie się różnił od Jacka. Stanie się takim samym potworem jak on. I nawet jeśli go zwycięży, to przegra ze sobą i z życiem. Ale może właśnie na tym polegał porządek świata. Dla zachowania równowagi w naturze strata musiała kompensować zysk. Nie było niczego za darmo, a za niektóre zmiany należało zapłacić wysoką cenę.

Sprawdził raz jeszcze minikamery wybrane w sklepie szpiegowskim. Trzymały się mocno ścian, przyklejone taśmą naprawczą. Bruno umieścił urządzenia w dwóch przeciwległych rogach pomieszczenia, wysoko, tuż pod sufitem, tak by nie rzucały się w oczy. Sprzęt miał wbudowany mikrofon, pozwalał na zdalną zmianę ustawień, ściąganie nagrań bez podchodzenia do urządzenia, a także możliwość podglądu przez telefon, komputer lub tablet. Kamery stanowiły polisę ubezpieczeniową komisarza. Miały zarejestrować wyznanie Lewickiego o tym, gdzie ukrył Sylwię,

i utrwalić świadectwo jego obłądu. To rozwiązanie nie było jednak pozbawione wad. Oświadczenie złożone pod wpływem przymusu w oczach policji i sądu przedstawiało wątpliwą wartość dowodową, co więcej, nagrywając Jacka, Wilczyński nie mógł uniknąć tego, że również siebie pokaże w złym świetle.

– Kompensacja zysku – szepnął, opuszczając wymarły budynek, i skierował się w stronę domu ojca.

Tym razem Aleksander leżał na łóżku z otwartymi oczami, zasłuchany w prognozę pogody nadawaną przez stację radiową. Spiker piskliwym z podniecenia głosem obwieszczał, że orkan Ambroży wkroczył już do Polski, wywołując silne porywy wiatru, trąby powietrzne i wyjątkowo obfite jak na tę porę roku opady deszczu, które gdzieś tam miały dwukrotnie przekroczyć normę opadów przewidzianych w grudniu.

– Kto to słyszał, żeby o tej porze roku było piętnaście stopni i lało?
– frustrował się stary Wilczyński. – Sami jesteśmy sobie winni, zabiliśmy tę planetę.

– Cześć, tato, ja też się cieszę, że cię widzę.

Bruno nachylił się i pocałował ojca w policzek, a następnie poprawił mu poduszkę.

– Szukali cię – rzucił mężczyzna. – Policja. Jeden taki robokop z kwadratową szczęką, a drugi wyglądał jak przerośnięty gimnazjalista. Wysoki, chudy jak tyczka, z rzadkim wąsem.

Komisarz westchnął, zażenowany potarł czoło, a w końcu odwrócił wzrok. Opis doskonale pasował do inspektora Sławomira Wrony oraz aspiranta Jana Ogórka.

– Czego chcieli?

– Pytali, kiedy cię ostatnio widziałem i gdzie możesz się ukrywać. Dlaczego mi nie powiedziałeś, że wpadłeś w tarapaty?

– A mało masz swoich kłopotów?

Ojciec wzruszył ramionami. Jego dłonie ścisnęły stare, sklezione plastrem oprawki okularów do czytania. Tuż obok na pościeli leżał aktualny numer gazety codziennej, otwarty na artykule o anomaliach pogodowych, a w nogach łóżka znajdowała się drewniana skrzynka ze zdjęciami.

– Pamiętaj, że jestem twoim ojcem, Bruno. – Aleksander patrzył na syna oczami pełnymi łez. – Nie możesz wiecznie uciekać i udawać, że nic się nie dzieje. Przestań być skałą. Zawsze jesteś taki cholernie dzielny i zamknięty w sobie. Ja umieram, rozumiesz to? Jutro może mnie nie być, a ty przychodzisz tu, zrzucasz kolejne bomby i mądrzysz się, jakbyś nigdy niczego się nie bał.

Widok bezradnego, płaczącego ojca ścisnął komisarza za gardło. Zrozumiał, że mężczyzna był przerażony. Odwrócił wzrok, próbując jeszcze wziąć się w garść, zatrzymać tę obezwładniającą falę uczuć, ale bezczelna łza wymknęła się spod powieki i ostentacyjnie spłynęła po policzku. Bruno rzucił się na Aleksandra, objął go ramionami i przez długi czas szlochał razem z nim. Znowu czuł się chcianym dzieckiem. Akceptowanym przez rodzica, którego całe życie odpychał w obawie przed zranieniem. Spleceni przypominali samotną wyspę na oceanie smutku i miłości.

– Nie masz racji, nigdy nie bałem się tak bardzo, jak teraz – wyszeptał, gdy lepka gula w gardle rozpuściła się i zdołał ją przełknąć.

– W takim razie powiedz mi, co się stało. Dlaczego szuka cię policja?

Komisarz podniósł się z posłania, przeczesał palcami włosy, po czym przygryzł wargi.

– Myślałem, że kogoś skrzywdziłem – wyznał. – Chodzi o policjantkę, która zaginęła. Właśnie tę, która poinformowała cię o śmierci Niny, Sylwię Konopacką. Według niej zabiłem Daniela.

– Dlaczego niby miałbyś to zrobić? Przyjaźniliście się z Sikorą.

– Teraz to już nie ma znaczenia. Ludzie z mojej komendy uważają, że wykorzystałem zaufanie Daniela, by nim manipulować. By krył fakt, że to ja zabiłem Ninę Zaniewską. Z zazdrości o związek z tobą, o waszą bliskość. Podobno, jako osobowość narcystyczna, nie potrafiłem znieść myśli, że ktokolwiek miałby zająć miejsce mamy i odebrać mi ciebie. – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Absurdalne, zwłaszcza że nie miałem nawet pojęcia o waszych spotkaniach.

Aleksander Wilczyński zacisnął mocno powieki, po czym zwilżył językiem spierzchnięte usta. Wydawał się drobniejszy, jeszcze bardziej zniszczony, jakby zapadał się w sobie. Nie patrzył na syna. Kiedy wreszcie otworzył oczy, wbił wzrok w okno, a jego policzki drżały. Zgarbiony oddychał ciężko, gniotąc w dłoniach fragment kołdry. Bruno poczuł, że bliskość, którą jeszcze przed chwilą dzielili, odeszła. Uleciała jak motyl przysiadający na skórze tylko na chwilę.

– Chyba nie myślisz, że byłbym do czegoś takiego zdolny? – wypalił, gdy milczenie ojca się przedłużało.

Starszy mężczyzna przyłożył zwiniętą w pięść dłoń do ust, a z jego oczu zaczęły płynąć łzy.

– Wierzę, że tego nie zrobiłeś – wyszeptał. – Ale jednocześnie nie znam większego egoisty od ciebie. Bywasz wyniosły i arogancki, uważasz się za lepszego od innych.

– To nieprawda!

– Nie zaprzeczaj. Jesteś taki, bo ja zawsze tak cię traktowałem. Byłem zimny, nie przytulałem cię, nie rozmawiałem z tobą. Nie potrafiłem nawet zaopiekować się tobą po śmierci matki. Uciekłem w pracę, jak ostatni tchórz. To moja wina. – Wyciągnął palec, by powstrzymać Brunona, który zamierzał zaprotestować. – Zawsze chciałem, żebyś był inny niż ja. Lepszy. A wyhodowałem swoją kopię. Kogoś, kto na pierwszym miejscu stawia siebie, a kiedy cierpi, zamyka się przed całym światem. – Przełknął ślinę. – Wiesz, dlaczego nie chciałem, by matka adoptowała Jacka?

– Nie.

– Bo wiedziałem, że nigdy go nie zaakceptujesz. – Pokręcił głową ze smutkiem. – Nie pozwolisz, by ktokolwiek był od ciebie ważniejszy ani nawet równie istotny. I że przez to żadne z nas nigdy nie będzie szczęśliwe. – Ścisnął dłonie ze sobą, by ukryć ich drżenie. – Właśnie to jej powiedziałem na kilka godzin przed tym, zanim umarła. Kazałem jej wybrać między rodziną a dzieckiem z sierocińca, któremu tak bardzo pragnęła stworzyć dom.

Po ostatnich słowach ojca komisarz stanął nieruchomo nieopodal łóżka, z rękami opartymi na biodrach i zagubionym wyrazem twarzy. Brakowało mu tchu i choć raz za razem głęboko zaciągał się

powietrzem, nie potrafił pozbyć się wrażenia, że coś go dusi. Czy rzeczywiście właśnie dlatego Lewicki tak bardzo go nienawidził? Bo Alicja wybrała swojego syna zamiast niego? Czy mogła powiedzieć temu czternastoletniemu chłopcu, że jej syn nigdy go nie zaaprobuje, i właśnie w ten sposób zasiała w nim ziarno nienawiści? – rozważał.

Wreszcie odwrócił twarz w stronę Aleksandra.

– Źle mnie oceniłeś, tato – powiedział. – Nie jestem tym, za kogo mnie uważasz. Użyłeś mnie jako wymówki, ale to ty chciałeś mieć matkę tylko dla siebie, nie ja. Podjąłeś decyzję i nie zostawiłeś jej wyboru. Tak samo jak mnie.

Przez chwilę jeszcze patrzył w blaknące oczy ojca i dopiero gdy dostrzegł w nich głęboki smutek, uznał, że Aleksander wreszcie zobaczył sprawy takimi, jakimi były w rzeczywistości, a nie takimi, jakimi prościej było mu je widzieć.

– Wybaczysz mi? – szepnął starzec.

– Już dawno to zrobiłem.

– A sobie?

Bruno spuścił wzrok.

– To zawsze przychodzi trudniej.

Po tej wymianie usiadł jeszcze na chwilę na łóżku ojca, chwycił dłoń mężczyzny i w milczeniu patrzył mu w oczy.

– Pójdę już – rzucił w końcu.

W drodze do wyjścia wstąpił jeszcze do kuchni, gdzie pielęgniarka przygotowywała posiłek dla chorego.

– Pani Kasiu, ojciec potrzebuje chyba czegoś na uspokojenie – wyjaśnił. – Wydawał się nieco zdenerwowany.

Kobieta odłożyła ziemniaka, którego obierała na desce, dokładnie umyła dłonie, po czym w pośpiechu wyjęła z szafki nad lodówką nową strzykawkę i ampułkę z dormicum, benzodiazepinowym środkiem uspokajającym.

– Dam mu większą dawkę, może zdoła zasnąć – wyjaśniła. – Ostatnio jest bardzo niespokojny. Śpi właściwie już tylko po lekach.

Kiedy wyszła, Bruno sięgnął po słuchawkę telefonu stacjonarnego wiszącego na ścianie. Wybrał numer do szpitala w Choroszczy, który

wcześniej zapisał w komórce, i poprosił o możliwość rozmowy z pacjentem Michałem Andrzejewskim. Chciał usłyszeć ojca Jacka, upewnić się, czy będzie gotów zrobić to, co komisarz zaplanował, ale kiedy mężczyzna odezwał się w słuchawce, Wilczyński zaniemówił, a później zerwał połączenie.

Jego wzrok śledził zawartość niedomkniętej przez panią Kasię gabloty. Wiedziony instynktem uchylił szerzej jej drzwiczki. Wziął do ręki opakowanie dormicum. Z głębi domu dolatywała go rozmowa pielęgniarki z ojcem, ale nie poświęcił jej zbytnej uwagi, pochłonęło go coś zupełnie innego. Jego źrenice gorączkowo przebiegały po wyjętej z pudełka ulotce. „Stosowany w leczeniu napadów, do znieczulenia, a także jako środek przeciwlękowy przy operacjach. Działa poprzez wywoływanie senności” – przeczytał. Szczególnie zainteresowało go to ostatnie słowo. Nie zastanawiając się, zabrał z półki jeszcze jedno pudełko leku oraz zestaw igieł i strzykawek.

Wreszcie poczuł się gotowy, by wykonać swój plan.



Larysa błędziła w labiryncie korytarzy, starając się znaleźć drogę ze skrzydła zamieszkiwanego przez Zuzannę Haller do głównej części domu i pokoju, w którym zostawiła urządzenie podsłuchowe. Prowadzona wcześniej przez córkę Ryszarda, popełniła błąd – nie zwracała uwagi na to, którądy kobieta ją wiodła – a teraz czuła się z tego powodu coraz bardziej zestresowana. Gąszcz lustrzanych przejść i ścieżek bliźniaczo do siebie podobnych wydawał się niemożliwy do pokonania. Szła więc na oślep, kierując się raczej intuicją niż logiką, gdy wszystkie zdroworozsądkowe rozwiązania dotychczas zawiodły. Ku jej zdziwieniu niespodziewanie zdołała opuścić gmatwaninę dróg.

Dotarła do drzwi, które pamiętała z pierwszej wizyty w domu. Za nimi powinien znajdować się salon z kominkiem i miękkimi kanapami, gdzie rozmawiała najpierw z Ryszardem Hallerem, a później z jego synem Maciejem. Słyszając narastający dźwięk czyichś

kroków za ścianą, szarpnęła za klamkę, lecz zgodnie z przypuszczeniem Zuzanny drzwi okazały się zamknięte. Luboń poczuła, że jej palce drżą i nie są w stanie utrzymać klucza, który jak na zawołanie wyslizgnął się z ręki dziennikarki i upadł na podłogę. Obserwowała jego lot niczym w zwolnionym tempie, a jej serce uderzało coraz szybciej i głośniej. Nie mogła pozwolić, by ktoś ją przyłapał. Zręcznie podniosła srebrny przedmiot, a następnie umieściła go w zamku i przekręciła.

Kiedy znalazła się w salonie, na powrót zamknęła drzwi kluczem, tym razem od wewnątrz, oparła się o nie plecami i dopiero wtedy odetchnęła z ulgą. Wprawdzie nogi nadal jej drżały, a serce w szalonym tempie pompowało krew, ale widok pustego pokoju zadziałał na dziewczynę uspokajająco. Kominiek był wygaszony, przez co w pomieszczeniu panował orzeźwiający chłód. Najwyraźniej tego dnia Hallerowie nie zamierzali przyjmować gości w salonie, stwierdziła.

Powoli uspokoiła oddech, po czym uklękła obok jednej z kanap, wsuwając pod nią dłoń. Palce Larysy przemierzały podszewkę mebla w poszukiwaniu miniaturowego cyfrowego dyktafonu, który do niej przykleiła – bezskutecznie. Właściwie wiedziała już, że coś jest nie w porządku, ale jej umysł jeszcze się opierał. Ludzie lubią karmić nadzieję złudzeniami, szczególnie wtedy, gdy boją się spojrzeć prawdzie w oczy.

Nerwowo obszukała drugą kanapę, upewniając się, że i tam nie znajdzie rejestratora, po czym zdyszana usiadła na podłodze. Oni wiedzą, pomyślała. Czuła, jak napinają się jej mięśnie, a adrenalina zalewa mózg. Jakby organizm przygotowywał ją do walki lub ucieczki. Rozsądek podpowiadał, że powinna się ewakuować, ale ciekawość i gniew na to nie pozwalały. Przecież masz klucz, zdawały się szeptać. Tyle wystarczyło, by wyjęła z kieszeni srebrny przedmiot na łańcuszku, otworzyła drzwi po drugiej stronie korytarza i wbiegła po schodach aż na samą górę.

Z plecami mokrymi od potu szła korytarzem wyłożonym miękkim czerwonym dywanem. Wzdłuż jego ścian rozmieszczone było dwoje drzwi, ale tylko jedno z nich dało się zamknąć na klucz. Pierwsze,

tuż przy schodach, okazały się składzikiem i były otwarte, natomiast za drugimi, położonymi w głębi, dziennikarka usłyszała jakiś szelest, jakby ktoś wewnątrz się poruszył. To musiały być one, drzwi na poddasze. Larysa stanęła przed nimi, nie mogąc opanować dudniącego serca. Przed oczami miała mroczki, a gdy wyciągnęła dłoń przed siebie, dostrzegła, jak bardzo dygocze. Strach odbierał jej nie tylko władzę nad własnym ciałem, ale też trzeźwość myślenia. Zamiast się wycofać, Luboń położyła dłoń na klamce i nacisnęła ją mocno.

Mosiężny uchwyt zaskrzypiał, a po chwili ze środka dobiegł damski głos.

– Kto to? Macieju, to ty? Odezwij się! Halo, kto tam jest?

Dziewczyna zastygła, niepewna, co powinna odpowiedzieć, i gdy wreszcie uchyliła usta, by się przedstawić, na schodach zauważyła Macieja Hallera zmierzającego w jej stronę. Mężczyzna patrzył spod nasrożonych brwi, a jego policzki przybrały purpurową barwę. Dotarł do Larysy zaledwie w ciągu kilku sekund, po czym chwycił ją za ramię, wbił w nie swoje silne, kościste palce i szarpnął, by odciągnąć nieproszonego gościa od drzwi.

– Zjeżdżaj stąd – warknął, popychając dziennikarkę.

Luboń zatoczyła się i z hukiem uderzyła plecami o przeciwległą ścianę. Ból rozszedł się po jej ciele jak prąd, a twarz wykrzywił przykry grymas. Oszołomienie powoli ustępowało miejsca rozsądkowi, który podpowiadał, że powinna jak najszybciej uciekać. Wykorzystać szansę łaskawie rzuconą przez skąpy los. A jednak nie mogła. Pochwyciła wzrok Macieja, skupiony na łańcuszku połączonym z kluczem. Musiała go upuścić, gdy mężczyzna ją popchnął, bo leżał teraz na dywanie pomiędzy nimi, dzieląc korytarz na pół, niemal jak linia frontu.

– Chciałam z nią tylko porozmawiać... – podjęła.

– Wypierdalaj! – syknął raz jeszcze, a jego czerwona twarz nabrzmiała z wściekłości.

Larysa uniosła dłonie w geście poddania się i spokojnie mijając Hallera, zaczęła schodzić na dół. Najpierw poruszała się wolno. Zarówno dlatego, że nadal czuła tępy ból w miednicy, jak i z powodu

strachu, który paraliżował jej ciało. Na płytkim, urywanym oddechu dotarła do drzwi wyjściowych, a kiedy w końcu znalazła się na zewnątrz, pobiegła pędem przed siebie.

Głębiej odetchnęła dopiero w samochodzie. Siedziała tam przez dłuższy czas z ręką na mokrym czole i zamkniętymi oczami, dysząc jak człowiek, który usiłował dogonić autobus. By odzyskać siły, wypła duszkiem pół litra wody mineralnej, którą wozila w kieszeni bocznej citroëna od co najmniej kilku tygodni. Nie smakowała wybornie, jak specjaliści od marketingu napisali na etykiecie, ale wystarczająco dobrze, by zaspokoić pragnienie.

Ledwie zgmiotła plastikową butelkę i odpaliła silnik, usłyszała dźwięk swojego telefonu. Szybki rzut oka na ekran pozwolił stwierdzić, że dzwonił ktoś, czyjego numeru nie znała. Ścisnęła więc mocniej kierownicę i poczuła napływającą falę gorąca, lecz mimo obaw wcisnęła zieloną słuchawkę.

– Larysa Luboń, słucham? – odebrała.

– Dzień dobry, z tej strony Tadeusz Darski. Napisała pani do mnie wiadomość przez Olx. Chciała pani wiedzieć, czy jestem ojcem Diany Darskiej. Mogę spytać, dlaczego to panią interesuje?

– Diana nie żyje – powiedziała. – Policja znalazła jej ciało w podziemiach Dworca Centralnego, przedawkowała narkotyki. Na stronie Komendy Stołecznej, w dziale poszukiwań, nadal wiszą jej zdjęcia z prośbą o pomoc w ustaleniu tożsamości. Pomyślałam, że gdyby był pan jej ojcem, chciałby pan wiedzieć.

– Ale skąd pewność, że to w ogóle ona?

– Matka Diany, Matylda Darska, ją rozpoznała, tylko ukryła ten fakt przed policją. Wyparła się własnej córki, bo nie chciała mieć nic wspólnego z dziwką i narkomanką, którą zobaczyła na fotografiach.

Mężczyzna po drugiej stronie przełknął nerwowo ślinę i zamilkł, co upewniło Larysę w tym, że odnalazła właściwego człowieka. Po chwili Tadeusz odchrząknął, w słuchawce coś zatrzeszczało i Luboń usłyszała jego zmieniony głos.

– Dziękuję za te informacje – odparł cicho. – Zajmę się tym.

– To nie wszystko – zatrzymała go, gdy zamierzał się rozłączyć. – Usiłuję zrozumieć, co właściwie stało się w dziewięćdziesiątym

piątym roku. Matka Diany twierdzi, że dziewczyna uciekła wtedy z domu, a wkrótce po jej zniknięciu pan wyjechał z synem do Niemiec.

– Bzdura! – uniósł się Darski. – Wojtek został w domu z Matyldą, nie miałem nic wspólnego z jego zaginięciem. Kim pani w ogóle jest? Dzwoni pani z policji? Wyjaśniałem to wszystko już milion razy, odczepcie się i dajcie mi święty spokój!

– Proszę poczekać! Nie jestem z policji. Próbuję wyjaśnić, dlaczego Diana umarła. Mam powody przypuszczać, że ktoś jej w tym pomógł, ale cały czas brakuje mi kilku informacji. Nie rozumiem na przykład, dlaczego nie szukaliście córki.

– Co? Jest pani szalona? Niby dlaczego ktoś miałby ją... – Urwał, bo słowo „zabić” uwięzło mu w gardle. – Niech pani posłucha, to nie był pierwszy raz, kiedy zniknęła. Uciekała już wcześniej. Zwykle trwało to kilka dni, max tydzień, szlajała się z jakimiś chłopakami, później miłość się kończyła, a ona wracała do domu z podkulonym ogonem. Buntowała się przeciw matce, taki wiek. Byłem przekonany, że znowu odwaliła swój stały numer, nawet nie przyszło mi do głowy, żeby się martwić. Poza tym wtedy myślałem już o czymś innym, planowałem wyjazd do Niemiec. Chciałem uwolnić się od żony, zabrać Wojtka i ułożyć sobie życie z kobietą, która mnie doceniała. – Zrobił przerwę na oddech. – Mnie już w tej rodzinie dawno nie było. Wpisałem nawet małego do paszportu pod pretekstem zagranicznej wycieczki, ale tamtego wieczoru przed snem tak tulił się do matki, że nie mogłem im tego zrobić. Zostawiłem wszystkich i wyjechałem. Nigdy nie zamierzałem wracać.

– Ale Matylda oskarżyła pana o uprowadzenie Wojtka.

– Głupia suka – warknął. – Wie pani, że oni podejrzewali mnie o zabicie własnego dziecka? A jak im zabrakło dowodów, to wymyślili, że go sprzedałem. Szukali pieniędzy, sprawdzali moje konta, przetrząsnęli cały dom. Byłem obwiniany tak długo, aż prawie sam uwierzyłem w swoją winę. Ale nie zrobiłem niczego! Słyszysz pani? Nie miałem nic wspólnego z zaginięciem syna!

– Co w takim razie się z nim stało?

– Nie wiem. Może wyszedł z domu w nocy albo nad ranem? Ktoś mógł go zabrać, skrzywdzić. Nie chcę sobie tego nawet wyobrażać.

Luboń zdziwiło to, jak beznamiętnie Darski opowiadał o zaginięciu sześciolatniego chłopca. Wprawdzie silił się na dramatyczny ton, ale ona całą sobą czuła, że mężczyzna nie nosi w sobie wyrwy po tej dotkliwej stracie. Sprawiał wrażenie wyłączzonego, jakby odciął się od emocji.

– A Diana? Nie myślał pan, by ją odnaleźć?

– Długo nie wiedziałem o tym, że nie wróciła po tamtej ucieczce – wyjaśnił. – Byłem skupiony na czymś innym. Walczyłem, by oczyścić swoje imię. Obchodziło mnie tylko to, by ludzie przestali we mnie widzieć mordercę. A później uznałem, że stała się już dorosła i musi radzić sobie sama.

Cała ta historia brzmiała niezwykle samolubnie w uszach dziennikarki. Nie wydawało się, by mężczyzna rozpacział po stracie syna. Podobnie jak nie przeżywał rozstania z dziećmi. Jedynym, co budziło w nim emocje, był jego nadszarpnięty wizerunek.

– Wyobraża sobie pani, że ci gliniarze nazywali mnie kłamcą? Twierdzili, że brakuje mi zdolności współczucia, bałwany. Próbowali nawet wymyślić jakieś zaburzenie, badali, ale i tak się wywinąłem. – Zarechotał. – Jeśli ma pani choć trochę oleju w głowie, radzę się odpiardolić. Nie chciałbym składać zawiadomienia o nękanii.

Kiedy Tadeusz Darski zerwał połączenie, Larysa z wściekłością zatrąbiła na jadące przed nią volvo. Miała świadomość, że kierowca SUV-a, niczym sobie na to nie zasłużył, ale musiała odreagować gniew, który w niej buzował. Zawstydzona tym impulsywnym zachowaniem, odbiła w prawo, by przystanąć w zatoczce autobusowej. Samochody pędziły obok niej, wzbijając w powietrze drobinki kurzu.

Nie miała pojęcia, co powinna teraz zrobić. Na myśl o powrocie do rezydencji Ryszarda Hallera czuła lęk, a jednocześnie nie mogła tak po prostu zrezygnować.

Piekące łzy napłynęły jej do oczu. Zamrugowała intensywnie, by je powstrzymać, ale nie zdołała. Ciężar, który na siebie wzięła, okazał się za duży, musiała to przyznać. Płacz przynosił ulgę, łagodził

napięcie. Luboń otworzyła schowek i wyjęła paczkę chusteczek higienicznych, by wydmuchać nos. Jej wzrok zatrzymał się na kopercie, którą dostała od Jacka Lewickiego. Wprawdzie wiadomość nadal pozostawała zaklejona, ale nagle Larysa poczuła ochotę, by ją otworzyć. Rozerwała papier, po czym przebiegła oczami po zdaniu wydrukowanym na białej kartce. „Potrzebuje go, by przeżyć, nie wie tylko, że to on ją zabije”.

To jakaś cholerna zagadka, stwierdziła i nie zastanawiając się ani chwili, wybrała numer Wilczyńskiego, gotowa wyznać mu prawdę o wizycie u Jacka.

„Wzywany abonent jest poza zasięgiem sieci lub ma wyłączony telefon. Prosimy spróbować ponownie”. Suchy komunikat sprawił, że dziewczyna zmarszczyła czoło. Z zamyślenia wyrwało ją dopiero trąbienie autobusu numer pięćset trzy, który ustawił się za starym saxo. Luboń machnęła przepraszająco do kierowcy, ale tamten tylko popukał się palcem w czoło i odjechał. Na jego tyle widniała reklama Hotelu Arłamów, który prezentował się jako góraska enklawa wypoczynku oraz idealne miejsce na aktywny urlop z rodziną. Jednak najbardziej uwagę Larysy przyciągnęła informacja o stadninie koni szczycącej się dziewięćdziesięcioletnią historią. Dzięki niej dziennikarka zrozumiała, co powinna teraz zrobić.

Wpisała w wyszukiwarkę nazwę stadniny Hallerów i gdy już знаła jej adres, włączyła się ponownie do ruchu. Musiała wrócić tam, gdzie być może to wszystko się zaczęło.



Bruno był pewien, że doświadcza tachykardii, stanu, w którym serce bije z częstotliwością ponad stu uderzeń na minutę. Zapamiętał ten termin z seriali medycznych, które swego czasu namiętnie oglądał. Denerwował się, ale dzięki temu wiedział, że nadal jest człowiekiem, jeszcze nie przeistoczył się w bestię. Bo przecież tylko potwór nie czułby nic w takiej sytuacji. Być może z wyjątkiem chorej ekscytacji, całkowicie obcej komisarzowi.

Z czerwoną czapką z daszkiem na głowie zaparkował wypożyczonego peugeota pod Zespołem Szkół im. Władysława Reymonta w Konstancinie. To miejsce idealnie nadawało się do jego obserwacji. Starał się oddychać głęboko, ale miał wrażenie, jakby coś miażdżyło jego płuca, przez co chwycił tylko niewielkie porcje powietrza, które później łączywie połykał. Jego samochód niczym nie wyróżniał się spośród grupy aut należących do rodziców, którzy przyjechali po swoje dzieci. Ustawiony frontem do ulicy, ze zgaszonymi światłami wtapiał się w otoczenie, jakby zatrzymywał się tu codziennie.

Wilczyński wyłączył telefon i w skupieniu obserwował drogę, którą Lewicki będzie musiał przejechać, by odebrać dzieci z prywatnej szkoły położonej nieopodal. Wiedział, że synowie Jacka kończyli dodatkowe zajęcia o piątej. Sprawdził to wcześniej, dzwoniąc do sekretariatu i udając roztrzepanego wujka, na którego spadł obowiązek opieki nad chłopcami. Wykrzesał z siebie tyle uroku, że kobieta bez protestów udzieliła mu informacji. A teraz czatował, spoglądając przez uchylone okno samochodu. Powietrze pachniało ciepłem i słodyczą wczesnej jesieni, choć za dwa tygodnie miała rozpocząć się astronomiczna zima. Do środka peugeota wdzierały się strzępki rozmów, czyjeś nawoływania i śmiech. Przyjemne dźwięki jednego z tych zwyczajnych wieczorów.

Komisarz przebywał na parkingu zaledwie kwadrans, ale czas zdawał mu się niemiłosiernie dłużyć. Pełne napięcia oczekiwanie sprawiało, że minuty ciągnęły się w nieskończoność. Na widok

świateł samochodów skręcających z Mirkowskiej w stronę szkoły usztywniał się i zaciskał palce na kierownicy, ale żadne z aut nie należało do Lewickiego.

Pojazd, na który czekał, pojawił się, gdy przestał go wypatrywać. Podobnie jak wiele wartościowych rzeczy w życiu, które przychodzą znienacka, a kryją się tym bardziej, im mocniej ich wyglądamy. Akurat zamknął oczy, myślał o Larysie, przez co dopadło go dławiące poczucie winy. Zdawał sobie sprawę, że będzie musiał ją okłamywać. Uciekać wzrokiem, odpowiadać wymijająco na pytania i w konsekwencji tracić jej zaufanie. To go zasmuciło. Przez moment rozważał nawet uruchomienie komórki tylko po to, by móc usłyszeć głos dziewczyny, ale gdy wziął do ręki telefon, dostrzegł nadjeżdżający samochód. Czarne bmw Jacka Lewickiego.

Widok jego twarzy sprawił, że Bruno na nowo poczuł galopujące tętno. Odpalił silnik i zastygł w gotowości. Jak kierowca rajdowy tuż przed startem wyścigu. Dłonie stały się śliskie od wilgoci, w ustach zabrakło śliny, a żołądek zwinął się w supeł. Jeszcze ciaśniejszy, gdy kilka minut później Jacek wracał do domu z synami, radośnie podskakującymi na tylnej kanapie samochodu. Komisarz zapobiegawczo przepuścił jakąś srebrną toyotę i dopiero wtedy powoli wytoczył się z miejsca parkingowego. Nie chciał ryzykować, że Lewicki rozpozna go w lusterku wstecznym, ani przesadnie zwracać na siebie uwagi, dlatego postanowił ukryć się za innym kierowcą. W duchu błagał, by Jacek nie wpadł na pomysł wycieczki do pizzerii, tylko, jak to miał w zwyczaju, zamówił jedzenie do domu. Każde odstępstwo od rutyny prowadziłyby bowiem do komplikacji. A tych Wilczyński nie potrzebował.

Tego wieczoru los okazał się dla niego łaskawy. Rodzina Lewickich pojechała prosto do niewielkiego białego domu kilka ulic dalej. Bmw zaparkowało w garażu, a chwilę później okna na parterze rozbłyły ciepłym światłem. Brak firan niemal zapraszał, by zajrzeć do środka. Uchyłał drzwi do przytulnego rodzinnego pokoju z miękką ikeowską kanapą na środku, telewizorem zawieszonym na ścianie i ławą, na której piętrzyły się zabawki.

Przyczajony po drugiej stronie ulicy Bruno przez lornetkę obserwował, jak chłopcy walczyli na poduszki, a później bawili się z ojcem w zapasy, roześmiani przy tym od ucha do ucha. Jednak ich przepychanki, łaskotki i wygłupy tylko pogłębiły stres komisarza, który nagle zrozumiał, że wszystko, co robi, będzie miało swoje konsekwencje. Dzieci za oknem kochały swojego ojca, bez względu na to, kim naprawdę był. One nie znały jego drugiej twarzy. W tych samych ramionach, w których umierały ofiary Jacka, ci dwaj chłopcy odnajdywali bezpieczeństwo. Złudne, oparte na niewiedzy, ale dla nich jedyne, na jakie mogli liczyć.

Wilczyński westchnął, przygryzł wargę aż do krwi i dopiero gdy poczuł jej smak na języku, zdołał skupić swoje rozważania na zaginionej Sylwii Konopackiej. Musiał myśleć kategorią zysków, nie strat, choć wydawały się nierozłącznymi siostrami. Jak dwie strony tej samej monety. Zwrócił twarz w stronę domu i przyłożył do oczu lornetkę. Lewicki z synami siedzieli już na kanapie, żywo o czymś dyskutując. Franio skrzyżował ręce na piersi, wygiął usta w podkówkę i tupał nogą, a Jasek usiłował pocieszyć chłopca, czule głaszcząc jego kędzierzawe włosy. W końcu chyba doszło do porozumienia, bo wszyscy przybili sobie piątkę. Jacek sięgnął po telefon, wybrał jakiś numer i patrząc na papierową ulotkę, którą ścisnął w dłoni, mówił do słuchawki.

Bruno uznał, że Lewiccy właśnie złożyli zamówienie w pizzerii. Spojrzał na zegarek. Do przyjazdu dostawcy miał jakieś czterdzieści minut, może godzinę – w końcu rozpoczynał się piątkowy wieczór. Czas, gdy zmęczeni całym tygodniem ludzie wracali do domów, odpalali Netfliksa, a potem zapominali o bożym świecie przy piwie i pizzy. Standardowym zestawie weekendowym, na który on sam poczuł nieodpartą ochotę. Musiał jednak zignorować burczenie w brzuchu, przełknąć ślinę nagromadzoną w ustach i skoncentrować się na przygotowaniu narzędzi niezbędnych do wykonania planu.

Z czarnej torby podróźnej wyjął paralizator w kształcie pistoletu. Urządzenie ważyło niewiele więcej niż smartfon z dużym ekranem i dzięki swoim kompaktowym rozmiarom idealnie mieściło się

w kaburze pod kurtką. Miało uniemożliwić Jackowi jakąkolwiek reakcję obronną i pozbawić go kontroli nad mięśniami. Później Wilczyński zamierzał użyć dormicum. Sięgnął po ukradzione z domu ojca leki, po czym napełnił strzykawkę dwiema ampułkami środka, by mieć pewność, że zadziała tak, jak oczekiwał, a w końcu zakrył igłę plastikową nasadką i odłożył na siedzeniu pasażera.

Dochodziło wpół do szóstej, gdy u wylotu uliczki, przy której stał dom Lewickiego, błysnęło światło nadjeżdżającego pojazdu. Bruno najpierw usłyszał warkot silnika, a po chwili dostrzegł kierowcę czerwonego skutera Telepizy, w skórzanej kurtce i kasku ozdobionym naklejkami. Wyskoczył z samochodu, wcześniej włożywszy strzykawkę do tylnej kieszeni dzinsów. Szybkim krokiem podszedł do chłopaka i życzliwie pomachał do niego ręką. Zależało mu na tym, by dostawca zatrzymał się w miejscu niewidocznym przez okno z domu Jacka.

Jego dłonie dygotały, dlatego zacisnął je kilka razy w pięści i wziął głęboki wdech.

– Dobry wieczór – przywitał się. – To ja zamawiałem, Lewicki z piątki. – Kiwnął głową w stronę budynku i rozciągnął usta w sztucznym uśmiechu. Czuł, że ze stresu oblewa się lepkiem potem.

Kierowca ściągnął kask, a spod spodu wychynęła śniada twarz chłopaka o gęstych czarnych brwiach, ciemnych oczach i gąszczu włosów. Wyglądał na kogoś pochodzącego z Indii, Bangladeszu albo Pakistanu. Otarł drobne, błyszczące krople z czoła, po czym uważnie przyjrzał się zamawiającemu.

– Pan Jacek? – zapytał z akcentem, otwierając kufer z pizzą.

Wilczyński przytaknął, sparalizowany nagłą myślą, że kierowca mógł bywać wcześniej u Lewickiego, a przez to pamiętać jego twarz. Gdy jednak nie nastąpiło nic świadczące o zdemaskowaniu oszustwa, Bruno z ulgą wypuścił powietrze z płuc i wyciągnął przed siebie dłoń z dwiema pięćdziesiątkami. Dostawca zauważył pieniądze kątem oka, ale zamiast po nie sięgnąć, pokręcił głową, co zapewne oznaczało, że zamówienie zostało już opłacone online. Następnie wydobył z bagażnika trzy jeszcze ciepłe pudełka i wręczył je Brunonowi. Zapach świeżo wypieczonego ciasta oraz roztopionego

sera, łaskoczący nozdrza komisarza, przypominał, że od ostatniego posiłku minęło zdecydowanie zbyt dużo czasu. Chłopak musiał zauważyć głód w oczach klienta, bo rozciągnął usta, odsłaniając duże, krzywe zęby.

- Smacznego – rzucił radośnie, nim ponownie zatknął na głowę ciasny kask i odjechał.

Od tej chwili liczyła się każda sekunda. Bruno odbezpieczył paralizator, chwycił go w prawą dłoń, a następnie zasłonił urządzenie pudełkami z pizzą, które podtrzymywał lewą ręką. Uliczka nie należała do ruchliwych, dzięki czemu nie musiał martwić się o przypadkowych świadków, jednak dwa sąsiednie domy mogły okazać się słabym punktem akcji. Wprawdzie lustrował je przez dłuższy czas i nie zauważył wewnątrz żadnego ruchu ani oznak obecności mieszkańców, ale to nie wykluczało sytuacji, w której niespodziewanie wróca. Drugą potencjalną pułapką były kamery na posesji graniczącej z działką Lewickiego. Komisarz zakładał, że rejestrowały teren wokół domu właściciela działki, jednak gdyby się mylił, a jego twarz zostałaby uchwycona na monitoringu, wydział wewnętrzny znalazłby go szybciej, niż Bruno tego pragnął.

Kiedy zbliżał się do furtki Jacka, wstrzymał oddech. Szum w jego uszach narastał, a serce uderzało tak mocno, jakby miało za moment pęknąć na strzępy, niczym za bardzo nadmuchany dziecięcy balonik. Sztywnym z nerwów palcem wcisnął guzik domofonu, ktoś po drugiej stronie podniósł słuchawkę, ale zanim Wilczyński zdążył cokolwiek powiedzieć, usłyszał charakterystyczny brzęczyk zwalnianej blokady zamka. Niczym w transie popchnął bramkę, by za moment znaleźć się pod drzwiami z metalową kołatką. Klamka drgnęła i nagle w smudze światła stanął Lewicki. Bruno pochylił niżej głowę, po czym wyciągnął przed siebie rękę z pizzą.

- Dzięki – usłyszał i gdy tylko Jacek chwycił pudełka, rzekomy dostawca wycelował w niego paralizator.

Po twarzy Lewickiego przemknął błyskawiczny grymas zaskoczenia, jego spojrzenie w ułamku sekundy przesunęło się z paralizatora na Wilczyńskiego, a w oczach odmalowało się

zrozumienie. Nie zdołał jednak zareagować, bo gdy tylko czerwony wskaźnik lasera zamajaczył na jego klatce piersiowej, Bruno nacisnął spust, uwalniając dwie elektrody, które miniaturowymi harpunami wbiły się w ciało Jacka.

Lewicki otworzył usta, zadrżał, zaczął się trząść i upadł do przodu, niezdolny do jakiegokolwiek obrony. Gdyby nie asekuracja komisarza, zapewne uderzyłby twarzą o schody, ale dzięki temu, że policjant go podtrzymał, miękko wylądował na ziemi. Wilczyński dobył z kieszeni dzinsów strzykawkę, zębami ściągnął nakładkę z igły i wbił ją w ramię leżącego. Bezbarwny płyn, popychany tłokiem, rozplątywał się po ciele Jacka, sprawiając, że rysy mężczyzny stopniowo łagodniały, a powieki opadały. Dopiero gdy zamknął oczy, Bruno zabrał dłoń, którą zasłaniał mu usta, i z nadludzkim niemal wysiłkiem dźwignął Lewickiego do góry.

Włókł go jak pijanego, który bezwładnie wisiał na jego ramieniu, niekiedy wydając z siebie ciche pomruki. Stopy mężczyzny szurały o asfalt, a ręce zwisały apatycznie wzdłuż ciała. Sapiąc, Wilczyński dobrnął do peugeota, otworzył drzwi bagażnika, po czym rzucił tam Lewickiego, a ten gruchnął niczym worek ziemniaków. Bruno oparł dłonie na kolanach i dyszał ciężko, jakby przed momentem ukończył maraton. Kręciło mu się w głowie, przed oczami wirowały szare plamki, koszulka zaś przykleiła się do mokrych pleców. Komisarz przymknął powieki, chcąc przegonić mroczki, ale gdy je na powrót uniósł, zamazane kształty nadal tańczyły wokół jego twarzy.

Nie miał pewności, jak długo będzie działać dormicum, dlatego owinał ręce i nogi Jacka taśmą naprawczą, podobnie jak usta, które zakleił, na wypadek gdyby jego zakładnik ocknął się i wpadł na pomysł, by krzyczeć. Kiedy wreszcie zatrzasnął bagażnik, zerknął w stronę domu, gdzie w otwartych drzwiach nadal leżały pudełka z pizzą.

– Tato! – dobiegł go dziecięcy głos, a po chwili zobaczył Janka, który zdezorientowany rozglądał się w poszukiwaniu ojca.

Powinien jak najszybciej wsiąść do samochodu i odjechać, ale nie potrafił zostawić tych chłopców samych. Pokręcił głową wściekły na siebie i niechętnie ruszył w stronę dziecka. Może tym właśnie różnili

się prawdziwi przestępcy od tych, którzy tylko udawali złych i bezwzględnych. Ci ostatni mieli zdecydowanie za miękkie serca, a przez to popełniali błędy, które w konsekwencji dużo ich kosztowały. Postępowali dokładnie tak, jak on teraz.

Syn Jacka na widok obcego mężczyzny otworzył szerzej oczy i zacisnął szczupłe palce na klamce, gotów w każdej chwili zatrzaskać drzwi przed nosem nieznajomego.

– Zaczekaj! – zawołał Wilczyński, unosząc dłonie w przyjaznym geście. – Nie ma powodu do obaw. Spotkaliśmy się wcześniej, pod szkołą, pamiętasz? Dałem wam karty piłkarskie.

Chłopczyk nieśmiało pokiwał głową, ale jego brwi nadal pozostawały nasrożone.

– Twój tata musiał pojechać na jedno spotkanie. Chyba bardzo się spieszył, bo zapomniał o tej pysznej pizzy. – Zerknął na stos pudełek.

– Macie kogoś, kto mógłby się wami zaopiekować do jego powrotu?

Mały wzruszył ramionami.

– Może pani Wala. Ona z nami zostaje.

– Aha, a jak mógłbym się z nią skontaktować?

– Trzeba zadzwonić.

– Tata ma numer w notesie! – zawołał Franek, który zwabiony dźwiękami rozmowy, stanął w progu. – Przyniosę.

Chłopiec zniknął we wnętrzu, by za moment wrócić z notatnikiem w czarnej skórzanej oprawie.

– O! Tu gdzieś jest – wysapał zziębnięty.

Bruno pospiesznie przerzucał kartki notesu, świadom, że każda kolejna sekunda zwiększa prawdopodobieństwo wpadki. Nie mógł już opanować drżenia dłoni, dlatego gdy wreszcie znalazł imię Wala z nagryzonym obok krzywymi cyframi numerem, wyrwał kartkę i oddał zeszytik Frankowi.

– Ej! – oburzył się syn Jacka. – Tata nie będzie z tego zadowolony.

– Myślę, że twój tata ma teraz dużo większe zmartwienia niż to. – Wilczyński pogłaskał sterczące na wszystkie strony włosy dziecka. – Lećcie oglądać bajki, a ja zadzwonię po waszą opiekunkę.



Niszczące budynki o poszarzałej elewacji sprawiały wrażenie opuszczonych. Larysa podziwiała spadzisty dach kryty czerwoną dachówką, który zapewne miał więcej lat niż ona. Bez trudu mogła wyobrazić sobie lata świetności tego miejsca, usłyszeć tętent końskich kopyt, śmiech jeźdźców i okrzyki zwycięzców zawodów. Tego wieczoru na podwórku nie parkowały żadne samochody i tylko w jednym oknie paliło się wątle światło. Dziewczyna wysiadła z citroëna, zaciągając się zapachem wilgotnej ziemi oraz koni. Z jakiegoś powodu ta woń przywodziła jej na myśl wolność.

Uśmiechając się do swoich myśli, ruszyła w stronę domu. Jej stopy zostawiały ślady na ścieżce wysypanej ceglastym piaskiem, łudząco przypominającym nawierzchnię kortów tenisowych. Po chwili firanka w oknie na parterze drgnęła, a następnie jakaś twarz zbliżyła się do szyby. Luboń skinęła głową starszej kobiecie, która uważnie ją obserwowała, ale tamta zamiast odpowiedzi podobnym przywitaniem, gwałtownie odskoczyła od okna i zniknęła w środku. Gdzieś blisko warknął pies, coś stuknęło o drewnianą podłogę w domu, a w końcu skrzypnęły drzwi wejściowe, w których stanął staruszek o lasce. Wyglądał na stróża. Miał na sobie wyblakłą kufajkę, sweter w romby i rozdeptane buty.

– Zgubiła się pani? – zapytał życzliwie, choć jego pomarszczona twarz zdradzała oznaki niepokoju.

– Nie. Jestem koleżanką Zuzanny Haller. Opowiadała mi dużo o tym miejscu i postanowiłam je zobaczyć. Mam fioła na punkcie koni i stadnin, prowadzę nawet blog.

– Nie za późno na odwiedziny? Przyjedzie pani jutro, jak będzie widno. Teraz to i tak nic pani nie zobaczy.

– Może mogłabym wejść choć na chwilę? To taki piękny budynek. – Przesunęła wzrokiem po ścianach wzmacnianych drewnianymi belkami. – Wiem, że stadnina jest zamknięta dla gości z zewnątrz, ale Zuzanna powiedziała, że jeśli powołam się na nią, to wpuści mnie pan do środka. Nadłożyłam szmat drogi, żeby tu do państwa

dojechać, i nie chciałabym teraz wracać z niczym. Proszę. – Złożyła błagalnie dłonie. – Wypijemy razem herbatę, a później znikam. Obiecuję.

Mężczyzna nieufnie przyglądał się Larysie. Jego dłoń zaciśnięta na główce laski wyraźnie świadczyła o tym, że nadal trwał w swoim uporze.

– Jeśli pan chce, mogę zadzwonić do Zuzanny – zaproponowała, wyjmując z kieszeni telefon. – Wprawdzie prosiła, żeby jej nie przeszkadzać, chyba bolała ją głowa, bo powiedziała, że idzie się położyć, ale może nie będzie miała panu za złe pobudki.

Dziewczyna wybrała numer Wilczyńskiego, przyłożyła słuchawkę do ucha i czekała. Z głośnika popłynął znany już komunikat o niedostępnym abonamencie, Luboń go wysłuchała, a następnie się rozłączyła.

– Nie odbiera. Pewnie zabalowała – oznajmiła, uderzając płaską dłonią w szyję i puszczając do mężczyzny oko, jakby dawała mu do zrozumienia, że wie o słabości córki Ryszarda do alkoholu. Zna sekret, który wyjawia się tylko zaufanym osobom. – Spróbuję jeszcze raz. – Ponownie uniosła telefon, ale nie zdążyła wybrać numeru, bo staruszek ją powstrzymał.

– Niech pani nie dzwoni. Nie ma powodu jej denerwować. Jedna herbata, a później pani pojedzie – zawyrokował, po czym otworzył szerzej drzwi i wskazał dłonią ciemny korytarz.

Larysa z udawanym entuzjazmem weszła do środka, dziękując wylewnie stróżowi, który odpowiedział jej niechętnym mruknięciem. Mężczyzna puścił ją przodem, sam zaś znajdował się za plecami swojego gościa. W sieni panował półmrok, przez co dziewczyna potknęła się o zostawione w nieładzie buty i poleciała do przodu, zahaczając kolanem o jakąś ostrą krawędź. Rumor, którego narobiła, sprawił, że wyleniały owczarek niemiecki warknął, a później zaczął przeraźliwie szczekać.

– Zamknij się! – Staruszek z całej siły uderzył laską o metalową siatkę, za którą zamknięty był pies.

Zwierzak jak na komendę umilkł, skulił się w kącie i zaskomlał. Dziennikarka pomyślała, że musiał wcześniej oberwać drewnianym

dragiem, zapewne nawet nie raz, inaczej nie reagowałyby takim posłuszeństwem i strachem.

– Jak się wabi?

– Aleks, jak pies z tego serialu, ale głupi jest jak but. Musieliśmy go zamknąć, bo zamiast na złodziei rzucał się na nas.

Doświadczenie Luboń mówiło, że większość psów potrafiła wyczuć złego człowieka i atakowały tylko wtedy, gdy czuły się zagrożone. Jeśli warczały na swojego właściciela, z dużym prawdopodobieństwem były przez niego źle traktowane. Dziewczyna posłała owczarkowi współczujące spojrzenie, a pies, jakby odbierając jej przychylność, uniósł łeb i zastrzygł uszami.

Starzec wskazał jej otwarte drzwi kuchni, z której wylewała się smuga światła starej lampy naftowej.

– A kogo tam niesie? – Na widok obcej osoby stara kobieta w spódnicy za kolana podniosła się zza stołu.

Kulając się z boku na bok na swoich grubych, przypominających kolumny nogach, podeszła do Larysy, zmierzyła ją wzrokiem i rzuciła dziewczynie pogardliwe spojrzenie. Jakby wygląd gościa był dla niej obrazą. Ogolona głowa, ramoneska narzucona na gruby wełniany sweter, getry i wojskowe buty zapewne kłuły w oczy osobę, która dorastała w czasach, gdy kobiety w większości nosiły długie włosy, a ich ubiór był schludny i gustowny. Luboń nie miała wiele wspólnego z damami z tamtych czasów. Właściwie z czasów współczesnych również. Przywodziła na myśl raczej rebeliantkę, kogoś, kto zwykle zwiastuje kłopoty i sprawia, że na jego widok inne przedstawicielki płci pięknej mocniej przyciskają do siebie torebki, unikają kontaktu wzrokowego i zaczynają mówić szeptem.

– Koleżanka pani Zuzanny na chwilę zajrzała – wyjaśnił mężczyzna. – Nastaw wodę, to jakąś herbatę się zaparzy.

Staruszka bez słowa podreptała do gazowej kuchenki, której palnik jak na złość nie chciał się zapalić. Spróbowała ponownie, a gdy i to nie zadziało, odsunęła frankę w kwiaty, zawieszoną pod zlewem, i wyciągnęła stamtąd butlę gazową.

– Pusta – rzuciła do męża, który skinął głową i po chwili zjawił się z zapasową butlą.

Kiedy stróż ją montował, jego żona napełniała metalowy czajnik wodą z kranu.

Kuchnia należała raczej do niewielkich, a przy tym dość mocno zagraconych. Na kredensie z lat dziewięćdziesiątych, podobnym do tego, który miała niegdyś babcia Larysy, leżały opakowania po margarynie, puste i powtykane jedno w drugie. Nieopodal znajdowały się rozsypane gumki recepturki oraz plastikowe butelki po napojach, napełnione płynami w różnych kolorach. Tuż obok stały rzędy słoików z przetworami. Mniejsze i większe, z papryką, ogórkami albo buraczkami, zamknięte pokrywkami, na których widniały ślady rdzy. Na podłodze, obok nogi stołu, dziewczyna dostrzegła chudego kota o rudej sierści, bawiącego się motkiem wełny wyciągniętym z wiklinowego koszyka. Zwierzak popchnął łapkami kulkę, a ta potoczyła się w stronę stojącego pod ścianą łóżka. Grube pierzyny przykrywał akrylowy koc z wizerunkiem lwa i kolorowe jaśki, niepasujące jeden do drugiego.

Kiedy czajnik zagwizdał, Luboń zauważyła, że od dłuższego czasu gapi się na obraz Jezusa zawieszony na słomkowej makatce nad łóżkiem. Chrystus uchwycony został z profilu, miał zamknięte oczy, a dłonie złożone jak do modlitwy trzymał przytknięte do ust. Wydawał się strapiony, ale jednocześnie pogodzony z losem. W przeciwieństwie do niej, bo Larysa nie chciała zaakceptować wielu rzeczy. Nie potrafiła czekać i zostawiać spraw swojemu biegowi.

– Zapraszam. – Starszy mężczyzna wskazał krzesło przy stole nakrytym ceratą w niebieską kratę. – To co chciałaby pani wiedzieć o tym miejscu?

Drewniane krzesło, ozdobione poduszką w kwiaty, zaskrzypiało pod nią, gdy siadała. Luboń wzruszyła ramionami jak zawstydzona gimnazjalistka.

– Jak długo tu jest i kto je zbudował? – zapytała, siorbiąc herbatę.

– Dziadek pana Ryszarda Hallera wrócił w te strony po wojnie, w późnych latach pięćdziesiątych. Znalazł opuszczone gospodarstwo w fatalnym stanie, dowiedział się, do kogo należało, i wykupił je za grosze. A potem odbudował wszystko własnymi rękami. – Mężczyzna uniósł dłonie o grubych, popękanych palcach. – Podobno był

świątecznym jeźdźcą i kochał konie. Spraszał tu ludzi z całego świata. Wszyscy zachwycali się jego arabami. Przed śmiercią zdążył jeszcze nauczyć swojego wnuka jazdy konnej, a jego ojcu powiedział, że młody Ryszard przejmie kiedyś stadninę. I tak się stało, dokładnie jak Kazimierz Haller sobie życzył.

– Pewnie byłoby mu przykro, gdyby wiedział, że dzisiaj to miejsce jest wymarłe. Wie pan, z jakiego powodu Hallerowie zamknęli się na gości i klientów?

– Nie.

Jego odpowiedź padła za szybko, a do tego została wyrażona zbyt kategorięcznym tonem, by można było uznać ją za prawdziwą. Larysa postanowiła zablęfować.

– Zuzanna mówiła, że to się stało w dziewięćdziesiątym piątym roku. Czy mogło chodzić o te wydarzenia z czerwca?

– Jakie wydarzenia? – Pytanie staruszki, która dotychczas zajęta była przygotowywaniem kanapki z pasztetową, padło bez ostrzeżenia.

Luboń popatrzyła to na mężczyznę, to na kobietę, jakby zdezorientowana sytuacją, a następnie z udawanym skrępowaniem potarła głowę.

– Przepraszam, może nie powinnam o tym wspominać, zagalopowałam się. Zuzanna chyba nie byłaby zadowolona. Po prostu myślałam, że państwo wiecie, ale może jeszcze wtedy nie pracowaliście dla Hallerów. Nieważne. – Machnęła ręką. – Późno już, będę się zaraz zbierać. Mogłabym jeszcze skorzystać z toalety?

Stróż podniósł się, by pokazać jej drogę. Nim jednak podążyła za nim, dyskretnie wsunęła komórkę pod poduszkę leżącą na krześle. Z plecakiem na ramieniu patrzyła w wyszczerbione na rogu lustro, oglądała swoje zmęczone oczy, pełne czerwonych żyłek, i zastanawiała się, co najlepszego wyprawia.

Za drzwiami słyhać było szepty, ale nie potrafiła wyłowić z nich poszczególnych słów. Właśnie w tym celu zostawiła telefon. Już w samochodzie uruchomiła dyktafon, a później czekała tylko na stosowny moment, by go ukryć. Towarzyszyło jej przekonanie, że małżeństwo opiekujące się stadniną miało do powiedzenia więcej,

niż twierdzili. Odkręciła wodę w kranie, by stworzyć pozory jakiejś łazienkowej aktywności. Coś w rurach zapiszczało, po czym cienkim strumieniem zaczęła lecieć żółta woda. Larysa zerknęła na starą wannę z żółtymi zaciekami i rzędy ściereczek pozawieszanych na suszarce.

Gdy wyszła z łazienki, mężczyzna stał za drzwiami.

– Nie spuściła pani wody – oznajmił.

– A! Zapomniałam, gapa ze mnie. Przepraszam.

Dziewczyna prędko wróciła do toalety, nacisnęła przycisk przy spłuczce i z zadowoloną miną wyszła na korytarz.

– Załatwione – stwierdziła. – Będę już jechać, sprawdzę tylko, czy nie zostawiłam telefonu gdzieś w kuchni, bo nigdzie nie mogę go znaleźć.

Nie czekając na pozwolenie, wróciła do kuchni, zamarkowała rozglądanie się, a następnie wysunęła krzesło spod stołu, chwyciła komórkę w dłoń i uniosła ją z triumfem.

– Jest!

Podziękowała jeszcze raz za herbatę, rzuciła kilka komplementów na temat tego miejsca i odwróciła się, by wyjść, ale niespodziewanie poczuła na ramieniu kościste palce. Starsza kobieta patrzyła na nią gniewnym wzrokiem, a jej usta były groteskowo wykrzywione.

– Po co pani tu przyjechała?

– Proszę mnie puścić. – Larysa wyrwała się z bolesnego chwytu. – Chciałam zobaczyć stadninę. Zuzanna mi o niej mówiła, lubię konie i pomyślałam...

– Jakie? – przerwała staruszka. – Jakie konie pani lubi?

Luboń nie miała pojęcia o koniach, ale nawet gdyby coś o nich wiedziała, w tej chwili z pewnością nie potrafiłaby wydobyć tych informacji z umysłu. Zadziałał efekt zaskoczenia. Gdy ktoś pyta zniecierliwie, stanowczym, władczyim głosem, niekiedy pamięć się blokuje, jak małż odczuwający lęk. Co ciekawe, gdy napięcie opada, potrzebne informacje bez problemu wypływają z podświadomości, ale w momencie paniki właściwie nie ma do nich dostępu. I dokładnie w tym stanie znalazła się teraz Larysa.

Za plecami słyszała chrapliwy oddech mężczyzny, a przed sobą miała staruszkę trzymającą w dłoniach ścierkę. Twarz kobiety miała w sobie coś złowieszczonego, przypominała wiedźmę z baśni dla dzieci, o dużym, kostropatym nosie. Dziewczyna znalazła się w potrzasku, a jedyna życzliwa jej istota siedziała zamknięta w klatce kilka kroków dalej.

– Wszystkie – odparła w końcu, choć zdawała sobie sprawę, jak żałośnie musiało to brzmieć.

– Ma nas pani za idiotów? – wtrącił stróż.

Zamierzała się wytłumaczyć, odwróciła się w jego stronę, ale gdy tylko otworzyła usta, na jej twarz opadła brudna, śmierdząca octem szmata, która okalała głowę i utrudniała oddychanie. Luboń była tak zaskoczona i zdezorientowana, że dopiero po kilku sekundach zrozumiała, że to kobieta musiała rzucić się na nią ze ścierką, którą teraz ją dusiła. Staruszka nie przewidziała jednego. Nie miała do czynienia ze słabą, wątłą dziewczyną, ale z dziennikarką, która trenowała boks i robiła dziennie po kilkadziesiąt pompek.

Larysa szarpnęła ciałem do tyłu i całą sobą napała na kobietę, wbijając ją w ścianę. Staruszka zwolniła ucisk, dzięki temu dziewczyna wyswobodziła się z potrzasku. Pies, dotychczas skulony w kącie, musiał się przestraszyć, bo nagle zaczął ujadać i warczeć. Jego pan doskoczył do Luboń, wymachując drewnianą laską, a wtedy ona otworzyła skobel klatki owczarka i z całych sił zawołała:

– Bierz ich, Aleks!

Nie miała pewności, czy to zadziała, ale czytała kiedyś, że komenda wypowiedziana stanowczym głosem przez osobę, której zwierzę ufa, może wywołać odpowiednią reakcję. Dla pewności jednak natychmiast po tym, jak wykrzyczała te słowa, odepchnęła staruszka i rzuciła się w stronę drzwi. Za sobą słyszała najpierw warczenie owczarka, pisk przerażonej kobiety, a wreszcie dźwięk kija uderzającego psa i jego skomlenie. To ją rozsierdziło, zapragnęła tam wrócić i zdzielić drewnianym drągiem mężczyznę, by poczuł, jak to jest być tak okrutnie maltretowanym, ale musiała wybierać. Drugi raz mogła nie poradzić sobie z napastnikami. Zacisnęła zęby z wściekłości i uciekła do samochodu.

Dopiero gdy odjechała na bezpieczną odległość, przystanąła gdzieś na rzadko uczęszczanej gruntowej drodze, prowadzącej tylko do lasu. Trzęsącą się dłonią wyjęła z plecaka telefon, po czym odpaliła nagranie zarejestrowane na dyktafonie.

To, co usłyszała, sprawiło, że wstrzymała oddech.



Niespodziewanie czuję, że na twarz spadają mi krople. Najpierw się wzdrygam i odsuwam. Nie wiem przecież, co to jest. Może coś trującego albo żrącego. W duchu modłę się, by ciecz okazała się wodą. Dotykam palcami twardego, karbowanego podłoża za swoimi plecami i z niepokojem zanurzam opuszkę palca w mokrej plamie. Ciecz ma konsystencję wody. Nie klei się ani nie wydaje się tłusta. Postanawiam obrócić się na brzuch. Muszę ją powąchać. Ze stęknieniem przekręcam się w prawo, a potem unoszę tułów i ostrożnie zbliżam twarz do miejsca, gdzie utworzyła się niewielka kałuża.

Znam ten zapach. Nie wiem jeszcze skąd, ale przypomina mi wakacje pod namiotem, trawę łaskoczącą w nagie kostki i niebo rozświetlane błyskawicami. Kojarzy się z ciepłym kocem, słodkim kakao i głosem mamy czytającej bajki przed zaśnięciem. Nagle wszystko rozumiem. To deszcz. Jestem tego pewna. Wydaje mi się nawet, że słyszę, jak setki kropel bębnią gdzieś o szyby i parapety, przyjemnie szemrząc. Choć może to kolejne urojenie. Nie mogę uwierzyć, że dopiero teraz na to wpadłam. A skoro do środka przedostaje się deszcz, zapewne tą samą drogą dociera tu tlen, którym oddycham. To jest moja nadzieja. Zaczynam śmiać się w głos, ale przez taśmę zaklejającą usta i owiniętą wokół głowy dźwięk, który wydobywa się ze mnie, brzmi raczej jak parodia radości. Niczym złośliwy chichot diabła.

Radość z tego, że będę mogła się napić, szybko znika, bo przecież mam na wargach tę cholerną taśmę. W desperacji zaczynam na nowo

dotykać palcami ścian i podłogi mojego więzienia, w nadziei na to, że tym razem znajdę choćby jedną nierówność albo ostrą krawędź. W ciemności mogłam przecież coś pominąć. Ból wywołany ruchem niemal paraliżuje mi rękę, ale nie rezygnuję. W myślach przeklinam się za idiotyczny pomysł z kciukiem. Zagryzam mocno wargi. Po jakimś czasie jestem już potwornie zmęczona, znowu chce mi się spać, jednak nie bez powodu mówi się, że to nie wiara czyni cuda, ale ludzie, którzy nie stracili wiary. Nie zamierzam więc przestać, nadal przemierzam przestrzeń wzdłuż ściany.

I w końcu wydaje mi się, że coś odkryłam. Drobną, ostrą wypustkę. To dodaje mi sił. Jęcząc z bólu, desperacko trę taśmą przyklejoną do ust o ścianę. Po jakimś czasie wreszcie uwalniam dolną wargę. Pierwszy raz od tyłu dni mogę otworzyć usta. Jestem tym tak oszołomiona, że z radości zaczynam płakać. A później zanurzam twarz w mokrej plamie na podłodze mojego więzienia i piję łapczywie słoną, deszczową wodę.



Ludzie zwykle bulwersowali się, gdy w filmach akcji źli bohaterowie zabijali swoich przeciwników, ale gdy ci dobrzy zostawiali za sobą trupy, wysadzali w powietrze budynki i potracali pieszych, widzowie podchodzili do tego z wyrozumiałością. Protagonisci mieli przecież szczytne cele, ratowali świat albo jakąś piękną kobietę i można im to było wybaczyć, nawet moralnie uzasadnić. Ale czy na pewno? Morderstwo zawsze przecież było morderstwem, a zło złem.

Bruno myślał o tym, gdy przywiązywał Jacka łańcuchem do filaru w opuszczonym domu. Nie robił tego w obronie własnej, nie został zmuszony do takiego rozwiązania, po prostu dokonał wyboru. Z premedytacją uprowadził człowieka, a potem uwięził go w ciemnym, ponurym miejscu, by torturami wydobyć z niego informacje. Czy to sprawiało, że stał się czarnym charakterem?

Przeszedł z jasnej strony na tę obrzydliwą? A może jego intencje go usprawiedliwiały? Miał co do tego duże wątpliwości.

Kiedy wychodził z surowego gmaszyska, Lewicki, otumaniony lekami, nadal spał. Komisarz przestraszył się, że może nie żyje, ale gdy przytknął palce do nadgarstka uprowadzonego, wyczuł jego puls. To go uspokoiło. Okleił szczelniej usta Jacka taśmą, na wypadek gdyby ten po wybudzeniu zaczął krzyczeć, sprawdził wytrzymałość łańcuchów, a następnie grubą deską zablokował drzwi, których zamek uprzednio wymontował. Skrajnie wyczerpany, ruszył do mieszkania Larysy. Nie mógł uruchomić telefonu, bo wtedy szybko zostałby zlokalizowany i naraziłby Luboń na nieproszonych gości. Wyłączając komórkę, z jednej strony stał się niewidzialny dla policji, z drugiej jednak w ten sposób pozbawił się możliwości podglądania obrazu z kamer, które zamontował w pomieszczeniu, gdzie trzymał swojego więźnia. A to stanowiło poważną komplikację.

Głowa Wilczyńskiego pulsowała tęnym bólem. Jakby za moment miała pęknąć i rozpaść się na części niczym łupina orzecha włoskiego. Zastanawiał się, czy ukraińska opiekunka o imieniu Wala, do której zadzwonił z telefonu stacjonarnego w recepcji pensjonatu American House, dotarła już do chłopców. Miał nadzieję, że tak, bo to dawało mu więcej czasu. Kobieta zapewne położy dzieci spać i zaczeka na właściciela domu. Dopiero gdy ten długo nie będzie wracał, zadzwoni do Lewickiego, przez co z dużym prawdopodobieństwem zorientuje się, że mężczyzna zostawił telefon w domu. O ile oczywiście go nie wyciszył ani nie schował. I tylko jeśli opiekunka nie natknie się na komórkę wcześniej.

Być może kobieta zostanie w domu Jacka na noc, rano znów spróbuje się z nim skontaktować, a później jej niepokój zamieni się w silne zdenerwowanie. W końcu zadzwoni na policję. Na pewno będzie przestraszona, jej język zamiast polskich będzie formułował ukraińskie słowa, na policzki i szyję wystąpią jej czerwone plamy stresu. Jakiś funkcjonariusz każe jej podjechać na komisariat, złożyć zawiadomienie o zaginięciu. I wreszcie w tempie zależnym od tego, jak bardzo zajęci będą naczelnik Marian Pękała oraz inspektor Sławomir Wrona, wiadomość dotrze także do nich.

W optymistycznym wariacie Bruno miał około doby, zanim się do niego dobiorą. W realistycznym zdecydowanie mniej.

Pękala bez wątpienia sprawdzi, skąd wykonano telefon do opiekunki, a nagrania monitoringu w pensjonacie American House potwierdzą jego intuicyjne przypuszczenia. Jedne z tych, które są najbardziej oczywiste, a zarazem najmniej chcemy, by się ziściły. Zeznania synów Jacka jedynie poprą tę hipotezę. Szczególnie Franek będzie potrafił barwnie opowiedzieć Pękale o obcym mężczyźnie w białym samochodzie. Policjanci krok po kroku ustalą rejestrację peugeota partnera, którym się poruszał, i przekopią się przez systemy do sczytywania numerów rejestracyjnych. W ten sposób namierzą auto, ale niekoniecznie Wilczyńskiego. By umknąć służbom, musiałby porzucić swój środek lokomocji, tyle że na razie nie mógł sobie na to pozwolić, za bardzo go potrzebował.

Wdrapując się na pierwsze piętro bloku Larysy, z trudem stawiał każdy krok. W pobliskim Rossmannie zdołał kupić szczoteczkę do zębów oraz bokserki i rękawiczki, które leżały na półce z różnościami obok długopisów z puszką, termoforów i kubków w renifery. Zapłacił gotówką, by policja nie mogła wytropić transakcji kartą. Nie zabrał ze sobą żadnych ubrań, a te, które nosił, pachniały i wyglądały tak, jak ciuchy mężczyzny pod koniec koszmarnej długiego dnia. Mógł oczywiście podjechać do swojego mieszkania, zgarnąć kilka rzeczy z szafy i dopiero wtedy ukryć się u Luboń, ale nie chciał ryzykować. Inspektor Sławomir Wrona mógł zostawić kogoś na czatach.

Bruno stanął przed drzwiami dziennikarki, wziął głęboki wdech i poklepał się dziarsko w oba policzki. Kiedy pukał, po plecach przebiegł mu dreszcz niepokoju. Musiał pilnować, by w żaden sposób nie wzbudzić podejrzeń Larysy. Nie chciał sprowokować niewygodnych pytań ani zasiać w niej wątpliwości. Niestety należał do grona tych ludzi, którzy im bardziej coś ukrywali, tym wyraźniej było to po nich widać. Co ciekawe, ta przypadłość dotykała go tylko wtedy, gdy kłamał bliskim, tym, wobec których miał skrupuły. Obcych mógł oszukiwać bez wyrzutów sumienia.

– Wszystko w porządku? – zapytała Luboń, przyglądając mu się z troską. – Wyglądasz, jakbyś przerzucił tonę węgla.

– Ja też się cieszę, że cię widzę. Wpuścisz mnie?

Dziewczyna odsunęła się na bok, wykonując dłonią zapraszający gest. Oparta o ścianę w korytarzu patrzyła, jak Wilczyński z wysiłkiem zdejmuje buty i ściąga kurtkę, a potem toczy się na kanapę w pokoju. Czuł na sobie jej lustrujący wzrok, przez co jeszcze bardziej się denerwował. Zdecydowanie łatwiej byłoby po prostu opowiedzieć Larysie o wszystkim, zdjęć z siebie ten ciężar, ale intuicja podpowiadała mu, że dziewczyna nie będzie zadowolona, gdy usłyszy, co zrobił. Jednocześnie nie mógł zostawić jej z niczym, spodziewał się, że jak na dziennikarkę przystało, lada chwila zacznie zadawać pytania, dlatego gdy usiadła obok niego na kanapie, postanowił wyjawić część prawdy.

– Podejrzewają, że to ja zrobiłem coś Sylwii – wyznał. – Miałem na kurtce jej krew, a w moim mieszkaniu znaleźli komórkę, której używała. Nie trzeba być Sherlockiem, żeby wyciągnąć odpowiednie wnioski.

Luboń zmarszczyła brwi.

– To dlatego masz wyłączony telefon i nocujesz u mnie. Ukrywasz się przed policją – podsumowała głośno.

– A tam, od razu „ukrywasz”. Po prostu nie spieszy mi się do spotkania z kolegami z wydziału wewnętrznego.

Larysa podciągnęła kolana pod brodę, zerknęła na Wilczyńskiego, a później utkwiała spojrzenie w przestrzeni i mruknęła w zamyśleniu. Z jej twarzy wyczytał, że dokonuje analizy, zapewne próbuje znaleźć logiczne wytłumaczenie dla tych dziwnych zbiegów okoliczności. Wreszcie odwróciła się w jego stronę.

– Nie rozumiem jednego. Zawsze byłeś genialny w wychwytywaniu anomalii, dostrzegałeś różnice i niezgodności na miejscu zbrodni. Nawet te najmniejsze, a teraz ci to umknęło? Jakim cudem Lewicki zdołał podłożyć krew i telefon, a ty tego nie zauważyłeś?

Bruno sam wielokrotnie zadawał sobie to pytanie. Uwierało go jak kamyk w bucie.

– Zaślepiła mnie nienawiść. Dopiero dzisiaj przypomniałem sobie, że będąc w domu Konopackich, zostawiłem kurtkę na wieszaku. To wtedy musiał ubrudzić ją krwią Sylwii. Powinienem się też domyślić, że stłuczona szyba w oknie nie była przypadkiem. Gdybym się zorientował, nie zostawiłbym klucza ochronie i nikt nie mógłby wejść bezkarnie do mieszkania. Przestałem zauważać to wszystko, bo cały czas myślałem jedynie o tym, jak go dorwać i odnaleźć Konopacką.

– Zrobiłeś to, czego oczekiwał. Pamiętaj, on kocha publiczność. W sztuce iluzji magik zawsze musi odwrócić uwagę widza, by móc go oszukać i wykonać swój trik. Ty okazałeś się widzem idealnym.

Wilczyński kiwnął głową, unikając patrzenia w oczy Larysy. Wstyd drapał go w gardle. „To ustawiona gra, możesz się miotać, a i tak niczego nie osiągniesz” – przypomniał sobie słowa Jacka, po czym spuścił głowę i zaczął nawijać na palec nitkę wystającą z przeszycia kanapy.

– Dobrze, że tylko ja dałem się omamić jego sztuczkom. Lewicki jest jak wirus, szybko namnaża się w organizmie ofiary, infekując ją obłędem. Dlatego nalegałem, byś trzymała się od niego z daleka. – Odwzajemnił jej blady uśmiech. – A ty? Znasz już wszystkie sekrety klanu Hallerów? – zręcznie zmienił temat.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Mam wrażenie, jakbym otworzyła puszkę Pandory. Wszyscy w tej rodzinie coś ukrywają. Nadal nie rozumiem, dlaczego musieli usunąć Dianę Darską i gdzie ukrywa się Paweł, ale jestem pewna, że cała ta historia zaczęła się wiele lat temu, najpewniej w dziewięćdziesiątym piątym roku. Wtedy doszło do czegoś w stadninie Hallerów.

Słowa dziewczyny docierały do niego, odbite przez echo i zniekształcone. Jakby dochodziły z zaświatów, a nie tej samej kanapy. Początkowo walczył ze zmęczeniem, przygryzał wargę, by wyrwać się z letargu i skupić na rozmowie, ale jego organizm nie miał już sił. Wyłączał się jak przegrzany komputer. Wilczyński oparł głowę na grubej, wygodnej poduszce, pozwalając, by powieki opadły. Wydawało mu się, że Larysa mówiła do niego coś ważnego, ale nawet gdyby grożono mu bronią, nie byłby w stanie odtworzyć jej słów. Nie

pamiętał niczego, co nastąpiło po jego pytaniu. Świat stopniał i się rozplynął, a Bruno zapadł w niespokojny sen.

Kiedy obudził się o trzeciej, mieszkanie spowijała ciemność. Bolał go kark i nie potrafił zrozumieć, jak to się stało, że był przykryty kocem, a pod jego głową znalazła się prowizoryczna poduszka, zrobiona ze złożonego swetra. Odruchowo sięgnął po komórkę, uświadamiając sobie, że poprzedniego dnia wyłączył telefon. Gdzieś w tle dyskretnie szumiała lodówka, a ulicą raz na jakiś czas przejeżdżały zbłąkane samochody. Bruno podniósł się z trudem, by po chwili stanąć w drzwiach sypialni. Patrzył na Larysę, która spała na boku, z łokciem pod głową. W uszach nadal miała słuchawki podłączone do komórki. Na jej ekranie leciał jakiś materiał z YouTube'a, który dziewczyna zapewne odpaliła, zanim usnęła. Wilczyński podniósł telefon do oczu, wcisnął pauzę i przeczytał tytuł filmu dokumentalnego oglądanego wcześniej przez Luboń. Był to jeden z materiałów, które firma Haller Investments umieściła na swoim kanale, i dotyczył historii rodzinnego konsorcjum.

Komisarz wyłączył nagranie, jak najdelikatniej wyjął słuchawki z uszu Larysy, a następnie powodowany nagłą potrzebą usłyszenia głosu ojca, wymknął się z telefonem dziewczyny do drugiego pokoju. Miał świadomość, która jest godzina, lecz mimo to wybrał ikonę zielonej słuchawki, obiecując sobie w myślach, że jeśli ojciec nie odbierze po dwóch sygnałach, zerwie połączenie. Zamierzał wpisać z pamięci numer Aleksandra Wilczyńskiego, ale przełączając ekran z „Ostatnie połączenia” na „Klawiatura”, dostrzegł coś, co sprawiło, że mocniej zacisnął palce na obudowie telefonu. Cofnął się do ostatnio wybieranych numerów, a kiedy potwierdził swoje najgorsze przypuszczenie, z wściekłością uderzył pięścią w kanapę.

Według rejestru zaledwie kilka godzin wcześniej Larysa dwukrotnie kontaktowała się z Lewickim. Zrozumiałby jeszcze, gdyby to Jacek dzwonił do niej, ale nie widział powodu, dla którego dziewczyna miałaby chcieć rozmawiać z tym chorym człowiekiem. Nie tylko złamała daną Brunonowi obietnicę, lecz również zataiła przed nim tę informację. Oparł czoło na dłoniach i patrząc tępo we wzór na panelach podłogowych, ulegał nastrojowi beznadziei. Przypominał

więdnącą roślinę, zgięty wpół, ze zwieszoną głową i nieobecny spojrzeniem. Uczucie bycia zdradzonym napełniało jego płuca piekącym bólem, który na pewno nie pozwoliłby mu zasnąć. Dlatego bez zbędnego namysłu ubrał się i ostrożnie zamykając drzwi, wyszedł.

Chłodne nocne powietrze kąsało płatki uszu komisarza, który zaciągnął mocniej suwak w kurtce i przyspieszył kroku. Nie wiedział jeszcze, co zamierza, po prostu musiał przewietrzyć umysł, ochłonać. Przed wyjściem odłożył telefon Larysy na nocny stolik obok łóżka, a do kieszeni wcisnął swoją komórkę. Echo niosło dźwięk jego butów uderzających o betonowy chodnik. Gdy po kilku minutach marszu dotarł do Świątyni Opatrzności Bożej, przywodzącej na myśl raczej bunkier lub kwaterę obronną niż kościół, przysiadł na niskim betonowym murku. Przez dłuższy czas patrzył w noc rozświetlaną ulicznymi latarniami, a w myślach prowadził kalkulacje. Wreszcie zdecydowanym gestem dobył z kieszeni telefon i uruchomił go. Nawet gdyby został teraz namierzony, do przyjazdu radiowozu zdąży wrócić do mieszkania Luboń, o której istnieniu nikt z komendy nie miał pojęcia. Będą go szukać jak wiatru w polu i skończą z równie marnym efektem.

Wpisując PIN, poczuł dreszcz ekscytacji. Wprawdzie telefon wibrował od nadmiaru przychodzących powiadomień, ale Wilczyński zignorował je wszystkie i otworzył podgląd z kamer w opuszczonym domu, w którym uwięził Jacka. Producent wyposażył urządzenia w diody na podczerwień, dzięki czemu możliwe było uzyskanie obrazu nawet w warunkach całkowitej ciemności. W kwadratowym okienku na ekranie komórki pojawiła się jasna postać Lewickiego na ciemnym tle z wyraźnym zarysem filaru. Mężczyzna siedział na podłodze z wyprostowanymi, owiniętymi taśmą nogami. Więzień szarpał ciałem, ale zarówno jego tułów, jak i ręce zostały na tyle ciasno przywiązane stalowym łańcuchem do kolumny, że nie miał szans na uwolnienie. Bruno podkręcił dźwięk, by sprawdzić, czy rozpaczliwe próby oswobodzenia nie wywołują nadmiernych hałasów. Szczęśliwie jednak wybór łańcucha powlekanego plastikiem

minimalizował rumor, a z dokładnie zaklejonych ust Jacka wydobywały się tylko ledwie słyszalne mruknięcia.

Komisarz patrzył na ten obrazek i nie był w stanie określić, co czuje. Nie znalazł w sobie satysfakcji ani zadowolenia. Przepętniała go pustka. Jakby stał się kimś obcym, kogo nie potrafił rozgryźć. Martwym za życia. Potarł dłonią rozgrzane czoło, a następnie zaczął przeglądać nieodebrane połączenia i SMS-y. Większość pochodziła od Mariana Pękały, kilka od Sławomira Wrony, Larisy oraz pielęgniarki zajmującej się jego ojcem. Tknięty złym przeczuciem wybrał numer poczty głosowej i po kolei odsłuchiwał nagrane wiadomości. Naczelnik prosił go o pilny kontakt, Luboń zostawiła krótkie, acz wymowne: „Gdzie ty się, do cholery, podziewasz?”, a pani Kasia, sprawująca pieczę nad Aleksandrem Wilczyńskim, zganiła Brunona za kłótnię z ojcem. „Nie wiem, o co wam poszło, ale powinien pan tu wrócić i porozmawiać z tatą. Nie chce jeść, przestał się odzywać i tylko miętosi jakieś pana stare zdjęcie. Tak nie można!” – wykrzykiwała oburzona.

Policjant myślał, że to już ostatnia wiadomość, ale wtedy usłyszał obcy męski głos. Zasapany i sprawiający wrażenie przejętego. „Z tej strony Jędrzej Sobiech. Słuchaj, stary, ciotka mówiła, że jak mi się gliny dobiorą do tyłka, to mogę zadzwonić do ciebie. Nie wiem, kurwa, co mi to da, ale za bardzo nie mam wyboru. Oni myślą, że zrobiłem coś Sylwii. Spotkajmy się jutro o ósmej rano na Orlenie przy Surowieckiego. Jak mi pomożesz, ja też zrobię coś dla ciebie. A! I nie dzwoń na ten numer, stara się piekli, że ją wplątałem w jakieś gówno, i nie pozwala mi już nawet u siebie nocować”.

Wilczyński mruknął zaciekawiony tym, co chciał mu przekazać chłopak. Wszystko wskazywało na to, że Sobiech widział się z aspirant Konopacką na krótko przed jej zniknięciem. To na jego widok spanikowała podczas zakupów w Arkadii i to on dzwonił do policjantki w wieczór zaginięcia, gdy bawiła się z przyjaciółmi w pubie. Bruno był pewien, że inspektor Sławomir Wrona porządnie zajął się chłopakiem w trakcie przesłuchania, ale nie miał pojęcia, co zdołał z niego wydobyć. Być może informacje, które miał Jędrzej, stanowiły brakujący element w skomplikowanej układance.

Telefon w dłoni komisarza, ku jego zaskoczeniu, zaczął niespodziewanie dzwonić. Na wyświetlaczu pulsowało nazwisko Pękały, przez co Wilczyński cały się spał. Gdzieś w głębi niego odzywał się irracjonalny głos, który powtarzał: „jesteś mu to winien”. Bruno walczył ze sobą, a w końcu odebrał połączenie. Słuchawka zdawała się parzyć, gdy przyłożył ją do ucha. W milczeniu oczekiwał na słowa naczelnika, sam niezdolny do wypowiedzenia czegokolwiek.

– Operator wysłał mi powiadomienie, że jesteś już dostępny w sieci
– odezwał się Marian Pękała.

– Nie powinieneś spać o tej godzinie?

– Chciałbym, ale ostatnio jakoś nie mogę. Za dużo problemów.

– Cóż, wybrałeś sobie trudny zawód.

– Może i tak – westchnął naczelnik. – Chyba powinniśmy pogadać, nie uważasz?

– Właśnie to robimy, szefie.

– Ale nie w ten sposób. Przyjedź rano na komendę. Wstawię się za tobą.

– Humor ci się wyostrzył, naczelniku. Doskonale wiesz, co się stanie, gdy przyjadę do fabryki. Założycie mi obrączki, a chłopaki z wewnętrznego zaproszą mnie na niezapomniane *tête-à-tête*. – Roześmiał się. – Niby dlaczego miałbyś teraz występować w mojej obronie?

– Powiedzmy, że przejrzałem na oczy.

– Kiepsko ci idzie zabawa w dobrego glinę.

– Jak chcesz – rzucił szorstko Pękała, któremu najwyraźniej znudziło się granie życzliwego. – Ale ostrzegam, że jak cię namierzemy, nie będziemy się patyczkować. Wtedy nie licz na taryfę ulgową. Powiedz, gdzie dokładnie jesteś, a może zdołam cię ochronić.

Bruno zwrócił uwagę na słowo „dokładnie”, co zapewne świadczyło o tym, że funkcjonariusze zlokalizowali już stację bazową, z którą łączył się jego telefon, a naczelnik wysłał radiowozy na Wilanów. Nie mogli określić, gdzie precyzyjnie przebywał.

– Mnie już się nie da ochronić – rzucił. – Niech Bóg ma nas w swojej opiece, szefie – powiedział, zerkając w górę na kopułę świątyni, po czym wyłączył telefon i ruszył w stronę bloku Larysy.



Niekiedy sny bywają tak rzeczywiste, że trudno je odróżnić od jawy. Pełne intensywne zapachów, czułych dotyków i miękkich dźwięków. W jakiś sposób hipnotyzujące. Larysie wydawało się, że Bruno leży obok niej na łóżku, obrysowując opuszką palca kontur jej ust. „Taką cię wymyśliłem” – wyszeptał do jej ucha, sprawiając, że włoski na karku dziewczyny stanęły na baczność. Pragnęła, by ta fantazja trwała wiecznie, ale sen powoli już pierzchał. Blaknął, a w końcu rozwiął się jak dym. Luboń przeciągnęła się leniwie, niechętnie otworzyła oczy i ku swojemu zdziwieniu dostrzegła Wilczyńskiego, który naprawdę znajdował się obok niej. Ubrany w kurtkę i buty, z mokrymi zapewne po porannym prysznicu włosami, patrzył na nią, jakby widzieli się po raz pierwszy w życiu.

– Dzień dobry – powiedział.

– Długo tak mnie obserwujesz?

– Wystarczająco, byś mogła uznać mnie za świra. – Uniósł kąciuki ust do uśmiechu, ale chwilę później jego twarz na powrót stała się poważna. – Wychodzę, muszę załatwić kilka spraw.

Larysa kiwnęła głową ze zrozumieniem. Nie zadawała pytań, jakby przeczuwała, że odpowiedzi nie przypadną jej do gustu. Co więcej, sama zamierzała stawić czoło temu, co powinna była zrobić już dawno. Poprzedniego wieczoru usiłowała omówić swój plan z Brunonem, ale nim doszła do sedna, on już spał. Teraz stwierdziła, że to nawet lepiej. Wilczyński mógłby chcieć ją powstrzymać, a kapitulacja nie mieściła się na liście możliwości, które rozważała.

– Do zobaczenia – rzucił, po czym pocałował ją tak, jakby wychodził nie na chwilę, tylko na bardzo długo.

Kiedy zatrzęsnał za sobą drzwi, podniosła się z łóżka, wzięła szybki prysznic i zapychając się podgrzewaną pizzą z mikrofali, wybrała numer Roberta Hallera, najmłodszego syna Ryszarda.

– Gdzie jesteś? – spytała, nie siląc się na uprzejmości, gdy tylko mężczyzna podniósł słuchawkę.

– Tam, gdzie większość normalnych ludzi o siódmej rano. W domu.
– Nie schlebiaj sobie, daleko ci do normalności – odparła. – Nigdzie się stamtąd nie ruszaj, będę za niecałą godzinę.

– Zabawna jesteś. Zawsze lubiłem sposób, w jaki prosisz. Jest taki władczy. Naprawdę chciałbym się z tobą zobaczyć, ale mam spotkanie za miastem. Zadzwoń do mojej asystentki, na pewno wciśnie cię gdzieś w grafik.

– Odwołaj je. To ważne.

– Wiem, że masz wysokie mniemanie o sobie, ale bez przesady.

– Diana Darska, mówi ci to coś? – zaryzykowała. – Wiem, co się z nią stało w dziewięćdziesiątym piątym roku.

Robert zamilkł.

– Przyjedź – rzucił po chwili i rozłączył się.

Wszystko w żołądku Luboń zdawało się kotłować jak ubrania w pralce. Stres i zjedzona w pośpiechu margherita wywołały nudności, przez które twarz dziewczyny przybrała sinozielony kolor. Zgięta wół, z rękami na brzuchu wzięła kilka głębszych wdechów, po czym spakowała plecak i ruszyła w stronę wyjścia. Zatrzymała się jednak, bo kątem oka dostrzegła leżący na kanapie telefon Wilczyńskiego. Smartfon nadal pozostawał wyłączony ze względu na ryzyko namierzenia przez policję, ale Larysę mimo wszystko zdziwiło, dlaczego Bruno zapomniał o nim, choć leżał na widoku. Dziewczyna odłożyła komórkę na stolik, a następnie zeszła do garażu.

Decyzja o wyjeździe do Milanówka wydawała się irracjonalna i niebezpieczna, a jednak Luboń nie miała co do niej wątpliwości. Początkowo zakładała, że Robert Haller poszukiwał Diany, bo troszczył się o nią i chciał zrozumieć, co się z nią stało. Dlatego odwiedzał matkę dziewczyny, a kilka lat później zaczepił kobietę o tym samym imieniu i nazwisku na konwencji budowlanej. Istniało jednak prawdopodobieństwo, że usiłował odnaleźć Darską, by ją wyeliminować. Mogła być świadkiem czegoś, co wydarzyło się w stadninie i o czym młody Robert z paniką w głosie opowiadał Henrykowi na przypadkowo zarejestrowanym nagraniu. Ponadto ktoś musiał zlecić Albertowi, kierowcy Hallerów, wstrzyknięcie

bezdumnej zbyt dużej ilości narkotyków, która doprowadziła do przedawkowania. Dlaczego nie miałyby to być Robert? Z całej rodziny to on miał najwięcej do stracenia. Gdyby na jaw wyszedł jakikolwiek skandal z przeszłości, zaprzepaściłby majątek, karierę i wizerunek, który tak pieczołowicie pielęgnował.

Ta teoria miała sens do czasu, gdy dziennikarka nie odsłuchiwała rozmowy z Hallerówki, na której stróż i jego żona kłócili się szeptem. To, co odkryła, przeraziło ją, ale jednocześnie sugerowało, że Robert nie mógł wiedzieć o tym, czego doświadczyła Diana. Gdyby wiedział, nigdy by jej nie szukał. Larysa postanowiła go uświadomić i wykorzystać gniew biznesmena jako swoją tarczę przeciwko tej rodzinie. To była jej ostatnia szansa na poznanie prawdy.

Kiedy zajęła miejsce na skórzanym fotelu w bibliotece domu Roberta, czuła pulsowanie krwi w opuszkach palców. Jej stopa nerwowo podrygiwała, a zęby bezwiednie zgrzytały. Nie najlepiej wspominała swoją ostatnią wizytę w tym pomieszczeniu. Haller poszczuł ją wtedy psami, sprawiając, że musiała salwować się ucieczką przez okno. Na samą myśl o strachu, który ją wtedy ogarnął, napięła mięśnie ramion, a gdy chwilę później biznesmen wszedł do środka, wyprostowała się jak struna.

Mężczyzna usiadł po drugiej stronie drewnianego, okrągłego stolika, założył nogę na nogę, a następnie zerknął na rolexa daytona z tarczą błękitną jak jego tęczówki.

– Kto by pomyślał, że jeszcze kiedyś będziemy siedzieć razem przy tym samym stole – stwierdził z rozrzewnieniem. – Musisz być zdesperowana, skoro zjawiasz się w domu człowieka, którego całą sobą nienawidzisz.

– Brzydzę się tobą, nie ma to nic wspólnego z nienawiścią – wypaliła. – Przychodzę, by zaproponować ci układ. Informacje za twoje wsparcie.

– Mówiłem już, że jesteś zabawna? Nie zawieram sojuszy z wrogami.

– Nawet jeśli stawką będzie wiedza o tym, co stało się z Dianą Darską? Myślałam, że ją kochałeś.

– To bardzo romantyczna wizja, ale niestety nieprawdziwa.

– Mnie też początkowo trudno było uwierzyć w to, że miałeś kiedyś serce, ale gdyby Diana nic dla ciebie nie znaczyła, nie szukałbyś jej przez tyle lat. I nie zgodziłbyś się na mój przyjazd.

Po twarzy mężczyzny przemknął grymas bólu, którego nie zdołał ukryć. Biznesmen odwrócił wzrok i przez dłuższy czas patrzył w okno. Wydawało się, że błądzi myślami gdzieś daleko. W tle słychać było szczekanie psów i uderzanie kropli deszczu o parapet.

– Według mnie ktoś z twojej rodziny skrzywdził Dianę i bardzo się postarał, byś nie mógł jej odnaleźć – kontynuowała.

– Skrzywdził?

Luboń pokiwała smutno głową, po czym wyjęła z kieszeni telefon, położyła go na blacie stołu i puściła mu nagranie ze stadniny Hallerówka. Najpierw rozległ się głos starej kobiety, a chwilę później zdarty głos jej męża.

– Ta dziewczyna coś wie. Kto to w ogóle jest?

– Mówiła, że zna Zuzannę.

– Uprzedzałam cię, że to się na nas zemści.

– Wyprę się wszystkiego. Pilnowałem tylko stadniny, o niczym nie miałem pojęcia.

– I kto ci uwierzy? Byłeś tu, tak samo jak ja. Doskonale wiesz, czym ją faszerowali. Tygodniami, jak jakąś ćpunkę.

– Przestań! Gdyby nie oni, nie mielibyśmy się gdzie podziać. Nie zrobiliśmy niczego złego.

– A powinniśmy byli zrobić coś dobrego! Idź zobaczyć, co ona tam robi, a ja zadzwonię.

Dyktafon zarejestrował jeszcze moment wyjścia Larysy z toalety, jej rozmowę ze stróżem i upozorowane poszukiwanie zaginionego telefonu, po którym nagranie się urwało.

– Boże, przez tyle lat myślałem... W życiu nie posądziłbym nikogo z rodziny. – Haller przyłożył dłoń do ust i pokręcił głową z niedowierzaniem. – Kiedy tam byłaś?

– Wczoraj wieczorem. To ważne?

– W nocy w Hallerówce doszło do wybuchu gazu. Ludzie, z którymi rozmawiałaś, nie żyją.

Luboń przekłęła pod nosem, a jej twarz pobladła. Przygryzając wargę, odtwarzała w pamięci obrazy ze stadniny. Staruszkę podpalającą zapałką lampę naftową i syczącą butlę gazową. Z logicznego punktu widzenia wszystko spinało się w całość, a jednak trudno było nie doszukiwać się w tym zrzędzeniu losu premedytacji.

– Strażacy wstępnie potwierdzili nieszczelność przewodu, ale mają się temu jeszcze przyjrzeć. Jeżeli dowiedzą się, że byłaś na miejscu, pewnie będą chcieli z tobą porozmawiać.

– Nie dowiedzą się.

Przez kilka chwil patrzyli na siebie w milczeniu. Umysł Larysy podpowiadał, że jeśli ktokolwiek dostrzegł w okolicy Hallerówki jej charakterystyczny, ozdobiony naklejkami samochód, może zostać wezwana do złożenia wyjaśnień. Uznała, że policję na pewno zainteresuje, co młoda dziewczyna robiła późnym wieczorem w zamkniętej dla turystów stadninie.

– Wiesz, do kogo zadzwoniła ta kobieta z nagrania? – zapytał Robert.

– Nie, ale ktokolwiek to był, nie odebrał telefonu – odparła. – Gdyby to zrobił, mielibyśmy dostęp do ich rozmowy, dyktafon by ją utrwalił, a tam jest tylko cisza i dźwięki z korytarza.

Haller pocierał drżącymi palcami usta. To, co usłyszał, musiało zrobić na nim wrażenie, bo nagle stracił całe opanowanie, którego zwykle mu zazdrościła. Jego reakcja była prawdziwa. Oczy zaszyły mu wilgocią, a prawą dłoń zwinął w pięść, na tyle mocno, że kostki przybrały biały kolor. Wiadomość o dziewczynie przetrzymywanej siłą w stadninie i faszzerowanej narkotykami, od których później była uzależniona, zszokowała go. Siedział zgarbiony na krawędzi fotela, jakby lada chwila miał się zsunąć na podłogę. Słaby i obnażony. Dlatego Larysa zdecydowała się działać szybko.

– Co takiego odkryła Diana, że twoja rodzina postanowiła ją uciszyć? Musiało to być coś poważnego, skoro włożyli w to tyle wysiłku.

– Nie mam pojęcia.

– Czyżby? Wszystko zostaje w rodzinie, co? – ironizowała. – Wiesz, że Darska prostytutowała się na dworcu w Berlinie? Była wrakiem człowieka. Oddawała się najgorszym śmieciom, byle zarobić na kolejną działkę. To z niej zrobili Hallerowie. Zniszczyli wszystko, co kochałeś w tej dziewczynie. Pytanie: dlaczego?

– Mówiłem już, że nie wiem. – Podniósł głos. – Może chodziło o związek ze mną? O to, że woleli, bym ożenił się z kimś z mojej klasy, a ja oszalałem na jej punkcie? Nie zamierzałem z niej zrezygnować. Chciałem rzucić dla Diany studia w Londynie, wróciłem do Polski, ale akurat wtedy ona zaginęła. Nie przyszła na umówione spotkanie i od tamtej pory jej nie widziałem.

Luboń nie wierzyła biznesmenowi. W tej historii było zbyt dużo zbiegów okoliczności. Dziewczyna przepadła, chwilę później Hallerowie zamknęli stadninę, a Robert przybiegł do swojego protektora roztrzęsiony jak nigdy wcześniej. Larysa zakładała, że biznesmen nie wiedział, co spotkało Darską, ale mijał się z prawdą, jeśli chodzi o powód jej zniknięcia. Kusiło ją, by wyciągnąć asa z rękawa, wyjawic, że ma kasetę, na której Robert mówi o ukrywaniu ciała i tuszowaniu sprawy, ale intuicja podpowiadała jej, by zachować ten atut na później.

– W takim razie pomóż mi dotrzeć do tego, co się naprawdę stało – zażądała. – Rozmawiałam już ze wszystkimi poza twoją matką. Mam poczucie, że każdy z tej przeklętej rodziny coś ukrywa, ale z jakiegoś powodu tylko do niej nikt nie chce mnie dopuścić. Zaprowadź mnie do jej pokoju na poddaszu.

– Oszalałaś. Mam być twoim ubezpieczeniem? Matka choruje od dawna, boi się ludzi, niczego ci nie powie. Zresztą Diana zniknęła prawie dwadzieścia pięć lat temu. Co ona miałby mieć z tym wspólnego?

– Łucja musi coś wiedzieć. Gdyby tak nie było, twój ojciec już dawno zgodziłby się na rozmowę z nią.

– Sam się tym zajmę.

– Okłamywali cię przez tyle lat. Myślisz, że teraz powiedzą ci prawdę? Wyprą się wszystkiego. – Patrzyła na niego przerażona. –

Jeśli ci ludzie ze stadniny zdążyli donieść swojemu zleceniodawcy o mojej wizycie, nie mam zbyt wiele czasu. Prędzej czy później Hallerowie dobiorą się też do mnie. Zlikwidują tak, jak to zrobili z Darską.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Spojrzenie Roberta podszyte było niepokojem.

– Diana nie żyje – wyjaśniła. – Albert, wasz kierowca, zaserwował jej złoty strzał, przedawkowała narkotyki w podziemiach Dworca Centralnego.

– To niemożliwe. Skąd o tym wiesz?

– Powiedzmy, że mój przyjaciel zjawił się w niewłaściwym czasie w najmniej odpowiednim miejscu i zobaczył to, czego nie powinien, a później sam zaginął. – Przygryzła wargę, kręcąc przy tym głową. – Wszyscy, którzy mają jakikolwiek związek z tą sprawą, kończą w szpitalu albo na cmentarzu. Widziałam, jak kierowca twojego ojca rzucił się pod ciężarówkę. Według mnie bał się tej samej osoby, która odpowiada za śmierć Diany.

Mężczyzna otworzył usta, jakby zamierzał o coś zapytać, ale ostatecznie zamknął je, po czym schował twarz w dłoniach. Oddychał ciężko, jak człowiek, który doświadcza duszności i ma problem z zaczerpnięciem tchu. „To nie może być prawda” – szeptał, pociągając nosem. Jego ręce napierały na twarz tak mocno, jakby chciały ją zmiażdżyć. Larysa miała wrażenie, że biznesmen za moment wciśnie sobie gałki oczne do środka.

– Czy teraz pomożesz mi dostać się do twojej matki? – zapytała.

Haller odsłonił czerwoną, zbolałą twarz.

– Tak, zaprowadzę cię do niej.



Bruno zjawił się na Orlenie przed ósmą. Zatankował peugeota, a później zamówił hot doga z kabanosem i kawę, w duchu przeklinając kamery, które zdawały się śledzić każdy jego ruch. W porannych gazetach nie znalazł ani jednej wzmianki dotyczącej

zaginięcia Jacka Lewickiego. Spodziewał się tego, bo nawet gdyby opiekunka zdążyła już zaalarmować policję, w co szczerze wątpił, zajęłoby chwilę, nim wiadomości o zniknięciu wdowca dotarłyby do prasy. Poza tym media dużo chętniej poświęcały uwagę pięknym młodym dziewczętom, dzieciom i synom biznesmenów, którzy przepadli bez śladu, niż zwyczajnym ojcom, a za takiego uchodził Lewicki. Komisarz z ulgą odłożył gazety na stojak, rejestrując kątem oka karcące spojrzenie ekspedienta, który najwyraźniej nie lubił, gdy klienci korzystali z prasy, jakby znajdowali się w czytelnicy. To podkusiło Wilczyńskiego, by sięgnąć jeszcze po „Super Express” i na oczach sprzedawcy zasiąść z nim przy stoliku.

Wsluchany w skoczną świąteczną melodyjkę płynącą z głośników na stacji benzynowej, obserwował wjazd na parking. Drobne krople deszczu, które miały zwiastować nadchodzącą ulewę i burzę, zostawiały na szybie podłużne ślady, a radio ostrzegało, by przygotować się na zbliżającą się do stolicy nawałnicę. Spod czerwonego daszka bejsbolówki Bruno wypatrywał rozklekotanej, srebrnej skody fabii, którą widział na podwórku pod domem ciotki Jędrzeja Sobiecha. Może z tego powodu nie zwrócił przesadnej uwagi na granatową insygnię o błyszczącej karoserii. Dopiero gdy z samochodu wyskoczył chłopak z włosami postawionymi na żel, rozpoznał w nim siostrzeńca staruszki z Wyczółki.

Szedł z pochyloną głową, buńczuczny krokiem, jakby chciał nim dodać sobie odwagi. Kiedy rozsuwane drzwi zamknęły się za Sobiechem, Jędrzej powiódł wzrokiem po wnętrzu stacji, namierzył Wilczyńskiego i przysiadł się do niego, nerwowo pocierając dłonie. Musiał jednak pochwycić wzrok policjanta śledzący jego ruchy, bo po chwili położył ręce przed sobą, na egzemplarzu dziennika.

– Cześć – rzucił.

– Kumple cię przywieźli? – Komisarz kiwnął głową w stronę opla parkującego pod drzwiami.

– Ta.

Kilkosekundowe zawahanie w odpowiedzi chłopaka zwróciło uwagę Brunona. Podobnie jak ślady potu zostawiane na gazecie w miejscach, których dotykały ręce Sobiecha.

– Słuchaj, stary, musisz pomóc mi się z tego wyplątać. Ja naprawdę nie mam nic wspólnego z zaginięciem Sylwii.

– Poczekaj, po kolei – zatrzymał go Wilczyński. – Skąd znasz Konopacką?

– Chodziliśmy ze sobą w liceum. Potem ja wyjechałem do Anglii i sprawa zdechła.

– Ale wróciłeś i co, zatęskniłeś za szkolną miłością?

Oczy Jędrzeja błysnęły.

– To nie tak. Trafiłem na nią przypadkiem w knajpie na Świętokrzyskiej. Wypiliśmy po kilka piw, a potem zabrałem ją taksówką do ciotki i wiesz, jak to jest.

– Chyba nie wiem, wyjaśnisz?

– No skończyliśmy w łóżku. Mówię ci, aż iskry leciały.

Bruno sceptycznie uniósł brwi, jakby nie mógł uwierzyć, że Sylwia w ogóle zerknęłaby na chłopaka klasy jego rozmówcy. Facet był wyjątkowo rozgadany, jak ludzie, którzy w stresie plotą trzy po trzy, byle tylko wypełnić przestrzeń swoim trajkotaniem i poczuć się bezpieczniej. Do tego żuł gumę w niezwykle irytujący sposób, otwierając usta przy każdym ruchu szczęki.

– Denerwujesz się trochę, co? Skoro było tak świetnie, to dlaczego uciekała przed tobą w Arkadii? Kamery zarejestrowały wasze spotkanie w piątek, dzień przed jej zaginięciem. Sylwia wyglądała na przestraszoną, a z tego, co wiem, kobiety zwykle inaczej reagują na facetów, z którymi przeżyły seks swojego życia.

Sobiech przygryzł wargę.

– No, nie była specjalnie zadowolona. Wkurzyła się z powodu tych tabletek, co jej dosypałem do drinka, żeby była bardziej chętna. Poza tym chyba myślała, że ją śledzę czy coś. – Wzruszył ramionami.

– A śledziłeś?

– Chciałem wyjaśnić sprawę dzieciaka. Wiesz, najpierw mi powiedziała, że jest w ciąży, ucieszyłem się jak głupi...

– Jakżeby inaczej.

– Słucham?

– Nic, nic, kontynuuj.

– W każdym razie wyobrażałem już sobie naszą rodzinę, kiedy Sylwia poprosiła mnie o włosy albo szczoteczkę do zębów, a kilka dni później oznajmiła, że to nie moje dziecko i sayonara. Podobno zrobiła jakiś test i wyszło, że ojcem jest jej fagas. Czaisz? – Pokręcił głową. – Nawet mi papiery pokazała.

– I co, wściekłeś się?

– No pewnie. Ty byś się nie wpienił? Gdyby nie ten facet, byłaby moja. A tak wszystko się spieprzyło.

– Co zrobiłeś potem?

– Zadzwoiłem do niej od ciotki. Nie ogarnąłem jeszcze polskiej komórki.

Komisarz słuchał chłopaka, jednocześnie ukradkiem spoglądając w stronę granatowej insignii, która zaparkowała na miejscu dla inwalidów, tuż przy wejściu.

– Na pewno miło się rozmawiało – skomentował.

– Nie bardzo, bo głupia suka nazwała mnie zboczeńcem i kazała mi się odpierdolić.

– A ty tak po prostu jej posłuchałeś?

– Nie będę się uganiał za dziwkami. Zresztą ona i tak tylko na kasę leciała. Pusta lalka. Widziałem ją raz z tym kolesiem i jego dzieciakami. Tym, co to niby jest ojcem. Mizdrzyła się do niego, jakby cieczkę miała.

Z insignii wysiadł jakiś gładko ogolony, elegancki typ, zamienił kilka słów z facetem z obsługi, a następnie skierował się na tył stacji. To wystarczyło, by Wilczyński zyskał pewność, że Jędrzej Sobiech go wystawił.

– Wiesz co? – rzucił Bruno. – Myślę, że ty niczego jej nie zrobiłeś. Jesteś za głupi na taki numer. – Dostrzegł, jak chłopak marszczy brwi. – Ale nie przejmuj się, są głupszy od ciebie. Chociażby ci kolesie w nieoznakowanej insignii. Powinni wiedzieć, że nie wypuszcza się na wabia idioty. To gliny, prawda?

Zaskoczony obrotem spraw Sobiech z trudem skinął głową.

– Szybko biegasz? – zapytał Wilczyński.

– No. Jak dziki.

– To idziemy do kibla. Już! – syknął komisarz, po czym złapał chłopaka za łokieć i pociągnął go za sobą.

Wepchnął Jędrzeja do toalety, zaryglował drzwi i zaczął zdejmować kurtkę.

– Wyskakuj z kufajki. Ruchy! – nakazał.

Sobiech posłusznie oddał dżinsową kurtkę z kożuszką, która natychmiast znalazła się na plecach Brunona.

– To, co mówiłeś o dziecku Konopackiej, to prawda?

– Jak budu-dudu. Widziałem kwity. – Chłopak uderzył pięścią w klatkę piersiową, jakby potwierdzał swoją uczciwość.

– Dobra. Ubieraj się. – Wilczyński rzucił Jędrzejowi swoją ramoneskę, a na jego głowie zatknął czerwoną czapkę z daszkiem. – Masz teraz szansę spierdolić stąd w podskokach. Kumasz cza-czę, co?

– Ta.

– Za chwilę jeden z twoich przyjaciół zapuka do tych drzwi. Rozwalę mu nos, a wtedy ty będziesz napieprzać, ile sił w nogach. Jak się postarasz, każdy z nas na tym zyska. – Puścił do niego oko i klepnął go w policzek jak niesfornego gówniarza, który jeszcze nic nie wie o życiu.

To, co nastąpiło później, trwało zaledwie kilkanaście sekund, ale Brunonowi wydawało się, że o wiele dłużej. Najpierw usłyszał kroki, a tuż po nich pukanie.

– Zajęte – odkrzyknął.

Osoba po drugiej stronie nie odpowiedziała. Komisarz spodziewał się, że funkcjonariusz ma broń i będzie chciał go wziąć z zaskoczenia. W myślach odtworzył rozmiar toalety, co pozwoliło mu oszacować, że jeśli policjant zrobi choć krok w stronę drzwi kabiny, Bruno będzie mógł trafić nimi prosto w niego. Uważnie obserwował cień rysujący się w szparze nad podłogą i gdy ten stał się wyraźniejszy, z impetem kopnął drzwi, nokautując nimi funkcjonariusza. Jak na komendę Sobiech wyrwał przed siebie, a tuż za nim skoczył oszołomiony uderzeniem gliniarz, z którego nosa lała się krew.

Wilczyński nie czekał na drugą szansę, świadom, że w takich sytuacjach sprzyjające okoliczności zdarzają się tylko raz, a najczęściej wcale. Ruszył w stronę tylnego wyjścia, gdzie zaparkował peugeota, i korzystając z zamieszania, odjechał. Przy skręcie w Surowieckiego zerknął w boczne lusterko, rejestrując, że insygnii nie było na poprzednim miejscu, co zapewne oznaczało, że ruszyła w pościg za chłopakiem. Miał nadzieję, że Jędrzej Sobiech tym razem się nie przechwalał i rzeczywiście biegał jak dzikus, bo od jego nóg zależała wolność Brunona. Komisarz docisnął pedał gazu, na wypadek gdyby powierzanie swojego losu mało inteligentnemu chłopakowi nie stanowiło wystarczającej gwarancji powodzenia jego ucieczki.

Dopiero kilka kilometrów dalej, gdy upewnił się, że nikt za nim nie jedzie, przestał w napięciu zerkać w lusterko wsteczne. Wprawdzie miał teraz nowy kłopot, musiał pozbyć się samochodu i zorganizować sobie inny środek transportu, ale to zmartwienie było drobnostką w porównaniu z zasadzką na stacji benzynowej.



Robert zapukał w szybę citroëna saxo i ponagląco machnął dłonią na Larysę. Chwilę wcześniej oboje zaparkowali pod rezydencją Ryszarda Hallera w Podkowie Leśnej.

– Skąd pewność, że będziemy w domu sami? – zapytała dziewczyna, gdy wysiadła z samochodu. Jej wzrok prześlizgiwał się po oknach budynku.

– W sobotę o dziewiątej ojciec zawsze gra w szachy z przyjacielem na Żoliborzu.

– Są jeszcze Zuzanna i Maciej.

– Zuza wyjechała rano do Hallerówki ogarnąć sprawy po pożarze. Sam miałem się tym zająć, ale kazałaś mi odwołać spotkanie. A moim bratem się nie przejmuj.

– Akurat nim przejmuję się najbardziej.

– Niepotrzebnie. Po prostu mi zaufaj.

Luboń ściągnęła brwi, rzucając biznesmenowi sceptyczne spojrzenie.

– Zaufać ci to jak skoczyć z samolotu bez spadochronu i liczyć na bezpieczne lądowanie. Łączy nas tylko chwilowy układ. Ty zaprowadzisz mnie do swojej matki, a ja dowiem się, komu i dlaczego zależało na usunięciu Diany. To wszystko.

– Skoro tak to widzisz. – Wskazał wejście. – Zapraszam.

Biznesmen wyjął z kieszeni dwa klucze zawieszzone na srebrnym kółku. Większym z nich otworzył drzwi do domu, po czym ruszył pierwszy. Willa zdawała się milczeć. Tylko liczące zapewne dziesiątki lat deski podłogowe skrzypiały pod ich stopami. Pograżone w ciemności wewnątrz wzbudzało czujność i niepokój. Tak silny, że Larysa miała ochotę złapać kogoś za rękę, a najchętniej zawrócić. Jakby czytając w jej myślach, Robert położył dłoń na włączniku, a po chwili światło zalało lustrzany korytarz. Dziewczyna zamrugnęła.

– Dokąd mnie prowadzisz?

– Tam, gdzie chciałaś. Do matki.

Po drodze mężczyzna tylko raz użył mniejszego klucza, ale gdy dotarli na strych, wyjął go ponownie.

– Dlaczego ją zamykacie?

– Zaraz sama się dowiesz. Zaczekaj tu chwilę, uprzedzę ją – rzucił, a następnie zniknął w środku.

Luboń nie musiała specjalnie nadstawiać ucha, by słyszeć całą ich rozmowę.

– Kochany! – przywitała się matka Roberta. – Jesteś cały? Nic ci się nie stało? Może powinniśmy wezwać pogotowie?

– Ciii. Już dobrze, mamó – uspokajał ją syn. – Wszystko jest w porządku. No chodź, przytul się.

Przez moment nikt nic nie mówił, do Larysy docierał jedynie szum ciężkiego oddechu kobiety.

– Jest tu ktoś, kto chciałby z tobą porozmawiać.

– Nie mogę, Robercie. Wiesz, że nie mogę.

– Możesz. Spójrz na mnie, mamó. Będę obok, dobrze? Jesteś bezpieczna.

– A co, jeśli...

– Zadbam o wszystko – przerwał jej. – Usiądź sobie tutaj wygodnie.

– Dobrze – odpowiedziała niepewnie.

Po chwili Luboń usłyszała kroki, gałka w drzwiach się obróciła, a następnie Haller wyjrzał i przywołał ją gestem.

– Zajmij miejsce w fotelu. Tym obok drzwi – wytłumaczył. – Jest dostatecznie daleko, by matka nie czuła się zagrożona.

– Wolałabym, żebyś nie brał udziału w tej rozmowie. Może być jej trudno mówić o Dianie w twojej obecności.

Mężczyzna skrzywił się z niezadowoleniem, ale w końcu kiwnął głową na znak zgody.

– Przyniosę wam tylko herbatę, a później zaczekam za drzwiami. Gdyby spanikowała, będę mógł interweniować.

Larysa patrzyła na jego oddalającą się sylwetkę, a gdy zniknął za załomem korytarza, wzięła głęboki wdech i weszła do pokoju Łucji.

Na podłodze w kącie, tuż obok sporych rozmiarów domku dla lalek, siedziała drobna kobieta ubrana w getry i długi kremowy sweter. Na widok obcej osoby uśmiechnęła się nieśmiało, po czym jak gdyby nigdy nic wzięła do ręki jedną z lalek i położyła ją na zabawkowym łóżku, a następnie przykryła postać materiałową kołderką. Zaadaptowane na przestrzeń mieszkalną poddasze miało imponującą powierzchnię. Luboń szybko oceniła, że bez wątpienia pokój był większy niż całe jej mieszkanie. Na środku znajdowało się starodawne łóżko z baldachimem oraz drewniana skrzynia, nieopodal toaletka i biurko do pracy, a przy drzwiach skórzany fotel sąsiadujący ze szklanym stolikiem kawowym.

Niespodziewanie w pokoju zjawił się Haller. Postawił tacę z herbatą i dwiema filiżankami na stole, po czym wyszedł równie bezszelestnie, jak przybył. Jego chwilowa obecność wytrąciła dziewczynę z równowagi. Zmieszana potarła czoło i posłała Łucji niepewny uśmiech.

– Mam na imię Larysa – przedstawiła się.

– Wiem, Robert mi powiedział.

Dziennikarka mogłaby przysiąc, że nie słyszała, by biznesmen rozmawiał o tym z matką. Chcąc zyskać czas do namysłu, powoli uzupełniła filiżanki gorącym naparem.

– Napije się pani?

Jej towarzyszka pokręciła głową.

– Może później.

Zielona herbata z ryżem musiała parzyć się odrobinę za długo, bo gorycz wyczuwalna w jej smaku była nieco zbyt wyrazista. Luboń upiła kilka łyków, a następnie odstawiła filiżankę na spodek, oblizując wargi.

– Piękny domek.

– Prawda? Też go lubię. To nasza rodzina w miniaturze. Jest Ryszard, Zuzanna, a nawet Maciej.

Kobieta wzięła do ręki postać mężczyzny w garniturze i gwałtownym gestem odwróciła jego głowę tak, że teraz twarz kukielki znajdowała się nad jej plecami. Dziennikarka przełknęła głośno ślinę, po czym upiła duży łyk herbaty. W Łucji było coś przerażającego. Wydawała się szczerą i niegroźną, na swój sposób dzieciinną, ale na dnie jej oczu czaił się obłęd.

– Czy kiedykolwiek spotkała pani dziewczynę, która nazywała się Diana Darska? – zapytała Luboń, odzyskawszy panowanie nad sobą.

– Oczywiście.

Larysa była tak zaskoczona bezpośredniością Łucji, że otworzyła usta ze zdumienia.

– Śliczna Diana. Mój syn bardzo ją kochał, ale go opuściła – mówiąc to, Haller przytuliła do piersi jedną z lalek, łudząco przypominającą Roberta, i głaskała jej krótko ostrzyżone włosy.

– Ona nie żyje. Przedawkowała narkotyki.

– To nie uratowaliśmy jej?

– Jak to?

– Dawałam jej zastrzyki, a później wyjechała. Myślałam, że już lepiej się czuje.

– W stadninie? Tam pani ją leczyła?

Kobieta skinęła twierdząco.

– Ale dlaczego? Coś jej dolegało?

– Strasznie krzyczała. Cały czas. Chyba się bardzo przestraszyła.

– Czego?

Łucja podniosła palec do ust i wskazała lalkę schowaną pod łóżkiem. Luboń wychyliła tułów do przodu, by ją obejrzeć, ale jej wzrok zatrzymał się na wystruganej z drewna figurce konia. W ułamku sekundy przypomniała sobie zabawkę na zdjęciu w domu Matyldy Darskiej.

– Ten koń. Skąd go pani ma? – Z wrażenia podniosła się z fotela i zbliżyła do matki Roberta, która natychmiast napięła całe ciało.

By ją uspokoić, Larysa przysiadła na dywanie, jednocześnie unosząc dłonie, jakby chciała tym gestem pokazać, że nie ma złych zamiarów.

– Muszę wiedzieć, skąd wzięła się tutaj figurka konia – powtórzyła.

– On mi ją dał. – Kobieta dotknęła nogi laleczki wystającej spod łóżka.

Luboń nie mogła dłużej czekać. Nie zważając na to, że Łucja przyciągnęła nogi do siebie, dziennikarka podeszła do domku i wyjęła spod drewnianego posłania figurkę małego chłopca.

– Kto to jest?

– Wojtuś.

Dziewczyna zbladła, a lalka przypominająca dziecko wypadła jej z dłoni.

– Gdzie go znajdzie?! – zapytała drżącym od przerażenia głosem.

Matka Roberta uśmiechnęła się w sposób, który sprawił, że Larysie zrobiło się zimno. Czuła, jakby zaglądała w oczy zła, o ciemnych, bezdennych źrenicach.

– W skrzyni – wyszeptała kobieta.

Dziennikarka zerwała się i podbiegła do drewnianego pojemnika obok łóżka. Gorączkowo wyrzucała na podłogę koce, poduszki oraz szmaty wyściełające schowek. Rozumiała, że to irracjonalne, ale instynkt okazał się silniejszy od rozsądku. W końcu opadła na podłogę. Pokój zdawał się wirować przed jej oczami, a krople potu z czoła spływały na brwi i oczy.

– Nie w tej. Na zewnątrz, tam, gdzie go zakopaliśmy.

Głowa Luboń powoli odwróciła się w stronę kobiety. Dziewczyna miała wrażenie, że z nadmiaru emocji widzi podwójnie.

– Co mu zrobiliście?

– To nie my. Nie powinien był brać tych tabletek. Gdyby nie one, cały czas by żył. – Łzy zaczęły płynąć po policzkach kobiety. – To nie nasza wina.

– Czyja? Kto go zakopał?

– Albert, Maciej i ja.

Łucja wpadła w dygot, a gdy Larysa podeszła do niej, piorunując kobietę wzrokiem, tamta objęła głowę rękami i wcisnęła się w kątek domku dla lalek, po czym zaczęła krzyczeć.

– Dość! – krzyknął Robert, który nieoczekiwanie znalazł się obok matki. – Już dobrze. – Przygarnął ją do siebie ramionami.

– Mówiłeś, że nikt nigdy się nie dowie. Kazałeś mi kłamać. – Płakała, szarpiąc się w rękach syna. – Obiecałeś, że będę bezpieczna. Zrobiłam to wszystko dla ciebie, a teraz on mnie prześladowuje.

– Ten chłopiec nie żyje, mamo. Nie ma go tutaj.

– Żył, kiedy kazałeś go przysypać ziemią. Pamiętasz?

– Już dobrze, oddychaj. Nikt tu nie przyjdzie. Zamkniemy drzwi – pocieszał matkę, po czym spojrzał na siedzącą na dywanie Luboń.

To zadziwiające, jak niekiedy w ułamku sekundy mózg potrafi połączyć rozmaite obrazy i przybliżyć rozwiązania. Larysa przesunęła wzrokiem po wzorzystym dywanie, na którym buty Hallera zostawiły rdzawe ślady. Odciski w kolorze przypominającym ceglana mączkę, stosowaną na kortach tenisowych. Taką samą, jaka ubrudziła jej tenisówki podczas wizyty w stadninie. W mgnieniu oka zrozumiała, że to do niego musieli dzwonić opiekunowie Hallerówki i to on pojechał tam w nocy, by pozbyć się świadków, którzy zaczęli mieć skrupuły. Dziewczyna poderwała się do ucieczki, ale nie była w stanie złapać równowagi.

– Herbata nie była zbyt gorzka? – zapytał Robert.

Jego słowa odbijały się w jej uszach echem, a obraz wykrzywionej w dziwnym grymasie twarzy wirował z całym pokojem.

Nim straciła przytomność, zobaczyła, jak mężczyzna nachyla się nad nią i rozciąga usta w triumfującym uśmiechu.



Na wszelki wypadek Bruno zaparkował kilka przecznic dalej od opuszczonego domu, w którym trzymał Jacka. Gdyby gliniarze zlokalizowali peugeota, nadal mieliby trudność z odnalezieniem Wilczyńskiego. Oczywiście brał pod uwagę, że funkcjonariusze zechcą przygotować zasadzkę i z ukrycia będą obserwować jego samochód, a kiedy wróci, rzucają się na niego jak sępy. Dlatego zostawił dostawczaka na otwartej przestrzeni, w miejscu, gdzie z reguły ludzie nie parkowali, tak by z oddali móc dostrzec wszystkie podejrzane auta i kręcących się wokół szemranych typów.

Świat wydawał się pogrążony w letargu, ulicą, którą szedł komisarz, przejechała charakterystyczna biało-czerwona furgonetka DPD, a z nieba siąpił delikatny deszcz, mający niebawem zmienić się w nawałnicę. Bruno zerknął w sino-granatowe niebo, wypatrując oznak nadchodzącego orkanu, ale na razie wiatr jedynie lekko poruszał pozbawionymi liści gałęziami drzew. Wyglądało to, jakby z nimi tańczył, mrużąc przy tym jakąś rzewną melodię.

Kiedy Wilczyński dotarł do pustego budynku, było już po dziewiątej. Czując kłucie w sercu, omiótł wzrokiem stojący nieopodal dom ojca, ale minął go i skręcił na teren wymarłej posesji. Świadomość, że Aleksander znajduje się tak blisko, działała na policjanta z jednej strony krzepiąco, z drugiej natomiast budziła w nim wyrzuty sumienia, bo przecież nie mógł teraz odwiedzić rodzica. Nie wolno mu było się rozpraszać i tracić czasu ani tym bardziej narażać się na spotkanie z gliniarzami, którzy w pierwszej kolejności będą go szukali właśnie u ojca. Zdusił więc nieprzyjemne uczucie tęsknoty, odsunął deskę blokującą drzwi wejściowe i wkroczył do pustostanu.

Jego wzrok powoli przyzwyczajał się do ciemności, rozpraszaną tylko przez odrobinę światła wnikającą do środka przez szpary w deskach, którymi zabito okna. Bruno słyszał, jak jego buty chrupały na betonowej posadzce, gdy stąpał po okruchach zaprawy.

Był pewien, że Jacek również wyłowi ten dźwięk. Zapalił latarkę i ruszył w stronę schodów na piętro.

Nie spieszył się. Tak długo czekał na to spotkanie. Tylko on i Lewicki. Ale gdy go zobaczył, siedzącego na ziemi w kałuży moczu, z rękami i tułowiem przypiętymi do filara łańcuchem, nie poczuł satysfakcji, tylko złość. Wdowiec patrzył mu prosto w oczy z niebywałym spokojem, jakby spodziewał się takiego obrotu spraw. Tego, że zostanie porwany i uwięziony. Była w nim irytująca bezczelność.

– Wybacz skromne warunki, ale nie miałem czasu wyskoczyć do Ikei – rzucił komisarz.

Lewicki zmrużył oczy, jak człowiek, który się uśmiecha, a potem mruknął kilkakrotnie, wysuwając do przodu brodę i usta zaklejone taśmą.

– Chciałbyś pogadać? – zapytał Bruno. – Widzisz, nie za bardzo mogę zdjąć ci knebel, bo gdybyś zaczął krzyczeć, musiałbym cię znowu boleśnie uciszyć. – Odchylił kurtkę, odsłaniając paralizator w kaburze zawieszony na pasku.

Jego więzień pokręcił głową, jakby zapewniał, że nic takiego się nie stanie.

– Sorry, ale nie wierzę twoim obietnicom. Podobne pewnie składałeś Sylwii Konopackiej, zanim ją uprowadziłeś, a może nawet zabiłeś.

Lewicki ponownie zaprzeczył, po czym skrępowanymi na wysokości kostek nogami zaczął kreślić jakieś kształty na zapyłonej posadzce. Jego pięty z wysiłkiem rysowały kolejne kreski, wzbudzając coraz większe zainteresowanie komisarza.

– Co ty wyprawiasz? – Policjant zbliżył się do Jacka, skierował światło latarki na nogi więźnia i ściągnął brwi. Na ziemi koślawymi, drukowanymi literami napisane było słowo „ZYJE”. – Żyje? Chcesz powiedzieć, że Sylwia nadal żyje?

Wdowiec potwierdził skinieniem, a następnie wysunął do przodu brodę i ponownie zaczął jęczeć, błagając o zdjęcie taśmy. Wilczyński prowadził ze sobą wewnętrzną walkę. Nie ufał mężczyźnie, ale nadzieja na odnalezienie żywej aspirant Konopackiej powodowała, że

rozważał drobne ustępstwo. Sięgnął do kabury po paralizator, a gdy wyjął z niego kartridż z elektrodami, obszedł filar i przytknął urządzenie do przedramion Jacka. W ulotce wyczytał, że sprzęt może być również wykorzystywany jako paralizator kontaktowy o napięciu pięćdziesięciu tysięcy woltów. I w ten sposób zamierzał go właśnie użyć. Bez ostrzeżenia pociągnął za spust, wprawiając ciało Lewickiego w konwulsje.

– To cię czeka, jeśli zaczniesz kombinować – zagroził, gdy uprowadzony dochodził do siebie. – Tyle że następnym razem skupię się na twoim karku, a później na jajach. Zrozumiałeś?

Jacek z trudem skinął głową, a Bruno zauważył krople potu na jego czole.

– Zdejmę ci za chwilę knebel – uprzedził. – A ty powiesz mi, gdzie znajdę Sylwię.

Wilczyński wsunął ostrze pod taśmę tuż za uchem więźnia i szarpnął nożem, przecinając tworzywo. Na skórze Lewickiego niemal od razu pojawiła się cienka pionowa kreska. Draśnięcie, które w ułamku sekundy wypełniło się krwią. Komisarz przytknął palec do warg, przypominając o ustalonych zasadach i jednocześnie mocniej, w ramach ostrzeżenia, docisnął do szyi mężczyzny paralizator, gotowy do użycia w każdej chwili. Wreszcie szybkim ruchem zerwał z ust Jacka taśmę.

– Gdzie ona jest? – zapytał.

– Przekazałem Larysie wiadomość dla ciebie. Dostałeś mój list? – wychrypiał Lewicki.

Bruno poczuł narastającą wściekłość.

– Zła odpowiedź – stwierdził i poraził Lewickiego prądem, patrząc, jak głowa mężczyzny podskakuje i uderza o filar. – Dam ci drugą szansę, co zrobiłeś z Konopacką?

Jacek dyszał z trudem, na brodzie miał krople śliny, a jego twarz przybrała trupioblady odcień.

– Chcesz wiedzieć, jak zginęła twoja matka? – wysapał niespodziewanie.

To pytanie wytrąciło policjanta z równowagi. Uderzyło jak niespodziewany policzek. Bruno powinien był trzymać się ustalonego

planu, ale zamiast tego dał się ponieść emocjom. Nim racjonalna część jego mózgu doszła do głosu, zauważył swoją pięść pędzącą w stronę twarzy wdowca. Wszystko działo się jakby poza nim i trwało zaledwie kilka sekund. Usłyszał głuchy łoskot dłoni trafiającej w szczękę, a zaraz po nim syk bólu Lewickiego. Jego głowa, odrzucona siłą ciosu, gwałtownie poleciała na bok. Z ust pociekła strużka krwi.

– Ani się waż o niej wspominać – warknął komisarz, rozmasowując dłonie.

Wdowiec splunął na ziemię krwią zmieszaną ze śliną, w której Wilczyński dostrzegł jakiś biały odłamek, najpewniej fragment złamanego zęba.

– Jeśli chcesz zrozumieć, jak to się skończy, musisz wrócić do dnia, w którym wszystko się zaczęło – odparł Jacek.

– Nie chcę tego słuchać.

– Miałem wtedy czternaście lat.

– Przestań!

– Śledziłem was w wesołym miasteczku. Słyszałem kłótnię Alicji z mężem. Mówił, że nie może mnie adoptować, bo nie pozwolisz, by ktokolwiek był ważniejszy od ciebie.

– Zamknij się!

– Pobiegłem do waszego domu. Znałem go już tak dobrze, że bez trudu otwierałem to małe okienko na parterze, prowadzące do kotłowni. Ukryłem się w łazience, za zasłoną prysznicową. A później twoja matka weszła na górę i nalała wody do wanny.

Bruno zacisnął palce w pięść, gotów, by uderzyć ponownie, ale jednocześnie czuł się w jakiś sposób zahipnotyzowany opowieścią Lewickiego. Dzięki niej mógł wreszcie zrozumieć, co dokładnie zaszło w dniu jego ósmych urodzin za drzwiami łazienki.

– Alicja zamknęła oczy i położyła się w wannie. Jej włosy wiły się pod wodą jak węże. Wyszedłem z ukrycia i stanąłem pod oknem, tak cicho, że zauważyła mnie dopiero, gdy usiadła. Nie spodziewała się tego. Moja obecność ją wystraszyła. Widziałem, jak w popłochu próbowała sięgnąć dłonią po ręcznik z wieszaka, ale zsunął się na podłogę. Dlatego podszedłem i jej go podałem. – Mężczyzna patrzył

w dal, jakby znajdował się w tamtym miejscu, wiele lat wcześniej. – Chciała wiedzieć, skąd się wziąłem w waszym domu. Jej ręce dygotały, głos drżał. Zbliżyłem się powoli, usiadłem na podłodze za jej plecami i zapytałem, czy zostanie moją matką, jak obiecała. A ona zaprzeczyła. „Mam już syna”, to powiedziała. – Jacek przełknął ślinę. – Wydawało mi się, że świat zamarł. Oparłem brodę na jej głowie, a gdy przymknęła powieki, wbiłem brzytwę twojego ojca w szyję Alicji i podciąłem jej gardło. Dokładnie tak, jak kolega z sierocińca, który popełnił samobójstwo.

– Jesteś chory. – Komisarz sięgnął po taśmę, wściekły na siebie, że pozwolił się wciągnąć w to bagno.

– Nigdy wcześniej nie czułem takiego spokoju, jak wtedy – dodał Lewicki z rozmarzonym wyrazem twarzy.

Tego było już zbyt wiele dla Wilczyńskiego. Rozwinął taśmę i z furją zaczął oklejać usta Jacka, tak mocno, że taśma ścisnęła policzki, boleśnie wrzynając się w skórę. Kiedy skończył, gniew nadal palił jego trzewia. Spojrzał w oczy mężczyzny, jakby szukał w nich pretekstu, a później uznał, że wcale go nie potrzebuje.

Uderzał raz za razem, obserwując, jak z twarzy Lewickiego powstaje krwawa miazga. Zasapany, wymierzał ciosy w nadziei na ulgę. Jakby ból drugiej osoby miał zmniejszyć jego cierpienie. Opamiętał się dopiero, gdy dotarło do niego, że jeśli zabije Jacka, nigdy nie odnajdzie Sylwii. To go otrzeźwiło, a potem przyszła ta straszna myśl.

Tłukąc Lewickiego, szukał tego samego spokoju, który tamten poczuł po zabiciu Alicji.



– I jak, znasz już prawdę? – zapytał Robert Haller, gdy ocknęła się przywiązana do łóżka i zakneblowana. – Pewnie jeszcze nie całą, ale rozjaśnię ci to trochę.

Larysa wierzgała, chcąc uwolnić się z więzów. Metalowe łóżko pod nią zgrzytało przy każdym ruchu dziewczyny, a strzępy materiału

przypominające urwane paski prześcieradła coraz mocniej ścisnęły nadgarstki. Luboń nerwowo rozglądała się po obco wyglądającym pomieszczeniu z dwiema drewnianymi belkami u sufitu. Biznesmen musiał to zauważyć, bo pogroził jej palcem.

– Jesteś w Hallerówce – wyjaśnił. – W części, w której kiedyś mieszkali goście. I oczywiście Diana Darska. Uwierzysz, że trzymaliśmy ją na tym samym łóżku, co ciebie?

Dziewczyna wydała z siebie dziki pomruk, ale przez to, że jej usta wypełniała zwinięta w kulkę szmata, dźwięk był jedynie ledwie słyszalny.

– Wiesz, co cię zgubiło? – kontynuował Robert. – Wiara w miłość. Ten cały romans z Wilczyńskim rzucił ci się na mózg. Naprawdę uwierzyłaś, że kochałem Dianę? Chciałem ją posiąść, to prawda, ale nie była dla mnie niczym więcej niż atrakcyjnym przedmiotem. – Opowiadając, wyjmował z szafki jakieś leki, a później układał na półce igły i strzykawkę.

Larysa obserwowała jego poczynania z rosnącym niepokojem.

– Teraz pewnie się zastanawiasz, dlaczego jej szukałem? – powiedział, napełniając strzykawkę jakąś przezroczystą substancją. – Wyjawię ci sekret. – Nachylił się nad jej uchem. – Tylko udawałem – wyszeptał. – Ty i Wiśniewski nieźle namieszaliście. Wiedziałem, że zaczniesz węszyć, dlatego musiałem sprawić, żebyś uwierzyła w moje cierpienie po zniknięciu Darskiej. Zapłaciłem jej matce i kazałem, by powiedziała ci o tych telefonach. Niesamowite, co ludzie są w stanie zrobić dla pieniędzy. Specjalnie wymyśliłem bajeczkę, w której nigdy nie ujawniłem swojego nazwiska. To było bardziej wiarygodne, nie uważasz? Zostawiłem tylko poszlaki, bo chciałem, żebyś sama połączyła fakty. – Spojrzał na nią zadowolony z siebie.

Dziewczyna zawyła z wściekłości i mocno napięła więzy, które nie chciały się rozluźnić.

– A! – Uniósł palec, jakby coś mu się przypomniało. – Być może dotarłaś też do kobiety o tym samym imieniu i nazwisku, co moja dawna znajoma. Muszę przyznać, że kiedy spotkałem ją na konferencji, przestraszyłem się, że mogłaby być Dianą, ale na

szczęście okazało się, że to jedynie zbieg okoliczności. – Uśmiechnął się triumfująco.

Haller sięgnął po gumowy wężyk, po czym przysiadł z nim na brzegu łóżka i zaczął zawiązywać go na ramieniu Luboń, która usiłowała się wyszarpnąć z rąk mężczyzny.

– Tamtego wieczoru przyjechałem do Hallerówki prosto z Londynu – kontynuował swoją opowieść, jakby byli dobrymi znajomymi, którzy przy kawie dzielą się wspomnieniami. – Pożyczyłem samochód od kumpla i po szesnastu godzinach byłem w Polsce. Zuzanna napaliła się na oglądanie gwiazd w stadninie, Maciek miał sprowadzić jakiś nowy towar, a ja zaprosiłem Dianę. Tyle że ona przyciągnęła brata. Podobno obudził się, jak zwijała fanty z domu, i błagał, by go ze sobą zabrała. Dzieciak miał fioła na punkcie koni, zagroził, że jeśli go zostawi, będzie się darł tak, że obudzi matkę i Diana zostanie uziemiona w domu. – Chwycił Luboń za rękę, po czym zbliżył igłę do żyły w zgięciu łokcia.

Larysa piszczała, ile sił w płucach, i podskakiwała jak zawodnicy w trakcie rodeo, byle tylko nie pozwolić Robertowi na wbicie igły. Miotając się, uderzyła ramieniem w strzykawkę, która wypadła biznesmenowi z dłoni i potoczyła się pod łóżko.

– Zobacz, co narobiłaś – zirytował się, po czym odszukał strzykawkę i podszedł do szafki z medykamentami. – Kiedy przyjechałem, Zuza siedziała nawalona przy ognisku i oglądała te swoje gwiazdy – wspominał, rozpakowując nową igłę. – Spytałem ją o Dianę, a ona parsknęła śmiechem i powiedziała, że jest w stajni z Maćkiem. Gdy tam pobiegłem, zobaczyłem, jak mój brat trzyma rękę pod bluzką Diany, która słania się na nogach. Uderzyłem ją. Mocno. – Haller patrzył przed siebie dziwnym wzrokiem. – Nie wiem, dlaczego najpierw ją, a dopiero później Maćka. Gdyby Diana i Zuza nie odciągnęły mnie od niego, tłukłbym gnoja do skutku. Moja siostra krzyczała, że są naćpani, że to nic nie znaczy, bo wzięli dla zabawy morfinę w tabletkach, którą przyniósł Maciej. A później Diana nagle zapytała, gdzie jest Wojtek. Wyobrażasz sobie? Nikt nie pilnował sześciolatka. – Zajął miejsce obok Larysy, wyraźnie podekscytowany swoją historią. Jego oczy błyszczały, a po ustach

błąkał się zagadkowy uśmieszek. – Zaczęliśmy go szukać, a ten idiota, mój brat, podchodzi i mówi: „Słuchaj, kazałem mu się schować gdzieś w stadninie. Że to niby zabawa w chowanego. Wiesz, żeby mieć więcej czasu dla siebie”. – Haller pokręcił głową i wbił strzykawkę w żyłę dziewczyny. – Spokojnie, to tylko coś na rozluźnienie – tłumaczył, dociskając tłok.

Luboń próbowała się wyrwać, ale nie zdołała.

– Już. – Poklepał ją w policzek, po czym rzucił strzykawkę do pobliskiego kosza. – Wiesz, gdzie ten gówniarz wlaź? Do nieczynnego betonowego zbiornika na szambo. Takiego wielkiego, w kształcie skrzyni, zakopanego pod ziemią, z której wystawał tylko fragment komina. Dzieciak wśliznął się przez właz i czekał, aż ktoś go znajdzie. Tylko że nikt go nie szukał. – Klasnął dłonią o udo. – W środku było pusto. Skurwiel położył się na dole i zobaczyłem go dopiero, gdy zajrzałem przez otwór. Wtedy zauważyłem, że coś jest nie tak. Mały drżał, usta miał brudne od wymiocin i jakoś tak dziwnie płytko oddychał. Okazało się, że zwinął Maćkowi kilka tabletek morfiny i dostał od nich zapaści.

Głos Roberta stał się niski i docierał do Larysy jak przez megafon. Miała wrażenie, że jego twarz uległa przeobrażeniu w gnijące oblicze z ropiejącymi dziurami zamiast oczu. Szarpała ciałem, by uciec z tego koszmaru. Gdyby nie zakneblowane usta, z pewnością krzyczałyby, zdzierając sobie gardło.

– Wstrzyknąłem ci silny środek psychotoksyczny, wywołujący strach i halucynacje – wyjaśnił potwór. – Matka była kiedyś psychiatrą, nadal ma dostęp do leków. Tamtej nocy w stadninie zadzwoniłem właśnie do niej. Ktoś musiał nam pomóc, bo Wojtek nie ruszał się już od kilku minut i zrobił się blady. Łucja miała akurat przerwę w dyżurze, przyjechała z Albertem do Hallerówki. – Robert zerknął za okno, jakby wracał do tamtych chwil. – Wiesz, że tylko ja zachowałem zimną krew? Wszyscy inni byli przerażeni. Diana wrzeszczała, Maciej powtarzał, że to jego wina, a Zuzanna chciała wezwać policję. Banda żałosnych, słabych ludzi. – Parsknął, a Larysa odniosła wrażenie, że z jego ust wychynał długi, diabelski język. – Kazałem się im zamknąć, nie dotykać małego i czekać na

matkę. Pamiętam, że kiedy Łucja schodziła na dół, cała się trzęsała. Widziałem, jak sprawdzała, czy chłopiec zareaguje na ból oraz czy jego źrenice odpowiedzą na światło. A potem z trudem wymamrotała, że chłopczyk nie ma tętna i nie żyje. Z przerażenia zbladła tak bardzo, jakby miała zemdleć. „Co wy narobiliście?“, powtarzała w kółko. Dlatego musiałem wziąć sprawy w swoje ręce.

Biznesmen zaczął odwiązywać Larysę, nie przestając mówić, a ona pragnęła tylko, by jej nie dotykał.

– Wy tłumaczyłem im, że trzeba się go pozbyć. Poleciałem matce i Maciejowi, by zakopali małego, ale zaczęła histeryzować. Wpadła w paranoję, twierdziła, że dziecko się poruszyło, że mogła się pomylić, oceniając jego stan, i trzeba jeszcze raz sprawdzić puls. – Prychnął ze wzgardą. – Musiałem jej wmówić, że panikuje. Uspokoić ją i sprawić, by mi uwierzyła. Choć tak naprawdę jako jedyny poza nią dostrzegłem, że mały drgnął. Uznałem jednak, że sprawy zaszły za daleko. Nawet gdyby dzieciak przeżył, nigdy nie doszedłby już do siebie, a media zjadłyby naszą rodzinę żywcem. – Skrzywił się z niezadowoleniem. – Poprosiłem więc Macieja, by zabrał matkę, i zwołałem do pomocy Alberta. Mój ojciec uratował mu kiedyś życie, miał wobec naszej rodziny dług wdzięczności. – Robert ścisnął nadgarstki Luboń i dźwignął ją z łóżka jak szmacianą lalkę. Była tak przerażona, że ze strachu popuściła w spodnie. – Pozostawała jeszcze Diana. Zuzanna przyprowadziła ją do tego pokoju. Później matka załatwiła psychotropy, które mój brat wstrzykiwał Darskiej na zmianę z narkotykami. Zrobiliśmy z niej modelową ćpunkę i podrzuciliśmy na dworzec do Berlina. – Zarechotał, a Larysa skuliła się z lęku.

Ciągnął ją w kąt, gdzie na metalowej rurce, podwieszanej u sufitu, wisiała materiałowa żółta zasłonka. Haller szarpnął tkaninę gwałtownym ruchem, odsłaniając żeliwną wannę wypełnioną wodą. Jedną ręką złapał Luboń za kark i bez ostrzeżenia wepchnął jej głowę pod wodę. Dziewczyna wiła się jak piskorz, próbując uciec przed szponami, które wyłaniały się z ciemności. Miała wrażenie, że płyną po nią podmorskie stwory i piranie spragnione ludzkiej krwi. Za wszelką cenę próbowała nie nabrać tchu, ale instynkt okazał się

silniejszy i po chwili poczuła wodę wypełniającą nozdrza. Robert wyciągnął ją z wanny.

– Gdzie jest Wiśniewski?! – zapytał, wyszarpując knebel z jej ust.

Larysa z trudem łapała powietrze. Jej nogi drżały i były tak słabe, że nie dała rady na nich stać. Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, na powrót wylądowała pod wodą, która natychmiast wdarła się do jej ust.

A więc tak wygląda śmierć, pomyślała w przebłysku świadomości. Ryby o ostrych zębach wyskakiwały nagle z zakamarków i kąsały jej policzki. Luboń zaczynała opadać w miękką ciemność. Poddawać się temu, z czym nie była w stanie już walczyć, ale wtedy biznesmen wyciągnął ją i rzucił na podłogę.

Krztusiła się i pluła, chowając głowę w ramionach.

– Zostaw mnie – błagała piskliwym głosem.

– Wszystkie mówicie to samo – zachnął się. – Nie potraficie myśleć z wyprzedzeniem, to jest wasz problem. Po tamtym pobiegłem do przyjaciela ojca, Henryka Mastalerza, tego samego, który zatrudnił cię w „Magazynie”. Opowiedziałem rzewną historię, zapewniającą mi alibi. Tak perfekcyjnie zagrałem panikę, że Henryk następnego dnia odnalazł ojca w Stanach i przez telefon opowiedział mu o tym, co się stało. Kiedy ojciec wrócił, wyznałem wszystko, pominąłem tylko wątek Diany więzionej w tym pokoju. – Wzruszył ramionami, jakby mówił o jakimś drobiazgu. – Grałem przed Ryszardem swoją rolę. Biedną ofiarę niewłaściwych decyzji innych. W końcu to Maciej przyniósł narkotyki, a matka stwierdziła zgon, którego później przestała być pewna. Jak myślisz, komu uwierzył staruszek? Kto był w stanie przedstawić mu wiarygodną wersję? – Jego śmiech niósł się echem po pokoju. – Od tamtej pory ojciec nie odezwał się do matki nawet słowem. Kochał ją i zatuszował sprawę dla niej, ale nigdy więcej nie chciał jej widzieć. Po nocy w Hallerówce Łucja z każdym dniem coraz bardziej zapadała się w sobie. Przypominałem jej, że robi to dla rodziny, o której zawsze marzyła, ale z nią już wtedy coś się działo. Zaczęła popełniać błędy w szpitalu, miała napady lęków i prześladowały ją różne wizje. W końcu wyznała, że następnego dnia po wypadku wróciła do stadniny. Upierała się, że dzieciak zdołał

wygrzebać się spod ziemi, ale utonął, bo w nocy spadł deszcz, który wypełnił zbiornik. Ciągle powtarzała, że słyszy, jak mały skrobie o beton, zdzierając sobie paznokcie do krwi. Biedaczka nigdy nie przestała się za to obwiniać. Była przekonana, że to jej diagnoza go zabiła.

– A Albert? – wychrypiała Larysa.

– Był tchórzem. Odkąd urodził mu się syn, zaczął mieć skrupuły. Nie chciał krzywdzić innych, ale mu zagroziłem, że jego dziecko mógłby spotkać los podobny do brata Diany. W końcu nie wytrzymał napięcia i rzucił się pod samochód.

– Przez ciebie.

Stwór złapał Larysę za ubranie i ciągnął w stronę wanny.

– Przesadzasz – odparł. – Nie miałem wpływu na jego decyzje ani na urojenia matki. Choć swoją drogą to, co sobie ubzduriała, było wyjątkowo okrutne. Słyszałem, że utonięcie to potworna śmierć. Właściwie moglibyśmy odroczyć twoją o kilka chwil, gdybyś zechciała mi powiedzieć, gdzie jest Paweł Wiśniewski.

– Nie wiem – wysapała z trudem.

– Szkoda.

Haller wcisnął jej tułów pod wodę. Usiłowała stawić mu opór, jednak mężczyzna był znacznie silniejszy. Zanurzona, widziała nadpływające w jej stronę węgorze. Środek zaaplikowany przez Roberta sprawiał, że wyglądały niezwykle realistycznie. W którymś momencie usłyszała znane głosy, ale uznała je za objaw halucynacji. Ryby o długich, śliskich ciałach dotykały pyszczkami jej twarzy, a w końcu zaczęły wpychać się do ust dziewczyny. Doświadczenie było tak potworne, że nawet świadomość tego, iż było efektem narkotyku, nie potrafiła zmniejszyć lęku.

Larysa wpadła w drgawki. Nim jednak straciła przytomność, usłyszała krzyk Pawła Wiśniewskiego.



O takich jak on ludzie mówili „desperat”. Człowiek, który stracił nadzieję, popadł w rozpacz i przez to był gotów na wszystko. Bruno jednak postrzegał siebie w inny sposób. Ani na chwilę nie przestał przecież wierzyć w możliwość odnalezienia Sylwii Konopackiej. Nie dostrzegał, że wpadł w amok, a nagła eksplozja trudnych do kontrolowania emocji uczyniła go oszalałym z gniewu.

Po spotkaniu z Jackiem komisarz miał poranione ręce. Otarty naskórek na kostkach piekł przy każdym dotyku. Wilczyński z trudem zaciskał dłonie na kierownicy, czując ból od opuszków palców aż do ramion. Wydawało mu się, że nieustająco słyszy tykanie zegara, jakby ktoś zamontował w jego czaszce minutnik. Irytujący dźwięk przypominał o upływającym czasie i o bezsilności, która stawała się coraz bardziej dokuczliwa. Nie oczekiwał, że Lewicki ochoczo wyjawি mu, gdzie uwięził Sylwię, nie był naiwny, ale mimo wszystko wyobrażał sobie ich rozmowę inaczej. Zakładał, że to on będzie stawiał warunki, a nadal odnosił wrażenie, że występował w sztuce rozpisanej przez Jacka. Nawet gdy go tłukł, wdowiec nie protestował, nie uciekał, po prostu poddawał się sytuacji. Być może tego właśnie chciał – doprowadzić Brunona do ostateczności, sprawić, że ten przestanie być człowiekiem i zamieni się w zwierzę.

W bestię.

Jadąc S8 z Warszawy do Choroszczy, myślał o matce, o jej ostatnich chwilach nakreślonych słowami Jacka, i nie potrafił zatrzymać zdania wracającego niczym refren głupiej piosenki: „Nigdy wcześniej nie czułem takiego spokoju, jak wtedy”. Patrzył na wijącą się przed nim, wilgotną od deszczu wstęgę drogi i wstydził się myśli, która przecięła jego rozważania jak błyskawica. On też doświadczyłby spokoju, gdyby odebrał życie Jackowi. Wprawdzie tylko na moment, ale jednak.

Przeklinając, uderzył pięściami w kierownicę, po czym otarł przekrwione, szczypiące oczy i wreszcie zjechał na Orlen. Do celu zostało mu niewiele więcej niż kwadrans, ale kontrolka

sygnalizująca niski poziom paliwa świeciła się już od co najmniej trzydziestu kilometrów. Chciał też pożyczyć od kogoś telefon i nawiązać kontakt z Larysą, by ustalić, jaką wiadomość przekazał jej Lewicki.

Niebo nad stacją miało ciemnognatowy kolor. Złote łuny błyskawic przypominały Wilczyńskiemu szwy, które łączyły popękany nieboskłon, jak w tej japońskiej technice naprawiania potłuczonej porcelany, kintsugi, gdzie odłamane elementy skleja się laką, a później to łączenie oprósza złotem. Bruno czytał gdzieś, że kintsugi to także filozofia, która mówi, że zarówno przedmioty, jak i ludzie są krusi, pod wpływem okoliczności rozpadają się na kawałki, ale utracone piękno i wartość można odzyskać, łącząc z powrotem poszczególne elementy.

Uśmiechnął się do tej myśli. Pierwszy raz od kilku godzin poczuł coś innego niż gniew.

Kiedy zatankował peugeota, zaczął rozglądać się za kimś, kto mógłby mu pożyczyć telefon. Przy automacie z kawą stała dziewczyna w kolorowej czapce i wielkich słuchawkach na uszach, wystukując stopą rytm. Wyglądała na studentkę, z jej zawieszanej na ramieniu torby wystawała książka *Deutsch deine Chance* Stanisława Bęży i plik zbindowanych kserówek. Bruno podszedł do melomanki, a następnie delikatnie dotknął jej ramienia. Dziewczyna drgnęła, odwróciła się raptownie, po czym z niepokojem spojrzała na obcego mężczyznę.

– Co jest? – spytała, żując gumę i ściągając słuchawki na szyję.

– Spokojnie, nie zamierzam cię podrywać. Chciałbym tylko skorzystać z twojej komórki. Zapłacę. – Zaczął szukać portfela w kieszeni. – Pokłóciłem się z żoną i chcę ją przeprosić, zanim zrobi coś głupiego. Niestety wybiegałem wkurzony i przez to zapomniałem o telefonie. Pomożesz? To zajmie kilka minut.

Liczył na to, że romantyczna historia zadziała, ale dziewczyna ściągnęła brwi i dopiero gdy dostrzegła banknot pięćdziesięciozłotowy w dłoni Wilczyńskiego, kiwnęła głową.

– No dobra – rzuciła, przekazując mu smartfon, a potem uważnie śledziła każdy ruch nieznajomego.

- Nie chciałybyś iść sobie czegoś kupić?
- Patrę, co robisz z moim telefonem.
- Usiłuję przypomnieć sobie numer żony, ale trudno mi zebrać myśli, kiedy tak się gapisz.
- To zadzwoń przez Facebooka.
- Nie ma tam konta – wysyczał poirytowany.
- O dżizas, to ile ona ma lat? A jakiś wasz wspólny znajomy, który mógłby znać jej numer? Masz w ogóle jakichś znajomych?
- Tysiące. Większości w życiu nie widziałem na oczy, ale serduszkują moje posty. To się liczy?

Studentka przewróciła oczami i wydeła ociekające błyszczkiem usta, a tymczasem Bruno zdołał odszukać profil Bartka Lubonia. Wybrał symbol słuchawki i czekał.

- Halo? – Brat Larysy wyraźnie nie czuł się komfortowo, odbierając połączenie od obcej dziewczyny, która, co trzeba było jej przyznać, miała wyjątkowo atrakcyjne zdjęcie profilowe.

- Muszę cię rozczarować stary, to tylko ja. Zgubiłem komórkę i dzwonię z pożyczonego telefonu.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

- Wilczyński? – zapytał w końcu Bartek, gdy rozpoznał głos policjanta.

- We własnej osobie. Słuchaj, muszę zadzwonić do twojej siostry, ale nie mam jej numeru. Podrzucisz?

- Mogę, ale to bez sensu, bo i tak nie odbierze. Ma wyłączoną komórkę. Sam wydzwaniam do niej od godziny, bo zaprosiła mnie na obiad i nie przyszła.

- Dziwne, może jest w mieszkaniu na Wilanowie. Znasz ją, jak się czymś zajmie, traci kontakt z rzeczywistością.

- Nic z tego, nie ma jej tutaj. Umówiła się ze mną w domu na Sarmackiej, a teraz nie daje żadnych znaków życia. Wiesz, dokąd mogła pojechać?

Wilczyński pomyślał, że musiała mu wspominać o swoich planach poprzedniego wieczoru, ale był zbyt zmęczony i zanadto pochłonięty swoimi problemami, by obdarzyć ją wystarczającą uwagą.

- Nie – mruknął. – Zostań tam, może niedługo wróci.

– Boję się, że znowu wpadła w kłopoty. Ostatnio pytała mnie o podsłuchy i ukryte kamery. Chyba chciała je zakładać w domu tych potentatów, Hallerów, bo po jej notatkach widzę, że to nimi się teraz interesuje.

Bruno przygryzł wargę. Zamyślony, przez jakiś czas śledził wzrokiem strumień wypływającej z automatu kawy, która trafiała do papierowego kubka.

– Na pewno wszystko jest w porządku – rzucił pokrzepiająco, choć sam w to nie wierzył. – Nie martw się na zapas. Zadzwoń, jak tylko będę mógł.

Kiedy wrócił do samochodu, nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Kręcił gałką ogrzewania, bo na przemian było mu to za zimno, to za gorąco. Larysa miała wiele wad, ale nie sądził, by wystawiła brata w ten sposób. Szósty zmysł podpowiadał mu, że coś musiało ją zatrzymać. W przeciwnym razie na pewno wysłałaby chociaż krótką wiadomość. Zmarszczył czoło, pełen najgorszych przeczuć, a później zaparkował przy placu Brodowicza 1, pod kompleksem budynków należących do szpitala psychiatrycznego w Choroszczy.

Zegar wskazywał kwadrans po czternastej, co oznaczało, że komisja lekarska, która miała zatwierdzić decyzję o wypuszczeniu ze szpitala Michała Andrzejewskiego, już się zebrała. Oczywiście gremium mogło równie dobrze zakwestionować postanowienie lekarza prowadzącego, ale wydawało się, że w przypadku ojca Jacka dzisiejsze spotkanie stanowiło jedynie formalność. Wilczyński musiał się zatem uzbroić w cierpliwość i czekać. Z przekąsem stwierdził, że w ostatnich dniach wyszlifował tę umiejętność do perfekcji.

Siedząc w aucie, przyglądał się przejeżdżającym samochodom i spacerującym ludziom, szukał wśród nich charakterystycznej, poparzonej twarzy Andrzejewskiego w przezroczystej, plastikowej masce. Po jakimś czasie zaczęły boleć go plecy, dlatego wysiadł z peugeota. Rozciągnął ramiona i na moment zwrócił oczy w stronę nieba, pozwalając, by krople deszczu zostawiały ślady na policzkach. Larysa opowiadała mu, że to Lewicki podpalił swojego ojca, a później obserwował, jak tamten płonie. W ten sposób mścił się za krzywdy

z dzieciństwa. Chciał, by mężczyzna poczuł choć ułamek bólu, którego przysporzył własnemu synowi.

Co ciekawe, Bruno nigdzie nie znalazł informacji, jakim cudem Michał Andrzejewski zdołał wydostać się z płonącego budynku. Według opinii cytowanych w prasie strażaków szopa zawaliła się przed ich przyjazdem, ale mieszkaniec drewnianego baraku znajdował się już wtedy na zewnątrz, kilka metrów dalej. Nie wiadomo, czy ktoś go wyniósł, czy wyczołgał się o własnych siłach, jednak ta ostatnia teoria była mało prawdopodobna. Gdyby potrafił opuścić płonąca rudere sam, zrobiłby to zdecydowanie wcześniej, unikając poważnych oparzeń.

Wilczyński gotów był się założyć, że za wszystkim stał Jacek. Ratując życie ojca, przedłużał jego cierpienie i – co najważniejsze – zyskiwał nad nim kontrolę. A to właśnie nią upajał się Lewicki. Żeby go osłabić, należało działać niestandardowo. Zaskoczyć go posunięciem, którego nie mógł przewidzieć, czymś poza wszelkimi schematami. W tym celu Bruno przyjechał do Choroszczy. Teraz jednak obawiał się, że traci czas. Czekał już prawie godzinę i choć krążył wokół zabudowań, nigdzie nie mógł dostrzec Andrzejewskiego. Być może komisja lekarska zdecydowała, że pacjent musi jeszcze pozostać w szpitalu, albo ojciec Jacka nie spieszył się z opuszczeniem ośrodka.

Komisarz przeczesał palcami włosy, a potem westchnął ciężko. Jak większość ludzi, w trudnych życiowych chwilach snuł fantazje na temat tego, co robi, gdy to wszystko już się skończy. Później jednak przychodziła refleksja, że koniec wcale nie musi być optymistyczny, i na nowo wpadał w spiralę gniewu. By odegnać złe myśli, podniósł z ziemi kilka kamyczków i zaczął nimi rzucać w niebieski znak drogowy z białą literą „P”. Przy trzecim zamachu zauważył zgarbioną sylwetkę z reklamówką w jednej i telefonem komórkowym w drugiej dłoni. Mężczyzna machnął ochroniarzowi na pożegnanie, a następnie wyszedł za ogrodzenie i skręcił w stronę gminnego centrum kultury i sportu. Odwrócił twarz jedynie na ułamek sekundy, ale to wystarczyło, by Bruno rozpoznał w nim ojca Lewickiego.

Chwilę później biały peugeot partner zajeżdżał drogę Andrzejewskiemu. Mężczyzna odskoczył, wygrażając kierowcy pięścią. Kiedy Wilczyński opuścił szybę, z trudem opanował odruch odwrócenia wzroku na widok pełnej blizn, zdeformowanej twarzy mężczyzny.

– Jak jeździsz, człowieku?! Ślepy jesteś czy co? – krzyczał poparzony.

– Sorry, nie chciałem wystraszyć. – Bruno przepaszająco skinął mu głową. – Po prostu pomyślałem, że mógłbym pana podrzucić do Warszawy.

– A czego mnie tam? Nie słyszałeś, chłopie, że stolica to szambo, do którego spływa gównem z całej Polski?

Policjant uniósł brwi zaskoczony, bo po raz pierwszy słyszał to określenie.

– Wydawało mi się, że mógłby pan chcieć odwiedzić swojego syna. – Omiótł jego blizny znaczącym spojrzeniem. – Nie jest ostatnio w najlepszej formie.

Andrzejewski poczerwieniał, a na jego ustach pojawiły się bąble śliny.

– Człowieku, na głowę upadłeś? Widzisz, jak wyglądam? To on mnie tak urządził. I ja miałbym go odwiedzać? – Prychnął. – Chyba tylko po to, by zajebać gnoja.

– Właśnie to proponuję.

Ojciec Jacka zaniemówił. Przyglądał się kierowcy samochodu, jakby sprawdzał, czy nie robi sobie z niego żartów, a później zerknął przez ramię, by upewnić się, że nikt ich nie podsłuchuje.

– Co ty pierdolisz, chłopie? Kim ty w ogóle jesteś?

– Facetem, który porwał twojego syna – powiedział Wilczyński, a później otworzył drzwi od strony pasażera. – Zapraszam.



Larysa ocknęła się na podłodze obok wanny. Z trudem uchyliła ołowiane powieki, a później przetarła oczy, bo świat wydawał się jej

zamazany i widziała go jak za mgłą.

– Co się... – powiedziała, unosząc tułów na łokciu, ale nie dokończyła, ponieważ natychmiast upadła, uderzając ramieniem o podłogę.

Nadal kręciło się jej w głowie, ale przerażające wizje odeszły. Na łóżku dostrzegła Roberta Hallera. Miał wypukłego, fioletowego siniaka na czole, z którego ciekła krew, a jego ojciec mierzył do niego z broni myśliwskiej, winchestera z piękną drewnianą kolbą w kolorze orzecha włoskiego.

– Na razie nie radziłbym wstawać – zasugerował Ryszard, nie spuszczając syna z muszki. – Dostała pani silny środek psychotoksyczny.

– Skąd pan wiedział, że tu będziemy? – zapytała, nadal oszołomiona.

– Obserwowaliśmy was. – Głos Wiśniewskiego, który stał pod ścianą za plecami Larysy, spowodował, że dziewczyna otworzyła usta ze zdumienia.

– Paweł? Nic z tego nie rozumiem.

Wiodła wzrokiem po twarzach mężczyzn z nadzieją, że ktoś rozjaśni jej sytuację.

– Po tym, jak Albert zepchnął Grażynę Mastalerz ze schodów, oszalałem z wściekłości – tłumaczył Wiśniewski. – Nie mogłem uwierzyć, że Ryszard pozwolił zrobić coś takiego żonie swojego dawnego przyjaciela. Byłem zły i chyba traciłem rozum. Następnego dnia pojechałem do Podkowy, pod rezydencję Hallerów, żeby mu wszystko wygarnąć.

– A ty byłeś tak głupi, by uwierzyć temu śmieciowi? – wtrącił Robert.

Ojciec spiorunował go wzrokiem i przeładował broń.

– Nie wiedziałem, co o tym myśleć – podjął opowieść Ryszard. – To wszystko wydawało się szalone. Najpierw ta informacja o wypadku Grażyny, a później wizyta Pawła...

– To kłamstwo – przerwała mu Luboń. – Policja nie mogła do pana dzwonić w sprawie Mastalerz, bo nie byliście w kontakcie od lat.

Mężczyzna pokręcił głową z uznaniem i uśmiechnął się do niej.

– Racja, nie rozmawialiśmy ze sobą od dawna, ale w komendzie rejonowej na Pradze pracuje pewien zaufany człowiek. Powiedzmy, że jego zadaniem było mieć Mastalerzów na oku. Na wypadek gdyby Henryk zapragnął podzielić się z kimś tymi rewelacjami, które opowiedział mu mój syn. – Spojrzał z pogardą na Roberta.

– Inwigilowałeś ich? – wtrącił Wiśniewski. – To obrzydliwe.

– Trzymałem rękę na pulsie, to wszystko – uniósł się Ryszard. – Kiedy funkcjonariusz powiedział mi o wypadku, poprosiłem Alberta, by sprawdził, co z Grażyną. Wtedy jeszcze nie miałem pojęcia, że wysłałem do szpitala człowieka, który chciał ją zabić. – Przełknął ślinę i zamrugał nerwowo powiekami. – Po tym, jak odwiozła mnie pani do domu, byłem całkowicie skołowany. Nie rozumiałem, dlaczego Albert skoczył pod ciężarówkę, ale niedługo później pojawił się Paweł i rzucił na wszystko nowe światło.

– To dlatego pozwolił mi pan napisać artykuł o waszej rodzinie i wpuścił mnie do domu?

Mężczyzna potwierdził skinieniem głowy.

– Normalnie nigdy bym się na to nie zgodził. Chodziło mi tylko o laurkę na czterdziestolecie, a nie pranie rodzinnych brudów, ale Wiśniewski mówił, że nie ma lepszej dziennikarki śledczej w tym kraju i że jeśli ktoś ma odkryć, o co w tym wszystkim chodzi, to tylko pani.

– Zaraz się porzygam – skomentował Robert, patrząc na dziewczynę z wyższością.

Larysa przygryzła wargi. Nie mogła uwierzyć, że przez cały ten czas jej przyjaciel znajdował się tak blisko, w domu, który wielokrotnie odwiedzała.

– Ale dlaczego nic mi nie powiedzieliście?

– Pamięta pani te lustra w moim domu? – zapytał Haller senior. – Za każdym z nich znajduje się kamera, z której obraz wysyłany jest na telefony wszystkich członków rodziny. Macieja, Roberta, Zuzanny i mój. To nam pozwala kontrolować rzeczywistość. Gdyby którekolwiek z nas, pani albo ja, popełniło błąd, osoba odpowiedzialna za śmierć Diany natychmiast by nas zdemaskowała.

A zważywszy na pani impulsywną reputację, nie chciałem ryzykować.

– Zostawił mnie pan samą z tym wszystkim! – wyrzuciła mu.

– I świetnie sobie pani poradziła.

– Brawo – ironizował Robert.

Dziewczyna powoli usiadła, a następnie wstała, przytrzymując się ściany, i podeszła do Pawła. Jej dłonie objęły wychudzone ramiona mężczyzny, a usta wyszeptały do jego ucha:

– Nigdy więcej mi tego nie rób.

– Załatwione – odparł i też ją objął.

Wiśniewski nie wyglądał najlepiej, ale na dnie jego oczu dostrzegła ciepłe światło, o którym myślała, że dawno zgasło.

– Co teraz? – zapytała.

– Pani i Paweł odjedziecie stąd moim samochodem. Ktoś się po niego zgłosi. Ja tymczasem załatwię sprawy z synem – wyjaśnił założyciel Haller Investments. – Mamy sporo do omówienia.

– Oszalałeś? Oni zniszczą naszą rodzinę. Nie możesz ich tak po prostu wypuścić.

– Ty ją zniszczyłeś, Robercie! – krzyknął Ryszard. – Przez lata myślałem, że to Łucja zdecydowała o śmierci tamtego dziecka. Na Boga, ona sama w to uwierzyła. Karałem ją, ale nigdy nie pragnąłem, by trafiła do więzienia. Dlatego milczałem. A teraz wiem, że odebrałeś mi najdroższą kobietę. – Jego głos przechodził w pisk, a dłonie uniosły winchestera.

Luboń nie wiedziała, czy ojciec Roberta zadzwoni po policję, czy może zastrzeli syna, a później samego siebie, by poradzić sobie z rozpaczą. Nie chciała jednak znać zakończenia, chwyciła Wiśniewskiego pod ramię i razem z przyjacielem wyszła na zewnątrz.

Powietrze pachniało deszczem. Zaciągnęła się nim głęboko, jakby starała się zapamiętać ten zapach na zawsze. Wiedziała bowiem, że nigdy wcześniej nie czuła się tak wolna, jak w tamtej chwili.



Moje więzienie wypełnia się wodą, z każdą minutą jej poziom się podnosi, a to oznacza, że jeśli pomoc nie przyjdzie w porę, utonę. Krzyczę, ale nikt nie odpowiada. Może zagłusza mnie szum ulewy. Woda sięga już kolan, a mnie przechodzą dreszcze, które zwykle są objawem pierwszego stopnia hipotermii. Jeśli temperatura mojego ciała spadnie jeszcze o kilka stopni, zacznę mieć problemy z mówieniem, a moje mięśnie zesztynieją. Później stracę przytomność.

Na razie jednak najbardziej zimno jest mi w nogi. Z wykładów dotyczących ratownictwa przywołuję schemat, na którym prowadzący zajęcia białą, pyłącą się kredą, od której zawsze kaślałam, zaznaczył serce i mózg, po czym wyjaśnił, że przy wychłodzeniu organizm skupia się na najważniejszych narządach, ogrzewając je w pierwszej kolejności, zaniedbuje natomiast nos, uszy, stopy i dłonie. Mam wrażenie, że właśnie tego teraz doświadczam.

Myślę o tym, co czuje tonąca osoba. Czy doznaje bólu, czy głównie przerażenia? Co widzi, zanim jej serce uderzy po raz ostatni? Czy czegoś żałuje? Wyobrażam sobie, jak silny musi być wtedy odruch oddechu. Organizm broni się przed brakiem tlenu, każe człowiekowi otworzyć usta, a potem woda zalewa drogi oddechowe. Trzęsąc się, spoglądam na mój brzuch. Tak bardzo chciałabym moc przyłożyć do niego dłonie, powiedzieć tej małej istocie w środku, że to przetrwamy, ale przecież wcale tak nie musi być.

A nawet jeśli jakimś cudem wyjdziemy z tego, to czy będę chciała stać się matką dla dziecka Jacka? Mężczyzny, który gotów był mnie zabić? Nie wiem, czy zło można odziedziczyć w genach, ale obawiam się, że to maleństwo może mieć jego oczy, uśmiech albo serce z lodu.



Kiedy zobaczyła pierwsze bloki na Wilanowie i górującą nad nimi Świątynię Opatrzności, poczuła, że jest w domu. Tonące w strugach

deszczu zabudowania zdawały się witać ją w znanym, bezpiecznym świecie. Dotychczas nie potrafiła zrozumieć, co takiego tkwiło w tych magicznych momentach powrotów, ale nagle zrozumiała, że chodziło o wspomnienia i uczucia zaklęte w określonym miejscu. O spokój, jaki zawsze towarzyszył jej podczas pisania artykułów, o radość ze wspólnych filmowych wieczorów z bratem i podniecenie, gdy odwiedzał ją Wilczyński. To wszystko mieściło się na czterdziestu trzech metrach mieszkania przy Sarmackiej, do którego właśnie szła.

W drodze ze stadniny omówili z Pawłem wydarzenia minionych dni, a Larysa na każdym świetle wpatrywała się w dawnego szefa, jakby dręczyły ją obawy, że znowu mógłby zniknąć. Jechała wolno, jak wtedy, gdy pierwszy raz wsiadła za kierownicę, jednak tym razem powodem nie był lęk, ale ostrożność. Po środkach, które wstrzyknął jej Robert, nadal miewała zawroty głowy i czuła się senna. Niespiesznie więc raczyła się tym wspólnym czasem z Wiśniewskim. Zasłuchana w głos przyjaciela, uśmiechała się do siebie, w środku czując przyjemne ciepło.

– Napiszesz o tym? – zapytał Wiśniewski, gdy skończyli rozmowę.

– A jak myślisz?

– Gdybyśmy rozmawiali o tym rok temu, byłbym pewien, że to zrobisz. A teraz sam nie wiem. Zmieniłaś się.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Jesteś bardziej tu. – Dotknął jej klatki piersiowej na wysokości serca. – Niż tu. – Położył dłoń na głowie dziewczyny, która zareagowała nerwowym chichotem. – Bronisz się przed tym, wiem, ale to w porządku – dodał.

Dalszą część podróży spędzili na rozmowach o Brunonie i Jacku Lewickim. Luboń przyznała się Pawłowi do swoich kłamstw, a on zachęcał ją, by powiedziała komisarzowi prawdę.

– Wiesz, co mówią, najgorsza prawda jest lepsza od kłamstwa.

– Wymyślili to ludzie, którzy nigdy nikogo nie oszukali – skomentowała.

– Może, ale kto wie, czy nie mieli racji.

Zawiozła Wiśniewskiego pod Szpital Praski, by mógł zobaczyć Grażynę Mastalerz. Uścisnęli się mocno na pożegnanie, a następnie Larysa ruszyła na południe i pół godziny później znalazła się pod drzwiami swojego mieszkania.

Dopiero gdy przed nimi stanęła, zdała sobie sprawę, że zarówno klucze, jak i telefon zostały w Citroënie Saxo na posesji w Podkowie Leśnej, a pilot od samochodu przepadł wraz z jej kurtką, zapewne w domu Hallerów. Westchnęła ze złością, niechętna, by jechać gdziekolwiek, ale nie miała innego wyjścia. Nacisnęła guzik windy, jednak nim ta przyjechała, Luboń usłyszała jakieś kroki w swoim mieszkaniu. Wiedziona instynktem nacisnęła klamkę, która bez oporu ustąpiła.

Dziewczyna weszła do środka i zastała na kanapie swojego brata z laptopem na kolanach.

– Mówiłam ci, żebyś zamykał drzwi – powiedziała udawanym surowym tonem, a potem uściskała brata.

– Wyszłaś z więzienia czy co? Od kiedy to tak się do mnie kleisz? – Bartek patrzył na nią podejrzliwie.

– Coś w tym stylu.

– A w ogóle to gdzie się podziewałaś? Zapraszasz głodnego studenta na obiad, a potem znikasz. To nie fair. Nie masz pojęcia, jak się o ciebie martwiłem.

– Ja o siebie też.

– Egoistka. – Uderzył ją poduszką i nagle spochmurniał.

Larysa dostrzegła zmianę w jego nastroju.

– Co jest, młody?

– Muszę ci coś pokazać. Chwilę temu go odblokowałem.

Chłopak podniósł telefon Brunona z kanapy i zalogował się do jakiejś aplikacji.

– Jakim cudem odpaliłeś komórkę Wilczyńskiego?

– Zbajerowałem miłą dziewczynę na infolinii Heyah. Powiedziałem, że zapomniałem, jaki mam kod PIN i PUK, a później zaprosiłem ją do kina na *Last Christmas*, taką niezbyt mądrą komedię romantyczną, i na pączki do Miss Mellow.

– Rety, żałuję, że nie zatrudniłam się na infolinii. Chciałabym, żeby faceci zapraszali mnie na darmowe pączki. Naprawdę się z nią spotkasz?

– Pomyślmy. Jestem przystojny, młody i nie mam żadnych zobowiązań. – Mruknął, jakby się zastanawiał. – No jasne!

– Wariat.

– Dobra, koniec tych żartów, Lara. – Zatrzymał rękę siostry, która mierzwiła mu włosy. – Zobacz to.

Wzięła od niego telefon policjanta, na którym widać było czarno-biały film przypominający nagranie z monitoringu. Na środku pomieszczenia znajdował się filar, a do niego przywiązany był człowiek.

– Co to jest? – zapytała.

– To leci w czasie rzeczywistym.

– Dlaczego Bruno miałby oglądać coś takiego?

– Ty mi powiedz.

Dziennikarka śledziła próby oswobodzenia się mężczyzny, patrzyła na jego dziwnie napuchniętą twarz oraz ubranie. Białą koszulkę z długim rękawem i ciemne dżinsy. Coś błysnęło w jej pamięci, po czym z jej odmętów wyłowiła obraz przedstawiający Jacka Lewickiego i zrozumiała, że pasuje idealnie. Źrenice Larisy rozszerzyły się w ułamku sekundy, jej serce zaczęło gwałtownie uderzać, a ona sama zastygła w bezruchu, niczym zamrożona.

– Jak można namierzyć to miejsce? – chciała wiedzieć.

– Nie da się tego zrobić. Trzeba by wiedzieć, gdzie zostały umieszczone kamery.

Niespodziewanie telefon w dłoni dziewczyny zaczął dzwonić. Na wyświetlaczu pojawił się napis „pani Kasia”.

– Halo? – odebrała niepewnie Luboń.

– Czy Bruno jest tam gdzieś z panią? Nazywam się Katarzyna Domagała, jestem pielęgniarką. Muszę się z nim pilnie skontaktować, chodzi o jego ojca.

– Niestety nie ma go tutaj. Zostawił telefon i wyszedł kilka godzin temu.

Kobieta po drugiej stronie milczała przez moment.

– Gdyby się odezwał, proszę mu powiedzieć, że pan Wilczyński stracił przytomność. Obawiam się, że może umrzeć w każdej chwili.

Dziewczyna wciągnęła gwałtownie powietrze i z przerażeniem spojrzała na brata.

– Proszę podać adres, przyjadę – zaproponowała. – Może będę mogła pomóc.

Pielęgniarka podyktowała jej nazwę ulicy i numer domu, a kiedy tylko się rozłączyła, telefon zadzwonił ponownie. Tym razem dobijał się naczelnik Marian Pękała.

– O kurwa! – rzuciła Larysa.

– Kto to?

Pokazała bratu, by milczał, i odebrała.

– To nie Wilczyński – wyjaśniła od razu. – Nazywam się Luboń, jestem dziennikarką i przyjaciółką Brunona.

– Wie pani, gdzie on jest?

– Nie mam pojęcia. Od rana staram się go namierzyć, ale fakt, że zostawił w domu telefon, nie ułatwia sprawy.

– Jest ścigany, rozumie to pani? Jeśli pomaga pani przestępcy, oskarżymy panią o współudział.

– Jak to: ścigany? Za co?

– Za porwanie człowieka i podejrzenie zabójstwa.

– Nic o tym... – Rozmowa nagle się urwała. – Co jest? Halo? Halo! – krzyczała do telefonu, ale jego ekran zgasł.

Bartek wziął komórkę do ręki, nacisnął kilka guzików i stwierdził, że bateria się rozładowała. Dziewczyna machnęła na to ręką, ale zauważyła, że chłopak nerwowo porusza nogami.

– Chce ci się siku czy masz mi coś jeszcze do powiedzenia?

– Chyba powinnaś o czymś wiedzieć. Bruno mnie przekupił i poprosił o małą przysługę.

– Zamieniam się w słuch. – Patrzyła groźnie na brata.

– Chciał, bym namierzył jednego kolesia w Choroszczy, pacjenta zakładu psychiatrycznego. Włamałem się do komputera dyrektora ośrodka i odkryłem, że facet wychodzi ze szpitala. Więc jeśli szukasz Wilczyńskiego, to według mnie znajdziesz go tam.

Larysa zmrużyła oczy, jakby chciała się skupić i w pełni zrozumieć sens tego, co mówił Bartek. Oczywiście zarejestrowała informację o włamaniu, ale uznała, że z bratem rozprawi się potem. Na razie jej intuicja niemal wrzeszczała, sygnalizując, że komisarz najpewniej zamierzał zrobić coś równie głupiego, co nieodwracalnego. Przez chwilę rozważała uganianie się za Brunonem i podróż do Choroszczy, ale uznała, że najlepiej będzie poczekać u jego ojca, a przy tym okazać potrzebne wsparcie umierającemu mężczyźnie.

– No dobra, brachu, narozrabiałeś, ale pogadamy o tym później. Teraz mamy sprawę do załatwienia. Chodźmy. – Klepnęła go w ramię.

– Dokąd mnie zabierasz?

– Do domu rodzinnego Wilczyńskich. Ojciec Brunona umiera, a ja nie chcę, żeby był w tych ostatnich chwilach sam. Nikt nie powinien.

– Wydaje mi się czy mówisz, jakbyś coś na ten temat wiedziała?

– Powiedzmy, że całkiem niedawno miałam okazję spojrzeć śmierci w oczy.

– Jesteś gorsza niż te seriale na Netfliksie. Kończysz zdanie w najciekawszym momencie. Wyjawisz, co się stało, czy mam czekać na następny odcinek?

Larysa uśmiechnęła się, kreśląc w pośpiechu krótką wiadomość dla Wilczyńskiego, którą następnie przykleiła magnesem do lodówki.

– Opowiem ci w drodze, a teraz lecimy – oznajmiła.

Młody Luboń chwycił kurtkę z oparcia kanapy i podążył śladami siostry w stronę korytarza. Wiedział, że spotkanie z odchodzącym mężczyzną nie będzie łatwe, a jednocześnie cieszył się, że po raz pierwszy Larysa uwzględniła go w swoich planach.



Droga z Choroszczy do Warszawy powinna zająć niecałe dwie godziny, ale przez ulewę Bruno chwilami w ogóle nie widział jezdni i musiał znacząco zwalniać. Przed sobą miał jedynie gęste strugi deszczu i nikłe płomyki świateł innych aut majaczące na horyzoncie.

Do tego orkan rozszalał się na dobre, a jego porywiste poddmuchy uderzały w samochód za każdym razem, gdy peugeot wyłaniał się zza ekranów dźwiękochłonnych. Przypominało to bokerski nokaut, który sprawiał, że kierowca tracił panowanie nad pojazdem na moment wyrywany mu spod kontroli przez żywioł i zataczał się niczym ogłuszony.

Grzmoty brzmiały jak werble. Stawały się coraz głośniejsze i częstsze, im bliżej celu się znajdowali. Wilczyński nie wyjawiał ojcu Jacka wiele, ale zdradził, że robi to ze względu na zaginioną przyjaciółkę. Opowiedział też o swojej matce, którą zabił Lewicki, i latach narastającej w nim nienawiści. Sprytnie pominął jednak fakt, że jest policjantem. Właściwie lepiej pasowałoby określenie „był”, ale i ten szczegół sobie darował. Andrzejewski nie był zresztą przesadnie dociekliwy, poprosił jedynie o butelkę wódki, paczkę papierosów i zapalniczkę, które kupili jeszcze na Podlasiu w małym osiedlowym sklepiku. W podróży mężczyzna bawił się telefonem. Łącząc kropki na pulpicie, rysował wzór w kształcie litery V, odblokowujący komórkę, po czym wygaszał ekran i zaczynał od nowa. Robił to mechanicznie, jakby z nudów. Wydawał się pogrążony w myślach, jak ktoś, kto całe życie na coś czekał, a kiedy wreszcie miał to w swoich rękach, nie wiedział, jak się zachować.

Tym razem Bruno zaparkował na podwórku pod samym domem, w którym trzymał Jacka. Zostawił mężczyznę w samochodzie i poprosił, by ten zaczekał na jego znak. Andrzejewski, zamroczony już nieco alkoholem, nie protestował. Przyłożył butelkę wyborowej do ust i pociągnął duszkiem kilka dużych łyków. Wilczyński pokręcił głową, a później ruszył w stronę wejścia, unikając patrzenia w okna sypialni swojego ojca. W duchu błagał, by Aleksander na niego czekał, by jeszcze nie odchodził. Chciał z nim porozmawiać, gdy już rozwiąże wszystkie problemy, ale prawda była taka, że likwidując jedno, tworzył inne. Jakby były siecią naczyń połączonych.

Z tą cierpką myślą wszedł na antresolę z filarem. Lewicki, którego ubranie pokrywała zaschnięta krew, siedział teraz po drugiej stronie kolumny, twarzą zwrócony w kierunku otwartego salonu. Najwyraźniej zdołał przemieścić się wokół słupa, trąc łańcuchem

o jego powierzchnię. Na widok Brunona mężczyzna podniósł głowę i spojrział w światło latarki. Mimo opuchlizny nadal miał w sobie butę i arogancję. Jego lewa powieka nabrzmiała na tyle, że zakrywała oko, na brwi utworzył się sporej wielkości strup, a usta wyglądały jak po przedawkowaniu botoksu. Komisarz znowu poczuł znaną gorycz, jakby rozczarował się samym sobą i tym, do czego był zdolny. Przełknął ją jednak i podszedł do więźnia.

– Zapytam cię ostatni raz o Sylwię, a jeśli się nie dogadamy, przyprowadzę specjalnego gościa.

Jacek drgnął zaskoczony. Po raz pierwszy przez jego twarz przetoczył się grymas niepokoju.

– Gdzie ona jest? – zapytał Bruno i ściągnął Lewickiemu taśmę, jednocześnie trzymając w pogotowiu paralizator.

– Sam musisz ją znaleźć. Dałem ci wszystkie wskazówki.

– To nie jest zabawa.

– Wręcz przeciwnie. Zobacz, do czego cię doprowadziłem. Jesteś teraz taki sam jak ja.

Wilczyński nie wytrzymał i poraził prądem szyję więźnia. Jacek wił się w konwulsjach niczym ryba wyrzucona na brzeg.

– Widzisz – wysapał, gdy dochodził do siebie. – Nienawidzisz mnie tak bardzo, że nie możesz się powstrzymać. Cudowne dziecko, które stało się świetnym gliniarzem, a w końcu perfekcyjnym mordercą – ironizował.

– Zamknij się!

Bruno zszedł na schody, gdzie kilkakrotnie uderzył pięściami w betonową ścianę. Przestał dopiero, gdy poczuł paraliżujący ból i wilgoć na kłykciach. Dotknął jej językiem, wyczuwając znany, miedziany smak krwi. Pragnął cofnąć czas, może nawet do dnia swoich ósmych urodzin. Podjąć inne decyzje i w rezultacie dostać w prezencie od losu odmienne konsekwencje. Wyobrażał sobie, że mógłby wtedy zmienić bieg zdarzeń, jak w tym filmie z Gwyneth Paltrow, który przedstawiał dwa warianty życia pewnej kobiety, w zależności od tego, czy zdażyła na metro, czy też nie. Zdawał sobie jednak sprawę, że to była tylko fantazja, i dlatego ruszył po Michała Andrzejewskiego.

Kiedy wracał z mężczyzną, wydawało mu się, że słyszy narastający dźwięk karetki, przez co napiął mięśnie i poczuł, jak krew tężeje mu w żyłach. Po chwili jednak sygnał umilkł, a on odetchnął z ulgą, orientując się, że prawą dłoń od jakiegoś czasu trzyma na sercu.

– Co jest? – zapytał ojciec Lewickiego.

– Nic, idziemy.

Wilczyński zaprowadził Andrzejewskiego do Jacka i postawił go przed synem bez zbędnego komentarza. Mężczyźni patrzyli na siebie jak dwaj gladiatorzy, którzy lada moment rzucą się sobie do gardeł. Policjant oświetlał ich sylwetki latarką, a kiedy Michał wyjął z kieszeni zapalniczkę i jednym ruchem palca wyczarował z niej płomień, Bruno zrozumiał, jak to się skończy. W panice szukał sposobu, który pozwoliłby mu interweniować w ostatniej chwili, a jednocześnie zmusić Lewickiego do wyjawienia kryjówki Sylwii.

– Nie masz pojęcia, ile lat na to czekałem – rzucił Andrzejewski. – Oko za oko, jak to mówią.

– Od kiedy to bratasz się z psami?

– Co? – Mężczyzna rzucił Wilczyńskiemu podejrzliwe spojrzenie.

– To glina. Nie wiedziałeś, prawda? Zwabił cię tutaj, by mieć czyste ręce, a gdy będzie po wszystkim, zadzwoni po swoich kumpli i zanim się zorientujesz, trafisz za kratki.

– Nie słuchaj go – wtrącił komisarz. – Chce ci namieszać w głowie.

– Jesteś psem czy nie?! Co on pierdoli? – Andrzejewski domagał się odpowiedzi.

– Kiedyś byłem, ale jak widzisz, przeszedłem na ciemną stronę. Zresztą żaden gliniarz nie fatygowałby się po ciebie do Choroszczy. – Spojrzał na niego wymownie. – Wierz mi, policja ma dużo lepsze sposoby na pozbywanie się takich śmieci jak twój syn.

Starszy mężczyzna wyraźnie zaczął się łamać. Opuścił dłoń z zapalniczką i skonsternowany spoglądał gdzieś w dal. Rzęsisty deszcz bębnił o blaszany dach, jakby chciał przyspieszyć jego decyzję, ale Bruno wiedział, że w takich sytuacjach najlepiej zachować zimną krew. Gdyby nadal gorliwie przekonywał Andrzejewskiego do swojej przezroczyści, wzbudziłby tylko większe podejrzenia. Jacek musiał uważać podobnie, bo niemo

śledził każdy ruch ojca w oczekiwaniu na to, komu ostatecznie mężczyzna zaufa.

W końcu Michał pokręcił głową i roześmiał się szczerbatym śmiechem szaleńca.

– Boisz się, co? – Ścisnął dłonią brodę Lewickiego. – Słusznie. To, co ci zrobię, będzie bolało. Nie masz pojęcia, jak śmierdzi paląca się skóra.

Kiedy zbliżył do twarzy więźnia zapalniczkę, Wilczyński dostrzegł w oczach Jacka strach, jakiego nigdy wcześniej nie widział. Przeważenie tak silne, że już ono samo mogło pozbawić człowieka życia.

– Zaczniemy od nóg – zapowiedział stary. – Żebyś miał czas się nacieszyć tym widowiskiem.

Bruno zastanawiał się, czy Lewicki będzie walczył, czy może negocjował, ale on powiedział tylko jedno słowo.

– Sylwia.

Policjant doskonale rozumiał, co to znaczy. Śmierć Jacka oznaczała również koniec aspirant Konopackiej. Dlatego musiał improwizować.

– Miałeś swoją szansę – zablefował. – Wyjdę się przewietrzyć, a ty zaklej mu usta, żeby za bardzo nie krzyczał. – Podał Andrzejewskiemu taśmę naprawczą, po czym ruszył na dół.

Zamierzał zaczekać w ciemności, by w odpowiednim momencie rzucić się na Michała i go obezwładnić. Miał nadzieję, że Lewicki, czując języki ognia na skórze, szybko zmieni zdanie i zacznie błagać o pomoc, a wtedy on zapyta o Sylwię. Życie za życie. Stojąc przy zabitym deskami oknie, napiął wszystkie mięśnie, jakby przygotowywał się do odegrania swojej roli, ale niespodziewanie jego uwagę przykuła znajoma barwa głosu dobiegająca z zewnątrz. Był niemal pewien, że rozpoznał w niej Larysę, jednak gdy zaczął uważniej nasłuchiwać, stwierdził, że się pomylił. Za ścianą szumiały tylko wiatr i deszcz, a on ze stresu najwyraźniej miał omamy.

Przymknął powieki, próbując odzyskać równowagę, a wtedy usłyszał przeraźliwy, zwierzęcy ryk, dochodzący z antresoli. Rzucił się schodami na górę, po drodze natykając się na telefon starszego

mężczyzny, a kiedy dotarł na piętro, zobaczył coś, czego nigdy by się nie spodziewał. Jacek siedział dokładnie w tym samym miejscu, co wcześniej. Przytomnie patrzył na Wilczyńskiego, a usta i policzki miał umazane we krwi. Na jego nogach leżał Michał Andrzejewski, zwrócony twarzą do ziemi. Mężczyzna wydawał z siebie dziwne dźwięki, jakby charczał, a jego ciało podrygiwało w konwulsjach.

– Co jest, do cholery? – Bruno odwrócił ojca Lewickiego na plecy, zrzucając go na podłogę, i aż wciągnął powietrze ze świstem.

Na szyi Andrzejewskiego ziała czerwona dziura, z której wylewała się krew. Wyrwa po ugryzieniu, wielkości mandarynki. Komisarz przełknął ślinę, czując podchodzącą do gardła treść żołądka.

– Jesteś chory – wyszeptał do Lewickiego, ale nie potrafił dostrzec już w nim człowieka, jedynie bestię. Zło w czystej postaci. – A ona chciała urodzić twoje dziecko... – bredził, obejmując skronie dłońmi, jakby to, na co patrzył, nie mieściło mu się w głowie.

– Jakie dziecko? O czym ty mówisz?

– Sylwia była z tobą w ciąży. Nie wiedziałeś?

Jacek pokręcił głową. Bruno miał niebywałą okazję obserwować autentyczne zaskoczenie na twarzy mężczyzny i czuł, że również w nim samym coś zaczęło pękać. Jakby zdumienie Lewickiego przekłuło napięty do granic możliwości balon stresu, który dotychczas towarzyszył policjantowi. Wilczyński wybuchnął nagłym, dzikim śmiechem wariata, będącym reakcją na szok i bunt jego psychiki wobec okropności, które musiał oglądać. W ten sposób jego mózg radził sobie z napięciem, którego nie potrafił już dłużej wytrzymać. Chwilowa głupawka umożliwiała mu ucieczkę z tej potwornej rzeczywistości.

– Zabiłeś nie jedną, ale dwie osoby – wyjaśniał, chichocząc. – W końcu mogłeś mieć tę swoją upragnioną rodzinę, miałeś szansę odmienić wszystko... i ją spieprzyć. Twoje dziecko umarło razem z Sylwią.

Bruno rechotał tak, że latarka upadła na posadzkę, a on musiał trzymać się za brzuch. Zataczając się, podszedł bliżej więźnia. Nie potrafił powstrzymać ataku chorej wesołości. Czuł, że wszystko w nim puszcza i topnieje, umożliwiając odreagowanie minionych dni.

Wreszcie znalazł się tak blisko Lewickiego, że prawie słyszał jego oddech.

– Przestań rzeć! – wrzasnął Jacek.

Kiedy Bruno schylił się, by podnieść latarkę, Lewicki uniósł nogi, po czym z dziką furią kopnął Wilczyńskiego w plecy. Komisarz poleciał z impetem do przodu, w panice wyciągał ramiona, jakby jeszcze usiłował się czegoś chwycić, ale było już za późno. Jego dłonie młóciły tylko powietrze, a mięśnie napięły się automatycznie. Siła ciosu była tak duża, że policjant nie zdołał wyhamować przed krawędzią antresoli. Przefrunął nad nią i przecinając powietrze, runął w dół, uderzając klatką piersiową o betonową podłogę.

Po pustym domu rozszedł się głuchy łoskot, a krzyk Brunona nagle umilkł. Wilczyński leżał teraz nieruchomo, zwrócony twarzą do ziemi, bojąc się nawet drgnąć. Ból z klatki piersiowej promieniował na całe ciało. Komisarz miał wrażenie, jakby płuca zgniatało mu imadło. Coraz mocniej przy każdym kolejnym oddechu. Usiłował nabrać powietrza, ale nie był w stanie. Zachłannie połykał niewielkie porcje tlenu, walcząc z narastającą dusznością. Świadomość siły, z jaką gruchnął o podłogę, nasuwała najgorsze myśli. Mógł mieć połamane żebra albo uszkodzone organy wewnętrzne.

– Wilczyński! – Jego rozważania przerwało wołanie Jacka.

Policjant nie odpowiedział. Zacisnął zęby i powoli ruszył najpierw jedną ręką, potem drugą. Kiedy stwierdził, że żadna z nich nie jest złamana, ostrożnie wsparł się na nich i ze stęknieniem uniósł klatkę piersiową. Nabranie tchu nadal sprawiało mu trudność, a bolesność w płucach nie ustawała, jednak chwilowy sukces kazał mu wierzyć, że upadając, tylko się poobijał. Wolno podniósł się i po chwili, ciężko dysząc, stał już oparty o ścianę, skąd mógł obserwować siedzącego na antresoli Lewickiego.

– Co zrobiłeś z Konopacką? – zapytał zachrypniętym głosem.

– Już za późno. Za mocno pada, by to przeżyła.

– Gdzie ona jest?

– W piekle, Bruno. Wszyscy się tam spotkamy.

– Zabijesz własne dziecko? Tak jak twój ojciec chciał zabić ciebie?

Niczym się od niego nie różnisz. – Wilczyński próbował złamać

Lewickiego, uderzając w jego czuły punkt.

– Przestań!

– Pamiętasz to potworne uczucie, gdy wyleś z głodu za regałem i nikt nie przychodził ci z pomocą? – drażnił komisarz. – Płaczu twojego dziecka też już nikt nie usłyszy.

– Zamknij się!

Mężczyzna dygotał. Odwrócił twarz, a po chwili milczenia, wpatrując się w ścianę, powiedział cicho:

– Jedź na Wyczółki, do jej kochanka.

Komisarz ruszył w stronę wyjścia, rzucając Jackowi ostatnie spojrzenie.

Przepełniała go nienawiść do Lewickiego.

Odkrył w sobie jednak coś jeszcze. Współczucie.



– Bruno! – Larysa zadrżała, gdy usłyszała w swoim głosie rozpacz.

Wilczyński przed momentem wyszedł z pustego domu naprzeciwko. Najwyraźniej jej nie usłyszał, bo przyciskał do ucha telefon Andrzejewskiego i prowadził z kimś ożywioną rozmowę. Dziewczyna odniosła wrażenie, że z trudem stawia kroki. Dłoń trzymał na żebrach i patrzył w ziemię, kuląc się pod napierającym deszczem.

Podbiegła do niego, a kiedy ją zauważył, zastygł z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

– Co ty tu robisz? – zapytał.

Luboń spojrzała na dom Aleksandra Wilczyńskiego, przygryzła wargę, po czym westchnęła ciężko.

– Zmarł we śnie. Nie cierpiał.

Komisarz skamieniał na te słowa. Zagryzając wargi, by zdusić pęczniący w nim ból, przesuwiał wzrokiem po pustych oknach rodzinnego domu. Pragnął pobiec do ojca, wziąć go w ramiona i tulić tak mocno, by jeszcze raz poczuć jego ciepło. Jednak Aleksander już nie żył, a Sylwia Konopacka być może jeszcze tak.

Larysa czuła się bezradna wobec cierpienia, które rysowało się na twarzy komisarza. Uniosła rękę, by go objąć, ale po chwili ją opuściła, niepewna tego, co powinna zrobić. Jej wzrok zatrzymał się na ścianach domu w stanie surowym, a umysł dziennikarki połączył ten obraz z kadrami, które oglądali z bratem w komórcie policjanta.

– On tam jest, prawda? Lewicki? – zapytała rozgorączkowana, a kiedy dostrzegła zdumienie Wilczyńskiego, dodała: – Bartek włamał się do twojego telefonu. Zresztą przyjechał tu ze mną, pociesza teraz panią Kasię. – Kiwnęła głową w stronę domu Wilczyńskich. – Bruno, ja widziałam podgląd z kamer. Musimy coś z tym zrobić.

Komisarz pokręcił głową z uznaniem dla sprytu młodego Lubonia.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, co nawywijałeś? Co zrobiłeś Lewickiemu? – warknęła wściekle.

– Nic.

– Nie kłam. – Dziewczyna ruszyła w stronę wejścia do budynku, ale policjant chwycił ją za ramię, jednocześnie krzywiąc się z bólu.

Larysa dostrzegła, że drugą ręką złapał się za żebra i syknął.

– Co ci jest?

– To nic wielkiego. – Machnął ręką. – Po prostu wysłuchaj mnie i nie idź tam. On na to zasłużył.

– Puszczaj! – wyrwała się. – Nie rozumiesz, że nie chodzi mi o niego, tylko o ciebie? Trafisz za to do pierdła na wiele lat. Muszę wiedzieć, co tam się stało. Ogarnąć to jakoś.

– Jesteś pewna, że nie chodzi ci o niego? Słyszałem, że się spotkaliście... – znacząco zawiesił głos.

Lubon zatrzymała się w pół kroku, czując na policzkach piekący wstyd.

– Zamierzałam ci powiedzieć. Po prostu...

– ...łatwiej było mnie oszukiwać.

– To nie tak. Dzwoniłam do ciebie, szukałam cię wszędzie, ale...

– Co jest w liście, który ci przekazał? – przerwał jej.

– Zagadka. Jedno krótkie zdanie: „Potrzebuje go, by przeżyć, ale nie wie, że to on ją zabije”.

Bruno ściągnął brwi w zamyśleniu.

– Najpierw myślałam, że chodzi o ciebie, a teraz sama już nie wiem. – Nerwowo dotknęła czoła. – W stadninie Hallerów wiele lat temu umarł chłopiec. Zakopali go żywcem w nieczynnym betonowym szambie. Po wszystkim matka Roberta uroiła sobie, że nie udusił się pod ziemią, ale utonął, gdy spadł deszcz. – Spojrzała na Wilczyńskiego ze smutkiem. – To Lewicki naprowadził mnie na tę sprawę.

Policjant zmarszczył czoło, usiłując uchwycić, co mężczyzna chciał mu w ten sposób dać do zrozumienia.

– Powiedz mi w końcu, co tam się stało – naciskała Luboń, wskazując opuszczone gmaszysko.

Jej głos przepętniała gorycz, a dłoń drżała. Bruno podszedł do niej i kładąc rękę na karku dziewczyny, przyciągnął ją do siebie.

– Odpuść. Już po wszystkim.

– Nie rozumiesz, że nie potrafię? Co będzie z tobą? Z nami? Pójdiesz do więzienia, dociera to do ciebie? Nie możesz go tam tak po prostu zostawić. – Wpatrywała się w niego przerażonym wzrokiem.

Komisarz uśmiechnął się delikatnie.

– Taką cię wymyśliłem – wyszeptał, dotykając opuszką palca jej ust.

Larysa poczuła, że cała dygocze. Otarła mokrą od deszczu twarz dłońmi i uwalniając się z objęć Brunona, ruszyła w stronę budynku.

Wchodząc do środka, usłyszała za sobą dźwięk odpalanego silnika samochodu, zawahała się przez moment, ale ostatecznie nie zawróciła. Wewnątrz szum ulewy zamieniał się w złowrogie dudnienie kropel uderzających o blaszany dach. Zapach wilgoci drażnił nozdrza i osiadał w gardle.

Luboń obrzuciła spojrzeniem mroczne pomieszczenie, a następnie sięgnęła po komórkę i uruchomiła latarkę, by oświetlić sobie drogę. Poruszała się powoli, ostrożnie stawiając stopy, a kiedy uniosła głowę, zauważyła antresolę z filarem, do którego przywiązany był Lewicki.

Na widok mężczyzny, upiornie bladego w smudze światła, ogarnął ją strach. Miał poranioną, spuchniętą twarz i usta umazane we

krwi, które rozciągały się w krzywym uśmiechu. Przypominał demona o ognistym spojrzeniu. Nieopodal jego nóg, na podłodze, leżał ktoś jeszcze. Larysa rzuciła się w kierunku schodów, a gdy znalazła się na piętrze, dostrzegła charakterystyczną poparzoną twarz, ukrytą za plastikową maską, i dziurę w szyi leżącego. Cofnęła się z przestrawieniem, jednocześnie przytykając dłoń do ust.

Uciekając, nadepnęła na jakiś plastikowy przedmiot, który okazał się zapalniczką.

– No proszę, kogo ja widzę – odezwał się Lewicki.

Patrząc w jego oczy, dziewczyna czuła wzbierające mdłości i dreszcze. Nie była pewna, czy więcej w niej ulgi, czy wstrętu. Z jednej strony uspokoiło ją to, że Wilczyński nie zabił Jacka, z drugiej zaś przepełniała ją odraza do tego człowieka.

– Wiedziałeś o tym, co się stało w stadninie Hallerów, prawda? – zapytała. – Dlaczego chciałeś, żebym sama to odkryła?

– Kostki domina, pamiętasz? Bruno potrzebował tej informacji, by zrozumieć, gdzie jest Sylwia. Mam nadzieję, że mu ją przekazałaś, bo inaczej nigdy nie znajdzie Konopackiej.

Larysa ściągnęła brwi.

– Jak to?

– Pojechał po nią.

– Dokąd?

Lewicki uśmiechnął się z wyższością i pokręcił głową.

– Gdzie go znajdę? Mów! – Luboń mocno złapała mężczyznę za ramiona i potrząsnęła nim.

– Radź sobie sama. W tym jesteś przecież najlepsza.

Dziewczyna spiorunowała go wzrokiem, a potem, kierując światło latarki na ściany, znalazła dwie kamery, odkleiła je i schowała do kieszeni. Działała mechanicznie, bez emocji. Myślała tylko o tym, by nie pominąć żadnego szczegółu i zdążyć dogonić Brunona, zanim ten popełni jakiś błąd. Najpierw musiała jednak wykonać to, po co tu przyszła. Sapiąc, przyciągnęła bliżej ciało Michała Andrzejewskiego. Dla pewności sprawdziła jeszcze jego puls, ale mężczyzna już nie żył. Następnie podniosła z podłogi zapalniczkę i spojrzała na Lewickiego.

– Co robisz? – zapytał.

– Posyłam cię tam, skąd pochodzisz. Do piekła.

Dziewczyna wznieciła płomień zapalniczki i zbliżyła go do spodni Jacka, które zaczęły zajmować się ogniem.

– Zgaś to. Powiem ci, gdzie on jest. – W jego głosie pobrzmiwała panika.

– Słucham.

– Cholera, zgaś to! – krzyknął Jacek, wierzgając nogami, na których tańczyły już pierwsze płomienie. – Pojechał na Wyczółki, tam go szukaj!

Luboń wytarła zapalniczkę, włożyła ją w dłoń leżącego na ziemi Andrzejewskiego, a później wyszła z budynku, głucha na krzyki Lewickiego.



Woda sięga mi już do brody, stoję na palcach i odchylam głowę, by łąpać powietrze. Rękami podpieram się o zaokrągloną ścianę, bo kilka razy już straciłam równowagę i upadłam. Dreszcze ustały, nawet na nie mój organizm nie ma więcej sił. Wydaje mi się, że popadam w letarg, przez który nie potrafię określić, czy jest mi zimno, czy gorąco. Przytłumione dźwięki z zewnątrz dolatują tutaj zdeformowane, jakby rozciągnięte. Choć może tak naprawdę niczego nie słychać, może to tylko moja wyobraźnia.

Czuję, jak tafla wody zaczyna muskać moje usta. Jakby składała na nich pocałunki. Myśl, że zaraz wedrze się do mojego wnętrza, paraliżuje. Zaciskam mocno wargi i modlę się tak gorliwie, jak nigdy dotąd. Przestaje być ważne, czy wierzę w Boga, za bardzo Go teraz potrzebuję, by wątpić. Nozdrza mi pulsują, panicznie łapiąc ostatnie oddechy, a z oczu płyną łzy. Zaczynam myśleć, że straszniejsze od śmierci jest oczekiwanie na nią. Kusi mnie, by przestać walczyć, oddać się jej i mieć to już za sobą.

Z przerażenia i wyczerpania oplatają mnie mroczne wizje. Wydaje mi się, że dostrzegam Brunona, jak wychodzi z ciemności i wyciąga

do mnie rękę. Chcę mu ją podać, ale nie mogę się poruszyć. Jakbym była z kamienia. Wtedy on zbliża się i nagle dociera do mnie, dlaczego nie byłam w stanie chwycić wyciągniętej dłoni.

Bo to nie Bruno mi ją podawał, lecz śmierć.



W drodze na Wyczółki komisarz krzywił się i jęczał z bólu. Kiedy w samochodzie uniósł koszulkę, by oszacować, na ile poważny jest jego uraz, odniósł wrażenie, że klatka piersiowa lekko zapadła się po jednej stronie, a na prawej piersi wykwitł krwihak. Tłumaczył to stłuczeniem oraz złamaniem żeber, ale narastająca duszność i smak krwi w ustach sugerowały, że odniósł poważniejsze obrażenia, niż zakładał. Na razie jednak, zasilany adrenaliną, wciskał pedał gazu, by jak najszybciej dotrzeć na miejsce.

Wcześniej, korzystając z telefonu starego Andrzejewskiego, powiadomił naczelnika Pękałę, dokąd zmierza, i poprosił o wsparcie. Przełożony nie krył swojej złości z powodu samowolki Wilczyńskiego, chciał wiedzieć, jakim cudem policjant zdobył te informacje, i upewnić się, czy są prawdziwe, ale po nic niewnoszącej wymianie zdań odpuścił i zgodził się przyjechać.

Siedząc za kierownicą peugeota, Bruno odtwarzał słowa Lewickiego: „Za mocno pada, żeby przeżyła” – i wtedy nagle go olśniło. Gdy połączył to zdanie z zagadką przekazaną przez Luboń, wreszcie zrozumiał. Tym, na co czekała Sylwia, była woda. By przeżyć, musiała się napić, ale jeśli została zamknięta w podobnym miejscu jak chłopiec w stadninie Hallerów, jedyną wodą, na jaką mogła liczyć, był deszcz. Ten sam, który ją utopi. Wtedy też przypomniał sobie, że staruszka mieszkająca przy torze wyścigów konnych wspominała o awarii spłuczki podłączonej do zbiornika na deszczówkę. Jeśli zatem aspirant Konopacka miała być gdzieś na jej posesji, to nie istniało lepsze miejsce niż zakopany w ziemi bunkier.

Wilczyński z piskiem opon zaparkował na Wyczółki, po czym wysiadł z samochodu i splunął na chodnik. Na kostce brukowej

pojawiła się plama krwi, ale komisarz jej nie zauważył. Idąc przed siebie, myślał tylko o tym, by odnaleźć Sylwię. Pchnął metalową furtkę prowadzącą na posesję, która z hukiem uderzyła o ogrodzenie. W oknach domu nie dostrzegł żadnych świateł. Być może kobieta gdzieś poszła albo spała, jak to często robili starsi ludzie, którzy kładli się do łóżka od razu po „Wiadomościach”. Przywitał go tylko pies. Wyleniały kundel ujadł jeszcze gorliwiej niż poprzednio. Skakał niezrażony deszczem, naprężając łańcuch i trąc pazurami o beton.

Bruno nie potrafił zrozumieć, dlaczego Jacek, mimo iż skierował podejrzenia na niego, ukrył Konopacką u ciotki Jędrzeja Sobiecha. Tak jakby od początku zależało mu tylko na tym, by doprowadzić policjanta do ostateczności. Pozbawić go możliwości działania, uczynić bezradnym i zdesperowanym, by w końcu stał się taką samą bestią jak Lewicki. Im dłużej o tym myślał, tym czytelniejsze stawało się dla niego, że mężczyzna chciał, by Wilczyński doświadczył najgłębszej samotności oraz furii popychającej do szaleństwa. Czy chodziło mu o to, by komisarz go zrozumiał i rozgrzeszył? Bruno nie znał odpowiedzi na to pytanie, ale musiał przyznać, że Lewicki na swój sposób wygrał. Zdołał wydobyć z policjanta zło, które niczym nie różniło się od zła w jego własnej duszy.

Przemierzając zagracone podwórko staruszki, komisarz rozglądał się za okrągłą pokrywą zabezpieczającą wjazd do zbiornika. Powinna wyglądać jak osłona studzienki kanalizacyjnej. Słaba widoczność, deszcz i obezwładniający ból nie wspierały go w tym zadaniu. Z wysiłkiem odsunął starą kanapę, zakładając, że może tam znajdzie pokrywę, ale natrafił tylko na czarną ziemię.

Jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Ruszył w stronę budynku gospodarczego na tyłach domu, a później podszedł do starej, nieczynnej szklarni. Wydawało mu się, że coś usłyszał. Jakby stłumione wołanie i bulgot. Przemieścił się w kierunku, z którego dochodziły dźwięki, i wreszcie w świetle latarki dostrzegł okrągły, żeliwny wjazd.

Usiłował odblokować zamek pokrywy, ale nie dał rady. Rozglądał się więc gorączkowo za jakimś drutem albo chociaż patykiem,

jednak w zasięgu wzroku nie znalazł niczego takiego.

– Bruno! – usłyszał nagle wołanie Larysy.

– Za domem! – odkrzyknął.

Założył, że dziennikarka musiała dowiedzieć się od Lewickiego, dokąd pojechał, a gdy znalazła peugeota na ulicy, zaczęła nawoływać policjanta.

Widok jej sylwetki wyłaniającej się zza zabudowań jeszcze nigdy nie napełnił go taką otuchą. Po chwili dostrzegł również twarz jej brata, który maszerował krok w krok za siostrą.

– Nie mogę tego otworzyć – wyjaśnił policjant, szarpiąc pokrywę. – Myślę, że Konopacka jest w środku.

– Zaczekaj.

Dziewczyna wyciągnęła z kieszeni szwajcarski scyzoryk, ale na niewiele się to zdało, zamek nawet nie drgnął. Po chwili dobiegł ich odgłos tłuczonego szkła. Przy szklarni zobaczyli Bartka, który mocował się z długim metalowym skoblem w kształcie haka, przytwierdzonym do drzwi oranżerii. Chłopak kopnął mocno w zaczep, szarpnął i wreszcie zdołał go wyrwać.

– Trzymaj – wysapał, podając hak Brunonowi.

Serce komisarza dudniło jak oszalałe, a pot wraz z deszczem spływał mu po twarzy, gdy usiłował prętem dźwignąć pokrywę. Dysząc z wysiłku, podważył ją lekko, na tyle, że Larysa mogła chwycić żeliwne wieko i odsunąć je na bok.

Wilczyński przyświecił sobie latarką i wtedy z mroku wyłoniła się przerażona twarz Sylwii, ledwie wystająca nad lustro wody. Deszczówka zaczynała wlewać się policjantce do nosa, co uświadomiło mu, że nie zostało wiele czasu.

Przekazał latarkę dziennikarce i włożył ręce do komina zbiornika, usiłując chwycić Konopacką.

– Złap mnie! – krzyknął, ale policjantka niespodziewanie zaczęła niknąć w toni wody. – Kurwa, ona tonie. Posłuchaj – zwrócił się do Luboń – wejdę do środka, wypchnę ją od dołu, a wy ją wyciągniecie, jasne?

– Nie wydaje mi się, żebyś... – zaczęła, ale policjant jej przerwał.

– Trzeba ją stamtąd zabrać, rozumiesz?

Larysa kiwnęła głową oszołomiona.

– Musimy wezwać pomoc – rzucił Bartek, który dotychczas przyglądał się poczynaniom komisarza, wyłamując sobie palce. – Sami możemy nie dać rady.

– Mój szef zaraz tu będzie, dzwoniłem już do niego – odparł Bruno, po czym włożył nogi do otworu, wziął głęboki wdech i z nadętymi policzkami wskoczył do zbiornika.

Miał wrażenie, że zapada się w ciemność. Przez ułamek sekundy, nim jego stopy dotknęły dna, czuł, jakby wpadł do bardzo głębokiej studni. Jednak gdy po chwili złapał grunt pod nogami, ocenił, że zbiornik musiał mieć niewiele więcej niż dwa metry wysokości. Niemal po omacku znalazł ciało Sylwii, chwycił je mocno obiema rękami i z całej siły uniósł w stronę wjazdu, głową do góry. Wysiętek sprawił, że w płucach poczuł miazdzący ból. Nagle zrobiło mu się słabo. Miał wrażenie, że przed oczyma wirują mu białe plamki, przypominające płatki śniegu. Mocniej napiął mięśnie, by powstrzymać uginające się pod nim kolana, i dopiero gdy Larysa przejęła Konopacką, wyczerpany upadł, znikając pod lustrem wody.

Próbował się podnieść, ale był na to za słaby. Szok adrenaliny minął. Ogarniała go coraz większa senność. W mięśniach poczuł ciężar minionych dni, a w klatce piersiowej potworne darcie. Pomyślał o Larysie i tym, jak go odmieniła, a później o ojcu, który był już po drugiej stronie. W świecie bez problemów. Zamknął oczy, jakby chciał go sobie wyobrazić, tylko przez chwilę, po czym zaczął odpływać. Ostatkiem świadomości śledził swoje myśli. Gotów na spotkanie z rodzicami, za którymi tęsknił całe życie.

Pięć minut. Podobno tyle czasu upływa, zanim tonący dorosły straci przytomność. Po siódmej minucie przestanie bić jego serce. I wtedy przyjdzie śmierć. Ta, która teraz wypełza z ciemności, zagląda mi bezczelnie w oczy i wyciąga po mnie swoje ręce. Długie, kościste, a jednocześnie zadziwiająco silne. Chwyta mnie nimi w lodowate objęcia, następnie mocno ściska płuca, wywołując uczucie, jakby ktoś rozdzierał ciało od środka.

Z jakiegoś powodu nagle myślę o haczykach na ryby, wyobrażam sobie, że tkwią głęboko w mojej klatce piersiowej, a ktoś z całej siły napina żyłki

przytwierdzone do ich końców. Wreszcie otwieram usta, to silniejsze ode mnie, organizm rozpaczliwie chce zaczerpnąć powietrza, lecz zamiast tego wypełnia się wodą, która zatyka gardło i nozdrza.

W smudze światła kątem oka zauważam drobne bąbelki powietrza wydobywające się spomiędzy warg, próbuję je złapać, zatrzymać, ale uciekają jak ostatnie tchnienie. Ktoś gdzieś krzyczy, słyszę to wyraźnie. Rytm mojego serca zwalnia, kolejne uderzenia dzielą coraz dłuższe przerwy, a później przestaję je w ogóle słyszeć. Ból jest tak silny, że tracę przytomność. Odchylam głowę, przymykam powieki i dryfuję. W przebłyskach wraca do mnie całe życie. Niczym na filmie widzę różnych ludzi znikających tak szybko, jak krajobraz za oknem pociągu. Nie ma już strachu ani złości.

Na koniec przychodzą spokój, cisza i ciemność.



Kiedy Bruno wszedł do zbiornika na deszczówkę, Larysa błagała, by karetka i policjanci z komendy Wilczyńskiego, przyjechali najszybciej, jak to możliwe. Po chwili we władze zauważyła czubek głowy aspirant Konopackiej i długie włosy związane w kucyk na karku. Razem z bratem złapali ją za kaptur przy błękitnej bluzie, dźwignęli do góry, a później chwycili pod pachami, wyciągnęli na powierzchnię i ułożyli na trawie. Gdzieś w pobliżu odezwały się syreny radiowozów, co pokrzepiło Larysę. Ich dźwięk narastał, aż w końcu umilkł po drugiej stronie domu.

– Tutaj! – zaczęła krzyczeć, w nadziei, że funkcjonariusze ją usłyszą. – Leć po nich! – nakazała bratu.

Nim jednak Bartek ruszył, wysoki, chudy jak tyczka policjant z wąsem oraz mężczyzna w obcisłej bluzie, przypominający sylwetką młodego Arnolda Schwarzeneggera, pojawili się w zasięgu ich wzroku.

– Pomóżcie! – zawołał młody Luboń.

Barczysty policjant przytknął palce do szyi Konopackiej.

– Wyczuwam słaby puls! – krzyknął, co sprawiło, że lekarz i ratownicy medyczni, którzy właśnie dojechali na miejsce, zaczęli

szybciej biec w ich stronę.

Medyk, który znalazł się przy ciele Sylwii, na widok sinozielonej skóry topielicy wyraźnie zacisnął wargi.

– Brak reakcji na światło, nie oddycha – rzucił do ratowników. – Reanimujemy!

Tymczasem Larysa wpatrywała się z przerażeniem w ciemne lustro wody we włazie do zbiornika.

– Kurwa, coś jest nie tak! – wykrzyknęła. Jej ręce trzęsły się, a głos drżał. – Dlaczego on nie wypływa? Idę po niego.

Luboń podeszła do otworu w ziemi gotowa wejść do środka, ale muskularny funkcjonariusz zatrzymał ją żelaznym uściskiem.

– Stój! Wilczyński tam jest? – zapytał, wskazując właz, a gdy zarejestrował skinienie głowy dziewczyny, w pośpiechu odepchnął Larysę, zrzucił kurtkę i zawołał do pozostałych: – Asekurujcie mnie, schodzę po komisarza.

Wszystko działo się tak szybko, że Marian Pękała, który przybył na ulicę Wyczółki chwilę po ratownikach, nie zdążył nawet zaprotestować, nim inspektor Sławomir Wrona wskoczył w czarną otchłań. Rozczochrany, czerwony na twarzy naczelnik, z rozpiętymi guzikami na dole koszuli, która wysunęła się ze spodni, miotał przekleństwa, wymachując rękami. W końcu z furią kopnął pokrywę włazu, tak mocno, że aż pisnął z bólu.

– Co się gapisz?! Pomóż mu, do cholery! – krzyknął na przestraszonego chudego funkcjonariusza z wąsem, który posłusznie nachylił się nad wejściem do zbiornika.

Ratownik medyczny reanimujący aspirant Konopacką ledwie przesunął po nich wzrokiem. Cały czas zajęty był uciskaniem klatki piersiowej Sylwii, jednocześnie rozglądał się za kolegą, którego wysłał po defibrylator. Chwilę później jego kompan pojawił się z niewielką pomarańczową walizką oznaczoną napisem AED. Rozciął ubranie poszkodowanej i zaczął osuszać jej klatkę piersiową.

W tym samym czasie we włazie ukazała się głowa Wilczyńskiego. Larysa wstrzymała oddech, po czym ruszyła na pomoc Pękale i młodemu policjantowi, którzy wyciągnęli komisarza na zewnątrz.

Dyszząc z wysiłku, położyli go na plecach. Na ich twarzach malowały się niepokój i paraliżujące napięcie.

– O kurwa! – rzucił naczelnik, gdy sprawdził tętno Brunona. – Zajmijcie się nim! – huknął na ratowników, którzy niemal podskoczyli, nie spodziewawszy się nagłego wybuchu policjanta.

– Przepuść mnie! – Larysa chciała dotknąć Wilczyńskiego, ale Pękała powstrzymał ją, ściskając mocno ramiona dziewczyny.

– Daj im pracować – nakazał.

Bartek, który widział, jak jego siostra po słowach naczelnika osunęła się na ziemię, podbiegł do niej i mimo iż sam cały się trząsł, przygarnął ją do siebie. Larysa jednak niczego już nie czuła. Nie dostrzegła inspektora Wrony, który sapiąc i plując wodą, przy pomocy młodego funkcjonariusza wyszedł ze zbiornika. Przystawała słyszeć, o czym rozmawiali policjanci, i rejestrować, co działo się wokół niej. Jakby jej mózg wyłączył docierające bodźce, by zminimalizować uderzenie, które miało nastąpić.

Nie pojmowała, dlaczego jej brat tak mocno ją tuli, a w oczach ma łzy. Nie rozumiała, z jakiego powodu jeden z ratowników medycznych zaprzestał reanimacji, nachylił się nad Brunonem, a później spojrzał na Mariana Pękałę i smutno pokręcił głową. Docierał do niej tylko przeraźliwy łomot jej serca. Z siłą, o którą siebie nie podejrzewała, rzuciła się na mężczyznę w pomarańczowej kamizelce, odepchnęła go i ciałem przyłgnęła do mokrych ubrań Wilczyńskiego. Tym razem jej nie objął ani nie zażartował. Właściwie już go tam nie było. Na brudnej ziemi leżało jedynie puste, pozbawione życia ciało.

Zanosząc się szlochem, Luboń ścisnęła w dłoniach twarz policjanta.

– Takim cię wymyśliłam – wyszeptała, składając na jego ustach ostatni pocałunek.



Marian Pękała znajdował się w swoim gabinecie przy Nowolipiu. Zastłuchany w szum przejeżdżających obok komendy samochodów,

patrzył w okno i wyobrażał sobie, że komisarz Bruno Wilczyński lada moment wparuje przez drzwi. Rzuci jakiś złośliwy komentarz, spojrzy na brzuch naczelnika, po czym doradzi, by ten zawiesił w lodówce kartkę z napisem: „Nie jesteś głodny, tylko ci się nudzi”, a na końcu poprosi o urlop, by móc obejrzeć kilka sezonów ulubionego serialu na Netfliksie. Pękała musiał przyznać, że nigdy wcześniej nie pragnął bardziej zobaczyć zawadiackiego uśmiechu komisarza i jego rozczochranej fryzury, która, jak twierdził sam Bruno, symbolizowała nieuczesane myśli. Raz za razem, gdy łapał się na tym, że chciałby do niego zadzwonić albo go o coś zapytać, uzmysławiał sobie, że przecież już go nie ma. Nikt nie odbierze telefonu, nie zaśpiewa „pierdołę, pierdołę, pierdołę” na melodię francuskiej piosenki *Paroles, paroles* ani nawet go nie zdenerwuje.

Ostatnie pożegnanie Aleksandra Wilczyńskiego i jego syna odbyło się minionego dnia. Przyszło mnóstwo ludzi, przyjaciele, koledzy z komendy Brunona, znajomi z pracy ojca, kilku dziennikarzy i garstka wpływowych biznesmenów w eleganckich SUV-ach z przyciemnianymi szybami. Wynajęty muzyk zagrał na saksofonie *My Way* Franka Sinatry, które od lat znajdowało się na szczycie pogrzebowych list przebojów, i choć naczelnik uważał to za dziwactwo, musiał przyznać, że tekst piosenki idealnie pasował do komisarza. Wilczyński wszystko i zawsze robił po swojemu. Kiedyś doprowadzało to Pękałę do białej gorączki, a teraz nie wiedział, jak odnajdzie się bez jego wybryków. Tęsknił za irytującymi napisami na koszulkach Brunona, jego ciętymi ripostami i przenikliwym umysłem, dzięki któremu rozwiązał tak wiele spraw.

Naczelnik zamrugał powiekami, by przegonić napływające do oczu łzy, a kiedy wydmuchiwał nos w chusteczkę, rozległo się głośne pukanie do drzwi.

Do środka weszła dziewczyna w czarnych gładkich i skórzanej kurtce, ta sama, którą spotkali na Wyczółki, a później jeszcze w trakcie przesłuchania i na pogrzebie, Larysa Luboń. Miała czystą, pozbawioną makijażu twarz, smutne czarne oczy oraz pieprzyk nad górną wargą. Marian Pękała zaprosił ją, by wyjaśnić kilka

nieścistości, które wynikły w trakcie śledztwa. Wprawdzie po zeznaniach Sylwii Konopackiej, która dzięki reanimacji defibrylatorem odzyskała przytomność i teraz powoli wracała do zdrowia, Wilczyński został oczyszczony z zarzutów, ale nadal pewne wątki budziły wątpliwości naczelnika.

– Proszę, niech pani usiądzie. – Wskazał krzesło.

Dziewczyna splotła ręce na piersi i wyczekująco wpatrywała się w policjanta. Pękała pomyślał, że podobnie jak Bruno miała w sobie jakiś rodzaj magnetyzmu i siły, których nie dało się zignorować. Coś, co z jednej strony przyciągało, z drugiej zaś wywoływało onieśmienie. Naczelnik odchrząknął, wygładził koszulę na wydatnym brzuchu, po czym rozłożył dłonie, jakby mową ciała usiłował podkreślić swoje czyste intencje.

– Wiem, że była już pani przesłuchiwana, ale kilka rzeczy nie daje mi spokoju – zaczął. – Ustaliliśmy przebieg zdarzeń i nie mamy wątpliwości, że to Jacek Lewicki porwał aspirant Konopacką. Wywabił ją z lokalu pod pretekstem zagrożenia ze strony komisarza Wilczyńskiego, po czym kazał wsiąść w taksówkę i przyjechać do siebie. Tam podał jej środki nasenne zmieszane z antydepresantami, a gdy straciła przytomność, związał, a następnie zawiózł na ulicę Wyczółki.

– Raczej uwięził i zostawił na pewną śmierć, jeśli mamy trzymać się faktów – skomentowała. – W pana ustach to brzmiało, jakby ją tam po prostu podrzucił.

Marian Pękała skinął głową na znak zgody.

– W porządku. – Uniósł dłonie w przeproszającym geście. – Ochroniarz z bloku przy Dereniowej przyznał się, że na zlecenie Lewickiego podłożył telefon Sylwii w mieszkaniu Brunona. Skorzystał z klucza, który tamten zostawił w kantorku ochrony dla faceta od wymiany okien. Wnioskujemy więc, że krew na kurtce komisarza także musiała być podrzucona.

– Świetny wniosek, ale nie rozumiem, do czego pan zmierza.

– Już wyjaśniam. Schody zaczynają się, gdy docieramy do porwania – stwierdził, wstając zza biurka. – Synowie Jacka twierdzą, że Wilczyński był dla nich bardzo miły, zadzwonił po opiekunkę

i obiecał, że tata szybko wróci. Według nas Bruno chciał faceta tylko nastraszyć, by wyciągnąć z niego informacje o miejscu uwięzienia Sylwii, a gdy je poznał, od razu pojechał na Wyczółki. – Naczelnik chodził po pokoju, gestykulując, jakby na gorąco układał tę teorię. – Zakładam, że Michał Andrzejewski przybył do tamtego opuszczonego domu już pod nieobecność Wilczyńskiego. Od dawna planował zemstę i wreszcie miał ku temu okazję. Musiał nachylić się nad synem, by mu powiedzieć kilka ostatnich słów, a wtedy Lewicki kopnął go w brzuch i przegryzł tętnicę szyjną. Te obrażenia potwierdziła autopsja. – Popukał palcem w grubą białą teczkę przewiazaną sznurkiem. – Wykrwawiając się, stary Andrzejewski podpalił Jacka i obaj zginęli w tamtym budynku. Do tej pory to wszystko się spina, ale moich zwierzchników martwi jedno – dobitnie podkreślił ostatnie cztery słowa. – Skąd facet z psychiatryka wiedział, że jego syn będzie właśnie tam?

Pytanie naczelnika zawisło w powietrzu jak groźba. Jego klatka piersiowa unosiła się miarowo, a na ustach tańczył niewielki bąbel śliny. Mężczyzna zauważył w rysach Luboń niepokój, dlatego bezgłośnie poruszając ustami, wymówił krótkie „wymyśl coś”, a wtedy w jej oczach dostrzegł błysk zrozumienia.

– Najwyraźniej ktoś musiał mu o tym powiedzieć – zasugerowała.

– Tylko kto?

Larysa rozłożyła ręce w geście bezradności i przewróciła oczami.

– Jedyłą osobą, która mogła widzieć Jacka Lewickiego w tamtym domu, był mieszkający naprzeciwko Aleksander Wilczyński. – Naczelnik głośno myślał. – Tak się składa, że dzień wcześniej z jego telefonu stacjonarnego ktoś nawiązał połączenie z Andrzejewskim przebywającym w Choroszczy.

– To ciekawe, bo ojciec Brunona stracił dużo pieniędzy na trefnych inwestycjach, które doradził mu Lewicki. Właściwie doprowadził Aleksandra do bankructwa, a później jakby nigdy nic zaoferował mu odkupienie domu Wilczyńskich za niezbyt uczciwą kwotę.

– Brzmi jak motyw. Tylko skąd stary Wilczyński wiedział, gdzie znajdzie ojca Jacka?

– Dowiedział się o nim z artykułu w „Fakcie”, który przedstawiał rzewną historię dzieciństwa Lewickiego.

Uśmiech na twarzy Mariana Pękały świadczył, że to rozwiązanie mu się podobało.

– Szkoda tylko, że nigdy nie dowiemy się, o czym ojciec Brunona rozmawiał z Michałem Andrzejewskim – podsumował.

– Cóż, zmarli zawsze zabierają tajemnice do grobu.

– W rzeczy samej – odparł naczelnik, wymownie na nią patrząc, dumny z tego, że pomogła mu poskładać tę bajeczkę w zgrabną całość.

Dziewczyna spokojnie wstała, a kiedy wyszła, mężczyzna wygrzebał z dna szuflady metalową zawieszkę z wizerunkiem owczarka niemieckiego i napisem „Uwaga, zły pies!”, którą kiedyś dostał w prezencie od Wilczyńskiego. Powiesił ją po zewnętrznej stronie drzwi.

Niech będzie po twojemu, pomyślał.



Rozmowa z dawnym szefem Brunona przyniosła Larysie chwilową ulgę. Po wydarzeniach w opuszczonym domu zniszczyła kamery i wykasowała obciążające materiały z telefonu Wilczyńskiego. Czasami śnił jej się Jacek przywiązany łańcuchem do filaru. Budziła się wtedy z krzykiem i mokrą od potu koszulką. Nie potrafiła określić, czy żałuje swojej decyzji. Czy gdyby mogła przeżyć tę sytuację raz jeszcze, postąpiłaby tak samo? Nie miała pojęcia. Wiedziała natomiast, że dotknęła w sobie zła, którego istnienie dotychczas wypierała. Może prawdą było to, co mówili psychologowie, że każdy człowiek w pewnych okolicznościach mógł zabić. Nosił w sobie zarówno światłość, jak i mrok.

Świadomość tego, co zrobiła, towarzyszyła jej w każdej minucie. Była jak trudny do usunięcia tatuaż albo piekąca blizna. Karą stało się ciągle przeżywanie tej sceny na nowo we śnie, a później na jawie. Niekiedy myślała nawet, że los ją przechytrzył i w odwecie odebrał

Brunona, ale ostatecznie zawsze dochodziła do wniosku, że przeznaczenie nie istnieje. Ludzie mają wolność wyboru, to oni podejmują decyzje i sprowadzają na siebie konsekwencje. Los nie ma z tym nic wspólnego. Myśląc o tym, przemierzała alejkami szary i pusty o tej porze roku Ogród Krasieńskich, gdy nagle drogę zajechał jej mężczyzna na wózku inwalidzkim.

Odruchowo zamierzała go przeprosić, ale gdy uważniej przyjrzała się jego twarzy, rozpoznała w niej Roberta Hallera. Siedział na jednym z tych nowoczesnych wózków elektrycznych sterowanych ręcznie. Gruby, wełniany koc przykrywał jego nogi, a skóra na policzkach mężczyzny wydawała się blada i zapadnięta. Od ucieczki ze stadniny Luboń niekiedy rozważała, jak postąpił Ryszard, kiedy został sam na sam z synem, ale ból po śmierci Wilczyńskiego sprawił, że zapomniała o Hallerach. Teraz, gdy biznesmen pojawił się przed nią, poczuła, jak jej żołądek ze strachu zwija się w supeł.

– Dzień dobry, Laryso – powiedział. – Choć to brzmi niewiarygodnie w moich ustach, prawda?

Piasek pod stopami dziewczyny zachrząścił, gdy nieznacznie odsunęła się od Hallera. Oddychała szybko, a jej dłonie automatycznie zacisnęły się w pięści.

– Nie musisz się mnie bać. Nie jestem w stanie już nic ci zrobić.

– Zrobiłeś wystarczająco dużo.

– Chciałem podziękować za to, że nie opublikowałaś artykułu.

– Napisałam o tym, co było naprawdę ważne.

Larysa przypomniała sobie, jak otumaniona lekami uspokajającymi redagowała tekst o nowym prezesie Haller Investments, a ściślej mówiąc, prezesce Zuzannie Haller, która w tym samym tygodniu, gdy obejmowała stanowisko, otworzyła fundację na rzecz osób z nerwicą lękową oraz z zespołem stresu pourazowego. W mediach córka Ryszarda wyjawiała, że motywacją do działania stała się choroba jej matki i chęć wsparcia osób, które doświadczyły traumy. O Robercie w oficjalnych komunikatach pojawiała się jedynie wzmianka, że dobrowolnie ustąpił z urzędu i nie zamierza komentować tej decyzji.

Luboń mogła oczywiście wyciągnąć na światło dzienne historię małego Wojtka i Diany Darskiej, ale zdawała sobie sprawę, że po tylu latach udowodnienie czegokolwiek będzie wymagało niezmiernego wysiłku śledczych, o ile w ogóle zainteresowałoby się przedawnioną sprawą. Albert i Diana nie żyli, a w interesie pozostałych świadków zdarzeń z Hallerówki niekoniecznie leżało wyznawanie prawdy i tylko prawdy. Niestety wszystko, co powiedział Robert, kiedy więził dziennikarkę w stadninie, zostało w tamtych murach, a słowo, które uleciało, miało raczej marną wartość dowodową.

– Nie zastanawia cię, co mi się stało? – zapytał biznesmen, wskazując na wózek.

– Miałeś wypadek na polowaniu?

– Hmm... właściwie w pewnym sensie masz rację. Można powiedzieć, że wytropiłem cenną zwierzynę, naprawdę wyjątkowy okaz. – Zmierzył ją wzrokiem od góry do dołu. – Długo ją ścigałem, a kiedy wreszcie była na mojej muszce, ojciec niechcący postrzelił mnie w biodro. Być może sam polował na innego drapieżnika. W każdym razie incydent okazał się o tyle niefortunny, że kula uszkodziła nerwy odpowiadające za pracę moich nóg.

– Brzmi jak szczęście w nieszczęściu. Mogłeś już nie żyć.

Haller rozciągnął usta w bladym uśmiechu.

– Pewnie ucieszy cię informacja, że przeznaczyłem swój dom w Milanówku na siedzibę fundacji Zuzanny, a sam przeprowadziłem się do rodzinnej willi, żeby być bliżej matki.

– Bardziej intryguje, bo skoro stałeś się taki uległy, to znaczy, że twój ojciec wykazał się większym sprytem niż ty. Czym cię zaszantażował?

Mężczyzna z uznaniem pokiwał głową, doceniając to, jak szybko go rozgryzła.

– Nagranie – odparł. – Natchnął go dyktafon, który zostawiłaś w pokoju kominkowym rezydencji. Ojciec zarejestrował naszą rozmowę w Hallerówce. Każde pierdolone słowo. Dlatego czekali tak długo z wejściem, on i Wiśniewski. Chcieli, bym powiedział wszystko.

– No proszę, mówią, że dobro wraca. Najwyraźniej zło też. – Odwróciła się, ale niespodziewanie przystanąła, jakby coś sobie

przypomniała. – Gdyby kiedykolwiek przyszło ci do głowy, by zrobić mi krzywdę, powinienes wiedzieć, że mam kasetę Henryka Mastalerza.

Oczy biznesmena zrobiły się okrągłe jak spodki. Mężczyzna uniósł głowę i patrzył na nią oszołomiony.

– Tak, tę z wyznaniem o ukrywaniu zwłok – dodała.

Robert namyślał się chwilę, a w końcu prychnął.

– Nie ma tam nic, co by mnie obciążało. O ile dobrze pamiętam, powiedziałem Henrykowi tylko tyle, że to członkowie mojej rodziny chcieli zatuszować sprawę i ukryć zwłoki chłopca.

– Ale z jakiegoś powodu szukałeś tej kasety. Długo nie mogłam zrozumieć dlaczego, bo przecież brzmisz na niej jak ofiara rodzinnej presji, ale po tym, co wyrzuciłeś z siebie w stadninie, już wiem.

– Oświecisz mnie?

– Chodzi o Macieja i Zuzannę. Przez lata zadręczali się wyrzutami sumienia z powodu śmierci Wojtka. W końcu, tak jak sam powiedziałeś, to Maciek przyniósł morfinę, a Zuzanna wymyśliła ten wyjazd. Tylko ty i twoja matka wiedzieliście, że chłopiec miał jeszcze puls, gdy kazałeś go zasypać, ale wmawiałeś jej, że się pomyliła. Uwierzyła ci, by ocalić rodzinę. – Westchnęła. – Czasem wierzymy w to, w co chcemy, a odrzucamy to, co zbyt trudne. Tyle że ona tego nie wytrzymała i straciła rozum. Twoje rodzeństwo, dręczone poczuciem winy, które, swoją drogą, gorliwie podsycasz, zamieszkało z nią, a ty umyłeś ręce. Ojciec ich znienawidził, bo przyjął twoją wersję. Za jednym zamachem pozbawiłeś ich obojga rodziców.

– I co z tego?

– Teraz to oni są przy władzy, a nie ty. Role się odwróciły. Jak myślisz, co zrobią, gdy poznają prawdę o twoich manipulacjach?

Robert nie odpowiedział. Larysa długo patrzyła w jego błękitne oczy, szukała w nich skruchy albo żalu, ale znalazła jedynie pogardę. Wyminęła go i ruszyła przed siebie, zostawiając mężczyznę na wózku inwalidzkim na środku alejki. Szła w stronę Sądu Najwyższego. Chciała spojrzeć w oczy kariatyd z brązu, symbolizujących wiarę, nadzieję i miłość, jakby rzeźby na nowo

miały napełnić ją tymi wartościami, których teraz tak bardzo potrzebowała.

Kiedy stanęła naprzeciwko rzeźb, wyczuła ruch tuż za swoimi plecami. Wstrzymała oddech, myśląc, że dogonił ją Haller, ale po chwili usłyszała także dźwięk kroków. Odwróciła się więc gwałtownie i zobaczyła swojego brata. Przyłapany, wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć „daj spokój”. Był blady, miał podkrążone oczy i zaczerwieniony nos.

– Znowu mnie śledziłeś?

– Czy teraz powinienem jakoś zgrabnie uniknąć odpowiedzi?

– Mógłbyś. Wiesz, że pyskujesz jak Wilczyński? – Uśmiechnęła się gorzko.

– Chciałbym.

– Masz rację, nie dorastasz mu do pięt. Nikt nie dorasta.

– Kto by pomyślał, że będę tęsknił tak za facetem, który kiedyś obił mi gębę?

– On na pewno.

Wzięła brata pod ramię i razem ruszyli Świętojerską w stronę Rynku Nowego Miasta.

Zaglądając w oczy przechodniów, zastanawiała się, czy gdyby ludzie wiedzieli, jak skończą się dla nich pewne sprawy, w ogóle by je zaczynali. A później pomyślała o zapachu skóry Brunona, ciepłe jego dłoni i o tym, jak ją odmienił.

I już знаła swoją odpowiedź.

KONIEC

POSŁOWIE

Ta książka ma dla mnie szczególne znaczenie, dlatego że jest ostatnim przystankiem w podróży z Brunonem Wilczyńskim i Larysą Luboń. Spędziłam z nimi wiele niezwykłych dni i nocy, stali się mi bliscy jak prawdziwi przyjaciele. Rozśmieszali mnie, irytowali, a przede wszystkim nieustająco zaskakiwali. Zwykłam żartować, że znam ich od urodzenia aż do śmierci, która jest przecież nieodłączną częścią życia, i dziś te słowa w pewien sposób się dopełniły.

Kiedy wspierająca mnie prawnik i kryminalistyk jako pierwsza przeczytała *Amok*, wysłała mi krótką wiadomość: „Dlaczego?“, po niej przyszła następna: „Ale dlaczego?“. Pomyślałam wtedy, że właśnie taki los utkali sobie Larysa i Bruno, dokonując po drodze wielu mniejszych i większych wyborów. Ich historia nie mogła zakończyć się inaczej. Dziś jestem im wdzięczna za wszystko, co pozwolili mi zrozumieć.

Dziękuję również Wam, drodzy czytelnicy, że wpuściliście te postaci do swoich domów, wyobraźni, a czasem może nawet i serc. Wasze wsparcie niezmiennie mnie wzrusza i dodaje motywacji.

Amok nie powstałby, gdyby nie cierpliwi i profesjonalni konsultanci, którzy wytrwale odpowiadali na dziwne pytania autorki. Przyznam, że przy tej książce musiałam weryfikować najwięcej informacji, lecz jeśli mimo to znajdziecie Państwo pewne nieścisłości, to w pełni biorę je na siebie i przyznaję się do błędów.

Kłaniam się nisko:

– Wspaniałej doktor nauk prawnych i kryminalistyk, która kibicuje mi od początku i konsekwentnie nie chce podawać swojego nazwiska.

– Jankowi Świtale, ratownikowi medycznemu, który wprawiał mnie w osłupienie swoją wiedzą, życiową mądrością i otwartością, z jaką dzielił się informacjami. Jestem Twoją wielką fanką.

– Panu Arturowi Szewczykowi, niezwykłemu lekarzowi, którego możecie znaleźć na Instagramie pod pseudonimem chirurg_wojskowy. Podziwiam i z ciekawością go obserwuję.

– Doktorowi Pawłowi Kabacie, obecnemu na Instagramie pod nazwą chirurgpawel.

– Panu Bartoszowi Dominikowi, lekarzowi w trakcie specjalizacji z ortopedii i traumatologii narządu ruchu, którego znajdziecie na Instagramie pod pseudonimem ulubiony_ortopeda.

– Pani Agacie Nalbach z firmy GRAF Polska. To dzięki niej mogłam umieścić Sylwię Konopacką dokładnie w tym konkretnym „więzieniu”. Cudownie mi się z Panią knuło.

– Panu Maciejowi Rokusowi, szefowi Grupy Specjalnej Płetwonurków RP, za jego energię, wiedzę i charyzmę. Panie Macieju, proszę wybaczyć, jeśli jednak nie byłam najbardziej pojętną uczennicą, Pana osobowość zwyczajnie mnie oszołomiła.

Oraz tym, którzy wspierali mnie już wcześniej i przy *Amoku* również podzielili się opinią:

– Gosi prowadzącej na Instagramie konto pod nazwą z_pamiętnika_policjantki, Panu Technikowi opisującemu swoją pracę na Instagramie: technik_kryminalistyki, Krzyśkowi z CBŚP, Marii prowadzącej konto ksiazka.w.pigulce,

– moim bliskim, w szczególności: mężowi, przyjaciołom, cudownym pisarkom, które dzieliły się doświadczeniem i wrażeniami po pierwszej lekturze, księgarce Irminie oraz tym, którzy książki jeszcze nie znają, ale zawsze stoją za mną murem.

I wreszcie dziękuję Grecie Kaczmarek, Karolinie Borowiec-Pieniak i Adrianowi Tomczykowi, bo dzięki nim przy każdej książce staję się odrobinę mądrzejszą autorką oraz nieco lepszym człowiekiem.

Do przeczytania!

Izabela Janiszewska

Warszawa, styczeń 2021 roku



**KSIĄŻKI, E-BOOKI, GADŻETY
I MNÓSTWO OKAZJI ZNAJDZIESZ NA:**

WWW.WYDAJENAMSIE.PL



SPIS TREŚCI

Strona przedtytułowa

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Cytaty

TAMTA NOC

WCZEŚNIEJ

POSŁOWIE

www.wydajenamsie.pl